



„Zabawna, inteligentna, romantyczna i prawdziwa. Chwyta za serce. Czytałam *FATALNĄ LISTĘ* przez całą noc”.

– MELISSA DE LA CRUZ, autorka serii *BŁĘKITNOKRWIŚCI I NASTĘPCY*

SIOBHAN VIVIAN

FATALNA LISTA

SIOBHAN VIVIAN

PRZEKŁAD:
ANDRZEJ GOŹDZIKOWSKI

Feeria
young

Spis treści

PROLOG	PONIEDZIAŁEK	ROZDZIAŁ 1	ROZDZIAŁ 2	ROZDZIAŁ 3
ROZDZIAŁ 4	ROZDZIAŁ 5	ROZDZIAŁ 6	ROZDZIAŁ 7	ROZDZIAŁ 8
ROZDZIAŁ 9	WTOREK	ROZDZIAŁ 10	ROZDZIAŁ 11	ROZDZIAŁ 12
ROZDZIAŁ 13	ROZDZIAŁ 14	ROZDZIAŁ 15	ROZDZIAŁ 16	ROZDZIAŁ 17
ŚRODA	ROZDZIAŁ 18	ROZDZIAŁ 19	ROZDZIAŁ 20	ROZDZIAŁ 21
ROZDZIAŁ 22	ROZDZIAŁ 23	CZWARTEK	ROZDZIAŁ 24	ROZDZIAŁ 25
ROZDZIAŁ 26	ROZDZIAŁ 27	ROZDZIAŁ 28	ROZDZIAŁ 29	ROZDZIAŁ 30
PIĄTEK	ROZDZIAŁ 31	ROZDZIAŁ 32	ROZDZIAŁ 33	ROZDZIAŁ 34
ROZDZIAŁ 35	ROZDZIAŁ 36	ROZDZIAŁ 37	SOBOTA	ROZDZIAŁ 38
ROZDZIAŁ 39	ROZDZIAŁ 40	ROZDZIAŁ 41	ROZDZIAŁ 42	ROZDZIAŁ 43
ROZDZIAŁ 44	ROZDZIAŁ 45	ROZDZIAŁ 46	PODZIĘKOWANIA	

===OF1uWmJSYFRiBzAFNwE5DmsKPwcxADV RMwM0BTUHMwU=

Tytuł oryginału: The List

Przekład: Andrzej Goździkowski

Opieka redakcyjna: Maria Zalasa

Redakcja: Marta Stęplewska

Zdjęcie na okładce © 2010 by Michael Frost

Projekt okładki: Elizabeth B. Parisi

Copyright © 2012 by Siobhan Vivian

Copyright for Polish edition and translation © Wydawnictwo JK, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez uprzedniego wyrażenia zgody przez właściciela praw.

ISBN 978-83-7229-649-8

Wydanie I, Łódź 2017

Wydawnictwo JK

ul. Krokusowa 3

92-101 Łódź

tel. 42 676 49 69

www.wydawnictwofeeria.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

To, w jaki sposób postrzegamy piękno, jest sprawdzianem naszej moralności.

Henry David Thoreau

PROLOG

Każdego roku licealistów z Mount Washington High, którzy w ostatni poniedziałek września wkraczali do szkoły, witała wywieszona na ścianie lista najładniejszych i najbrzydszych dziewcząt z każdego rocznika.

Także w tym roku tradycji stało się zadość.

Listę powielono w około czterystu egzemplarzach i rozklejono w mniej lub bardziej widocznych miejscach. Jedna zawisła nad pisuarem w męskiej toalecie na parterze. Inną przyklejono na dopiero co wywieszonym spisie aktorów do przygotowywanej jesienią inscenizacji sztuki *Grosz z nieba*. Kolejną wetknięto w gabinecie pielęgniarki szkolnej między ulotki przestrzegające uczennice przed potencjalnymi zagrożeniami na randkach oraz przed depresją. Kopie listy zawędrowały też na drzwi uczniowskich szafek na książki, na ławki w salach lekcyjnych i tablice ogłoszeń, do których przymocowane zostały pinezkami.

W prawym dolnym rogu każdej kartki widniał odcisk pieczęci, na której umieszczono schematyczny rysunek przedstawiający Mount Washington High. Wyobrażenie szkoły było wyraźnie nieaktualne – zabrakło na nim krytego basenu, nowej sali gimnastycznej oraz całego skrzydła mieszczącego nowoczesne pracownie przedmiotów ścisłych. Pieczęci tej używano dawniej do stemplowania wszystkich świadectw maturalnych. Aż wreszcie ktoś przed kilkadziesiąt laty zwędził ją z szuflady w biurku dyrektora liceum. Obecnie pieczęć stanowiła przedmiot na poły mityczny, służący do odstraszenia imitatorów i konkurencji.

Nie wiadomo, kto rok po roku tworzył listę, ani jak to się działo, że jej autorzy z czasem się zmieniali. Tajemnica ją otaczająca bynajmniej nie zaszkodziła tradycji. Fakt, że twórcy mieli zagwarantowaną anonimowość, sprawiał, że ich wybory sprawiały wrażenie tym bardziej obiektywnych i bezstronnych.

Miało to jeszcze ten skutek, że przestawały się liczyć miliardy szufladek, w które można by wepchnąć dziewczęta z Mount Washington High, dzieląc je na: pozerki, dziewczyny popularne, takie które nie stronią od używek, frajerki, karierowiczki, sportsmenki, ptasie mózdzki, grzeczne dziewczynki, niegrzeczne dziewczynki, słodziutkie dziewczynki, chłopczyce, puszczałskie, fałszywe świętoszki, seryjne dziewice, skromnisie, nadambitne, leserki, ćpunkki, wyrzutki, hipsterki, kujonki i dziwadła. W tym sensie lista upraszczała świat – pozwalała ogół uczennic szkoły podzielić na trzy proste kategorie:

Najładniejsze.

Najbrzydsze.

No i całą resztę.

Rankiem tego sądniego dnia, zanim jeszcze rozbrzmiał dzwonek wzywający na godzinę wychowawczą, każda dziewczyna uczęszczająca do Mount Washington

High miała dowiedzieć się, czy jej nazwisko figuruje na liście, czy też nie.

Te, które się na nią nie załapały, miały zachodzić w głowę, do której kategorii by je zaliczono. I czy fajnie by się z tym czuły.

W zupełnie innej sytuacji znaleźć się miało osiem dziewcząt, których nazwiska umieszczono na liście – one nie będą już miały żadnego wyboru.

THE LIST

KLASA I

Najbrzydsza:

DANIELLE DEMARCO –
Pseudonim Dana Babochłop

Najładniejsza:

ABBY WARNER –
Ekstra punkty przyznane za zwalczenie rodzinnych genów!

KLASA II

Najbrzydsza:

CANDACE KINCAID –
Tak nawiasem mówiąc, piękno jest nie tylko na zewnątrz.

Najładniejsza:

LAUREN FINN –
Wszyscy lecą na tę nową laskę.

KLASA III

Najbrzydsza:

SARA SINGER –
Ta panna ze wszystkich sił stara się być jak najbardziej szpetna!

Najładniejsza:

BRIDGET HONEYCUTT –
Ależ człowiek może się zmienić przez wakacje.

KLASA IV

Najbrzydsza:

JENNIFER BRIGGIS –
(FANFARY!)

Jedyna czterokrotna laureatka w historii Mount Washington!
Gratulacje, Jennifer!

Najładniejsza:

MARGO GABLE –
Niech żyje królowa
tegorocznego jesiennego balu!



PONIEDZIAŁEK

ROZDZIAŁ 1

Abby Warner przechadzała się niespiesznie wkoło miłorzębu, wodząc dłonią po nierównościach kory. Lekki wiaterek muskał jej nogi, które od krawędzi sztruksowej spódniczki aż po balerinki na stopach były całkiem gołe. Pora roku sugerowałaby założenie rajstop, jednak Abby uparcie odwlekała ten moment. Dopóki uda jej się wytrzymać chłód, albo dopóki jej nogi zdobić będzie letnia opalenizna, gotowa była dzielnie paradować w lekkim ubraniu.

Miejsce przy drzewie miało swoją nazwę – to Wysepka Pierwszaków. Zaglądali tu rankami i po lekcjach ci bardziej popularni spośród pierwszoklasistów Mount Washington. Wiosną miejsce świeciło pustkami, wszystkich odstraszał smród gnijących owoców miłorzębu, które dojrzawszy, opadały na ziemię i wydzielaly ostrą przykrą woń. W sumie było to całkiem dobrze zgrane w czasie, bo na wiosnę pierwszoklasiści mieli już być o krok od przejścia do drugiej klasy, i żaden i tak nie zechciałby robić niczego, przez co mógłby wydać się młodszy.

Abby miała wrażenie, jakby od chwili, gdy rodzice podrzucili ją i jej starszą siostrę Fern do szkoły, upłynęły długie godziny. Fern miała tego dnia spotkanie klubu dyskusyjnego. A może w poniedziałki uczestniczyła w tak zwanym naukowym dziesięcioboju? Na myśl o tym Abby ziewnęła. Nie mogła sobie przypomnieć, jakie obowiązki jej siostra miała tego ranka. W każdym razie ona nie cierpiała poranków takich jak ten, ponieważ musiała budzić się jeszcze wcześniej niż zwykle, żeby zdążyć wziąć prysznic, uczesać się i zdecydować, co fajnego na siebie włoży. A wszystko to bez zapalania światła, żeby nie zbudzić Fern, z którą dzieliła największą sypialnię w domu państwa Warnerów. Fern natomiast spała zawsze jak suseł, dopóki mogła, a to dlatego, że jej poranne rytuały ograniczały się do umycia zębów oraz wciągnięcia na siebie jednej z dyżurnych par dżinsów i któregoś z workowatych T-shirtów.

Tego ranka siostra Abby, dumna jak paw, wystroiła się w nową koszulkę, świeżo zakupioną w sklepie internetowym. Z przodu miała nadruk bogato zdobionego diademu – znak, że posiadaczka tego T-shirta jest wiernym członkiem mrocznej sekty wojowników rodem z *The Blix Effect* (cyklu powieści fantasy, na punkcie którego wszyscy znajomi Fern mieli kręćka). W samochodzie po drodze do szkoły poprosiła Abby, żeby zaplotła jej włosy w dwa francuskie warkocze, po jednym z każdej strony. Była to fryzura, z którą główna bohaterka powieści ruszała do boju.

Fern, jeśli już prosiła siostrę o pomoc przy pleceniu włosów, zawsze życzyła sobie tylko francuskie warkocze. Szkoda, bo przecież Abby mogłaby także upiąć siostrze kok albo zrobić twista. Jej zdaniem Fern byłoby w takim uczesaniu znacznie bardziej do twarzy, a przy tym takie wyrafinowane fryzury pasowałyby

szesnastolatce. Gdy przychodziło jednak co do czego, Abby nigdy nie umiała odmówić siostrze, mimo że trochę ją dziwiło, iż Fern zamiast po prostu ładnie się ubrać, przebiera się za postać z książki. Dobrze jej jednak było w warkoczach, a przynajmniej sprawiała wtedy wrażenie, jakby chociaż trochę dbała o swój wygląd.

Z wolna pod szkołę zaczynały podjeżdżać szkolne autobusy i samochody z uczniami. Do Abby po kolei podchodziły teraz koleżanki, żeby się przywitać, a ona czuła, jak ciepło ich uścisków rozgrzewa jej przemarznięte ciało. Ponieważ w najbliższą sobotę miał się odbyć jesienny bal dla uczniów całej szkoły, dziewczyny cały weekend spędziły na podsyłaniu sobie zdjęć sukienek, w których być może się zaprezentują. Sukienka, która skradła serce Abby – cudo z czarnego atłasu, z odkrytymi plecami i szerokim białym pasem spinającym ją w talii – czekała na nią w sklepie w galerii handlowej; kazała odłożyć jedną w swoim rozmiarze. Wstrzymywała się z zakupem tylko dlatego, że żadna z jej koleżanek-pierwszoklasistek nie potrafiła odpowiedzieć na pytanie, jak elegancko należy ubrać się na imprezę szkolną inną niż studniówka.

– Cześć, Liso! – zawołała Abby, widząc, że od strony parkingu nadchodzi jej najlepsza koleżanka, Lisa Honeycutt. – Pokazałaś Bridget moją kieckę na bal? Nie wydaje jej się zbyt formalna?

Lisa objęła Abby i uściśliła ją na powitanie.

– No coś ty, moja siostra uważa, że jest idealna! Fajna i ładna, ale nie w zbyt wymuszony sposób.

Na wieść, że jej wybór spotkał się z uznaniem Bridget, Abby odetchnęła z ulgą. W gronie ich znajomych tylko one dwie, Abby i Lisa, miały starsze siostry uczęszczające tak jak one do Mount Washington. Ale oczywiście Fern nie mogła się równać z siostrą Lisą.

Podczas wakacji Abby spędziła tydzień w letniskowym domu rodziców przyjaciółki w Whipple Beach. Gdyby nie ta miła odmiana, całe wakacje upłynęłyby jej na dotrzymywaniu towarzystwa Fern, która robiła objazd po college'ach.

Podczas tamtego letniego tygodnia Abby z Lisą zakradły się do pokoju Bridget, żeby trochę pomyszkować. Zajrzały do jej szafy z ciuchami, poszperały w szufladzie ze skarpetami, w której natknęły się na kartki z numerami telefonów paru chłopaków. A kiedy natrafiły na bransoletkę z wisiorkiem, nie omieszkały sprawdzić, jak by wyglądała na ich nadgarstkach. Znalazły też kosmetyki do makijażu Bridget, równo ułożone na toaletce z pomalowanej na biało wikliny, i oczywiście zaraz je wypróbowały na sobie. Abby zawsze marzyła o własnej toaletce, ale jej pokój był po prostu za mały na taki mebel.

Bridget pojechała co prawda razem z nimi do domku letniskowego, ale trzymała się z boku. Przez cały czas wysyłała SMS-y do znajomych, którzy czekali

na nią w mieście, i czytała książki, których całą stertę zabrała ze sobą. Na plażę z Abby i Lisą wybrała się tylko jeden raz i wytrzymała na niej ledwie kilka godzin. Pewnej deszczowej nocy zaprosiła je jednak do swojego pokoju. Podkreśliła im włosy swoją dużą lokówką, a potem pozwoliła rozsiąść się w nogach jej wielkiego łóżka z puszystą pościelą i obejrzeć jakiś stary łzawy film. Abby i Lisa zasypały ją pytaniami o to, jak naprawdę wygląda życie w Mount Washington High. Bridget podzieliła się z nimi wtedy wieloma przydatnymi wskazówkami: dziewczyny dowiedziały się między innymi, żeby uważały, gdy będą się umawiać z chłopakami ze starszych klas, oraz żeby plotkowały tylko z tymi koleżankami, do których mają stuprocentowe zaufanie. Tamtej nocy dowiedziały się też, co zrobić, żeby rodzice nie wyczuli od nich alkoholu.

Z Fern natomiast dziewczyny miały znacznie mniejszy pożytek. Umiała im tylko podpowiedzieć, które nauczycielki matematyki w Mount Washington znały się na swojej robocie. Abby zastanawiała się nieraz, czy Bridget w ogóle kojarzy jej siostrę, choć obie dziewczyny należały przecież do tego samego rocznika.

Lisa miała już odejść, żeby pogadać z innymi kumpelami, kiedy Abby nachyliła się do niej i szepnęła:

– Odrobiłaś te ćwiczenia z nauk o ziemi?

– Abby, nie możesz ciągle zrzucać ode mnie prac domowych – zaprotestowała Lisa, marszcząc brwi. – W ten sposób nigdy niczego się nie nauczysz.

Abby przeczesła dłonią swe włosy w kolorze rudoblond.

– A jak ładnie poproszę? Wczoraj przeglądałam kiecki i zanim się zorientowałam, cały wieczór zleciał. To już ostatni raz – zapewniła, po czym kładąc dłoń na sercu, dodała: – Słowo honoru.

Lisa westchnęła ciężko, jednak ruszyła w kierunku szkoły, żeby wyjąć z szafki zeszyt z pracą domową.

– Kocham cię jak siostrę! – zawołała za nią Abby.

Po paru minutach Lisa wypadła biegiem z budynku. Biegła tak szybko, że czarny koński ogon tańczył jej na plecach.

– Abby! – wołała na tyle głośno, by usłyszeli ją wszyscy na Wysepce Pierwszaków. Ostatnie kilka metrów pokonała wielkimi susami. Gdy wreszcie dobiegła, musiała uchwycić się ramienia Abby, żeby się nie przewrócić z rozpędu. – Zostałaś wybrana najpiękniejszą pierwszoklasistką w Mount Washington High!

– Co takiego? – odezwała się Abby, mrugając oczami.

– Jesteś na liście, głuptasko! *Tej* liście! – wykrzyknęła, a po chwili dodała: – Razem z moją siostrą.

Lisa potoczyła wkoło spojrzeniem, szczerząc w dumnym uśmiechu zęby z aparatem ortodontycznym.

– Bridget została wybrana najpiękniejszą trzecioklasistką – oznajmiła,

zwracając się do wszystkich dziewcząt wkoło.

Zaskoczenie było tak wielkie, że Abby z wrażenia rozchyliła usta. Nie bardzo wiedziała, co to wszystko znaczy, ale najwyraźniej była to nowina, z której należało się cieszyć. Z pomocą przyszła jej jedna ze stojących obok dziewczyn.

– Ale na jakiej liście? – chciała wiedzieć.

Spojrzenia wszystkich dziewcząt skierowały się ku Lisie w nadziei, że koleżanka je oświeci.

Gdy dziewczyna tłumaczyła koleżankom, czym jest lista, Abby potakiwała w milczeniu, udając, że jest lepiej zorientowana od nich. Oczywiście Fern nie raczyła jej o tym wspomnieć, podobnie jak nie miała pojęcia, jaką sukienkę młodsza siostra powinna założyć na bal. Czasami Abby żałowała, że to nie Bridget jest jej siostrą.

No dobra, marzyła o tym całkiem często.

Koleżanki Abby zaczęły ścisnąć ją i składać jej gratulacje. Z każdym kolejnym uściskiem dziewczyna czuła, jak serce zaczyna jej bić jeszcze szybciej. Zajęci grą w zośkę chłopcy z pierwszej klasy wprawdzie udawali, że nie są zbyt zainteresowani powodem radości koleżanek, jednak Abby zauważyła, że przesunęli się nieco bliżej miejsca, gdzie stała.

Dalej nie docierało do niej, co się wydarzyło. Wśród pierwszoklasistek Mount Washington nie brakowało ślicznych dziewcząt, Abby zresztą знаła większość z nich. Czyżby naprawdę zasługiwała na takie wyróżnienie?

Czuła się z tym dziwnie. Nigdy dotychczas nie była w takiej sytuacji.

– Przykro mi, że żadna z was nie została wybrana – odezwała się nagle, zwracając się do wszystkich wkoło. Mówiła to po części szczerze.

– Litości! – zachnęła się Lisa, wskazując palcem na swe usta. – Z tymi torami kolejowymi przebiegającymi w poprzek mojej twarzy raczej wątpię, by ktoś uznał mnie za najpiękniejszą.

– Przestań – zawołała Abby, dając jej w odpowiedzi żartobliwego kuksańca. – Przecież jesteś taka śliczna! Znacznie ładniejsza ode mnie.

Abby powiedziała to zupełnie szczerze. Prawdę mówiąc, miała farta, że w ogóle załapała się tym roku na listę, bo gdy Lisa pozbędzie się wreszcie aparatu na zęby, to ona zgarnie następną nagrodę. Lisa była około piętnastu centymetrów wyższa od Abby, miała długie czarne włosy, które zawsze wydawały się tak samo lśniące, a na jej lewym policzku ulokował się śliczny mały pieprzyk. Do tego miała świetną figurę – szerokie biodra i pełne piersi. Jediną rzeczą, która nie pozwalała jej uznać za ideał urody, był ten nieszczęsny aparat. No i może stopy, które były trochę za duże. Ale kto zwracałby uwagę na wielkość stóp?

– Abby, zupełnie nie umiesz przyjmować komplementów – zauważyła wesoło Lisa. – Ale to naprawdę wielka sprawa, teraz będziesz już rozpoznawalna. Każdy uczeń będzie wiedział, kim jesteś.

Na twarzy Abby pojawił się promienny uśmiech. Nigdy jeszcze perspektywa najbliższych czterech lat nie napełniała ją tak wielkim podnieceniem jak w tej chwili.

– Szkoda, że nie wiem, kto mnie wybrał. Chętnie bym podziękowała tej osobie – stwierdziła. Myśl, że jakaś dziewczyna, albo może cała delegacja dziewcząt, nadała właśnie jej tak zaszczytny tytuł, była niesamowicie ekscytująca. A więc miała w tej szkole koleżanki, o których nawet nie wiedziała. – Gdzie widziałas tę listę?

– Jedna kopia wisi na tablicy ogłoszeń przy sali gimnastycznej – wyjaśniła Lisa. – Ale w zasadzie w całej szkole roi się od nich.

– Myślisz, że mogłabym wziąć jedną? – spytała Abby.

Zapagnęła schować ją w jakimś wyjątkowym miejscu: albumie do wklejania wycinków albo może w pudełku z pamiątkami.

– No jasne! Chodźmy i weźmy którąś!

Dziewczyny, trzymając się za ręce, ruszyły do szkoły.

– A kto jeszcze znalazł się na liście? – zainteresowała się Abby. – To znaczy oprócz mnie i twojej siostry?

– Tytuł najbrzydszej pierwszoklasistki przypadł Danielle DeMarco.

Abby zwolniła kroku.

– Chwileczkę, na tej liście są też najbrzydsze dziewczyny? – spytała.

W podnieceniu umknął jej ten szczegół.

– No tak – przyznała Lisa, ciągnąc ją za rękę. – Poczekaj, aż sama zobaczysz. Ci, którzy stworzyli tegoroczną listę, pod każdym nazwiskiem dopisali też fajne komentarze. Na przykład Danielle ochrzcili „Daną Babochłopem”.

Abby nie kumpłowała się z Danielle DeMarco, ale chodziły razem na wuef. W zeszłym tygodniu widziała, jak koleżanka zaliczyła ze świetnym czasem obowiązkowy bieg na tysiąc sześćset metrów. Naprawdę super się sprawiła tego dnia. Abby pewnie też mogłaby powalczyć o lepszy czas niż te żałosne siedemnaście minut, ale nie chciała się zmęczyć i potem do końca dnia siedzieć na lekcjach spocona. Oczywiście zrobiło jej się przykro, że to właśnie Danielle zdobyła tytuł najbrzydszej dziewczyny rocznika, ale pomyślała, że koleżanka weźmie to na klatę – sprawiała wrażenie naprawdę twardej laski. No i miała nadzieję, że zrozumie, że równie dobrze ten tytuł mógł przypaść jakiejś innej dziewczynie, tak samo jak w przypadku samej Abby. Przecież te wybory to kwestia przypadku.

– A jaki komentarz znalazł się pod moim nazwiskiem?

Lisa pochyliła głowę i szepnęła:

– Gratuluję ci, że pokonałaś rodzinne uwarunkowania genetyczne. – Jej słowom towarzyszył zawstydzony śmiech.

Fern.

– Wybrali Fern najbrzydszą trzecioklasistką? – domyśliła się Abby, przygryzając ze zdenerwowania wnętrze policzka.

– Skąd! – zaprzeczyła szybko Lisa. – Ten tytuł powędrował do Sary Singer. To ta panna, która zawsze siada na ławce niedaleko Wysepki Pierwszaków i na wszystkich patrzy wilkiem.

Abby opuściła wzrok i zwiesiła głowę. Lisa musiała domyślić się, że przyjaciółkę gryzą wyrzuty sumienia, bo poklepała ją pocieszająco po plecach.

– Abby, nie przejmuj się tą całą genetyką. Fern nie została wspomniana z imienia. Założę się, że wiele osób w ogóle nie ma pojęcia, że jesteście siostrami.

– Może – przyznała niepewnie Abby.

Miała nadzieję, że Lisa ma rację. Jednak nawet jeśli dzieciaki nie wiedziały, że ona i Fern są spokrewnione, nauczyciele na pewno mieli tego świadomość. I właśnie tego momentu najbardziej obawiała się w Mount Washington – gdy nauczyciele po pierwszym tygodniu nauki zorientują się, że Abby bystrością nie dorównuje starszej siostrze. Ani że w ogóle nie może się z nią równać, jeśli chodzi o naukę.

– Poza tym to Fern zawsze zgarnia wszystkie laury – ciągnęła Lisa. – A ty za każdym razem cieszysz się z jej sukcesów. Choćby w zeszłym roku podczas organizowanego przez uniwersytet konkursu deklamacyjnego poezji łacińskiej, w którym brała udział twoja siostra. Zmusiłaś mnie wtedy, żebym przez trzy godziny siedziała z tobą na widowni.

– Ale to naprawdę była ważna impreza. Fern reprezentowała wtedy całe nasze liceum. Wygrała konkurs, a w nagrodę otrzymała wysokie stypendium.

– Dobrze już, dobrze, przecież pamiętam – odezwała się Lisa, przewracając oczami. – Teraz pora, byś to ty dla odmiany znalazła się w centrum uwagi.

Abby ścisnęła dłoń przyjaciółki. Ten komentarz o uwarunkowaniach genetycznych był dość wredny, jednak Lisa miała rację. Przecież nie znaczy to, że Abby *sama* powiedziała to o siostrze. Zawsze kibicowała Fern w jej naukowych osiągnięciach. Ani razu nie marudziła, gdy jej siostra urządzała pobudkę o świcie, żeby zakuwać, albo gdy musiała włączyć się z nią po college'ach przez całe lato, przez co nie mogła mieć normalnych wakacji.

W każdym razie nie narzekała głośno.

Kiedy zbliżały się do sali gimnastycznej, Lisa ostatnie kilka kroków dzielące je od tablicy ogłoszeń pokonała w podskokach.

– Proszę bardzo – oznajmiła triumfalnym tonem, dziabiąc palcem arkusz przyczepiony do tablicy. – Czarno na białym.

U szczytu listy Abby bez trudu odnalazła swoje imię i nazwisko. A więc to prawda. Dopiero teraz, gdy zobaczyła to na własne oczy, cała sprawa nabrała realności, a zdobyty tytuł wydawał się bardziej zasłużony. Abby została najpiękniejszą pierwszoklasistką, to już oficjalnie.

Przypatrywała się kartce długo. Tak długo, że właściwie straciła poczucie czasu. Z zamyślenia wyrwało ją dopiero uszczyknięcie w ramię. Kiedy oderwała spojrzenie od tablicy, zauważyła, że korytarzem nadchodzi Fern. Maszerowała przed siebie zdecydowanym krokiem. Na plecach niosła plecak z książkami, a francuskie warkocze tańczyły jej po bokach jej głowy przy każdym kroku.

Abby nie była w stanie stwierdzić, czy Fern wie już, że jej młodsza siostra znalazła się na liście. Po chwili Fern wyminęła ją, jakby w ogóle jej nie zauważyła. Zawsze w szkole zachowywała się w taki sposób.

Abby odczekała, aż siostra zniknie za rogiem. Wtedy paznokciem małego palca podważyła pinezki, uważając, by nie ponadrywać kartki na rogach, i zdjęła ją z tablicy ogłoszeń.

ROZDZIAŁ 2

Od przystanku Danielle DeMarco dzieliła jeszcze tylko jedna przecznica, jednak było już jasne, że spóźniła się na autobus. Przystanek był wyludniony, co wydawało się podejrzane, zwłaszcza w poniedziałek. Wkoło rozlegały się typowe poranne hałasy – śpiew ptaków, szelest otwieranych na pilota drzwi od garaży, metaliczny brzdęk opróżnionych śmietników, które ciągnięto z powrotem podjazdami w kierunku domów.

Danielle umierała z głodu, bo nie zdążyła zjeść śniadania. Słaniała się na nogach z niewyspania i wszystko wskazywało na to, że spóźni się do szkoły. Słowem idealny początek tygodnia.

A jednak mimo wszystko była pewna, że wydarzenia ostatniej nocy były tego warte.

* * *

Spała od dwóch godzin, gdy rozległ się dzwonek komórki.

– Halo? – odezwała się, tłumiąc ziewnięcie.

– Jak możesz spać o tej porze? Dopiero północ.

Danielle zerknęła w stronę drzwi, żeby sprawdzić, czy na pewno są zamknięte. Jej rodzice nie byliby zachwyceni, że Andrew wydzwania do niej w środku nocy. Nadal uparcie nazywali go *kolegą z obozu*, chociaż poprawiała ich już milion razy. Tak jakby słowo *chłopak* nie mogło przejść im przez usta. A może nie mogli się pogodzić z tym, że Andrew był rok starszy od Danielle. Ponieważ postanowili wrzucić go do tego samego worka co Hope, czyli najlepszą przyjaciółkę Danielle, dokładnie określali, kiedy, gdzie i w jaki sposób ich córka może spędzać czas z Andrew.

I właśnie to okazało się najtrudniejsze w powrocie do domu z obozu nad jeziorem Clover, gdzie Danielle i Andrew pracowali w wakacje jako opiekunowie: utracili wolność, która pozwalała im spotykać się, albo chociaż rozmawiać, kiedy tylko przyszła im na to ochota. W przeszłość odeszły noce, gdy Andrew zakradał się pod osłoną ciemności pod jej okno i skrobaniem w siatkę przeciw owadom dawał znać, że już jest. Nie mogli już ukradkiem wypływać łódką na środek jeziora i czekać, aż bryza znieśie ich z powrotem do przystani.

Danielle miała wrażenie, że od wakacji upłynęła cała wieczność.

Naciągnęła kołdrę na głowę, żeby rodzice nie mogli jej usłyszeć.

– Obozowicze, gasimy światła! – szepnęła żartobliwie do komórki.

Andrew westchnął, słysząc jej zaspany głos.

– Przepraszam, że cię obudziłem. Czuję się zbyt nakręcony, żeby zasnąć. Po meczu jestem naładowany adrenaliną i nie mam jak jej wyładować.

Po południu Danielle i Hope były na meczu i z trybun obserwowały, jak Andrew tkwi za linią boczną boiska, zmuszony bez przerwy się rozgrzewać w oczekiwaniu, aż trener pozwoli mu wybiec na murawę. Robił podskoki na palcach, pajacyki albo krótkie przebieżki, wysoko zadzierając kolana, żeby nie ostygnąć. Po każdym zagranu spoglądał z wyczekiwaniem na trenera reprezentacji szkolnej, dotykając w zamyśleniu maski ochronnej swego połyskującego białego kasku.

Tak bardzo mu współczuła. Był to już czwarty mecz w sezonie, a Andrew nie miał jeszcze okazji nawet minuty spędzić na boisku. Nie mogła zrozumieć, dlaczego trener nie da szansy drugoklasiście. Do końca pierwszej połowy zespół Mount Washington przegrywał już trzema przyłożeniami. W dotychczasowych rozgrywkach Górale z Mount Washington nie zapisali na swym koncie ani jednej wygranej.

– Wyglądałeś uroczco w koszulce reprezentacji.

Andrew roześmiał się w odpowiedzi, jednak Danielle wyczuwała w jego głosie, że nadal jest mu przykro.

– Wolalbym, żeby w ogóle mnie nie powoływali, jeśli cały czas mam spędzać za boiskiem. Przecież jako rezerwowy mógłbym w końcu zagrać. To takie upokarzające, kiedy musisz stać za linią boczną i przyglądać się beczynnie, jak mecz za meczem dostajemy łomot. Równie dobrze mógłbym obejrzeć grę z wami z trybun, zając *nachos*.

– Andrew, ale przecież to mimo wszystko wielki zaszczyt. Założę się, że jest mnóstwo drugoklasistów, którzy mogą tylko pomarzyć o powołaniu do reprezentacji szkoły.

– Niby tak – przyznał bez przekonania. – Chuck zagrał całą drugą połowę. Szkoda, że nie jestem taki duży jak on. Chyba powinienem więcej czasu spędzać na siłce. I łykać te proteinowe odżywki, które on ciągle popija. Jestem zbyt drobny. W gruncie rzeczy jestem najdrobniejszym chłopakiem w całej drużynie.

– Nieprawda. Poza tym po co miałbyś się upodabniać do Chucka? To prawda, kawał z niego chłopca, ale wcale nie jest zbyt sprawny. Założę się, że na boisku mógłbyś go z łatwością prześcignąć.

Danielle była niemal pewna, że Andrew zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo nie lubiła tego całego Chucka. Andrew opowiedział jej kiedyś, że Chuck ma u siebie w pokoju specjalną półkę, na której trzyma wszystkie swoje wody kolońskie. Każdemu, kto go odwiedza, pokazuje je niczym największe skarby. I nigdy nie wychodzi z domu, nie spryskawszy się którąś z nich. Musi się wypachnić, nawet kiedy idzie do garażu, żeby przypakować. Z opowieści Andrew wynikało, że Chucka brzydzi zapach potu. Nawet jeśli to jego własny pot.

– To prawda – przyznał po chwili zastanowienia Andrew. – Gościu fatalnie się odżywia. Wątpię, żeby w ogóle wiedział, jak wyglądają warzywa. Z wyjątkiem

tych, które wkładają do Big Maca. W sumie nic dziwnego, że żadna dziewczyna go nie chce.

Ta uwaga wywołała u nich obojga salwy śmiechu.

Kilka tygodni zajęło Danielle zrozumienie, jak odnoszą się do siebie chłopaki z paczki Andrew. Wszyscy byli nastawieni na rywalizację, jednak prym wiedli w tym właśnie Chuck i Andrew. Ci dwaj rywalizowali we wszystkim – kto ma lepsze oceny, kto ma fajniejsze adidas, kto pierwszy dobiegnie do kranika z wodą. Cały ten cyrk Danielle traktowała jako typowo chłopackie zabawy, jednak od czasu do czasu Andrew przydarzała się porażka, którą naprawdę ciężko znosił. Danielle też była ambitna, jednak mimo że współczuła swojemu chłopakowi, gdy strasznie przeżywał jakieś niepowodzenie, sama wystrzegała się sytuacji, w których musiałaby rywalizować z koleżankami. Wołała nawet nie wyobrażać sobie, jak by to było, gdyby tylko ona albo tylko Hope zakwalifikowała się do drużyny pływackiej.

Równocześnie jednak dumą napawała ją myśl, że w sprawach relacji damsko-męskich Andrew jest do przodu w porównaniu z kolegami.

– Nie zgadniesz, czego się dziś dowiedziałem – przerwał jej rozmyślenia Andrew. – Nawet jeśli w ciągu całego sezonu nie zagram ani minuty, i tak dostanę kurtkę reprezentacji.

– Będiesz w niej super wyglądał – zauważyła.

Był to raczej kretyński komentarz, ale coś jej podpowiadało, że poprawi mu tym humor.

– Sama kurtka nic mnie nie obchodzi. Ale fajnie będzie zobaczyć, jak ją nosisz zimą.

– Ale z ciebie słodziak – odparła Danielle, rumieniąc się w ciemności.

Jasne, fajnie będzie pochodzić w należącej do Andrew kurtce reprezentacji, w każdym razie do czasu, aż zasłużą sobie na własną.

– Pogadamy jeszcze trochę? – zaproponował nieśmiało.

Danielle przetrzepała poduszkę, a już po chwili jak na komendę i ona, i Andrew zaczęli skakać po kanałach swych telewizorów, jakby oba ich piloty były ze sobą zsynchronizowane. Ze śmiechem komentowali dziwaczne reklamy, które telewizje najchętniej puszczają późną nocą: jakieś podejrzanym spraye do włosów, dziwne przyrządy do domowej siłowni, przywodzące na myśl średniowieczne maszyny tortur, kosmetyki dla osób zmagających się z pryszczami i opuchlizną twarzy, a nawet tabletki dietetyczne o składzie bazującym na starożytnych chińskich recepturach.

W końcu Danielle zapadła w sen z komórką przyklejoną do ucha. W jej świadomości przez chwilę rozbłyskiwały jeszcze telewizyjne obrazy „przed” i „po” użyciu danego specyfiku. Bateria w telefonie wyczerpała się około czwartej trzynastej. A wraz z nią przepadł nastawiony na rano budzik.

* * *

A zatem to miłość, a w każdym razie coś zbliżonego do niej, kazała jej tego ranka spóźnić się na autobus do szkoły.

Danielle sięgała już po komórkę, żeby przedzwonić do domu, gdy jej uwagę przykuł porzucony na ulicy notatnik. Był otwarty, lekkie podmuchy wiatru przewracały mu kartki. Schyliła się i podniosła z ziemi czyjś zgubę. Przysłaniając notatnikiem oczy przed ostrym pomarańczowym słońcem poranka, spojrzała w głąb ulicy i po chwili zobaczyła autobus. Był zaledwie trzy przecznice dalej. A zatem faktycznie się spóźniła, ale nie dużo.

Pochyliła lekko głowę, nie przestając spoglądać w głąb ulicy.

I nagle puściła się biegiem przed siebie.

Brakowało jej rozgrzewki, martwiła się trochę, że może naciągnąć sobie mięsień. Dla dogonienia szkolnego autobusu raczej nie warto narażać się na kontuzję, która mogłaby uniemożliwić jej pływanie. Jednak wystarczyła krótka chwila i Danielle znalazła właściwy rytm. W ramionach i nogach poczuła przyjemne ciepło.

W pewnym momencie autobus zahamował, żeby przepuścić włączający się do ruchu samochód. To wystarczyło, żeby dziewczyna go dogoniła. Była już na tyle blisko, że mogła rozpoznać w oknach twarze uczniów siedzących w tylnej części pojazdu.

– Hej! – zawołała, ale dzieciaki były zbyt zajęte rozmową, żeby ją zauważyć.

Autobus znów ruszył, a z jego rury wydechowej buchnął obłok spalin, szczypiąc ją w oczy. Biegła teraz po prawej stronie pojazdu, w miejscu, skąd musiała być widoczna w bocznym lusterku kierowcy. Spróbowała jeszcze raz przekrzyczeć ryk silnika. Rąbnęła też pięścią w karoserię.

Autobus wreszcie się zatrzymał. Z góry powędrowały ku niej zdumione spojrzenia dzieciaków. Czekając, aż otworzą się drzwi, Danielle odgarnęła kilka kosmyków kasztanowych włosów, które podczas biegu przyklepiły jej się do twarzy.

– Mogłaś wpaść pod koła – warknął na powitanie kierowca.

Danielle, zziajana po szybkim biegu, wydukała słowa przeprosin. Następnie wspięła się po schodkach, unosząc wysoko nad głowę notes niczym zdobyte trofeum. Pokazywała go pasażerom, licząc, że ktoś się po niego zgłosi.

* * *

W szkole zostawiła płaszczyk w swojej szafce i razem z Hope poszła prosto na stołówkę. Obudziła się za późno, żeby zjeść śniadanie. Dotranie do lunchu z pustym żołądkiem nie wchodziło w grę. Niedaleko było stoisko z bajglami, ale udała, że go nie widzi – po zawierającym dużo węglowodanów pieczywie zawsze chciało jej się spać, a i bez tego już ledwie żyła. Liczyła, że w automacie

z jedzeniem znajdzie coś oprócz chipsów ziemniaczanych i czekoladowych batoników. Odkąd Danielle zakwalifikowała się do zespołu pływackiego pierwszoklasistek, jej apetyt stale wzrastał – jej organizm nieustannie potrzebował paliwa. A ona nie zamierzała karmić go byle czym.

Przy wejściu na stołówkę jakiś mijający je chłopak ze starszej klasy z całej siły klepnął Danielle po plecach, rzucając:

– Siemanko, Babochłopie!

– To było do ciebie? – spytała Hope.

Danielle była zbyt zszokowana, by zareagować. Spróbowała przyjrzeć się chłopakowi, żeby sprawdzić, czy może się znają, jednak przepadł w tłumie tak samo szybko, jak się pojawił.

– Nie mam pojęcia... – odparła.

Po chwili stanęły przed automatem z jedzeniem. Tego dnia wyglądał on inaczej niż zwykle – cała frontowa szyba była zaklejona jakimiś kartkami. Danielle pomyślała, że to pewnie ogłoszenia któregoś z nadgorliwych kółek zainteresowań rozpaczliwie poszukujących chętnych. Sięgnęła po jeden z arkuszy i zaczęła czytać.

Dana Babochłop?

Najbrzydsza?

Poczuła nagle, jak z nerwów całe jej ciało, wszystkie mięśnie, paraliżuje skurcz.

Kiedy ktoś nazywa cię *brzydką*, można to jakoś znieść. Nieraz już różni ludzie rzucali jej tę obelgę prosto w twarz. Zresztą każda dziewczyna przeżyła coś takiego. Jasne, nie była tym zachwycona, ale ludzie zupełnie bezrefleksyjnie nazywają kogoś *brzydkim*, niektórzy mówią też w ten sposób o samych sobie. Słowo to stało się tak zwyczajne, że już niemal zatraciło swój sens.

Niemal.

Tym, co naprawdę ją zraniło, było sformułowanie *Dana Babochłop*. Danielle zdawała sobie sprawę, że nie ma typowo dziewczęcych cech. Kiedy zakładała sukienkę, czuła się dosyć dziwnie, jakby przebierała się w jakiś kostium i udawała kogoś, kim nie jest. Malowała się tylko w weekendy, to znaczy używała odrobiny błyszczycy i nakładała trochę tuszu na rzęsy. Nigdy nie przekłuła sobie uszu, bo panicznie bała się igieł.

Mimo to nie brakowało jej przecież żadnej części, z których składa się dziewczyna. Miała cycki. Długie włosy. Chłopaka.

Hope też zerwała jedną kartkę z automatu i po chwili zaczerpnęła głęboko powietrza, jakby przygotowywała się do zanurkowania.

– O Jezu, Danielle... Co to jest?

Danielle nic nie odpowiedziała. Wpatrywała się w szybę automatu z jedzeniem w miejscu, z którego zdarły kartki – widziała w niej swoje odbicie.

Rano nie miała czasu na prysznic, włosy związała tylko w prosty kok. Wokół głowy sterczała jej cała aureola sztywnych krótszych kasztanowych kosmyków. W sumie nic dziwnego, ponieważ po każdym treningu na basenie z wnętrza czepka wysypywało się mnóstwo połamanych włosów. Mimo to widok ten zaskoczył ją. Próbowała jakoś je przyglądzić, ale momentalnie znów zaczynały sterczeć. Zorientowała się, że nagle spocily jej się dłonie. W końcu ściągnęła gumkę i rozpuściła włosy. Były sztywne i matowe od chloru, mało przypominały normalne loki. Nagle Danielle poczuła się, jakby zamiast swoich naturalnych pukli nosiła źle dobraną perukę.

Odwróciła się od swojego odbicia i rozejrzała wokół. Po chwili zobaczyła, że takie same kartki wiszą też na drzwiczkach szafek przy wejściu na stołówkę.

– Hope – odezwała się zdławionym głosem. – Coś mi się wydaje, że odbitki z tą listą rozwieszono są w całej szkole.

Bez słowa wyszły ze stołówki, rozdzieliły się i ruszyły biegiem przed siebie. Biegły korytarzem, zdzierając po kolei wszystkie kopie listy z obu ścian.

Danielle była wdzięczna, że może zająć się jakąś fizyczną czynnością, jednak był to już jej drugi sprint tego ranka, a przecież nie zjadła nawet śniadania. Miała wrażenie, że z coraz większym trudem przychodzi jej odnalezienie zapasów energii niezbędnej do biegu, jakby końcówką słomki ślizgała się po dnie opróżnionej puszki po napoju. Na końcu korytarza wpadła prosto na Andrew, który stał w otoczeniu innych drugoklasistów z drużyny futbolowej.

Między innymi Chucka.

– Patrzcie, przecież to Dana! – zawołał Chuck sztucznie niskim głosem. – Dana Babochłop!

Chłopaki przyglądali się jej przez chwilę, w końcu wybuchli śmiechem.

A więc oni też widzieli już listę.

Znaczy to, że zapoznał się z nią również Andrew.

– Na co czekasz, Andrew? – odezwał się jeden z nich, popychając go ku Danielle. – Daj Babochłopu buziaka!

– Dokładnie! Popieramy równouprawnienie gejów – zarechotał Chuck.

Andrew nie dał się sprowokować – roześmiał się pogodnie, kiedy jednak zbliżył się do Danielle, uśmiech znikł z jego ust i wyraźnie spochmurniał. Poprowadził ją w kierunku schodów.

– Dobrze się czujesz? – spytał cichym głosem.

– Może być. Biorąc pod uwagę, że najwidoczniej nocą przeszłam operację zmiany płci, nie jest źle – stwierdziła. Ten dowcip był dość rozpaczliwą próbą rozładowania atmosfery, jednak żadne z nich się nie roześmiało. Po chwili Danielle uniosła trzymane w ręce kopie listy. – Andrew, wiesz może, co to takiego?

– To tylko taki głupi szkolny zwyczaj. Powtarza się co roku w tygodniu, w którym ma się odbyć bal.

– Czemu mnie nie ostrzegłeś? – spytała, świdrując go wzrokiem.

Andrew przeczesał dłonią włosy. Nadal były jaśniejsze po lecie, jednak widać już było ciemne odrosty.

– Po prostu nigdy nie przeszło mi przez myśl, że ktoś umieści twoje imię na tej liście.

Jego odpowiedź nieco ją uspokoiła.

– Wiesz, kto to napisał?

Danielle nie miała może wielu koleżanek, ale o ile wiedziała, nie miała też wrogów. Nie umiała wskazać ani jednej osoby, która mogłaby wyrządzić jej taką podłość.

Andrew obrzucił spojrzeniem kopie listy w jej ręce, po czym szybko potrząsnął głową.

– Nie wiem. Słuchaj, Danielle, nie możesz ganiać po szkole i zdzierać tych kartek. One są dosłownie wszędzie. Wszyscy już znają ich treść. Nic na to nie poradzisz.

I nagle wróciła do niej ta dziwna sytuacja ze stołówki, gdy jakiś obcy chłopak rąbnął ją w plecy. Przypomniała sobie piekący ból, kiedy jego dłoń odbiła się na jej kręgosłupie. Zrozumiała też, że nie może popełnić błędu. Nie chce narazić się na jeszcze większe upokorzenie.

– Przepraszam – powiedziała. Z wielu różnych powodów uznała, że tak właśnie należy się zachować. – Poradź mi, co powinnam zrobić.

– Wszyscy teraz liczą, że będziesz strasznie smutna z tego powodu; że zareagujesz w jakiś przesadny sposób. Jennifer Briggis, kiedy chodziła do pierwszej klasy i znalazła się na liście, totalnie spanikowała. Ludzie gadają o niej do dzisiaj. Możesz mi wierzyć: jeśli postąpisz teraz w niewłaściwy sposób, już do końca liceum będziesz tego żałować.

– Andrew, przecież to jakieś wariactwo – jęknęła Danielle, czując, jak z nerwów ścisną ją coś w sercu.

– To taka gra na emocjach. Trochę przypomina sytuację z obozu dla dzieciaków. Tłumaczymy im, że jeśli będą udawać, że wszystkie psikusy i dokuczanie nie robią na nich wrażenia, te w końcu ustaną. Dlatego, Danielle, nie pokazuj po sobie, że się tym przejmujesz. Musisz być twarda jak kamień i zachowywać twarz pokerzysty, dobrze?

Dziewczyna przygryzła wargę i próbowała powstrzymać łzy napływające jej do oczu. W końcu skinęła lekko głową. Wiedziała, że Andrew widzi, iż jest na skraju płaczu. Była mu wdzięczna, że udaje, jakby nic nie zauważył. Najwyraźniej on też umiał przybrać minę pokerzysty.

Odczekała jeszcze chwilę, żeby się uspokoić, po czym ruszyła za chłopakiem, trzymając się kilka kroków z tyłu.

Po chwili zauważyła Hope, która zatrzymała się na środku korytarza

i spanikowana rozglądała na wszystkie strony. Kiedy jej spojrzenie odnalazło Danielle, ruszyła od razu w jej kierunku.

– Pospiesz się. Udało mi się zerwać wszystkie kopie na tym korytarzu i w skrzydle z gabinetami przedmiotów ścisłych. Musimy jeszcze sprawdzić okolice sali gimnastycznej. – Uścisnęła mocno Danielle i szeptem dodała: – Nic się nie martw. Dowiemy się, kto to zrobił, i damy mu nauczkę. Masz moje słowo.

– Hope, daj spokój – przerwała jej Danielle, wyrzucając kopie listy do kosza na śmieci.

– Jak to? – jęknęła przyjaciółka, spoglądając w kierunku Andrew, który dołączył już do swoich kumpli. – Co on ci nagadał?

– Nie martw się. Zachował się tak, jak powinien – wyjaśniła Danielle. Wiedziała już, że sama musi też rozegrać to bezbłędnie.

ROZDZIAŁ 3

Co to, do cholery, ma być?

Niby miało to być pytanie, ale Candace Kincaid wypowiedziała te słowa zupełnie beznamiętnym tonem. Dopiero przy ostatniej sylabie zabrzmiała w nich niepewność. Candace wpatrywała się w kartkę, którą ktoś przykleił do drzwiczek jej szafki.

Odgarnęła kosmyk kasztanowych włosów, który przylepił się do grubej warstwy błyszczyka na jej ustach, po czym nachyliła się, żeby przyjrzeć się dokładniej liście. Pomalowanym malinowym lakierem paznokciem powiodła w dół listy, łącząc niewidzialną linią nagłówek *najbrzydsza* ze swoim nazwiskiem.

Za jej plecami pojawiły się koleżanki, też chcące rzucić okiem na listę. Tego dnia wszyscy zaraz po przyjściu do szkoły sprawdzali, kto się na niej znalazł. Candace była taka podekscytowana, że praktycznie nie zmrużyła oka przez całą noc.

– To lista! – ucieszyła się jedna z koleżanek.

– Candace została wybrana najpiękniejszą drugoklasistką! – zawołała inna.

– Brawo, Candace!

Czuła, jak dziewczyny klepią ją po plecach. Czuła uściski ich dłoni, gdy składały jej gratulacje. Czuła, jak biorą ją w objęcia. Jednak ani na sekundę nie spuszczała oczu z listy. Przecież tak liczyła, że ten rok będzie należał do niej. Miała zwyciężyć już w zeszłym roku, ale wtedy laury zdobyła Monique Jones. Fotki tej panny pojawiły się w czasopiśmie dla nastolatek, a w każdym razie tak twierdziła główna zainteresowana. Zdaniem Candace Monique wcale nie była jakąś wielką pięknoscią. Chuda jak patyk, miała nieproporcjonalnie dużą głowę. No i te wystające kości policzkowe... prawdę mówiąc, były dosyć straszne. Poza tym Monique zawsze trzymała się z chłopakami. Typowa puszczalska.

Candace była zachwycona, gdy państwo Jones w końcu się wynieśli z okolicy.

Ujęła róg kartki w dwa palce, czując pod opuszkami wypukłość w miejscu przyłożeniu pieczęci, i zerwała ją jednym zdecydowanym ruchem. Na drzwiach szafki pozostał paseczek taśmy klejącej i oderwany kawałek papieru.

– Przykro mi, dziewczyny, ale muszę popsuć wam zabawę. Najwyraźniej jestem najbrzydszą drugoklasistką w całym Mount Washington – oznajmiła, po czym parsknęła śmiechem.

To naprawdę zakrawało na totalny absurd.

Tłoczące się wokół niej dziewczyny spoglądały po sobie zdezorientowane.

– Jest jeden plus całej tej sprawy – ciągnęła Candace, głównie po to, żeby przerwać niezręczne milczenie. – Przynajmniej wiadomo, kto w tym roku

przygotował listę. To Lynette Wilcox. Zagadka rozwiązana!

Lynette Wilcox po korytarzach szkoły poruszała się z psem przewodnikiem. Od urodzenia była niewidoma. Jej oczy były białe niczym mleko i zawsze wilgotne.

Candace wspomniała o Lynette, siląc się na dowcip. To oczywiste.

Tyle że żadna z jej koleżanek się nie roześmiała.

Nikt nie odzywał się ani słowem.

– Ojej – szepnęła w końcu jedna z dziewcząt.

Candace parsknęła gniewnie. *Ojej* to doprawdy najbardziej delikatny komentarz do tego, co się stało. Spojrzała znów na kartkę, odczytując po kolei następne nazwiska. Spodziewała się, że natrafi na inne oczywiste błędy. Przynajmniej byłoby jasne, że cała ta lista to jedna wielka pomyłka. Co do Sary Singer, nikt nie mógł mieć wątpliwości, że faktycznie jest najbrzydszą trzecioklasistką. Candace kojarzyła skądś Bridget Honeycutt, ale dziewczyna wydawała się zupełnie przeciętna, więc nie mogła mieć pewności, że to rzeczywiście ona. W przypadku Margo Gable sprawa była prosta. Wszyscy uważają, że jest olśniewająco piękna, dlatego wybór jej na najpiękniejszą czwartoklasistkę ma sens. Podobnie z Jennifer Briggis, idealną kandydatką do tytułu najbrzydszej czwartoklasistki. Prawdę mówiąc, gdyby tytuł ten przyznano komukolwiek innemu, byłoby to spore rozczarowanie. Candace nie kojarzyła żadnej z wymienionych na liście pierwszoklasistek. Ale w sumie nic dziwnego, bo miała w głębokim poważaniu wszystkie koty z pierwszej klasy.

Na liście znalazło się też jeszcze jedno nazwisko, które nic jej nie mówiło. Było to o tyle dziwne, że chodziło o dziewczynę tak jak ona chodzącą do drugiej klasy. Tyle że Candace wskazano jako najbrzydszą, a tę nieznaną pannę jako najładniejszą.

Pstryknęła paznokciem w kartkę i spytała:

– Kim jest Lauren Finn?

– To ta dziewczyna, która uczyła się sama w domu – odpowiedziała jedna z koleżanek.

– To znaczy? – dopytywała Candace, marszcząc nos.

Inna z dziewczyn obejrzała się niepewnie przez ramię, żeby sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje.

– To Końska Grzywa – szepnęła.

– Lauren Finn to Końska Grzywa? – powtórzyła Candace, wytrzeszczając oczy ze zdumienia.

Sama wymyśliła to przezwisko w zeszłym tygodniu, gdy wszystkie dziewczyny musiały zaliczyć na lekcji wuefu bieg na tysiąc sześćset metrów. Ta laska miała długie blond włosy, związane w koński ogon, który tańczył jej na plecach, gdy truchtała. Oczywiście kiedy mijały się na torze, Candace zarżała na jej

widok. Co to za ohydny pomysł, żeby zapuścić takie długie włosy? Wycieniowane byłyby jeszcze do przyjęcia, ale najwyraźniej Lauren nie była fanką cieniowania. Zamiast tego wszystkie miała przycięte równo na wysokości talii. Pewnie dzieło jej matki uzbrojonej w jakieś tępe nożyczki.

– No cóż... moim zdaniem ta Lauren jest ładniutka – przyznała przepraszającym tonem jedna z dziewczyn.

– Przydałaby się jej wizyta u fryzjera, ale jasne, ładna z niej laska – zgodziła się inna.

– Wcale nie twierdzę, że Końska Grzywa nie jest ładna – jęknęła Candace, chociaż prawdę mówiąc, nigdy nie oceniała jej nawet pod tym kątem. Niby po co miałyby to robić? Poza tym w tej rozmowie nie chodziło o Lauren, tylko o nią samą. – Przecież to kompletnie bez sensu, że zostałam wybrana najbrzydszą drugoklasistką.

Odwróciła wzrok od koleżanek i przyjrzała się dziewczynom przechodzącym akurat korytarzem. Wystarczyło kilka sekund, żeby wyłowiła z tłumu co najmniej dziesięć takich, które powinny w jej miejsce znaleźć się na liście. Były to ewidentnie brzydkie panny, które zasługiwały na ten tytuł.

– Dziewczyny, no przyznajcie same, że to absurd! – prowokowała koleżanki, by stanęły w jej obronie, choć równocześnie czuła, jakie to żalosne, że musi je do tego zachęcać. – Przecież ładne dziewczyny nie powinny lądować w sekcji listy zarezerwowanej dla brzydul. W ten sposób cała ta tradycja traci sens.

– Cóż, tak naprawdę nie chodzi o to, że jesteś brzydka – podpowiedziała łagodnym głosem któraś z dziewczyn.

– Dokładnie – włączyła się do rozmowy inna. – Najbrzydsze dziewczyny to te, których brzydota jest ewidentna. A ta lista mówi tylko, że masz brzydkie wnętrze.

Nie takiej obrony spodziewała się Candace, jednak w miarę, jak docierał do niej sens tych słów, czuła, że coś się zmienia w jej uczuciach. No i co wielkiego, jeśli ludzie będą myśleć, że ma brzydkie wnętrze? Jej koleżanki najwyraźniej mają odmienne zdanie na ten temat, bo przecież inaczej nie chciałyby się z nią przyjaźnić. Liczy się to, czy ktoś ma piękną powierzchowność. Bo przecież ludzie widzą tylko to, jaki ktoś jest zewnątrz.

– To może obgadamy, co robimy z Karawaną Entuzjastów? – zaproponowała nieśmiało jedna z dziewczyn.

Sama Candace wyznaczyła im taki plan na ten poranek. Karawana Entuzjastów miała się odbyć w tę samą sobotę co bal, przed meczem futbolu amerykańskiego. Była to doroczna improwizowana parada, podczas której uczniowie Mount Washington jeździli po całym mieście ozdobionymi specjalnie na tę okazję samochodami, trąbili klaksonami i starali się wprawić mieszkańców w bojowe nastroje przed meczem. Po raz pierwszy nadarzała się okazja, by

Candace i jej koleżanki same zasiadły za kierownicą, ponieważ tego lata kilka z nich, między innymi właśnie Candace, wyrobiło sobie prawo jazdy. Dziewczyna w swoim notatniku miała już całą rozpiskę – ustaliła czym samochodem pojedą (kabrioletem jej mamy, przecież to oczywiste), jak będzie ozdobiony (doczepione wstążki, z tyłu puszki, przednia szyba pokryta napisami z pianki), jak ubiorą się dziewczyny (króciutkie szorty, podkolanówki i sweterki z logo Mount Washington). Gdy jednak teraz jedna z jej koleżanek wspomniała o paradzie, Candace ze zdumienia rozchyliła tylko usta.

– Jakoś niezbyt mnie w tej chwili nęci szkolna impreza – przyznała. Wkurzała ją myśl, że dziewczyny jeszcze tego nie załapały. – Poczekajmy z tym do jutra, dobrze?

– Ale mamy czas tylko do soboty, żeby wszystko obmyślić – zauważyła jedna z dziewcząt.

– Nie możemy zostawiać tego na ostatnią chwilę – wtrąciła inna. – Musimy coś wymyślić, wpaść na jakiś concept. Chodzimy już do drugiej klasy, nie możemy zrobić tego byle jak.

Concept? – powtórzyła w myślach Candace, przewracając oczami. I nagle, gdy dziewczyny zaczęły zgodnie potakiwać, dotarło do niej, że i tak obgadają plany na Karawanę Entuzjastów, choćby nawet zabrakło jej na naradzie. Było to doprawdy przedziwne uczucie. Dziwniejsze nawet, niż kiedy ktoś nazwie cię najbrzydszą.

Candace błyskawicznie uznała, że musi zmienić strategię. Otworzyła notatnik i wydarła z niego kartkę, na której zanotowała swoje pomysły na paradę. Podając papier dziewczynom, rzuciła:

– No dobra, macie tu mój plan. Ustalcie między sobą, kto jedzie ze mną. Do kabrioletu mojej mamy zmieści się tylko pięć osób – poinformowała, po czym szybko policzyła coś w myślach. Przy jej szafce stało dziesięć dziewczyn. – Jeśli się ściśniecie, może wejdzie łącznie sześć osób.

Po tych słowach odwróciła się do szafki, otworzyła drzwiczki i kątem oka obserwowała, jak dziewczyny, nie czekając na nią, kierują się w stronę sali lekcyjnej. Po chwili jej spojrzenie powędrowało ku lusterku przyczepionemu do wewnętrznej strony drzwiczek. Przeglądając się w nim, odniosła wrażenie, że coś nie gra, jakby jej twarz w jakiś sposób była niesymetryczna. Dopiero po kilku sekundach wyteżonych oględzin zrozumiała, skąd to wrażenie – zapomniała podkreślić eyelinerem lewe oko.

Dlaczego żadna z koleżanek nie zwróciła jej na to uwagi?

Poszperała w kosmetyczce, po czym zbliżyła twarz do lustra, tak że niemal dotykała nosem szkła. Podniosła lekko kącik lewego oka palcem, naciągając skórę ku uchu, i przesunęła po powiece brązową kredką, którą podarowała jej matka. Na koniec zwolniła uchwyt, a skóra powróciła na swoje miejsce. Candace zamrugła

szybko kilka razy.

Właśnie oczy uważała za swój największy atut. Miały niesamowicie jasnobłękitny odcień, jakby ktoś wpuścił kilka kropel barwnika spożywczego do czterolitrowego pojemnika z lodowatą wodą. Ludzie zawsze zachwycali się jej oczami. Wprawdzie przewidywalność ich komentarzy lekko ją wkurzała, ale oczywiście było jej miło, ilekroć ktoś zwracał na nią uwagę. Pewnego razu panienska pracująca na kasie w sklepie podniosła na Candace wzrok i westchnęła: „O rany, masz niezwykle oczy”. Oczywiście ona wołała, kiedy zachwycali się nią chłopcy. Ludzie chętniej komplementowali jej oczy niż cycki, a to już o czymś świadczy, bo Candace miała piersi w rozmiarze C i nigdy nie nosiła staników z tymi kretyńskimi push-upami, której jej zdaniem były totalną ściemą.

Ogarnęło ją nieznaczne poczucie ulgi – obojętne, co ludzie nawypisywali na jakiejś głupiej liście, Candace Kincaid i tak jest piękna. Sama dobrze o tym wiedziała. Wszyscy o tym wiedzieli.

I tylko to się liczyło.

ROZDZIAŁ 4

Lauren Finn i jej mama uznały, że kabina sedana nadal przesiąknięta jest zapachem pozostawionym przez zmarłego dziadka dziewczyny. Aromat ten był mieszaniną stęchłego smrodu fajkowego tytoniu, starych gazet i taniego płynu po goleniu. Drogę do Washington Mount pokonały przy otwartych oknach. Lauren wystawiła obie ręce za okno i oparła brodę w miejscu, gdzie się krzyżowały. Miała nadzieję, że pęd świeżego powietrza nieco ją orzeźwi.

Poniedziałkowe poranki były najtrudniejsze, ponieważ w noc z niedzieli na poniedziałek zawsze najgorzej spała. W niedzielę wieczorem dopadał ją stres – niepokój przed rozpoczynającym się tygodniem sprawiał, że zamiast się wyciszyć przed nocą, nie była w stanie zmrużyć oka. Nagle zaczynały jej przeszkadzać wszystkie nierówności w starym materacu. Słyszała każde skrzypnięcie i każde westchnienie starego domu, w którym od niedawna mieszkała.

Minęły już trzy tygodnie, odkąd rozpoczęła nowy rozdział w swoim życiu, a jednak nadal czuła się obco. Zresztą przewidywała, że tak będzie.

Podmuchy wiatru mierzwiły jej długie jasne włosy, falujące niczym wzburzony blond ocean. Nosiła je rozpuszczone, tylko parę kosmyków spięła zaśniedziałą srebrną klamerką.

* * *

Znalazła ją wieczorem poprzedniego dnia, gdy już godzinę przewracała się z boku na bok w tej samej sypialni i na tym samym łóżku, gdzie jako piętnastolatka sypiała kiedyś jej matka. W pewnym momencie w miejscu, gdzie drewniany parkiet łączył się ze ścianą, zauważyła coś błyszczącego. W pierwszym momencie pomyślała, że to obluzowany gwóźdź, i dopiero po chwili, gdy księżycowy blask wpadający przez okno rozświetlił matowe kryształy górskie, zrozumiała, że spogląda na starą klamerkę do włosów.

Lauren w pidżamie wysunęła się na korytarz. Zza niedomkniętych drzwi pokoju jej matki padał snop ciepłego białego światła. Mama musiała coś czytać. Obie marnie spały, odkąd przeprowadziły się do Mount Washington.

Lauren wsunęła stopę w szczelinę między futryną a drzwiami i nieco szerzej je uchyliła. Jej oczom ukazała się cała kolekcja tanich rajstop rozwieszonych na ramie łóżka z kutego żelaza. Rajstopy suszyły się po tym, jak mama wyprała je w zlewie. Przypominały Lauren skóry zrzuczone przez węże, które niekiedy odnajdywała zagrzebane w ciepłym piachu. Zanim przyjechały tutaj, mieszkały na zachodzie kraju, a niedaleko ich domu były wydmy. Na chwilę wróciła wspomnieniami do starego życia, które porzuciły.

Pani Finn podniosła spojrzenie znad grubego tomu prawa podatkowego.

Lauren pokonała labirynt nierozpakowanych jeszcze pudeł i wskoczyła na łóżko mamy. Po chwili otworzyła dłonie, w których przyniosła odnaleziony skarb.

Pani Finn uśmiechnęła się radośnie i potrząsnęła głową, jakby lekko czymś zawstydzona.

– Ubłagałam twoją babcię, żeby kupiła mi tę klamerkę, kiedy poszłam do liceum – powiedziała, ujmując delikatnie ozdobę w palce i przyglądając się jej niczym skamieniałościom utraconej młodości. – Lauren, nie wiem, czy znasz to uczucie, ale czasami gdy dostajemy coś nowego, łudzimy się, że dany przedmiot ma moc, by uczynić z nas nowego człowieka.

W kącikach ust pani Finn załagał się nieśmiały uśmiech, jednak już po chwili przemienił się w grymas smutku.

– Przecież to zwykła klamerka do włosów – odezwała się po chwili. – Miałam wobec niej raczej wygórowane oczekiwania, nie sądzisz?

Po tych słowach wsunęła klamerkę we włosy córki, przypinając nią kosmyk nad jej uchem. Następnie odgarnęła kołdrę, tak by Lauren mogła położyć się obok niej.

Dziewczyna nie zaznała nigdy uczucia, o którym opowiadała jej matka. Doświadczyła jednak czegoś podobnego, co wprawiło ją w niepokój. Wiązało się to z Randym Culpepperem, który na lekcjach angielskiego w nowej szkole siedział w sąsiedniej ławce.

Już pierwszego dnia nauki w Mount Washington High Lauren odkryła, że Randy jakoś dziwnie pachnie. W myślach zdefiniowała ten aromat jako „leśny i nieco stęchły”, i dopiero na przerwie podsłuchiwała, jak ktoś opowiadał o chłopaku. Okazało się, że handluje on marihuaną i codziennie przed lekcjami wypala w swoim samochodzie skręta.

Ta nowo nabyta wiedza – świadomość, jak pachnie zakazana substancja – była najlepszym dowodem tego, jak wielka zmiana zaszła w jej życiu. Trzymała tę informację w tajemnicy przed matką, podobnie jak niezliczone inne sekrety, ponieważ wiedziała, że dla niej byłby to straszny cios. Lauren miała świadomość, że nigdy nie może przyznać się przed mamą, że szkoła jest tak straszna, jak się obawiała przed przenosinami.

O ile nie gorsza.

Kiedy pani Finn skończyła już czytać i zgasiła światło, Lauren leżała jeszcze przez długi czas, wpatrując się w ciemność szeroko otwartymi oczami i rozmyślając o słowach mamy. Wiedziała, że mimo wszystkich zmian musi pozostać tym samym człowiekiem. Zanim wreszcie zapadła w sen, dotknęła jeszcze znalezionej srebrnej ozdoby niczym kotwicy przypominającej jej o tym, kim w istocie jest.

* * *

Kiedy samochód zatrzymał się przy krawężniku, Lauren poszukała znów dłonią klamerki do włosów.

– Jak się prezentuję? Zatrudniłabyś księgową, która tak wygląda? – spytała pani Finn, przeglądając się ze zmarszczonymi brwiami we wstecznym lusterku. – Wieki już upłynęły od mojej ostatniej rozmowy o pracę. To było jeszcze przed twoim urodzeniem. Nikt nie zechce mnie teraz przyjąć na etat. Na pewno będą woleli jakąś śliczną młodziutką panienkę.

Lauren widziała plamki potu pod pachami na bluzce mamy, ale nie chciała zwracać na to jej uwagi. Zignorowała też oczko w jej rajstopach, które zdradzało bladeść skóry matki. Jeszcze bledsze były włosy pani Finn – miały kolor blond, tak jak włosy jej córki, lecz przyprószone były siwizną.

– Mamusiu, pamiętaj, o czym rozmawialiśmy. Musisz podkreślić swoje doświadczenie zawodowe, a nie skupiać się na tym, że przez wiele lat nie pracowałaś.

Zeszłego wieczoru, gdy Lauren odrobiła już lekcje, przeprowadziły próbną rozmowę kwalifikacyjną. Nigdy jeszcze nie widziała swojej mamy w takim stanie – tak bardzo wątpiącej w siebie, nieszczęśliwej. Było jasne, że pani Finn nie chce tej nowej pracy. Pragnie nadal uczyć w domu swoją córkę.

Sytuacja, w jakiej się znalazły, zasmucała Lauren. Wszystko zaczęło się psuć, jeszcze kiedy mieszkały na zachodzie. Kończyły się pieniądze, jakie pozostawił ojciec Lauren. Matka postanowiła wtedy, że muszą ograniczyć wycieczki, na które jeździły czasem, żeby odpocząć od Akademii Kuchennej, jak nazywały wnękę jadalną w ich mieszkaniu, gdzie codziennie, od godziny ósmej rano do szesnastej, spędzały czas na nauce. Lauren nie miała wtedy nawet świadomości, że matka od pewnego czasu nie opłaca już czynszu. Uratowała ich śmierć dziadka, który w testamencie przekazał im dom. Dziewczyna uważała, że to prawdziwe szczęście w nieszczęściu.

– Lauren, obiecaj mi, proszę, że porozmawiasz z nauczycielką angielskiego o liście lektur. Nie może być tak, że przez cały rok będziesz się śmiertelnie nudzić, podczas gdy klasa będzie przerabiać lektury, które już przeczytałyśmy i omówiłyśmy. Jeśli boisz się z nią rozmawiać...

Lauren przerwała jej, potrząsając głową.

– Porozmawiam z nią dzisiaj, obiecuję.

– Poradzimy sobie, prawda? – spytała pani Finn, poklepując córkę po kolanie.

Lauren nie musiała wcale zastanawiać się nad odpowiedzią.

– Jasne – odparła mechanicznie.

– Do zobaczenia o piętnastej – odrzekła pani Finn. – Mam nadzieję, że nie będą mnie tam długo trzymać.

Lauren nachyliła się i mocno uścisnęła matkę. Sama też miała nadzieję, że

dzień w szkole szybko minie.

– Kocham cię, mamusiu. Powodzenia.

Wysiadła i ruszyła w stronę gmachu szkoły, do którego napływała fala uczniów. Kiedy odnalazła salę swojej klasy, nikogo w niej nie zastała. Nikt jeszcze nie włączył po weekendzie fluorescencyjnych lamp. Kiedy weszła do środka i stanęła pośród rzędów ławek, na których poustawiano odwrócone do góry nogami krzesła, poczuła się, jakby była otoczona zasiekami drutu kolczastego. Chwyciła jedno z nich, postawiła na podłodze i usiadła.

Czuła się w tej szkole strasznie samotna.

Jasne, kilka osób, głównie chłopaki, zamieniło z nią parę słów. Chłopcy zadawali idiotyczne pytania o to, jak to jest uczyć się w domu. W ich ustach zabrzmiało to tak, jakby była członkiem jakiejś sekty religijnej. W sumie niezbyt ją dziwiły ich reakcje – jej kuzyni zachowywali się równie głupkowato, niezręcznie i denerwująco.

Dziewczyny radziły sobie niewiele lepiej. Zaledwie kilka zaszczyciło ją uśmiechem albo wykonało jakiś grzecznościowy gest, na przykład pokazało, gdzie powinna odstawić tacę po drugim śniadaniu. Żadna jednak nie zdobyła się na coś, co można by zinterpretować jako chęć nawiązania znajomości. Miała wrażenie, jakby nikomu nie zależało na poznaniu jej, tak jakby wszyscy zadowolili się wiedzą, że jest tą dziwną dziewczyną, która uczyła się dotychczas w domu.

To też nie powinno jej specjalnie dziwić. Uprzedzano ją, że tak będzie.

Lauren podparła podbródek na splecionych dłoniach i udawała, że czyta coś z zeszytu, który położyła na ławce. Tak naprawdę jednak kątem oka przez cały czas obserwowała dziewczyny, które stopniowo napływały do klasy i zajmowały miejsca wokół. Podpatrzyła ten trik u Randy’ego Culpeppera, który siadał w taki sposób na drugiej lekcji, żeby nie wzbudzać podejrzeń, móc się zdrzemnąć.

Nie zauważyła nigdzie przywódczyni tej paczki koleżanek. Ślicznej dziewczyny o lodowatym spojrzeniu. Było to dziwne, gdyż zwykle trzymały się wszystkie razem.

Dziewczyny były wyraźnie ożywione: szeptały coś na wyścigi i tłumili chichot. Plotkowały o czymś z takim przejęciem, że chyba zupełnie nie rejestrowały, co się wokół nich dzieje. W końcu jedna z nich zorientowała się, że Lauren je obserwuje.

Szybko spuściła wzrok, jednak było już za późno.

– O boziu, Lauren, ale z ciebie szczęściara! – zawołała jedna z dziewczyn.

– Masz *niesamowitego* farta, wiesz o tym?

Na jej twarzy pojawił się promienny uśmiech. Po chwili uśmiechnęła się jeszcze szerzej, po czym na palcach podbiegła do ławki koleżanki.

– Słucham? – spytała skonsternowana Lauren, unosząc głowę.

Dziewczyna uroczystym gestem położyła na otwartym zeszytcie jakąś kartkę.

– Zostałaś wybrana najpiękniejszą dziewczyną w całym naszym roczniku. To taka tradycja w Mount Washington – oznajmiła, cedząc słowa powoli, jakby jej rozmówczynie komunikowała się w obcym języku albo była nedorozwinięta.

Lauren przestudiowała treść listy i odnalazła na niej swoje nazwisko, ale nadal nic nie rozumiała. Po chwili dziewczyna poklepała ją po plecach.

– Uśmiechnij się – wycedziła przesadnie słodkim głosem, jakim mogłaby zwracać komuś uwagę, że ma otwarty rozporek albo że jedzenie utkwiło mu między zębami. – Jak będziesz taka ponura, ludzie pomyślą, że coś jest z tobą nie w porządku.

I właśnie ten ostatni, wypowiedziany mimochodem komentarz zdumiał Lauren najbardziej, bo stał w absolutnej sprzeczności z tym, co zdążyła już sobie wyobrazić na swój temat.

ROZDZIAŁ 5

Plan Sary Singer był dość prosty: wygarnąć mu wszystko prosto z mostu, tak żeby nie miał nawet szansy zareagować i zrobić sceny. Żadnych upiększeń, żadnego tłumaczenia. Takie dodatki mogłyby tylko wszystko skomplikować. Powie mu coś w tym stylu: *Milo, już mam dosyć. Koniec z naszą przyjaźnią, czy jak to sobie nazywasz. Rób, co chcesz. Żyj swoim życiem. Zakumpluj się z kapitanem drużyny futbolowej. Albo obmacuj do woli główną cheerleaderkę, chociaż i tak wszyscy wiedzą, że Margo Gable to zdzira. Ale nic się nie martw, ja cię nie będę osądzać.*

No dobra, ta ostatnia część to kłamstwo. Jeśli to zrobi, Sara na pewno mu to wypomni.

Siedziała na ławce, pogryzając ciastka z nadzieniem truskawkowym. Palce nadal śmierdziały jej dymem papierosowym, tłumiąc słodki aromat marmolady. Z trudem przełknęła to, co miała w ustach, a słodki środek – jej ulubioną część ciastek – wyrzuciła w trawę. Cukier wcale nie pomagał. Lepiej będzie, jak zeżrą go wiewiórki. Musi się wreszcie uspokoić. Odsunęła z piersi pęk wytartych naszyjników i położyła rękę na sercu. Momentalnie je poczuła – łomotało szybko jak u kolibra. Pojedyncze uderzenia zlewały się w jeden nieprzyjemny dźwięk, przywodzący na myśl odległe buczenie.

Zerwała celofan z nowej paczki papierosów, po czym zapaliła jednego. Podmuch wiatru porwał dym, jak tylko wypuściła go z ust, ale i tak wiedziała, że Milo, jak już zjawi się na terenie szkoły, natychmiast wyczuje, że paliła. Czasami przypominał jej policyjnego psa tropiącego, bezbłędnego w wynajdywaniu jej złych nawyków. Zeszły wieczór spędziła w jego pokoju. Wychylając się przez okno, paliła swoją przed-, przedostatnią fajkę tego dnia, jeszcze ze starej paczki. Po tym jak Milo opowiedział jej ze szczegółami, jak wyglądały ostatnie dni jego umierającej na raka płuc ciotki, Sara stwierdziła, że może faktycznie powinna się zastanowić nad rzuceniem palenia.

Na wspomnienie swoich słów parsknęła teraz śmiechem, równocześnie wypuszczając z ust siwe obłoczki niczym sygnały dymne. Zarówno jej śmiech, jak i dym szybko znikły w chłodnym powietrzu poranka.

Tak, ostatniego wieczoru nagadała różnych głupot.

Ale przecież Milo... pieprzył jak potłuczony od momentu, kiedy się poznali.

Zresztą co za różnica? Niech chłopak piekli się o to, że Sara pali. Szczerze mówiąc, nie miałyby nic przeciwko, żeby niepokój, który jej towarzyszył, zastąpiony został przez złość na Milo. To uczucie było przynajmniej proste.

Obserwowała, jak dwie dziewczyny z trzeciej klasy pędzą przed siebie chodnikiem. Znała je obie, ale pomyślała tylko: *Wszystkie laski z trzeciej klasy*

w *Mount Washington* wyglądają identycznie. Włosy do ramion, obowiązkowo z pasemkami, kretyńskie kozaczki z owczej wełny, no i maleńkie kosmetyczki, w których trzymają swoje komórki, błyszczący do ust i kieszonkowe na lunch. Kojarzyły jej się z zebami, którym jednakowy wzór pasów na sierści służył do tego, by drapieźniki nie mogły ich od siebie odróżnić. Tak, przetrwają tylko ci najbardziej nijacy. To główna zasada obowiązująca w *Mount Washington*.

Dziewczyny zatrzymały się przy jej ławce, usiadły blisko siebie i zatopiły się w lekturze dwóch wyglądających identycznie kartek. W pewnym momencie jedna z nich, ta niższa, uwiesiła się ramienia koleżanki i zaniósła piskliwym śmiechem. Druga tymczasem wydała z siebie serię bezgłośnych westchnień, jakby dostała czkawki.

Sara miała już po dziurki w nosie tych panien.

– Hej, a może byście tak, drogie panie, odprawiły swoją radę plemienną gdzie indziej? – warknęła, wskazując żarzącym się papierosem jakiś bliżej nieokreślony punkt w przestrzeni.

W sumie w jej prośbie nie było nic dziwnego. Przecież te panny miały do dyspozycji cały rozległy teren kompleksu *Mount Washington High*, gdzie mogły nagadać się do woli. A każdy w szkole wiedział, że ta konkretna ławka należy do Sary.

Odkryła ją już w pierwszej klasie. Zawsze była pusta, ponieważ stała dokładnie naprzeciw okna gabinetu dyrektora. Sara miała to jednak gdzieś. Po prostu zależało jej na miejscu, gdzie będzie mogła pobyc sama.

Wszystko zmieniło się na wiosnę, kiedy w ich szkole zjawił się Milo Ishi.

Zauważyła go któregoś dnia, jak brnie chodnikiem pośród tłumów innych uczniów, którzy wyglądali zupełnie inaczej niż on. Ręce skrzyżował wysoko na piersi – klasyczna postawa obronna, przyjmowana przez wychudzonych półkrwi japońskich chłopaczków-wegan z ogolonymi głowami. Chociaż nie przypominał też z wyglądu Sary, można go było od biedy wziąć za jej bardziej rozwiniętą wersję. Na nogach miał zagraniczne adidas. Jego słuchawki były ewidentnie drogie. Nosił okulary w niesamowicie grubych, stylowych oprawkach. Zdążył już nawet zafundować sobie pierwszy tatuaż – było to jakieś buddyjskie przysłowie, które kazał wypisać sobie na przedramieniu.

Kiedy Sara już dokładnie go sobie obejrzała, zrobiło jej się go żal.

– Hej ty, nowy! – zawołała zaczepnie.

Milo był przeraźliwie nieśmiałym chłopcem. Jego nieśmiałość przybierała niekiedy formę, która wręcz go paraliżowała. Panicznie bał się odzywać na lekcjach, a ilekroć jego rodzice wdawali się w sprzeczkę, ich syn dostawał pokrzywki. Ciężko było sprawić, żeby się otworzył, ale kiedy wreszcie się udało, Sara zrozumiała, że znalazła wyrzutka – bratnią duszę. Uwielbiała, kiedy ulegał jej namowom i dręczył ją opowieściami o życiu, jakie wiódł w *West Metro*. Dzięki

niemu mogła sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy chodzi się do liceum artystycznego. Milo upierał się, że West Metro to trzeciorzędne miasto, jednak Sarze wydawało się ono tak odmienne od Mount Washington, że w jej wyobraźni urastało do rangi Nowego Jorku. Uczniowie West Metro High nie wyjeżdżali na zwykłe wycieczki szkolne, tylko chodzili na grupowe zwiedzanie muzeów; nie było tam drużyn sportowych, a kółko teatralne było czymś więcej niż tylko miejscem, gdzie mogły się popisywać dziewczątka marzące o karierze piosenkarki popowej, której słodziutki piosenki będą puszczone w radiu.

Przed lekcjami i po lekcjach to właśnie ławka była miejscem ich spotkań. Tutaj wspólnie odrabiali zadania domowe i korzystali z jednej pary słuchawek, by przesłuchać jakąś nową ściągniętą nielegalnie z Internetu piosenkę. Ławka była oazą, gdzie dwoje dzieciaków, które dotychczas zawsze trzymały się na uboczu, wreszcie mogło zaznać bliskości.

Pewnego dnia Sara spróbowała nawet wyryć na ławce ich imiona, ale szybko do niej dotarło, że jest zrobiona z jakiegoś supernowoczesnego, niezniszczalnego materiału. Wykradziony ze stołówki nożyk wytrzymał tylko trzy pociągnięcia i się złamał. Od tamtej pory zawsze nosiła w torbie czarny marker – ilekroć zauważyła, że ich inicjały trochę się wytarły, poprawiała je, żeby były wyraźnie widoczne.

Kiedy autobus, którym dojeżdżał do szkoły Milo, podjechał na przystanek, Sara odgarnęła swe kruczoczarne włosy z twarzy za uszy. Przed kilkoma tygodniami Milo, po tym jak ogolił sobie głowę, podgolił też jej włosy z tyłu, wiedziała jednak, że szybko odrastają. Te odrastające, czyste i zdrowe, a przy tym mięciutkie jak sierść szczeniaka, miały złocisto-kasztanowy odcień, który zupełnie nie pasował do pofarbowanych na czarno włosów z przodu. Te kasztanowe to był jej naturalny kolor. Prawie już zapomniała, jak wyglądają.

Milo, kościsty chudzielec, nadchodził w jej stronę, trzymając przed sobą otwarty komiks z mangą. Spod postrzępionych krawędzi obciętych spodni wystawały mu kościste kolana. Milo upierał się, że zawsze, niezależnie od pogody, będzie chodził w szortach. Sara tłumaczyła mu, że to dlatego, że nigdy dotychczas nie przeżył zimy w Mount Washington. W dniu, w którym w końcu złamie się i przyjdzie w dżinsach, ona przypomni mu o jego postanowieniu.

Nagle złapała się na tym, że się uśmiecha, i żeby przywrócić ustom neutralny wyraz, szybko zaciągnęła się papierosem.

– Hejka – rzuciła na powitanie, gdy Milo znalazł się przy ławce, gotowa przystąpić do ataku.

Dopiero wtedy chłopak uniósł wzrok znad mangi. Na jej widok uśmiechnął się radośnie, tak szeroko, że zrobiły mu się dołeczki.

– Założyłaś moją koszulkę – zauważył.

Sara rzuciła okiem na T-shirt.

Faktycznie, Milo miał rację. Przecież to nie był jej czarny T-shirt, na którym

roilo się od białych plamek – pamiątek po wybielaczu do włosów. Zawsze przed farbowaniem wybielała sobie włosy, dzięki czemu uzyskiwała doskonale głęboki odcień czerni. Tylko w ten sposób mogła zagwarantować, że spod farby nie będzie przebierał jej naturalny kolor.

– Możesz ją zatrzymać – wymamrotał z fałszywą skromnością.

– Nie chcę twojej koszulki, Milo – odrzekła. Tak naprawdę, gdyby miała przy sobie jakieś ciuchy na zmianę, przebrałaby się w tej chwili. – Najwidoczniej przez pomyłkę wieczorem zabrałam od ciebie nie tę, co powinnam. A ponieważ nie robiłam prania, dzisiaj rano założyłam ją znowu.

Odchrząknęła. Cholera, zbił ją z tropu tą głupią koszulką.

– Słuchaj, chcę, żebyś oddał mi mój T-shirt. Przynieś go jutro do szkoły.

– Jasne, nie ma sprawy – odparł Milo, po czym klapnął obok niej na ławkę i powrócił do lektury mangi.

Z miejsca, gdzie siedziała, widziała stronę, na której otwarty był komiks. Rysunek przedstawiał jakąś niewinną dziewczynkę o wielkich oczach łani, ubraną w kusą plisowaną spódniczkę. Dziewczę kulilo się ze strachu przed jakąś dziką, szczerzącą kły bestią.

No tak, wszystko się zgadza, pomyślała, odwracając wzrok.

Milo pochłonął jeszcze kilka stron mangi. W końcu, zupełnie nieoczekiwanie, stwierdził:

– Zachowujesz się dziwnie. Obiecałaś, że już nie będziesz.

To nie było wcale tak, Milo wszystko pokręcił.

„Nie zachowujmy się dziwnie z tego powodu”, poprosiła, kiedy wczoraj na chwilę schowała się między komodą a ścianą w jego pokoju, po czym wynurzyła się już bez dżinsów. Poza dżinsami wszystko miała na swoim miejscu – bluzę z kapturem, skarpetki, bieliznę.

– Dobra – odparł krótko.

Leżał w pościeli z Myszka Miki, której zapewne używał od czasów, kiedy był dzieckiem, i spoglądał na nią szeroko otwartymi oczami.

– I żadnego gadania – ostrzegła, dając nura pod kołdrę.

Chwilę później zrzuciła z siebie resztę ubrań. Nie pozwoliła mu jednak zdjąć naszyjników. Nigdy się z nimi nie rozstawała. Kiedy Milo wdrapał się na nią, czuła, jak maleńkie metalowe kółeczka wisiorków wbijają się jej w obojczyk.

Sięgnęła jedną ręką do stolika nocnego i podkręciła maksymalnie głośność w wieży. Z głośników leciała jedna ze składanek, które zrobiła, kiedy się poznali. Wibracje wprawiły w drżenie stertę ciuchów piętrzącą się na komodzie. Zadygotała szyba w oknie. Jednak nawet wtedy, gdy muzyka dudniła tuż przy ich głowach, Sara i tak słyszała przyspieszony oddech Milo, którego usta znajdowały się niedaleko jej ucha. Co jakiś czas rozpoznawała też jęk. Albo czułe westchnienie. Były to dźwięki dobywające się z jej własnych ust.

Dźwięki te, niczym złośliwe echo, rozbrzmiewały teraz w jej głowie.

– Wcale nie zachowuję się dziwacznie – zachnęła się, uciekając spojrzeniem w bok. – Po prostu nie chce mi się gadać o tym, co zdarzyło się zeszłej nocy. Nie chcę nawet o tym myśleć.

– Aha – mruknął ponuro chłopak. – W porządku.

Sara wiedziała, że nie może sobie pozwolić, by opanowały ją wyrzuty sumienia. Wszystkiemu winny był Milo.

Zaciągnęła się papierosem, a po chwili wypuściła z ust dym, kierując go na plecak Milo. Domyślała się, że w środku jest jego szkicownik. Mogłaby wyciągnąć go, poszukać odpowiedniej kartki i spytać go prosto z mostu: *Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałeś?*

Postanowiła, że tak właśnie zrobi, ale w tej samej chwili rozproszył ją jakiś hałas. Rozejrzała się wkoło i niedaleko ławki dostrzegła dziewczyny, które już wcześniej ochrzaniła. W międzyczasie dołączyły do nich koleżanki – zamiast dwóch głośnych panienek nieopodal stały już cztery. Dziewczyny zanosily się piskliwym śmiechem, kompletnie nieświadome, że tuż obok dzieje się dramat.

Nagle poczuła, jak coś parzy koniuszki jej palców. W wypalonym papierosie zaczynał spalać się już filtr. Pstryknęła szybko palcami i posłała żarzący się pomarańczowo niedopałek w kierunku dziewczyn. Odbił się od mechatego żółtego sweterka jednej z nich.

– Saro – odezwał się uspokajającym tonem Milo, kładąc dłoń na jej ramieniu.

– Mogłaś mnie podpalić! – pisnęła trafiona, po czym zaczęła podskakiwać, próbując dojrzeć, jak jej sweterek zniósł kontakt z niedopałkiem.

– Prosiłam was po dobroci, żebyście poszły gdzie indziej – przypomniała Sara. – Moja cierpliwość ma swoje granice.

Wszystkie dziewczyny, jak na komendę, zrobiły naburmuszone miny.

– Wybacz, Saro – odezwała się jedna z nich, potrząsając trzymaną w ręce kartką – ale to naprawdę *strasznie* zabawne.

– Jasne, jak wszystkie dowcipy, które mają rozśmieszyć ludzi należących do kręgu wtajemniczonych – odwarknęła. – Dla nich są śmieszne, a dla całej reszty totalnie wkurzające.

Milo skwitował jej uwagę śmiechem. Poczowała się dzięki temu odrobinę lepiej.

Dziewczyny wymieniły się porozumiewawczymi spojrzeniami, po czym jedna z nich zrobiła krok w stronę Sary.

– Pozwól zatem, że cię wtajemniczę.

Gdy tylko wzięła kartkę do rąk, zrozumiała, co się na niej znajduje. To była ta przeklęta lista. Każdego roku chciało jej się rzygać na myśl, że coś takiego w ogóle powstaje. Wstrętem napawała ją myśl, że dziewczyny oceniają się

nawzajem i uprzedmiotawiają, pogrążając jedne, a inne wynosząc na piedestał. To takie żalosne i smutne. To...

I wtedy rozpoznała... swoje nazwisko.

I komentarz pod nim: *Ta panna ze wszystkich sił stara się być jak najbardziej szpetna!*

Podniosła spojrzenie znad kartki, ale po dziewczynach nie było już śladu. Poczula, jakby ktoś niespodziewanie wymierzył jej cios w podbrzusze. Zaskoczenie było bardziej nawet przejmujące od samego bólu. Nie pomagała też świadomość, że nie ma nawet komu oddać.

– Co to? – zainteresował się Milo, sięgając po kartkę.

Naukę w Mount Washington Milo rozpoczął na wiosnę, dlatego nie miał jeszcze okazji zapoznać się z tą górnianą lokalną tradycją. Wystarczyła chwila, kiedy patrzyła, jak chłopak studiuje listę, by rozbolała ją głowa. Chciała wytłumaczyć mu, co to wszystko znaczy, ale w końcu uznała, że to bez sensu. Milczała, obgryzając z nerwów paznokcie. I bez jej wyjaśnień Milo zorientuje się, co czyta. Wszystkie niezbędne informacje miał tam czarno na białym.

– Który idiota to zrobił?

– To nie sprawka chłopaków – wyjaśniła Sara. – Stoi za tym sabat zdzir. To taka doroczna tradycja, masochistyczny wstęp do potańcówki. Słowo honoru, nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie wyrwę się z tej dziury.

Poczula, że Milo wsuwa dłoń do tylnej kieszeni jej dżinsów. Jego ręka była ciepła. Po chwili wyciągnął zapalniczkę, zapalił ją i przytknął do rogu kartki.

Fajnie było patrzeć, jak lista płonie i zamienia się w popiół. Sara wiedziała jednak, że niezliczone kopie rozwieszono w całej szkole. Wiedziała też, czego może się teraz spodziewać po innych uczniach – wszyscy będą się na nią gapili, wyczekując, aż pokaże, jaka jest zażenowana i zawstydzona. Byłby to najlepszy dowód, że twardzielka, za jaką chciała uchodzić, wreszcie została poskromiona. Wyszłoby na jaw, że wbrew temu, co twierdzi, jednak zależy jej na tym, co inni myślą na jej temat. Kiedy zwęglony papier rozpadł się na drobne czarne kawałki, zdeptała je podeszwą adidasa.

Ależ ze mnie idiotka, skarciła się w myśli. Wyobrażanie sobie, że może żyć swoim życiem, a reszta uczniów swoim, i że obie strony nie będą wchodzić sobie w drogę, niczym w chwiejnej, jednak sprawnie działającej symbiozie, świadczy przecież o skrajnej naiwności. Reguły tego współżycia ustalały się już z samego rana w autobusie do szkoły. Zawsze siadała na przednim fotelu, naciągała na głowę kaptur, do uszu wkładała słuchawki i całą drogę do szkoły przesyiała z głową opartą o szybę. Woląca całkowicie odciąć się od świata zewnętrznego niż wysłuchiwać paplaniny tych idiotek. Jednego dnia dziewczyny obgadywały jedna drugą, używając najokrutniejszych wyzwisk, a już następnego przysięgały, że będą odtąd dla siebie najlepszymi przyjaciółkami. Sara nie miała ochoty brać udziału

w tym cyrku.

Właśnie ta cecha dziewczyn z Mount Washington napawała ją największym obrzydzeniem – wszystkie one były fałszywe. Ich deklaracje przyjaźni po grób były zwykłą komedią, którą odgrywały zresztą równie nieudolnie jak role w szkolnych musicalach. A mimo to żadnej z nich to chyba nie przeszkadzało. Wszystkie udawały, że ich tandetne naszyjniki z talizmanami, na których wypisane były haselka w stylu PRZYJACIÓŁKI NA ZAWSZE, za dwadzieścia lat nadal będą lśniły nowością.

Nie dla wszystkich dziewczyn starczało jednak miejsca w grupie – niektóre były wyrzucane poza jej nawias, czego na własnej skórze w siódmej klasie podstawówki doświadczyła Sara. Była jednak jedyną, która nie próbowała wkupić się na nowo w łaski koleżanek. I wiedziała, że dziewczyny właśnie z tego powodu dodatkowo jej nienawidzą.

Strategia, jaką przyjęła, miała swoje uzasadnienie w prawach ewolucji. To ona podsuwała pewne wskazówki tym mniej zorientowanym osobnikom: na przykład niektóre zwierzęta mają specjalne ubarwienie, które informuje pozostałe stworzenia, że są niebezpieczne albo jadowite. A Sara dokładała wszelkich starań, by nikomu nie powstała w głowie myśl, że pragnie być taka jak reszta.

Do szału doprowadzała ją myśl, że mimo wszystko *mogła* spróbować. To do niej należała decyzja, czy zaglądać do tych samych kretyńskich butików co one i zaopatrywać się w te same obleśne botki i lansiarskie torebeczki, z którymi potem można podrygiwać na parkiecie w rytm jakiejś fatalnej muzyki.

Jeśli panny te uznały, że w swoim dążeniu do bycia inną Sara ociera się o brzydotę, nie miała zamiaru wyprowadzać ich z błędu.

W sumie o to jej chodziło.

– Nie przejmuj się tym – poradził Milo. – Wszystkie te tak zwane atrakcyjne dziewczyny same się oszukują. Tak naprawdę to one są brzydkie.

Obrzuciła go w milczeniu wyniosłym spojrzeniem. Być może uwierzyłaby mu, gdyby wyskoczył z tym stwierdzeniem wczoraj, zanim odkryła całą prawdę na jego temat. Dzisiaj jednak wszystko było już inaczej. Cokolwiek dotychczas ich łączyło, było już zamkniętym rozdziałem. Nie było innego wyjścia, nie mogła udawać, że Milo jest kimś innym niż w rzeczywistości był.

A jednak mimo wszystko *cieszyła się*, że jest teraz przy niej. Tak, w tej chwili jej to odpowiadało, ponieważ potrzebowała jego pomocy.

Sięgnęła po swój plecak, ułożyła go na kolanach i po chwili z przedniej kieszeni wyciągnęła czarny marker.

– Mam do ciebie prośbę. Napisz mi na czole wyraz BRZYDULA.

– Niby po co? – wzdrygnął się Milo.

Przez chwilę szukała właściwej odpowiedzi, jednak na próżno.

– Po prostu zrób, o co cię proszę, Milo.

– Saro, litości, przecież zeszłej nocy przespaliśmy się ze sobą – stwierdził, odtrącając jej dłoń z markerem. W jego głosie pobrzmiwało autentyczne oburzenie. Doprowadzało ją to do szału.

– Milo! Nie wkurzaj mnie, to naprawdę nie jest odpowiedni moment – ostrzegła. – Mogę zrobić to sama, ale wtedy litery będą ułożone w odwrotnej kolejności. Proszę, zrób to.

Jęknął, ale w końcu uklęknął przed nią i odgarnął kosmyki z jej czoła.

Poczuła, jak końcówka markera łaskocze jej skórę na czole. Podczas gdy Milo zajęty był pisaniem, Sara zerknęła w okno łazienki na pierwszym piętrze. Dostrzegła w nim twarze jakichś dziewczyn spoglądających w jej kierunku. Wiedziały, gdzie jej szukać, i teraz wyczekiwały na znak, że dowiedziała się już o liście. Pokazała im środkowy palec i zwracając się do Milo, dodała:

– Zrób tak, żeby ten napis był naprawdę wielki.

Czuła się trochę oszołomiona przez ostry zapach markera. A może był to efekt podniecenia tym, co stanie się za chwilę. W końcu Milo nałożył nakrętkę na marker z cichym pstryknięciem, które zabrzmiało niczym klaps na planie filmowym. Oto zaczynał się pokaz.

– Ale pamiętaj, że moim zdaniem to zły pomysł – szepnął, gdy opuścili ławkę i znaleźli się przed głównym wejściem do szkoły.

– Wcale nie musisz ze mną iść – odparowała. – Serio, lepiej idź w swoją stronę.

Dawała mu szansę, żeby wyniósł się po angielsku. Milo uchylił usta, żeby coś powiedzieć, jednak powstrzymał się i przez chwilę bił z myślami.

– Pójdę z tobą – oświadczył. – Przecież codziennie odprowadzam cię pod klasę.

Kiedy jego spojrzenie powędrowało ku jej czołu, mina mu jednak zrzędła.

Sara czuła, że zaschło jej w gardle. Nie miała w tej chwili siły użerać się z Milo. Ruszyła przed siebie szybkim, zdecydowanym krokiem. Szła szybko, żeby podmuchy powietrza odgarnęły jej włosy z czoła i ludzie mogli zobaczyć napis. I faktycznie patrzyli na nią. Widzieli.

Ale trwało to tylko sekundę. Kiedy przechodziła korytarzem, mijani uczniowie, jak tylko zobaczyli, co sobie zrobiła, odwracali wzrok. Spoglądali pod nogi. Kierowali spojrzenie na kolegów, z którymi rozmawiali. Albo topili je w odrabianej pracy domowej. Woleli patrzeć na cokolwiek innego, byle nie na nią.

Lista miała wielką moc, jej wyroki były niepodważalne, a jednak najwyraźniej nikt nie mógł znieść widoku czarnych liter wypisanych na jej czole.

Cholerni tchórze.

Odkrycie to wcale nie poprawiło Sarze nastroju. Przeciwnie, pogorszyło jeszcze jej sytuację – ludzie ze szkoły nie tylko sądzili, że jest brzydka, ale też woleli traktować ją jak powietrze.

ROZDZIAŁ 6

Bridget Honeycutt i jej siostra pokonały już połowę drogi do szkoły, kiedy Lisa zaczęła marudzić, że chciałyby pociągnąć usta błyszczkiem.

– Wykluczone – zaproponowała Bridget. – Mnie wolno było się malować dopiero w drugiej klasie.

– Bridge, proszę, proszę, proszę! – błagała Lisa. – Mama nigdy się nie dowie.

– Dobrze, już dobrze – zgodziła się Bridget, zbliżając drżącą dłoń do skroni. – Po prostu bądź cicho. Mam okropną migrenę.

– Pewnie po prostu jesteś głodna – podpowiedziała Lisa i sięgnęła na tylne siedzenie samochodu po torebkę siostry. Myszkowała w niej przez chwilę, po czym wydobyla z wnętrza torebki wysmukłą czarną tubkę.

Bridget kątem oka obserwowała, jak młodsza siostra opuszcza osłonę przeciwsłoneczną po swojej stronie i zaczyna wodzić po ustach koniuszkiem błyszczyka w kolorze brzoskwiniowego różu. Na koniec Lisa zamknęła usta i posłała siostrze buziaka.

W podmalowanych na różowo ustach tym wyraźniej było widać aparat ortodontyczny Lisy, ale Bridget zachowała to spostrzeżenie dla siebie.

– Pięknie – pochwaliła.

– Jak będę w twoim wieku, codziennie będę malowała usta czerwoną szminką – zapowiedziała Lisa, dotykając kącików ust.

– Czerwony to nie najlepszy wybór dla twojej karnacji – zauważyła Bridget. – Masz zbyt bladą skórę.

– Każdy może używać czerwonej szminki – oznajmiła z przekonaniem Lisa. – Czytałam w „Vogue”. Po prostu trzeba dobrać właściwy odcień czerwieni. A dla brunetek o bladej karnacji najlepszy jest ciemnowiśniowy.

– Od kiedy czytasz „Vogue”? – zastanowiła się na głos Bridget, przypominając sobie bogatą kolekcję książek o koniach nad łóżkiem siostry. Barwne grzbiety okładek układały się w piękną tęczę.

– Kupiliśmy z Abby wrześniowy numer, poszliśmy na plażę i przestudiowałyśmy od deski do deski. Chciałyśmy się przygotować teoretycznie przed pójściem do liceum.

– Zaczynasz mnie przerażać.

– Spokojnie. Oprócz tego o czerwonej szmince niewiele się dowiedziałyśmy. Ale za to znalazłyśmy parę fajnych pomysłów na kreacje na bal. Abby będzie zachwycona, że podoba ci się kiecka, którą chce założyć. Jest superelegancka, niczym kreacja gwiazdy filmowej. – Lisa umilkła i zrobiła nadąsaną minkę. – Mam nadzieję, że ja też znajdę coś fajnego dla siebie.

Bridget wyciągnęła rękę i starła ślad błyszczyka z brody siostry.

– Przecież obiecałam, że zabiorę cię w tym tygodniu na zakupy – przypomniała. – Znajdziemy ci coś ekstra.

– Myślisz, że mama pozwoli mi się umalować na bal? Pomyślałam, że jak dobrze mi pójdzie na klasówce z nauk o ziemi, najpierw pochwalę się oceną mamie, a dopiero potem poproszę ją o pozwolenie. Świetny plan, co nie?

– Możliwe... – zgodziła się ostrożnie Bridget. – O ile mama nie oczekuje, że i tak dostaniesz najwyższą ocenę.

– No to może zrobię makijaż już na miejscu. Musiałabym tylko uważać, żeby nikt wcześniej nie strzelił mi fotki – zastanowiła się Lisa.

Kiedy Bridget zaparkowała samochód pod szkołą, Lisa odłożyła tubkę z błyszczkiem na górę deski rozdzielczej i sięgnęła po swoje rzeczy.

– Do zobaczenia! – rzuciła, wysiadając z samochodu.

Bridget odprowadzała wzrokiem siostrę, która puściła się biegiem w stronę Wysepki Pierwszaków, lawirując pośród przechodzących uczniów. Jej wyładowana po brzegi książkami torba na ramię obijała się jej o nogi przy każdym kroku, a na plecach tańczyły spięte w koński ogon czarne włosy. Lisa dorastała strasznie szybko, ale i tak wciąż miała w sobie wiele z małej dziewczynki, którą niedawno była.

Bridget wyciągała z tego dla siebie pokrzepiającą lekcję – może jeszcze nie wszystko stracone i sama też odnajdzie siebie sprzed wakacji.

Wyłączyła silnik i przez kilka minut siedziała w samochodzie, próbując się opanować. W aucie panowała cisza przerywana tylko jej głębokim, równym oddechem. No i głosem, który uparcie rozbrzmiewał w jej czaszce. Głos ten wykrzykiwał polecenia, które odbijały się echem w całym jej wydrażonym ciele.

Musisz dzisiaj zjeść śniadanie.

Bridget, zjedz śniadanie.

No jedz.

Tak wyglądały teraz wszystkie jej poranki. Każdemu posiłkowi i każdemu kęsowi, jaki brała do ust i przeżuwała, towarzyszyły niczym monotonna mantra te same komendy. Były w jej umyśle jak doping cheerleaderek, mobilizujących ją do tego straszego zadania, które każdej normalnej dziewczynie przychodziło bez żadnego trudu.

Wzięła do ręki tubkę z błyszczkiem i palcem zmasała cieniuteńką warstwę kurzu z deski rozdzielczej. Tak bardzo chciała poczuć dumę, że ostatnio radzi sobie coraz lepiej. Zjada więcej niż kiedyś. Jednak nie umiała cieszyć się swoimi małymi zwycięstwami. Być może czuła się po nich nawet gorzej niż po przegranych.

W pewnym momencie przechodząca koło samochodu dziewczyna zastukała w okno. Bridget podniosła wzrok i przywołała na twarz uśmiech. Był sztuczny, ale koleżanka się nie zorientowała. Nikt nie umiał przejrzeć jej sztucznych uśmiechów.

Straszne, jak szybko wszystko się popsulo. Miała siedemnaście lat i przez większość czasu jej życie rozwijało się podług prostej, zdecydowanej linii. I w końcu coś się stało i linia ta zmieniła się w krzywą.

Kiedy cofała się myślą do tej chwili, ze zdumieniem stwierdzała, że wszystko zaczęło się od głupiego bikini.

* * *

Każdego roku na początku i na końcu wakacji Bridget wybierała się na zakupy do galerii ze sklepami dyskontowymi Crestmont Outlet Mall.

Pasaż handlowy był usytuowany w połowie drogi między Mount Washington a domkiem letniskowym nad morzem, gdzie państwo Honeycutt spędzali całe lato. Całą rodziną zajeżdżali do galerii, żeby zjeść lunch, zatankować paliwo na dalszą podróż albo zapolować w sklepach na ciuchy. Kiedy w czerwcu Bridget i Lisa jechały na wakacje, wybierały letnie ubrania. A gdy wracały w sierpniu do domu, szukały przecen na szkolne sweterki i spódniczki.

Tego roku na początku wakacji Bridget nakupowała mnóstwo nowych koszulek bez rękawów i szortów. Dorzuciła też dżinsową sukienkę i klapki. Brakowało jej tylko jeszcze jednej rzeczy – kostiumu kąpielowego.

W bikini z zeszłego roku pękła fiszbina w staniku, a z kostiumu sprzed dwóch sezonów już wyrosła; cisnął ją w biuście, więc oddała go Lisie. Odrywanie metek w nowo zakupionym zestawie bikini zawsze miało w sobie coś niesamowicie uroczego, niczym przecinanie wstęgi przy otwarciu nowego sklepu albo wylewanie fundamentów pod nowy dom. Było niczym Wielkie Otwarcie Lata.

Bridget wiedziała, że koniecznie musi znaleźć nowy kostium, dlatego jak opętana uganiała się po sklepach w całej galerii.

– Bridget, jeśli chcemy zdążyć na obiad, powinniśmy już jechać – zauważyła zdyszana matka, która z trudem dotrzymywała córce kroku. Serwetką z baru wytarła pot, który zrosił jej górną wargę. – Ojciec i Lisa czekają już w samochodzie. Jutro możemy poszukać ci kostiumu kąpielowego na deptaku przy plaży.

Bridget wiedziała jednak, że to kiepski pomysł. Sklepiki przy deptaku oferowały tylko dwa typy bikini: do wyboru były albo skąpe kostiumy w żarówiastych kolorach, kojarzące się z modelkami z rozkładówki Playboya, albo kiczowate jednoczęściowe stroje kąpielowe w kwiaty, nadające się dla babć.

Teraz miała ostatnią szansę, by znaleźć coś sensownego.

Odkąd zaglądała ostatnio do Crestmont Outlet Mall, przybyło kilka nowych sklepów. Zatrzymała się przed jednym z nich, którego nazwę rozpoznawała. Był to specjalistyczny sklep ze sprzętem windsurfingowym. W ofercie miał też deskorolki; niektóre modele były dwa razy dłuższe niż stolik, na którym

umieszczono kasę sklepową. Przed wejściem do przebieralni zawieszono zasłonę, a hałaśliwa muzyka wylewająca się z głośników wprawiała w wibracje szklane ściany. Taki sam sklep Bridget знаła z galerii w Mount Washington, tylko że tam wszystkie ciuchy sprzedawane były w normalnych cenach.

Gdy tylko przekroczyła próg sklepu, jej uwagę przykuł kostium kąpielowy z kraciastej bawełny w kolorze jasnopomarańczowym, z koronkowymi wstawkami. To była ostatnia sztuka, w dodatku akurat w jej rozmiarze, i to za połowę ceny. Niewiele myśląc, porwała z wieszaka bikini i zaszła się w przebieralni, odprowadzana napomnieniami pani Honeycutt, by przymierzając kostium, nie zdejmowała bielizny; w ten sposób jej córka miała uniknąć zarażenia się jakąś chorobą weneryczną.

Kiedy założyła dolną część kostiumu, coś ją zaniepokoiło. Bikini było nieoczekiwanie obcisłe, materiał wpijał się w skórę na nogach. Czyżby zawiniły majtki, które zostawiła pod spodem? Ściągnęła je i założyła strój ponownie, ale efekt był ten sam. Na wysokości brzucha jej skóra układała się w wyraźną fałdkę; przypominała morską falę, która ciągnęła się aż do miejsca na biodrze, gdzie znajdowało się ozdobne wiązanie. Nie mogła zmieścić się też w górną część kostiumu. Ramiączka wrzynały się boleśnie w skórę, a kiedy po ustawieniu maksymalnej długości dopięła jakoś tylny pasek, wokół niego natychmiast uwidoczniły się fałdki tłuszczu na plecach.

Dopóki nie ujrzała w lustrze, jak bardzo materiał bikini opina jej ciało, nigdy nie uważała się za osobę z nadwagą. Teraz jednak, w przymierzalni, przeżyła szok. Nagle z przerażeniem przypomniała sobie zeszlotygodniową imprezę przy basenie. Urządziła ją jej koleżanka z okazji końca roku szkolnego, a Bridget przez cały czas paradowała w swoim starym bikini. I to bez T-shirta! Przez cały wieczór krążyła wśród chłopaków i dziewczyn, kompletnie nieświadoma tego, jak strasznie musi wyglądać.

Zerknęła jeszcze raz na metkę, żeby się upewnić, czy przypadkiem nie zaszła jakaś pomyłka. Wszystko się zgadzało – bikini było w tym samym rozmiarze, co wszystkie inne ciuchy, jakie kupiła. To był jej rozmiar.

Kiedy tkwiła przed lustrem, jej umysł gorączkowo poszukiwał jakiegoś sensownego wytłumaczenia:

To galeria handlowa z dyskontami.

Dlatego wszystkie sprzedawane tu ciuchy są takie tanie.

Bo mają różne skazy, odstępstwa od normy.

Niedoskonałości.

To wybrakowany towar.

Powtarzała to sobie raz za razem, jednak nadal nie była przekonana. Szybko ubrała się w swoje rzeczy i odwiesiła kostium z powrotem na wieszaczek. Zrobiło jej się smutno – to bikini naprawdę było cudne. Przecudne. I byłoby idealne, gdyby

Bridget schudła ze dwa, trzy kilo.

W końcu przyglądała włosy i wyszła z przymierzalni. Od razu dostrzegła panią Honeycutt przy kasie. Matka wydawała się zniecierpliwiona, w ręce trzymała swoją kartę kredytową i gawędziła ze sprzedawczynią. Ubrana była w obszerne płócienne spodnie w kolorze granatowym i białą koszulkę bez rękawów. Skóra na jej pulchnych ramionach wydawała się nabrzmiała, jakby za chwilę miała pęknąć niczym skórka zbyt mocno podsmażonej parówki w hot dogu. Jej matka nigdy nie zakładała szortów, nigdy nie kąpała się w oceanie. Cały czas spędzała w klimatyzowanych pomieszczeniach, nigdy nie rozstając się ze spodniami o obszernych nogawkach.

Wszystkie ciotki Bridget zawsze jej powtarzały, że przypomina kubek w kubek swoją matkę w wieku, gdy była nastolatką. Kiedy teraz się jej przypatrywała, uświadomiła sobie nagle, że odkąd pamięta, mama nigdy nie była szczupłą.

Bridget położyła bikini na kontuarze przy kasie i uciekła wzrokiem gdzieś w bok, podczas gdy matka płaciła za kostium.

Po drodze do samochodu próbowała wytłumaczyć sobie racjonalnie swoją decyzję. Przecież wszyscy tak robili – każdy kupował czasem odrobinę zbyt obcisłe ciuchy, które miały zmobilizować go do zrzucenia paru kilo. Nagrodą za dobre sprawowanie stawał się moment, gdy ubranie nareszcie pasowało. Zakupione przez nią bikini wystawiało ją na próbę, stawało się testem, który zamierzała zaliczyć do końca lata.

I właśnie tego dnia, zupełnie ni stąd, ni zowąd, zaczęła sobie uświadamiać wszystkie swoje złe nawyki. Odtąd kiedy wieczorem przed telewizorem Lisa otwierała paczkę chipsów, umysł Bridget wszczynął alarm. To samo działo się, kiedy znalazła się za blisko półmiska z cukierkami-ciągutkami, który zawsze stał na ich kuchennym stole. W ciągu następnych miesięcy jej sposób myślenia ulegał zmianie. Ilekroć podczas przechadzek nabrzeżem poczuła ochotę na lody włoskie, momentalnie odzywał się w niej głos nakazujący przebiec półtora kilometra do następnego mola. Nie mogła już tak prostu jak kiedyś skusić się na przepyszne kanapki z tuńczykiem, które przygotowywał jej tata. W końcu doszło do tego, że jej wewnętrzny głos komentował nie tylko wszystko, co wkładała do ust, ale nawet jedzenie, o którym tylko pomyślała. Pod wpływem tego głosu odcięła się do wszelkich wspomnień, w których wydawała się sobie atrakcyjna. Bycie ładną stało się celem, do którego dopiero musiała dążyć i który, o ile bardzo się przyłoży, może pewnego dnia osiągnie.

W święto 4 Lipca test bikini miała już zaliczony. I to śpiewająco. Jednak mimo że mogła bez problemu zmieścić się w ten przepiękny kostium, Bridget i tak praktycznie nigdy go nie zakładała. Nieodłączną częścią jej życia stały się za to dzinsy, właściwie nigdy się z nimi nie rozstawała. U schyłku lata wisiały już na

niej jak worek. Kiedy ściągnęła je w talii wszytym paskiem, zostało tyle luzu, że mogła zmieścić całą pięść.

Gdy na zakończenie wakacji rodzina jeszcze raz zajechała do dyskontów Crestmont, Bridget mogła nakupić sobie do woli ciuchów w naprawdę małych rozmiarach. W głębi duszy wiedziała jednak, że coś jest nie tak. Był to dowód, że jakaś część jej samej nadal myślała prawidłowo – że nie odleciała jeszcze do końca.

* * *

Burczało jej w brzuchu.

Wysiadając z samochodu, obciągnęła brzeg swetra plecionego w warkocze, tak by zakryć pasek skóry, jaki pokazał się między nim a górą jej dżinsów. Jeszcze cztery tygodnie temu w tym miejscu widać było mniej ciała – znak, że Bridget przybrała na wadze. Teraz była w stanie wcisnąć między pasek a brzuch tylko kilka palców. Jeszcze niedawno mieściła się tam cała pięść.

Wcześniej było z tobą źle.

Miałaś problem, ale teraz już panujesz nad tym.

Kiedy ruszyła w kierunku szkoły, wiatr rozwiął jej włosy. Kosmyki, które przylepiły się Bridget do twarzy, pachniały szamponem kokosowym. Zapach wydał jej się zbyt słodki i zbyt intensywny. Poczowała, jak coś ścisną ją w żołądku. W kieszeni dżinsów dziewczyny pobrzękiwały drobne pieniądze. Miała akurat tyle, żeby kupić sobie drożdżówkę z serem. Policzyła je przed wyjściem z domu, po tym jak nie zjadła płatków śniadaniowych, które przygotowała jej Lisa. Powinna była zjeść te płatki, zwłaszcza że prawie nie ruszyła kolacji poprzedniego wieczoru.

No śmiało, Bridget, udowodnij, że wszystko z tobą w porządku.

Zjedz drożdżówkę z serem.

Zjedz całą drożdżówkę jeszcze przed godziną wychowawczą!

W każdy poniedziałek dzieciaki z samorządu uczniowskiego otwierały naprzeciwko jej szafki stoisko z jedzeniem. Do kupienia były wielkie opakowania z drożdżówkami, do tego saszetki z serkiem śmietankowym i masłem. Bridget szła teraz w kierunku stoiska, ostrożnie stawiając kroki i pilnując oddechu. Wkoło unosił się zapach świeżego pieczywa – drożdży i zakwasu. Aromat podsmażonego czosnku. Słodki zapaszek wielkich rodzynek utopionych w drożdżówkach. Skręciło ją w brzuchu, jednak wcale nie z głodu.

Bridget, ani się waz, skarciła się w myśli.

Bridget była niczym doktor Jekyll i pan Hyde. Kryła w sobie dwie osobowości, które wiecznie się spierały. Miała już dość tej walki, nieustannej szarpaniny między dwiema mętnymi wersjami dobra i zła; walki, w której to, co dobre, zawsze miało posmak czegoś złego, a złe wydawało się naprawdę dobre.

– Bridget! – Koleżanka sprzedająca drożdżówki oderwała się od stolika,

palce nadal miała tłuste po dotykaniu wszystkich tych bułeczek. Dziewczyna uśmiechała się szeroko. Między zębami utkwilo jej kilka ziarenek maku.
– Widziałaś już listę?

Bridget aż westchnęła ze zdziwienia. Czuła się wypełniona wszystkimi tymi drożdżówkowymi zapachami niczym balon z helem podczas pochodu z okazji Święta Dziękczynienia. W mgnieniu oka wszystkie przykre uczucia, które ją przygniatały – poczucie winy, smutek i przygnębienie – wyparowały, zastąpione przez coś ciepłego i miłego.

Czyżby Bridget Honeycutt znalazła się na liście?

Nieemożliwe.

Po chwili jakaś inna koleżanka wręczyła jej egzemplarz listy. Bridget przeczytała podpis pod swoim nazwiskiem: „Ależ człowiek może się zmienić przez wakacje”. Kiedy podniosła wzrok znad kartki, na jej policzkach płonął rumieniec.

A wiecie dlaczego?

Wiecie, co się we mnie zmieniło?

– Proszę – odezwała się koleżanka. – Na koszt firmy!

Wzięła ząbkowany nóż i rozkroiła na pół jedną drożdżówkę. Ziarenka i okruszki spod noża spadły na podłogę. Bridget wiedziała, że zostaną tam nawet, gdy uczniowie zwiną już stoisko. Kiedy pójdzie do klasy na pierwszą lekcję, będzie wyraźnie czuła, jak pękają pod podeszwami jej butów. Wielkie niczym żwir. Istne głązy.

– Wolisz masło czy serek śmietankowy?

– Ani to, ani to – odparła Bridget, odgarniając włosy z twarzy. Czuła, że lekko się już spociła.

– Ojej, no dobrze... W każdym razie moje gratulacje!

– Dzięki – odrzekła cicho Bridget, po czym wzięła drożdżówkę do ręki i odeszła od stolika.

Nie mogła uwierzyć, ile waży ta mała bułeczka.

Kiedy znalazła się w klasie, nadal była w szoku. Nigdy, przenigdy, nawet za sto milionów lat nie śmiałyby wyobrazić sobie, że spotka ją takie wyróżnienie, że spełni się jej marzenie. Jasne, zaraz po rozpoczęciu roku ze zdziwieniem zauważyła, ile osób komplementuje jej urodę. Wszyscy zachwycali się, że jest taka wysportowana. I szczupła! A teraz znalazła się na liście. Została wybrana najładniejszą trzecioklasistką w całej szkole. To znak, że wcześniej było z nią coś nie tak. Dowód, że faktycznie konieczne było zrzucenie paru kilogramów.

Nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić. W głowie miała mętlik.

Jeść!

Położyła na krześle plecak z książkami, po czym podeszła do kosza na śmieci. Zanurzyła palce w puszystym cieście drożdżówki i zaczęła wyrывать z niego miękkie strzępy. Kolejne garście ciasta wrzucała do kosza niczym monety

do fontanny, która spełnić może życzenie. W końcu w ręce pozostała jej sama skórka. Prawdę mówiąc, ją też najchętniej wyrzuciłaby do śmieci.

Kiedy rozejrzała się wkoło, dostrzegła w drzwiach klasy Lisę, która pędziła korytarzem razem z Abby Warner. Lisa posłała Bridget promienny uśmiech. Widać było, że pęka z dumy z powodu swojej starszej siostry. Bridget zdążyła zarejestrować, że prawie nic nie pozostało z błyszczyka, którym Lisa podmalowała usta w samochodzie.

Kręciło się w głowie. Jeszcze kilka sekund temu wszystko wydawało się takie wspaniałe, jednak równocześnie nie opuszczało jej przecucie, że dzieje się z nią coś złego. Nienawidziła się za te domysły, za to, że odmawia sobie nawet tego jedynego pozytywnego uczucia. Rujnuje chwilę, kiedy nareszcie może poczuć się szczęśliwa z powodu tego, jaka jest.

Bridget, jedz.

Zjedz choćby pięć kęsów.

Mogą być malutkie.

Zdołała wmusić w siebie dwa kęsy.

Ale zjedzenie ich to nie był żaden powód do świętowania.

ROZDZIAŁ 7

Jennifer Briggis przedzierała się przez tłum uczniów wypełniających szkolny korytarz. Szła ze spuszczoną głową, licząc w myślach dwanaście płytek linoleum na podłodze, które dzieliły ją od szafki na książki. Dzieciaki wystające pod ścianami na jej widok ściszały głos, ale i tak nie uroniła ani słowa. Większość uczniów z klasy Jennifer nie odzywała się do niej, woląc obgadywać ją za plecami. Ich szeptane komentarze w ciągu ostatnich lat przyniosły dość nieoczekiwany efekt: dziewczynie mimo woli wyostrzył się słuch, dzięki czemu mogła podsłuchiwać cudze rozmowy. Nawet jeśli wcale nie miała na to ochoty.

– Widziałas już listę?

– A co, jest na niej Jennifer? Założę się, że w tym roku znowu ją wpisali. O Boże!

– Myślicie, że ona w ogóle kojarzy, że dzisiaj jest dzień wywieszenia listy? W sumie powinna, co nie? Po tylu latach musiała się już przyzwyczaić.

– Założę się o dwadzieścia dolców, że jak tylko dowie się, że jest najbrzydszą czwartoklasistką, znowu puści pawia. Tradycja rzecz święta.

Wszystkie strzępki rozmów, jakie do niej docierały, dotyczyły tego samego tematu: zastanawiano się, jak będzie wyglądała reakcja niekwestionowanej królowej szpetoty Mount Washington, jeśli znów okaże się, że została wybrana najbrzydszą.

Jennifer nie była w stanie myśleć o niczym innym, odkąd zeszłoroczna lista uznała ją za najbrzydszą dziewczynę z trzecich klas. Był to trzeci już tytuł w tym strasznym, rozwijającym się rok po roku, łańcuchu wydarzeń. Wbrew jej własnej woli przez całą trzecią klasę w jej głowie kołatała się alternatywa „albo, albo”: albo w czwartej klasie nie odszuka swojego nazwiska na liście, albo je tam znajdzie.

Tego ranka uwaga wszystkich uczniów Mount Washington High skupiała się jednak na czym innym. Obojętne, czy jej nazwisko pojawiłoby się na liście w czterech, trzech, dwóch kolejnych latach, czy tylko w jednym roku; nie ulegało wątpliwości: Jennifer Briggis jest niezaprzeczalnie i niepodważalnie brzydka. Domyślała się, czym tak naprawdę wszyscy się emocjonują – jej potencjalną reakcją. To właśnie ona miała być główną atrakcją. A najgorsze, że w przeciwieństwie do bycia ładną lub brzydką, nad czym oczywiście nie miała kontroli, w tym przypadku sama zawiniła. Sama sobie była winna, że wszyscy spodziewają się teraz, że zrobi coś głupiego.

* * *

Kiedy znalazła się na liście w pierwszej klasie, z miejsca okrzyknięto ją legendą. Ponoć żadna z brzydul w całej historii szkoły nigdy nie zareagowała w tak

obrzydliwy sposób. Po przeczytaniu listy Jennifer runęła na podłogę pod swoją szafką i zanosła się niepowstrzymanym rykiem. Jej ciałem wstrząsały spazmy szloch, po twarzy spływały jej łzy, smarki i pot. W garści przez cały czas ścisnęła zwinięty w kulkę papier, który po chwili zamienił się w rozmoczoną papkę. Na policzkach i w białkach oczu popękały jej naczynia krwionośne.

Za sobą miała najstraszniejsze lato w całym swoim życiu, a teraz przyszło jej mierzyć się z czymś takim.

Pierwszoklasiści, którzy byli świadkami jej załamania, jak jeden mąż odstąpili kilka kroków i spoglądali na nią z przerażeniem. Zachowywali się jak ktoś, kto napotyka na drodze ciało nieżyjącego człowieka. Tylko że Jennifer żyła. Kiedy próbowała zaczerpnąć powietrza, zadławiła się, a po chwili zwymiotowała na siebie. Momentalnie po korytarzu rozszedł się metaliczny smród wymiocin. Gapie pochowali się po klasach albo próbowali zatykać nosy, podnosząc do twarzy różne części ubrania. Ktoś w końcu pobiegł po pielęgniarkę, a kiedy ta zjawiała się, pomogła Jennifer wstać, wyciągając do niej dłonie w gumowych rękawiczkach. Zaprowadziła ją do gabinetu lekarskiego i kazała się położyć na łóżku polowym stojącym w ciemnym kącie pomieszczenia.

Jennifer nie mogła się uspokoić. Zawodziła tak głośno, że słyszeli ją nawet uczniowie z sąsiednich klas mimo zamkniętych drzwi i głosu prowadzącego lekcję nauczyciela. Jej ryki odbijały się echem od metalowych szafek na książki i po chwili korytarze zmieniły się w wielkie metaliczne pudło rezonansowe, które transmitowało jej szloch po całej szkole. Ostatecznie pielęgniarka kazała Jennifer pójść do domu. Resztę dnia dziewczyna spędziła w łóżku, użalając się nad sobą.

Gdy nazajutrz zjawiała się rano w szkole, wszyscy odwracali od niej wzrok. Zbiorowa akcja ignorowania Jennifer w gruncie rzeczy nie była taka zła, jednak nie zmieniało to faktu, że czuła się przeraźliwie samotna. Wiedziała już, że życie, jakie wiodła do tej pory, odeszło bezpowrotnie w przeszłość. Przez całe wakacje starała się robić dobrą minę do złej gry, licząc po cichu, że za jakiś czas wszystko wróci do normy, jednak ta lista pogrzebała wszelkie nadzieje. Po tym, jak wielkie zrobiła z siebie pośmiewisko, nie było już sposobu, by odzyskała to, co jej odebrano. Musiała się z tym pogodzić, nie miała innego wyjścia.

Okazało się jednak, że to nie takie proste. Dotychczas w szkole było tak, że najładniejsze dziewczęta namaszczone przez listę stawały się popularne, zaś o brzydulach szybko zapominano. Jennifer odwróciła jednak ten trend. Nikt nigdy nie miał zapomnieć tego, jak się zachowała.

W drugiej klasie miała nadzieję, że wszystko ułoży się po jej myśli. Zeszłoroczna lista, w każdym razie dla niej, stanowiła zacierające się wspomnienie.

W ciągu trzystu sześćdziesięciu pięciu dni zyskała większą pewność siebie. Dostała się do chóru, a nawet zaprzyjaźniła się z paroma dziewczynami, które tak jak ona śpiewały sopranem. Nie były jakoś super fajne, właściwie znało je niewiele

osób ze środowiska muzycznego w szkole. Ubierały się niezbyt efektownie i nigdy nie chciały robić tego, co proponowała Jennifer. Zamiast wybrać się z nią na imprezę, wołały wypożyczyć filmy ze starymi musicalami i wspólnie śpiewać przed telewizorem. Jennifer wiedziała, że nie może wybrzydzać. Jej życie nigdy już nie będzie równie ciekawe jak kiedyś. Rozumiała, że musi powściągnąć swoje oczekiwania.

W drugiej klasie, w dniu, w którym miała zostać wywieszona nowa lista, jechała porannym autobusem do szkoły, nawet przez myśl jej nie przeszło, że znowu się na niej znajdzie. Prawdę mówiąc, umierała z ciekawości, które dziewczyny z drugiej klasy załapały się w tym roku. Miała nawet swoje typy. W sumie niemal każda z chórzystek mogłaby się na liście znaleźć.

Kiedy w końcu odnalazła na niej swoje nazwisko, wytrzymała w szkole do końca dnia. Popłakała trochę w łazience, ale tym razem obeszło się bez wymiotów i robienia scen. Uznała, że to nieznaczna poprawa. Nowe koleżanki ze wszystkich sił starały się ją pocieszyć.

W trzeciej klasie, gdy znowu zdobyła tytuł najbrzydszej uczennicy, zareagowała śmiechem. Zaśmiała się nie dlatego, że było to zabawne, lecz ponieważ zakrawało na absurd. Jennifer nie miała złudzeń co do swojej urody – wiedziała, że nigdy nie będzie skończoną pięknoscią. Ale chyba byłoby po prostu fair, gdyby tytuł największej brzyduli przyznano wreszcie komuś innemu.

Tym razem nie uroniła ani jednej łzy. Koleżanki z chóru znowu próbowały ją pocieszać, ale najciekawsze było zachowanie przypadkowych uczniów, którzy podchodzili do niej i zaczynali przeproszać. Nigdy żaden z nich nie powiedział, za co właściwie przeprosza, ale Jennifer domyślała się, o co chodzi: nikt nie zasłużył na to, by przez trzy lata pod rząd być uznawanym za najbrzydszego. To było po prostu zbyt okrutne i wredne. W szkole znalazłyby się przecież też inne dziewczyny poza nią, którym należał się ten wątpliwy zaszczyt. Ktoś po prostu wziął się na nią, i to było niesprawiedliwe.

Co prawda czuła przede wszystkim złość na powtarzające się zniewagi, jednak równocześnie doceniała głosy wsparcia od nieznanym. Zauważyła też, że uczniowie zachowywali się swobodniej w jej towarzystwie. Odniosła wrażenie, jakby nagle cała szkoła zaczęła doceniać, że Jennifer z wdziękiem radzi sobie ze swoją reputacją. Chyba wszyscy poczuli ulgę, że nie wywinie takiego numeru jak w pierwszej klasie, kiedy wszyscy czuli się niezręcznie z jej powodu. Obeszło się bez napadu hysterii, szukania winnego i wymiotów. Uznano, że w sumie spoko laska z tej Jennifer.

Wiedziała, co się stało: lista uczyniła z niej osobę rozpoznawalną. Praktycznie każdy w szkole wiedział, kim jest Jennifer. A o tym jej brzydkie koleżanki z chóru mogły tylko pomarzyć.

Reszta trzeciej klasy upłynęła spokojnie. Po pierwszym półroczu Jennifer

miała całkiem niezłe oceny. Przestała zadawać się z chórzystkami, bo i tak nigdy za nimi nie przepadała.

* * *

Po minięciu dwunastu zielonych płytek linoleum Jennifer skręciła w bok i stanęła naprzeciw swojej szafki. Teraz jeszcze ustawić pokrętko zamka szyfrowego: najpierw w lewo na pozycję dziesięć, potem w prawo na pozycję dwadzieścia dwa, i w lewo na jedenaście.

Jennifer, gotowa na najgorsze, uchyliła drzwiczki – wypadła zza nich kartka, która wylądowała kilka centymetrów od jej stóp. Zauważyła odcisk pieczęci Mount Washington High. Tak, oto objawiona prawda, przesyłka do rąk własnych.

Sięgnęła po kartkę i rozłożyła ją. Pominęła dziewczęta z młodszych klas i od razu skupiła się na rówieśniczkach.

No tak, Margo Gable najładniejszą czwartoklasistką.

Jennifer wolałaby, żeby Margo nie zasłużyła na ten tytuł. Prawda jednak była taka, że należał się jej.

A nieco wyżej nazwisko Jennifer – najbrzydszej dziewczyny, która jako pierwsza w historii zdobywa ten tytuł czwarty rok z rzędu.

Spróbowała udawać, że jest zaskoczona.

Ktoś za jej plecami zaczął bić brawo. Naprawdę ktoś klaskał.

A gdzie werble?

Jennifer zrzuciła plecak z ramion. Upadł na podłogę, a panująca wkoło cisza spotęgowała dźwięk, jaki wydał w zetknięciu z linoleum. Dziewczyna zaczęła bębnić dłońmi o drzwiczki szafki. Uderzała coraz szybciej, aż zaczęły ją piec dłonie. Wszyscy, którzy się jej przyglądali, drgnęli zaskoczeni.

W końcu zwróciła się twarzą w stronę gapiów. A po chwili zaczęła podskakiwać, robiąc „pajacyka”. Nogi rozstawiała szeroko przy każdym wyskoku, ramiona wyrzucała w górę, w jedne ręce trzymając kartę z listą, tak by wszyscy mogli ją zobaczyć. Zachowywała się, jakby była jedną z cheerleaderek dopingujących szkolną drużynę: DO BOJU, GÓRALE, DO BOJU! W pewnym momencie, żeby do końca wczuć się w rolę cheerleaderki, wydała też z siebie głośny okrzyk „Woooooo!”, po czym zaczęła rytmicznie unosić i opuszczać dłoń, w której ścisnęła kartkę z listą.

Kilku uczniów nagrodziło jej pokaz szerokimi uśmiechami. Rozległy się nieśmiało oklaski, a gdy Jennifer dygnęła na zakończenie spektaklu, dołączyło do nich więcej osób i po chwili rozległa się prawdziwa owacja.

Puściła się przed siebie w podskokach, a biegnąc korytarzem, trzymała wysoko uniesione ręce, tak żeby każdy bez problemu mógł przybić jej piątkę. I faktycznie wielu chciało.

Bo koniec końców było to niezaprzeczone osiągnięcie, Jennifer dokonała

czegoś niespotykanego, czego przed nią nie osiągnęła żadna inna dziewczyna: przetrwała, i nikt jej nigdy już tego nie odbierze. Wbrew sobie poczuła się teraz wyjątkowa. Jak to się mówi: *nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło*. Przywołała na twarz najbardziej promienny uśmiech, tak by nikomu nie przyszło do głowy, że być może Jennifer nie cieszy się tym, co ją spotkało.

Pragnęła, by wszyscy ją teraz widzieli. Pokonała naprawdę długą drogę, by znaleźć się w tym punkcie swojego życia.

ROZDZIAŁ 8

Margo Gable paradowała samym środkiem szkolnego korytarza w asyście dwóch najlepszych koleżanek: Rachel Potchak i Dany Hassan. Wokół pełno było uczniów, ale gdziekolwiek się pojawiły, ludzie schodzili im z drogi. Wszystkie trzy szły z lekko pochylonymi głowami, a opadające na twarze włosy kazały się domyślać, że dziewczyny dzielą się jakimiś sekretami i nie życzą sobie ciekawskich spojrzeń. Wbrew pozorom nie plotkowały na temat listy. Rozmowa dotyczyła palców u stóp matematyczki, pani Worth, i musiała być niesamowicie zabawna, bo dziewczyny chichotały jak najęte.

Margo zwróciła na nie uwagę na czwartej lekcji – stopy chorującej na artretyzm nauczycielki były powykręcane i z trudem mieściły się w sandałach ortopedycznych. Zamiast skupić się na lekcji poświęconej równaniom algebraicznym i wstędze Möbiusa, Margo aż do dzwonka jak urzeczona wpatrywała się w zdeformowane przez chorobę palce pani Worth.

– Nie rozumiem, jak ktoś z tak ohydnyimi stopami może chodzić w sandałach – wyznała Rachel, gdy defilowały na przerwie korytarzem.

– No właśnie – przytaknęła Dana. – Poza tym mamy już prawie październik. Po jaką cholereę ona dalej nosi odkryte buty?

Margo zaczesła włosy do góry, tworząc z nich na czubku głowy niedbały kok, wpięła w niego ołówek i dopiero wtedy przystąpiła do namysłu. Może te straszne zmiany na stopach to objaw jakiejś choroby?

Była tak zamyślona, że nie zauważyła, że niedaleko schodów zaczaiła się dyrektorka Colby. Uświadomiła sobie jej obecność dopiero w momencie, gdy ta położyła jej dłoń na ramieniu i nagle zatrzymała.

Pani Colby pracę w Mount Washington High rozpoczęła całkiem niedawno. Margo miała wrażenie, że jest w ogóle najmłodszym pracownikiem z całej kadry pedagogicznej. Dyrektorka ubrana była w czerwoną ołówkową spódnicę i jedwabną bluzeczkę w kolorze kremowym, z guzikami w kształcie maleńkich żółtych koralików. Ciemne włosy związane miała z tyłu w luźny koński ogon, z przodu zostawiła jednak grzywkę. Margo momentalnie zarejestrowała, że grzywka jest dłuższa i lekko potargana, dokładnie tak jak doradzają w tym sezonie czasopisma dla kobiet.

Dziewczyny z jej paczki twierdziły, że dyrektorka Colby wygląda jak starsza siostra Margo. Ale teraz, gdy dziewczyna przyjrzała się jej z bliska, uznała, że jej *prawdziwa* starsza siostra, Maureen, przewyższa panią dyrektor pod względem urody.

– Margo, chciałabym zamienić z tobą parę słów na temat listy. Masz chwilę?
Margo uznała, że to będzie krótka rozmowa, o ile w ogóle słowo „rozmowa”

nie jest na wyrost. Żuła gumę o smaku arburowym i teraz przesunęła ją językiem ku wewnętrznej stronie policzka, po czym z uśmiechem oświadczyła, że nie ma z listą nic wspólnego.

– Ale zdajesz sobie sprawę, Margo – odezwała się pani Colby, mrużąc lekko oczy – że twoje nazwisko na niej figuruje?

Podszewliwy ton, jakim przemawiała dyrektorka, zupełnie ją zaskoczył. Nagle zaświtała jej myśl, że może nie powinna się uśmiechać, bo ktoś mógłby to źle zinterpretować.

– Tak – odparła, odgarniając za ucho kosmyk swoich miękkich włosów. – Ktoś wspominał o tym na godzinie wychowawczej.

Zrobił to Jonathan Polk, chłopak odgrywający główną rolę w szkolnym przedstawieniu *Grosz z nieba*. Z samego rana odczytał listę na głos, udając, że to teatralny monolog. A kiedy skończył, próbował – bezskutecznie – namówić Margo, żeby się ukloniła. Jasne, to fajne uczucie – znowu znaleźć się na liście. Margo zdobyła już tytuł najładniejszej dziewczyny w pierwszej klasie, Dana w drugiej, a Rachel w zeszłym roku, kiedy wszystkie poszły do trzeciej klasy. W tamtym roku na liście znalazła się też siostra Margo, Maureen, a pięć dni później została wybrana królową balu, zresztą zazwyczaj te tytuły chodziły w parze.

Przez chwilę chciała nawet wysłać SMS-a do Maureen, która wyjechała już na studia, i pochwalić się zwycięstwem, ale w końcu uznała, że to bez sensu.

Nie rozmawiały ze sobą już od paru tygodni.

Z małej kieszeni na biodrze dyrektorka Colby wyciągnęła egzemplarz listy. Żeby ją tam zmieścić, musiała złożyć kartkę kilka razy niczym orgiami.

– Jak wiesz, jestem nowa w szkole, i pomyślałam, że może ty mi wytłumaczysz, co to właściwie ma znaczyć. Oświeć mnie, proszę.

– Czy ja wiem? – burknęła Margo, wruszając ramionami. – To tylko taka dziwaczna szkolna tradycja.

Czuła się dziwnie, że rozmawia na temat listy z dorosłym, pracownikiem szkoły. Była niemal pewna, że nauczyciele Mount Washington doskonale o niej wiedzieli. Ależ oczywiście, że wiedzieli. Być może ci, którzy wychowali się tutaj, choćby pani Worth, sami przed laty się na niej znaleźli. I może nie chcieli nic zmieniać, tak by nie naruszać tradycji – zresztą to właśnie przed chwilą Margo powiedziała. Przez myśl przeszło jej też, że może po prostu nic ich to nie obchodzi.

– I nie domyślasz się, czyja to robota?

Dana i Rachel przyczytały się w pewnym oddaleniu i próbowały podsłuchiwać ich rozmowę.

– Nie – odparła Margo możliwie najbardziej zdecydowanym tonem.

Dyrektorka zmierzyła ją wzrokiem. Widać było, że nie jest przekonana.

– Znasz dziewczyny, które są tu wymienione? – spytała, podając Margo kartkę, ta jednak nie wzięła jej. Ręce przez cały czas trzymała za plecami, splótszy

dłonie.

– Może parę.

– I co sądzisz o tegorocznych zwyciężczyniach? Uważasz, że wybrano odpowiednie dziewczyny, czy sama wskazałabyś jakieś inne?

– Pani dyrektor, do tej chwili nie widziałam nawet listy na własne oczy. Naprawdę nic mi nie wiadomo na jej temat.

Zamiast odpowiedzieć, dyrektorka Colby gestem nakazała Rachel i Danie, które podeszły odrobinę zbyt blisko, by przeniosły się gdzieś dalej.

– Dziewczyny, idźcie już, bo jeszcze się spóźnicie.

Kiedy koleżanki zniknęły w dole schodów, dyrektorka zaprowadziła Margo pod ścianę. Dziewczyna od razu rozpoznała perfumy pani Colby – miała je w swojej kolekcji. Uznała jednak, że lepiej powstrzyma się od komentarza.

– Będę miała jakieś kłopoty?

– Nie – uspokoiła ją dyrektorka. W odczuciu Margo to powinno kończyć ich rozmowę, ale najwidoczniej pani Colby miała inne plany. – Ciekawa jestem, jak zareagujesz.

– Zareaguję? – zdziwiła się Margo. – Ale na co?

– Sprawiasz wrażenie dziewczyny, która ma w szkole duże wpływy. To, jak odniesiesz się do listy, będzie miało przełożenie na to, jak odbiorą ją twoi rówieśnicy. – Pani Colby podwinęła rękawy i skrzyżowała ramiona na piersi. – Ta lista to chory zwyczaj, nie sądzisz? Mam zamiar dowiedzieć się, kto za tym stoi. Dlatego jeśli wiesz cokolwiek na ten temat, teraz jest idealny moment, żeby mi powiedzieć.

Margo wpatrywała się w osłupieniu w dyrektorkę. Czego ona właściwie od niej chce? Żeby się przyznała? Albo wsypała innych? No bez jaj.

– Pani dyrektor, to nie ja przygotowałam listę – oznajmiła po chwili. – I nie wiem, kto to zrobił.

Pani Colby wydała z siebie długie westchnienie.

– Pomyśl przez chwilę o dziewczynach, które lista wskazuje jako te brzydkie. Pomyśl o Jennifer, o tym jak musiała się poczuć dziś rano, gdy odkryła, że jej nazwisko czwarty rok pod rząd znalazło się na liście.

Margo najchętniej powiedziała: *Słyszałam, że Jennifer nieźle odwalilo*, ale w ostatnim momencie ugryzła się w język. Tak w każdym razie jej doniesiono. Nie chciała myśleć o Jennifer. Nie miała na to najmniejszej ochoty. Odkrycie, że Jennifer znów jest na liście, było jedynym niefajnym doświadczeniem tego ranka. Margo poczuła się przez to, jakby znowu miał się powtórzyć cały ten dramat z pierwszej klasy.

– Dobrze, zastanowię się nad tym – powiedziała, powoli się wycofując. – Obiecuję.

Kiedy pokonała połowę długości korytarza, musiała przystanąć na chwilę,

żeby złapać oddech. Dyrektorka wydawała się bardzo podejrzliwa. Czyżby ktoś się wygadał?

* * *

Kiedy dotarła na stołówkę, policzki płonęły jej niczym świecące się na czerwono kuchenne lampy grzewcze, pod którymi grzały się zapiekanki. Kręciło jej się lekko w głowie. Chwyciła drżącą ręką butelkę wody i wypila kilka małych łyków, próbując zapanować nad delikatnym drżeniem ust. Zapłaciwszy za lunch, skierowała się do stolika, przy którym siedziały już Rachel i Dana, a także Matthew, Ted i Justin. Mijając stoliki z pierwszo- i drugoklasistami, wyczuła na sobie ich spojrzenia i momentalnie przywołała na twarz uśmiech.

– O co chodziło? – spytała Dana.

– Sama nie wiem – odparła Margo, siadając na krześle. – Dyrektorka Colby dowiedziała się o liście i strasznie się wkurzyła.

Musiała stłumić chęć spojrzenia na Matthew, żeby sprawdzić, czy słyszał.

No jasne, że słyszał.

– I co? – syknęła Rachel. – Myśli, że to ty ją napisałaś?

– No coś ty – obruszyła się Margo, po czym dla potwierdzenia swoich słów wybuchła perlistym śmiechem. Równocześnie pod stołem, tak żeby nikt nie widział, wytarła spocone dłonie, wygładzając plisy spódnicy. – W życiu!

– Ja to bym dopisał do listy dyrektorkę Colby – wyznał Justin, po czym oblizał usta i ugryzł kanapkę z szynką.

– Fuj! – jęknęła Dana, rzucając w niego serwetką.

Ted odchylił się na krześle i splótł ręce na karku. Miał na sobie kraciastą rozpinaną koszulę, z postawionym kołnierzem i podwiniętymi do łokci rękawami.

– Ale w sumie o co chodzi? – zastanowił się. – Przecież na liście i tak jest tylko to, co każdy myśli. Wszyscy mamy oczy i umiemy ocenić, kto jest atrakcyjny, a kto nieszczególnie.

– Zabawne – stwierdziła Rachel, dotykając palcem skroni. – Coś mi się zdaje, że zacząłeś ostro zarywać do Monique Jones z pierwszej klasy dopiero po tym, jak załapała się na listę w zeszłym roku.

– Trafiony, zatopiony – skomentował Justin, po czym przybił piątkę z Rachel.

Koniuszki uszu Teda zapłonęły.

– Lista nie miała tu nic do rzeczy – próbował tłumaczyć, podnosząc niepotrzebnie głos. – Zawsze uważałem, że z Monique jest super laska. Ejże, przecież ta panna próbowała kariery jako modelka. Lista dała mi po prostu pretekst, żeby zagadać.

Matthew naciągnął kaptur bluzy na swoją ogoloną głowę i spytał:

– Kto popyka ze mną w ping-ponga?

Przez całe liceum nosił długie, luźno opadające na twarz blond włosy. I dopiero tego lata postanowił je ściąć. Dziewczyny zgodnie uznały, że to był kiepski pomysł. Margo widok Matthew z krótkimi włosami przypomniał zamierzchłe czasy z czwartej klasy podstawówki, kiedy jego rodzina sprowadziła się do Mount Washington. Tak się złożyło, że posadzono ich w sąsiednich ławkach. Szybko zauważyła, że nowy chłopak jest zafascynowany jej kolekcją małych kolorowych gumek do wycierania, które trzymała w piórniku. Za każdym razem, gdy otwierała go, żeby którąś wybrać, Matthew zerkał do środka z zaciekawieniem. Przed świętami Bożego Narodzenia kupiła gumkę w kształcie piłki do futbolu amerykańskiego i po kryjomu położyła na jego ławce. Nigdy nie widziała, żeby jej używał. Wyobrażała sobie czasem, że może nadal ją przechowuje.

Dana potrząsnęła głową, wyraźnie zbита z tropu.

– Dyrektorka powinna wyluzować. Jeszcze trochę i wprowadzi zasadę „żadnych wyzywających tańców” na balu – oznajmiła, po czym napiła się mrożonej herbaty i dodała: – Ej, à propos wyzywających zachowań. Widzieliście Sarę Singer? Paradowała po korytarzu z napisem BRZYDULA na czole.

– Prawdziwa buntowniczka – zauważyła z przekąsem Rachel, przewracając oczami.

Matthew odsunął się na krzesło od stolika.

– Ted, no zagraj ze mną – nalegał. – Domagam się rewanżu.

– Sam tego chciałeś – oznajmił Ted, zbierając na tacę resztki po swoim jedzeniu. Następnie nachylił się do Margo i rzucił półgłosem: – Jestem pewien, że zostaniesz królową balu. Licz się z tym, że jeśli ja będę miał szczęście i zostanę wybrany królem, nie dam ci spokoju przez całą noc.

– No chodźże – jęknął Matthew. – Zaraz skończy się przerwa.

– Dzięki, Ted – odparła krótko Margo.

Czuła się rozczarowana, że Matthew nie skomentował w żaden sposób jej tytułu najładniejszej uczennicy, ale próbowała nie dać po sobie tego poznać. Może po prostu jeszcze o tym nie słyszał.

Ted nie dawał jednak za wygraną. Przysiadł na krawędzi stołu i ciągnął:

– Pomyśl, czy to nie dziwne, że jeszcze nigdy ze sobą nie kręciliśmy? Ta potańcówka to może być nasze przeznaczenie, w końcu się do siebie zbliżymy. Zawsze miałem wrażenie, że ty i ja...

– Gościu! – krzyknął Matthew. – Chodźmy już!

– Nieważne – dokończył Ted, potrząsając głową. – Margo, pogadamy później.

Rachel odprowadziła go wzrokiem, gdy oddalał się od stolika.

– Ted chciałby zaliczyć wszystkie panny, które znajdują się na liście – szepnęła. – Serio, ten chłopak jest taki przewidywalny.

Margo patrzyła, jak Matthew podchodzi do automatu z napojami i zdejmuje

z góry paletki do tenisa stołowego. Nigdy dotychczas nie zdarzyło tak, żeby oboje w tym samym czasie byli singlami. Margo zawsze spotykała się ze starszymi chłopakami, takimi, którzy mogli już kupować w knajpie piwo dla jej znajomych i którzy mieli własne samochody. A Matthew prowadził się z młodszymi panienkami, grzecznymi dziewczátkami, które dobrze radziły sobie w szkole i dla wszystkich były miłe. To były panienki z jego parafii. A Margo nie chodziła do kościoła.

– Wracając do rzeczy... – odezwała się Dana, odwracając się na krześle, żeby rozejrzeć się po stolikach za nią. – Tak naprawdę żal mi tylko Jennifer. Spójrzcie na nią, olały ją nawet jej kumpele z chóru.

Margo podążyła spojrzeniem we wskazanym kierunku, choć nie miała na to najmniejszej ochoty. Jennifer siedziała po drugiej stronie sali. Dzieliła stół z bandą innych dzieciaków, jednak było widać, że tak naprawdę jest sama.

– Jakoś nie przekonuje mnie ta jej poza pod tytułem „patrzcie, jaka jestem zadowolona”. A was? – spytała Dana.

– No coś ty – odparła Rachel, biorąc do ust frytkę. – To tylko taka maska. Ta panna cztery lata pod rząd wybierana jest najbrzydszą uczennicą w swoim roczniku. Aż dziw, że się nie pochlastała.

– Twarda z niej sztuka. Gdybym była nią, nie znalazłabym w sobie siły, żeby zjawiać się w szkole i paradować z podniesioną głową – zgodziła się Dana, po czym zniżając głos, dodała: – A pamiętacie tamten piknik w trzeciej klasie? Ktoś trafił ją w głowę hot-dogiem. A Jennifer śmiała się tylko, jakby to było coś zabawnego. Ted nigdy się nie przyznał, ale ja wiem, że to jego sprawka. Widziałam, jak to zrobił. Dupek.

Rachel potrząsnęła głową z obrzydzeniem.

– Ona pewnie znosi takie rzeczy co dzień.

Przez następnych parę chwil dziewczęta w milczeniu obserwowały, jak Jennifer posila się kanapką. W pewnym momencie obok jej stolika przechodziło dwóch młodszych chłopaków, chyba z pierwszej klasy. Kiedy znaleźli się tuż obok dziewczyny, poszukali wzrokiem kolegów siedzących po drugiej stronie stołówki i zrobili miny, jakby zbierało im się na wymioty. Jennifer nie była w ogóle świadoma ich wygłupów.

Rachel rzuciła na tackę trzymaną w ręce frytkę i oznajmiła:

– Dość tego. Podejdę do Jennifer i zaproszę ją do naszego stolika. Tylko na dzisiaj.

Margo wyciągnęła odruchowo rękę, próbując ją powstrzymać.

– Daj spokój, to kiepski pomysł.

Rachel zmierzyła wściekłym spojrzeniem dwóch pierwszoklasistów kierujących się do swojego stolika.

– Co te gnoje sobie wyobrażają? Wydaje im się, że mogą się nabijać

z Jennifer tylko dlatego, że znalazła się na liście? Przecież ta dziewczyna chodzi do czwartej klasy i choćby z tego powodu należy jej się minimum szacunku. Gdyby siedziała razem z nami, żaden z nich nie odważyłby się nic zrobić.

– Nie przesadzaj, ludzie nie zwracają uwagi na to, czy ktoś się z nami zadaje, czy nie – westchnęła Margo.

Oczywiście wiedziała, że to nieprawda. Zwłaszcza w kontekście Jennifer.

– Jasne – parsknęła Rachel. – Łatwo ci mówić, najładniejsza czwartoklasistko.

– Zamknij się, Rachel. Przecież ty też byłaś na liście. Obie byłyście. To nic wielkiego.

– No tak – zgodziła się ostrożnie Dana, przechylając na bok głowę. – Ale ty, w przeciwieństwie do nas, zostaniesz wybrana królową balu.

– To jeszcze nic pewnego – zaprotestowała Margo, choć w rzeczywistości było to już przesądzone. – Poza tym wcale mi nie zależy na tytule królowej.

Jasne, byłoby miło. Ale gdyby zamiast niej to Rachel albo Dana znalazły swoje nazwiska na liście dziś rano, nie miałyby z tym żadnego problemu.

Rachel poklepała Margo po plecach.

– Nic ci się nie stanie, jeśli Jennifer posiedzi z nami chwilę przy stoliku.

Kiedy Rachel wstała od stolika, Margo udawała, że całą jej uwagę pochłania wydziobywanie widelcem kawałków sałaty z tortilli z kurczakiem. Po chwili, dość krótkiej, co niespecjalnie ją zdziwiło, usłyszała szurnięcie krzesła, gdy Jennifer wstawała od swojego stolika.

– Cześć, Jennifer – rzuciła na powitanie Dana, przesuwając swoje krzesło, tak by zrobić miejsce dla koleżanki.

– No hej – przywitała się Jennifer. – Masz świetną koszulkę, Dano. Naprawdę fajniutką.

Dana obrzuciła spojrzeniem swój ubiór i uśmiechnęła się promiennie.

– Dzięki!

A w następnej chwili zapadło krępujące milczenie. Margo uniosła wzrok znad tortilli i napotkała utkwione w sobie spojrzenie Jennifer.

– Cześć, Margo – rzuciła dziewczyna beztroskim tonem. – Gratuluję... no wiesz...

– Dzięki.

Rachel bębniła przez chwilę palcami po stole.

– Jennifer, chcemy, żebyś wiedziała, że współczujemy cię, że w tym roku znowu znalazłaś się na liście.

Dziewczyna potrząsnęła głową w taki sposób, jakby chciała dać do zrozumienia, że to nie ma żadnego znaczenia.

– Prawdę mówiąc, zdążyłam już do tego przywyknąć.

– No tak, ale to nie fair, że w ogóle *musiałaś* do tego przywyknąć – wtrąciła

się Dana, wydymając usta. – Ten, kto w tym roku stworzył listę, musi być totalnym sadystą.

Margo cofnęła się myślą do samego początku trzeciej klasy. Na francuskim Dana siedziała za Jennifer i przez cały pierwszy tydzień jęczała, że musi patrzeć na wałki tłuszczu na jej szyi. Kiedy Jennifer pochylała się nad książką, skóra się wygładzała. A gdy spoglądała znów w górę, wałki zbliżały się do siebie niczym miechy w obrzydliwym akordeonie z ludzkiego ciała.

Wkurzające, jak łatwo Danie przyszło zapomnieć przeszłość.

Równocześnie Margo poczuła ukłucie zazdrości, że koleżanka jest w stanie tego dokonać. Ona nie umiała.

ROZDZIAŁ 9

O piętnastej, po ostatniej lekcji, Danielle, powłócząc lekko nogami, ruszyła do swojej szafki. Zabrała z niej podręczniki i sportową torbę, ale nie spieszyła się, tak jakby wcale nie gonił jej czas. Cóż, w normalnych okolicznościach powinna biec, żeby zdążyć na trening pływacki, na którym miała się spotkać z Hope. Poinformowano ją jednak, żeby tego dnia nie szła na basen.

Na lekcji angielskiego odwiedziła ich dyrektorka. Nauczyciel przywitał ją, jednak pani Colby nie odezwała się do niego ani słowem, tylko w milczeniu omiotła spojrzeniem całą klasę. Kiedy jej wzrok napotkał Danielle, podeszła do jej ławki, położyła na niej jakąś kartkę i rzuciła zdawkowo:

– Do zobaczenia niedługo.

Dziewczyna ze zdziwieniem odczytała treść liściku:

**DO WSZYSTKICH DZIEWCZYN, KTÓRYCH NAZWISKA FIGURUJĄ
NA LIŚCIE:**

**PROSZĘ NATYCHMIAST PO LEKCJACH ZGŁOSIĆ SIĘ DO MOJEGO
GABINETU. TO OBOWIĄZKOWE SPOTKANIE.**

DYREKTOR COLBY

Danielle w zamyśleniu przygryzła końcówkę ołówka. Dlaczego dyrektorka zwołuje spotkanie wszystkich dziewczyn z listy? Czyżby oznaczało to dla nich jakieś kłopoty? A może odkryła, kto przygotował listę?

Były to fascynujące pytania, jednak Danielle niespecjalnie zależało na znalezieniu odpowiedzi. W pewnym momencie zorientowała się, że chłopak siedzący z lewej strony wyciąga szyję, próbując odczytać treść kartki. Natychmiast wsunęła ją do książki. Już drugi raz tego dnia poczuła się upokorzona.

Nawet teraz, po lekcji, nadal płonęły jej ze wstydu policzki.

W pewnym momencie minęła ją Sara Singer, najbrzydsza uczennica trzeciej klasy. Tuż za nią szła dyrektorka Colby. Rękę trzymała na plecach Sary, jakby popychała ją naprzód. Było coś komicznego w chodzie dziewczyny, jakby każdy krok sprawiał jej wielką trudność. Człapała na płaskich stopach, wzdychając teatralnie i czubkami adidasów sunąc po pokrytej linoleum podłodze.

Do Danielle dotarły dzisiaj słuchy o tej dziewczynie i o tym, że chodzi po szkole z pewnym słowem wypisanym na czole. Teraz mogła wreszcie zobaczyć je na własne oczy. Imponowała jej twardość charakteru Sary. Najwyraźniej zdecydowała się ona przybrać nieco inną twarz pokerzysty niż Danielle, która przez cały dzień udawała, że żadna lista nie istnieje, a co za tym idzie, nie mogła się na niej znaleźć. Równocześnie jednak na widok Sary poczuła też upokorzenie – wiedziała, że jest taka sama jak ona. Wszyscy uczniowie Mount Washington

będą patrzeć na nią i widzieć to samo, niezależnie od tego, czy Danielle wypisze sobie to słowo mazakiem na czole, czy też nie.

Dziewczyna zamknęła szafkę i oparła się o nią plecami. Miała poczucie, że cierpienie, którego teraz doświadczała, nieprędko ją opuści. Bardziej przypominało bliźnię niż strupek, który znika po krótkim czasie. Obawiała się, że już nigdy się od niego nie uwolni.

– Przecież byłam już poza terenem szkoły – protestowała Sara Singer. – Nie ma pani prawa zmusić mnie do powrotu, skoro skończyły mi się już lekcje!

Jej słowa albo nie docierały do dyrektorki, albo puszczała je mimo uszu. Kiedy mijały Danielle, pani Colby spozrzała jej w oczy i rzuciła:

– Ty też pójdziesz z nami.

* * *

W gabinecie dyrektorki czekało już sześć innych dziewczyn. Pomieszczenie było zbyt małe, by można było jakoś sensownie pogrupować przybyłe, na przykład podług zasady, że ładne dziewczyny siadają na krzesłach, a brzydule zajmują miejsca na podłodze pod ścianą. Wewnątrz panował tłok, w którym wszystkie dziewczyny czuły się nieswojo.

Abby usiadła na jednym z dwu foteli postawionych przy biurku dyrektorki. Na widok Danielle przesunęła się kawałek, tak żeby ta też zmieściła się na jej krześle. Danielle podziękowała jej bladym uśmiechem, ale postanowiła tylko przysiąść na podłokietniku fotela.

Fotel stojący obok zajęła Candace. Siedziała na samym jego brzeжку, wychylona do przodu, tak jakby chciała się znaleźć jak najbliżej biurka dyrektorki.

Lauren siedziała na kaloryferze. Kolana podciągnęła pod brodę i wpatrywała się w okno.

Bridget usadowiła się na kanapie.

Obok niej siedziała Margo z dłońmi splecionymi na podołku.

Jennifer stała oparta niedbale o wysoką czarną szafkę na dokumenty.

Sara zatrzymała się w progu gabinetu i wyzywająco skrzyżowała ręce na piersi. Kiedy dyrektorka przeciskała się obok niej, żeby dostać się do środka, prawie nie drgnęła.

– Na pewno domyśliłyście się już, dlaczego was tu wezwałam – stwierdziła pani Colby, gdy dobiegła do biurka i usiadła w swoim fotelu.

Nawet jeśli któraś z uczennic wiedziała, jakie intencje przyświecają dyrektorce, żadna się z tym nie zdradziła. Margo w milczeniu nawijała na palec kosmyk włosów. Bridget rozciągała dłonie, strzelając palcami – co chwilę w ciszy rozlegały się cichutkie chrupnięcia. Jennifer skupiła się na zdrapywaniu czegoś, co przykleiło się do jej koszulki.

– No dobrze – westchnęła dyrektorka, nie doczekawszy się odpowiedzi.

– W takim razie powiem wam, o co chodzi. Dzisiaj was wszystkie spotkało coś strasznego. Uważam, że jeśli porozmawiamy o tym wspólnie, łatwiej wam będzie sobie z tym poradzić.

Candace parsknęła ironicznie. Założyła nogę na nogę, a kiedy mówiła, machała stopą, kopiąc powietrze jednym z kozaczków z owczej wełny.

– Chyba chodzi pani o *cztery* spośród nas – zauważyła z przekąsem. – Założę się, że te wybrane najładniejszymi mają dzisiaj kupę zabawy.

Pani Colby potrząsnęła jednak głową.

– Nie, Candace – odezwała się. – Wyraziłam się zupełnie jasno. *Wszystkie* doświadczyłyście dzisiaj czegoś bardzo złego. Ktoś przyznał sobie prawo do wywołania was z tłumy, zaszufładowania i sprawienia, że macie być postrzegane jako najbardziej powierzchowne wersje samych siebie. A to pociąga za sobą pewne konsekwencje, koszty emocjonalne, i to niezależnie od tego, do której grupy was zaliczono.

Candace odwróciła się na krześle i poszukała spojrzeniem Margo i Bridget siedzących na kanapie.

– Margo ma zaklepany tytuł królowej balu. O takie konsekwencje pani chodzi?

Margo nie dała się sprowokować. Nadal przypatrywała się trzymanemu w palcach kosmykowi włosów, szukając w nim rozdwojonych końcówek.

– Candace, domyślam się, że jesteś wściekła. Ale może być tak mnie w to nie mieszała.

– No jasne, że jestem wściekła – odwarknęła Candace, po czym omiotła spojrzeniem twarze pozostałych dziewczyn. Mówiła teraz łamiącym się głosem.

– Nie wkurzyłybyście się, gdyby ktoś nazwał was najbrzydszymi, mimo że to oczywista nieprawda?

Pozostałe brzydkie dziewczyny spojrzały po sobie z zakłopotaniem, z wyjątkiem Sary, która wyzywająco zmierzyła wzrokiem Candace.

– Dziewczynki, proszę o spokój – zainterweniowała dyrektorka, unosząc dłoń. – Nie kłóćcie się. Nie jesteście dla siebie wrogami. Wszystkie natomiast jesteście ofiarami tej sytuacji.

– Pani dyrektor – odezwała się Margo, unosząc rękę. – Wiem, że od niedawna pracuje pani w Mount Washington. Proszę mi wierzyć, ta lista to naprawdę nic wielkiego.

– Łatwo ci mówić – mruknęła Danielle. Była zaskoczona, że w ogóle się odezwała.

Jennifer postąpiła krok do przodu.

– Zgadzam się z Margo – stwierdziła. – Ja mam najwięcej powodów, by czuć się pokrzywdzona, a mimo to w ogóle mnie to nie obchodzi. Cała ta sprawa nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

– Nie wierzę, że cię to nie obchodzi, Jennifer – odparła dyrektorka, spoglądając jej w oczy. – Właśnie ty powinnaś się tym najbardziej przejmować.

Policzki dziewczyny momentalnie oblały się rumieńcem.

– O co pani właściwie chodzi? – warknęła Sara. – Próbuje nas pani zmusić do terapii grupowej?

– Saro... dziewczynki... słuchajcie wszystkie... – odezwała się pani Colby, potrząsając lekko głową. – Być może upłynęło zbyt niewiele czasu, byście zdołały przetrwać to, co się dzisiaj stało. Z kilkoma spośród was próbowałam już porozmawiać w cztery oczy. Wiedziecie, że jeśli poczujecie potrzebę rozmowy, możecie w każdej chwili się do mnie zwrócić. A jeśli któraś z was domyśla się, kto może za tym stać, mam nadzieję, że zaufacie mi na tyle, by podzielić się ze mną tą informacją. Dość już tego znęcania się nad innymi uczniami. Chcę, żeby osoby, które w tym roku sporządziły listę, zostały pociągnięte do odpowiedzialności.

Danielle rozejrzała się po gabinecie. Przemowa dyrektorki budziła w niej szacunek, jednak coś jej podpowiadało, że w praktyce niewiele to zmieni. Co prawda wszystkie te dziewczyny znalazły się na liście, jednak każda miała swój świat. Nic ich nie łączyło.

Danielle wiedziała, że nadal musi zachowywać pokerową twarz. Każda z nich musiała radzić sobie, jak umiała.

WTOREK

ROZDZIAŁ 10

Bridget obudziła się bladym świtem. Wzięła szybki prysznic, uczesała się i umalowała. Założyła koszulę z bawełny oksfordzkiej, do tego legginsy, a na ramiona narzuciła długi luźny sweter. Kiedy z łazienki dobiegł szum prysznica – znak, że Lisa już wstała i przez jakiś czas będzie zajęta – dziewczyna zbiegła po schodach, zeskakując po dwa stopnie naraz. Na myśl, że za chwilę zje śniadanie, czuła autentyczne podniecenie. Naprawdę zamierzała je zjeść, a nie jak zazwyczaj udawać tylko, że wkłada coś do ust.

Na kontuarze czekały już dwie miski na płatki śniadaniowe i łyżki, przygotowane przez panią Honeycutt przed wyjściem do pracy. Bridget sięgnęła po swoją czystą miskę i łyżkę, i odstawiła je do zmywarki, gdzie piętrzyły się już brudne naczynia po wczorajszym obiedzie. Zjadła wtedy pierś z kurczaka i kilka młodych marchewek. Ryżu nie tknęła.

I tak niezły wynik.

Z przedniej kieszeni koszuli wyciągnęła kartkę, rozprostowała ją i położyła na kontuarze. Następnie otworzyła szafki kuchenne i zaczęła w nich myszkować za składnikami.

Syrop klonowy. Pieprz cayenne. Cytryna z miski z owocami.

Odkryła ten przepis w Internecie zeszłej nocy. Dieta oczyszczająca. Wszystkie gwiazdy filmowe przed wielkimi imprezami, na których mają się pojawić, fundują sobie taką kurację, żeby wyglądać zjawiskowo. Tak naprawdę zresztą to wcale nie dieta, tylko sposób na pozbycie się z organizmu toksyn, wszystkich groźnych elementów, które zatrują wnętrze.

Najważniejsze, że oczyszczanie to coś innego niż poszczenie. Odmawianie sobie jedzenia jest zgubne dla organizmu. Bridget wie coś na ten temat. Praktykowała to przez całe lato, jednak teraz już rozumie, że źle podeszła do zrzucania wagi. Za bardzo się tym wszystkim podjarła, poniosło ją. W tamtym czasie chciała po prostu przestać być dziewczyną, która myśli w taki, a nie inny sposób – która sama się ogranicza.

Teraz jednak dochodziła do tego świadomość, że to właśnie własnej wytrwałości zawdzięcza fakt, iż znalazła się na tegorocznej liście, na której czarno na białym napisano, że tak właśnie jest. To, jak spędziła ostatnie wakacje, zadecydowało o jej zwycięstwie.

No tak, Bridget, ale od tamtego czasu znowu przybrałaś na wadze.

A przecież nie może sprawić nikomu zawodu. Tym razem spisze się lepiej, tym razem będzie mądrzejsza. Do balu zostało tylko pięć dni, w tej sytuacji dieta oczyszczająca jest idealnym rozwiązaniem. Musi tylko postępować zgodnie z wytycznymi.

Gdybyś była chora, znowu zaczęłabyś się teraz głodzić.

Ale ty wcale nie jesteś chora.

Jesteś zdrowa.

Bridget przystąpiła do dokładnego odmierzania składników, tak jak podpowiadał przepis. Łyżkę do odmierzania zbliżyła do szyjki plastikowej butelki po wodzie i po chwili na dnie naczynia znalazł się kopczyk czerwonego pieprzowego pyłku. Następnie przekroiła na pół cytrynę i wycisnęła połówkę w dłoni nad butelką. Wszystkie pestki cytryny zostały jej w ręce i poczuła pieczenie w miejscach, gdzie obgryzała skórkę przy paznokciach. Na koniec należało dodać syrop klonowy. Słoik z syropem był lepki, a wieczko przykleiło się do szkła. Kiedy zdołała je odkręcić, kryształki cukru pękły i obsypały jej dłoń niczym puder. Nabrała pełną łyżkę stołową syropu o kasztanowym kolorze. Wolalaby, żeby przepis nie uwzględniał tak dużej jego ilości. Miała wrażenie, że dwie łyżki stołowe to aż nadto. Sprawdziła szybko liczbę kalorii na etykiecie syropu, zmarszczyła brwi i postanowiła, że wykorzysta tylko połowę zalecanej w przepisie dawki.

Następnie napełniła po brzegi butelkę wodą z urządzenia filtrującego, zawieszono na drzwiach lodówki. Jeśli będzie pić małymi łyżkami, powinno jej starczyć tej mikstury na cały dzień w szkole. Wstrząsnęła zawartością butelki, po czym zdjęła zakrętkę. Na powierzchni spienionej cieczy w kolorze herbacianym unosiły się drobinki pieprzu cayenne. Zbliżyła wylot szyjki do nosa. Mikstura pachniała intensywnie, niczym ognista lemoniada.

Lisa zeszła na dół i usiadła przy kontuarze w kuchni. Założyła sztruksową sukienkę bez rękawów, którą Bridget wyszukała dla niej podczas ostatniej wizyty w centrum dyskontów. Bridget wyciągnęła z lodówki mleko i podała siostrze.

– Ładnie dziś wyglądasz, Liso.

– Bridget, pochodzimy po lekcjach po sklepach, żeby poszukać sukienek na bal? Od tygodni przeglądam zdjęcia kiecek w Internecie i wreszcie chcę coś przymierzyć.

– Dzisiaj raczej nie dam rady – odparła Bridget. Wolą dopilnować, by mieszanka oczyszczająca zaczęła działać. W gazecie znalazła informację, że w ciągu tygodnia można dzięki niej zrzucić do pięciu kilo. Tylko że ona nie miała aż tyle czasu. Zostało zaledwie pięć dni. – Może wybierzemy się w czwartek?

– W czwartek? – powtórzyła Lisa, otwierając szeroko usta ze zdziwienia. – Przecież bal jest w sobotę! A co będzie, jak nic nie znajdziemy?

– Znajdziemy – zapewniła uspokajająco Bridget, ponieważ jednak wyczuwała, że siostra jest rozczarowana, dodała szybko: – Jeśli chcesz, możesz poprosić Abby, żeby wybrała się razem z nami. Rozmawiałam już z mamą na temat twojego makijażu na bal. Myślę, że się zgodzi, pod warunkiem że będzie delikatny.

Ta ostatnia informacja była kłamstwem, jednak Bridget postanowiła, że

poprosi dziś matkę w imieniu Lisy o pozwolenie.

– A co ty tam sobie robisz?

Bridget szybko zmięła kartkę z przepisem i wrzuciła ją do kosza na śmieci razem z wyciśniętą połówką cytryny. Pozostałe składniki mikstury odsunęła na bok.

– To taka zdrowotna mieszanka na poprawę odporności – wyjaśniła, po czym odwróciła się do Lisy i dotykając dłonią szyi, dodała: – Czuję się, jakbym miała się rozłożyć. A przecież nie mogę opuścić balu.

– Dasz spróbować?

Bridget wzruszyła ramionami i podsunęła siostrze butelkę. No cóż, skoro sama prosi, może wystąpić w roli królika doświadczalnego.

Lisa przytknęła wylot butelki do ust i wypięła łyk. Niemal natychmiast zmarszczyła czoło i zaczęła się krztusić. Odepchnęła Bridget i wypluła płyn do zlewu.

– Przecież to jakaś ohyda!

– Nie przesadzaj – odparła starsza siostra. Niemożliwe, żeby mikstura była aż taka niesmaczna. Nie wolno jej spożywać nic innego przez cały tydzień.

Lisa wzięła do ręki papierowy ręcznik, wyciągnęła język i zaczęła go wycierać.

– Litości, nie rób przedstawienia – jęknęła Bridget, po czym sama też się napiła. To był pierwszy, ostrożny łyk. Natychmiast poczuła w gardle palenie, które następnie rozlało się po jej brzuchu.

W sumie może jednak głodówka byłaby łatwiejsza.

Przechyliła jeszcze raz butelkę, wlewając śmieiej zawartość do ust. Tym razem pociągnęła wielki łyk, żeby przemóc wszystkie opory. W myślach przez cały czas powtarzała sobie, że jest w stanie to zrobić. A już niedługo, po potańcówce, cała presja minie.

Lisa, wciąż marszcząc brwi, usiadła z powrotem na stołku. Nasypała do miski swoich ulubionych płatków śniadaniowych z pianką cukrową. Bridget też za nimi przepadała. Uwielbiała czuć, jak te małe kawałeczki pianki pękają i rozpuszczają się w mleku, które stopniowo staje się coraz słodsze i coraz bardziej różowe. Żeby odpędzić te myśli, pociągnęła jeszcze jeden łyk mikstury z butelki.

– Ciągle czuję w ustach to świństwo – poskarżyła się Lisa. Mleko ściekało jej po brodzie.

– Lepiej dbaj o zdrowie – upomniała siostrę Bridget. – Wtedy nie będziesz musiała tego pić. I nie siorb jak trzylatka!

ROZDZIAŁ 11

Trwa jesienny bal i Abby tańczy z jakimś chłopcem. Oparła policzek o jego gładko wyprasowaną flanelową koszulę i kołyszą się przytuleni w rytm piosenki, której dziewczyna nie zna. Muzyka wydaje jej się jakaś niewyraźna i przytłumiona, jak wtedy gdy stanie się obok głośnika i zatka palcami uszy. Abby ubrana jest w swoją perfekcyjną sukienkę w kolorze czarnym, przewiazaną białą wstęgą z kokardą. Przy każdym kroku słyszy, jak szeleści tiul, którym sukienka jest podszyta od wewnątrz. Nad głowami gości powoli obraca się kula dyskotekowa, rozsiewając drobiny światła po posadzce sali gimnastycznej. Kiedy Abby wykonuje obrót, widzi, że światło rozświetla też twarze par tańczących wokół. Wszyscy się do niej uśmiechają. Cała ta scena ma w sobie coś ciepłego i miękkiego, jak to bywa w najpiękniejszych snach.

W pewnym momencie jednak wszystko to zaczęło się od niej oddalać.

W miejsce snu pojawił się dotyk pościeli i chłód poranka na skórze.

Abby otworzyła oczy i ujrzała stojącą przy łóżku Fern. Siostra ściągnęła z niej kołdrę, pozwalając jej opaść na podłogę.

– Co się dzieje? – mruknęła Abby. Nadal była nieprzytomna, a ponieważ nagle zrobiło jej się przeraźliwie zimno, owinęła się szybko prześcieradłem.

– Budzik nie zadzwonił! – wyjaśniła Fern oskarżycielskim tonem, jakby była to wina Abby, po czym zapaliła światło w sypialni. – Totalnie zasnęłam na próbę naukowego dziesięcioboju. Wstawaj szybko i się ubieraj. Za pięć minut musimy wyjść.

Abby usiadła na łóżku i osłoniła dłonią oczy przed rażącym światłem. Fern była już ubrana, zdążyła też zaścielić swoje łóżko. Skupiała się teraz na pakowaniu książek do plecaka.

– Za pięć minut? Przecież muszę wziąć prysznic!

– Nie ma czasu – oświadczyła siostra, wychodząc z pokoju.

Abby zerwała się na równe nogi. Zrobiła to tak gwałtownie, że zakręciło jej się w głowie. Jakimś cudem zdołała jednak dobrać do łazienki, nie lądując na podłodze. Z pięciu minut zrobiły się cztery.

Miała tłuste i zmierzwiłone włosy w miejscu, w którym przez sen przygniotła je głową do poduszki. Niewiele myśląc, upięła loki w niewielki kok na karku, a przód zczesała w poprzek, wzdłuż linii czoła, końcówki kosmyków grzywki zakładając za ucho. Następnie umyła twarz, wyszorowała zęby i nałożyła odrobinę różu na policzki. Ponieważ nie miała czasu obmyślić, co na siebie dziś założy, wskoczyła teraz szybko w trapezową sukienkę z granatowej wełny. Założyła też kremowe podkolanówki i nowe brązowe mokasyny. Szyję owinęła pasiastym szaliczkiem. Lubiła ten styl grzecznej uczennicy, mimo że jej oceny niezbyt do

niego pasowały.

Przed wyjściem z domu zatrzymała się jeszcze przed lustrem w korytarzu. Wyglądała całkiem nieźle. A jeśli wziąć pod uwagę fakt, że na przygotowanie się miała tylko pięć minut, efekt był wręcz znakomity. Szkoda jednak, że tego ranka nie będzie wyglądać absolutnie szalowo. Mogła tylko mieć nadzieję, że koleżanki z klasy na jej widok nie dojdą do wniosku, że tytuł najładniejszej pierwszoklasistki przyznano jej na wyrost. Dzięki liście z dnia na dzień stała się rozpoznawalna. Nigdy wcześniej nie uśmiechało się do niej tyle osób. A teraz nagle zaczęli się nią interesować zupełnie nieznani jej uczniowie, dziewczyny i chłopaki. Wszyscy wiedzieli już, kim jest, i gratulowali jej tytułu najładniejszej uczennicy. Przez cztery pierwsze tygodnie nauki pozostawała anonimową pierwszoklasistką, a dla nauczycieli była mniej bystrą młodszą siostrą Fern. Teraz wreszcie stała się kimś.

Tylko jedna osoba nie skomentowała w żaden sposób tego wyróżnienia. Fern. Może zrobiło jej się przykro z powodu tego komentarza na temat rodzinnych genów. A może jedyną listą, która ją interesowała, była lista prymusów.

Abby wybiegła w końcu za drzwi, zatraskując je za sobą z takim impetem, że wprawiona w ruch kołatka kilka razy uderzyła o drewno. Wszyscy czekali już na nią w samochodzie. Zza zamkniętych okien pojazdu dobiegał monotony głos radiowej spikerki podającej wiadomości.

Kiedy zajęła miejsce z tyłu, Fern kaszlnęła.

– Chryste, Abby, wylałaś na siebie całą butelkę perfum?

– Psiknęłam tylko dwa razy – broniła się Abby, próbując ukryć całe ręce w rękawach sukienki.

Poza tym użyła przecież perfum o zapachu cupcake'ów. Kto nie lubi zapachu świeżo upieczonych słodkich babeczek o poranku?

Fern odsunęła się najdalej jak mogła, a gdy znalazła się już przy samych drzwiach, odkręciło okno, mimo że na zewnątrz panował chłód.

– Chyba zaraz porzygam się lukrem – ostrzegła.

– Tato, dasz mi dziesięć dolarów na bilet na bal? – spytała Abby, wychylając się w kierunku fotela kierowcy.

– No pewnie – odparł pan Warner, sięgając po portfel.

– Fern, a ty? – zainteresowała się pani Warner, spoglądając na starszą córkę we wstecznym lusterku. – Też potrzebujesz pieniędzy na bilet?

– Nie wybieram się na bal – wyjaśniła dziewczyna tonem, który sugerował, że rodzice powinni sami się tego domyślić.

Abby zauważyła, jak matka i ojciec wymieniają między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

– A to dlaczego? – spytała pani Warner.

– W weekend jest premiera filmu na podstawie *The Blix Effect*. Wszyscy moi znajomi idą do kina.

– Przecież możesz obejrzeć film w piątek – zauważyła Abby. – A w sobotę mogłabyś pójść na tańce.

Prawdę mówiąc, wcale jej nie zależało, by siostra zjawiała się na balu. Stwierdzała po prostu fakt.

Kiedy Fern się odezwała, nie spoglądała w kierunku Abby. Zwracała się do rodziców, jakby to oni zadali to pytanie.

– Wybieramy się na dwa seanse, dzień po dniu, w dwu różnych kinach. Najpierw obejrzymy film w 3D, a potem normalny seans.

Abby wpatrywała się w Fern w osłupieniu. Nic już nie rozumiała. Jasne, cykl powieściowy *The Blix Effect* cieszył się wielką popularnością, jednak nie mieściło jej się w głowie, po co ktoś miałby oglądać ten sam film dwa razy pod rząd. W końcu żaden nie mógł równać się z balem, który był tak niesamowicie ekscytujący i wyjątkowy. Zdarzał się tylko raz na rok i była to jedyna potańcówka w Mount Washington, w której razem bawili się wszystkie roczniki.

Fern musiała w końcu wyczuć na sobie zdumione spojrzenie siostry, bo ukryła twarz we włosach. W porannym słońcu widać było rozdwojone końcówki. Jej włosy miały zupełnie zwyczajny kasztanowy kolor, bez żadnych rudawych przebarwień, jakich Abby nabawiła się podczas opalania na plaży.

Dziewczyna nachyliła się do siostry i dotknęła jej kosmyków.

– Fern, chcesz, żebym cię uczesała? Mogę zrobić ci taką fryzurę jak moja, tak żeby włosy nie opadały ci na twarz.

– Nie, dzięki – odparła zdawkowo Fern, odwracając głowę do okna, tak żeby Abby nie mogła dłużej dotykać jej włosów.

– No nie daj się prosić – nalegała młodsza siostra. – Z tyłu masz totalny bałagan. Zaufaj mi, że będziesz lepiej wyglądać, kiedy je uczeszę.

W sumie sama nie wiedziała, po co się do niej tak wdzięczy, skoro Fern traktuje ją niezbyt grzecznie. Z jakiegoś powodu czuła jednak, że byłoby nie w porządku, gdyby widząc, jak fatalnie wygląda jej starsza siostra, nie próbowała jej jakoś pomóc. Zwłaszcza po tym, jak autorzy listy zestawili je ze sobą.

Fern odwróciła się gwałtownie w jej stronę. Z jej szeroko otwartych oczu wyzierała złość. Mimo to ściągnęła z nadgarstka gumkę do włosów i podała Abby.

– Chcesz zapleść mi warkocze, proszę bardzo. Ale nie myśl sobie, że będę paradować po szkole i wyglądać jak twoja bliźniaczka.

To powiedziawszy, przestała odzywać się od siostry. Abby w milczeniu zaplotła jej warkocze. Przez całą drogę nikt w samochodzie nie odezwał się ani słowem.

Kiedy dojechali do Mount Washington, Fern jak burza wypadła z auta, wyminęła Wysepkę Pierwszaków i skierowała się prosto do szkoły.

Na Wysepce, oparta o pień miłorzębu, siedziała Lisa. Zajęta była odrabianiem pracy domowej, jednak na widok nadchodzącej Abby zawołała

wesoło:

– Cześć!

– Cześć – przywitała się Abby, klękając obok przyjaciółki. Ziemia była chłodna i twarda, a klęczenie w sukience dość niewygodne, ale po prostu nie chciało jej się stać. Prawdę mówiąc, na nic nie miała ochoty.

– Co się stało? Wyglądasz, jakby coś cię gryzło.

– To nic takiego – odparła Abby.

Bo właściwie co miałyby powiedzieć? Przecież tę wymianę zdań z Fern trudno nawet nazwać kłótnią.

– Wiem o czymś, co może poprawić ci nastrój. Bridget obiecała, że w czwartek poszuka ze mną sukienki na bal. Wiem, że robi się późno, ale moja siostra ostatnio czuje się marnie. Może chciałabyś się wybrać z nami? Bridget nie ma absolutnie nic przeciwko.

Abby w zamyśleniu skubała palcami żdzębła martwej trawy. Jaka szkoda, że nie układa jej się z Fern tak dobrze jak Lisie z Bridget. Tylko że Lisa i Bridget mają wiele wspólnego, natomiast Abby i Fern różni praktycznie wszystko. Dziewczyna zastanawiała się nieraz, czy gdyby nie były spokrewnione, w ogóle by się lubiły.

Pewnie nie.

– Super pomysł, Liso! Dziękuję. I podziękuj też ode mnie Bridget.

Lisa nie odzywała się przez kilka sekund, a kiedy Abby uniosła wzrok nad ziemi, zorientowała się, że koleżanka wpatruje się w coś za jej plecami.

– O Boże, Abby...

– O co chodzi?

– Zachowuj się naturalnie – poleciła szeptem Lisa. – Właśnie w naszą stronę idą wszyscy drugoklasiści grający w reprezentacji futbolowej.

– No coś ty.

Lisa odgarnęła swoje czarne włosy za ucho.

– Tak będzie dobrze? – spytała, po czym potrząsnęła głową, żeby rozpuścić włosy. – Czy może tak?

Abby pomogła przyjaciółce odgarnąć włosy do tyłu.

– Tak będzie idealnie – oceniła. – A co ze mną? Jak wyglądam? W ogóle nie miałam czasu, żeby się rano przygotować do wyjścia.

– Żartujesz? – Lisa wyduła wargi. – Przecież ty zawsze wyglądasz jak z obrazka.

To był mały komplement, w który Abby nawet nie bardzo uwierzyła. Ale słowa przyjaciółki i tak sprawiły jej przyjemność.

Chłopaki z drugiej klasy nadchodzili w niewielkiej, około sześciuosobowej grupce. Szli na przelaj przez trawnik, kierując się ku Wysepce Pierwszaków. Było to o tyle dziwne, że koło miłorzębu nigdy nie kręcił się nikt z wyjątkiem

pierwszoklasistów.

– Siemanko, Abby – rzucił na powitanie najbardziej rośli z chłopaków. Miał na imię Chuck. Abby już go kojarzyła, ponieważ był największym chłopakiem w całym roczniku i zwykle używał wody kolońskiej o zapachu piżma. – Gratuluję wczorajszego sukcesu.

– Dzięki – odparła, omiatając spojrzeniem jego kolegów.

Kilku było ładniutkich, za to sam Chuck raczej nie był w jej typie. Jednak to właśnie on jako jedyny utrzymywał z nią teraz kontakt wzrokowy. Chcąc nie chcąc, musiała skupić swoją uwagę na nim.

– Przyszedłem powiedzieć ci, że po potańcówce ja i paru chłopaków urządzamy imprezkę w domu Andrew. – Abby nie miała pojęcia, co to za Andrew, ale widząc, że Chuck uderza żartobliwie w ramię jakiegoś chudego chłopaka stojącego obok, uznała, że to musi być on. – Jego rodzice wyjeżdżają na kilka dni. Kupimy piwo. Jakbyście miały ochotę, to wpadajcie.

Abby spojrzała niepewnie na Lisę – przyjaciółka błysnęła tylko aparatem ortodontycznym w szerokim uśmiechu. Było jasne, że strasznie się napaliła na tę imprezę. W sumie Abby też zaczynał się podobać ten pomysł. Próbowwała jednak niczego nie dać po sobie poznać.

– Dzięki za zaproszenie, ale nie wiemy jeszcze, co będziemy robić.

– Pewnie nic – dodała skwapliwie Lisa.

Chuck wybuchnął śmiechem.

– No dobra, ale nie rozpowiadajcie o tym naokoło. Nie chcielibyśmy, żeby nagle wszystkie pierwszaki poczuły się zaproszone. Tylko was dwie zapraszamy. No chyba że chcecie przyprowadzić jeszcze kilka koleżanek, byłoby super. Ale żadnych facetów.

– Nie wiadomo jeszcze, czy w ogóle się uda to zorganizować – wtrącił Andrew. – Moi rodzice mogą wrócić wcześniej.

Kiedy to mówił, wykrzywił twarz w dziwnym grymasie. Przyglądając się jego minie, Abby nie mogła się zorientować, czy perspektywa odwołania imprezy martwi go, czy może sprawia mu ulgę.

Chuck dał chłopakowi silnego kuksańca.

– Wybaczcie mojemu koledze. Ma kiepski tydzień. No dobra, panienki, umówmy się tak: impreza się odbędzie, chyba że poinformuję was, że odwołujemy.

Po tych słowach odwrócił się i ruszył tam, skąd przyszedł. Wszyscy jego koledzy podążyli za nim.

Kiedy znaleźli się poza zasięgiem słuchu, Lisa kurczowo uczepiła się ramienia Abby.

– Nie wierzę. Czy to wydarzyło się naprawdę?

– Na to wygląda – roześmiała się Abby.

Lisa promieniała.

– Nie mogę się doczekać, aż powiem o tym Bridget! Pewnie zzielenieje z zazdrości. Kiedy była w moim wieku, nigdy nikt nie zaprosił jej na imprezę starszego rocznika – szczebiotała, przewracając oczami. – Jej zdaniem to dlatego, że kiedyś była przy kości.

– Nie przypominam sobie, żeby Bridget kiedykolwiek miała problem z nadwagą – stwierdziła z niedowierzaniem Abby.

– No właśnie – przyznała Lisa, rysując sobie niewidzialne kółko na czole. – Totalna wariatka. Założę się, że chłopaki po prostu nie mieli śmiałości do niej zagadać. Ale wracając do rzeczy, to takie ekscytujące! Zaprosili nas tylko dlatego, że znalazłaś się na liście. Abby, nawet nie wiesz, jaka ze mnie szczęściara, że jesteś moją przyjaciółką.

– Dzięki, to naprawdę wiele dla mnie znaczy.

Po chwili rozległ się dzwonek na lekcje i dziewczynki spieszenie ruszyły do szkoły. Abby z zadowoleniem zauważyła, że na ścianach nadal wisi kilka egzemplarzy listy. Pani Colby kazała woźnym ściągnąć wszystkie kopie, ale najwyraźniej im się nie chciało.

Całe szczęście, że podczas wczorajszego spotkania w gabinecie dyrektorki nikt nie wyspał osoby, która tego roku przygotowała listę. Abby nie chciałaby, żeby ten, komu zawdzięcza to wyróżnienie, miał teraz kłopoty z tego powodu. Jeśli innym ludziom było przykro z powodu listy, trudno.

W pewnym momencie zauważyła Fern, która stała niedaleko szkolnej fontanny w otoczeniu swoich znajomych. Nagle Abby poczuła przemożną chęć opowiedzenia siostrze o propozycji chłopaków i zaproszenia jej też na imprezę. W końcu Chuck dał im wolną rękę, powiedział, że mogą przyprowadzić, kogo tylko zechcą. Może to dobra okazja, żeby jakoś zatrzeć złe wrażenie po spięciu w samochodzie.

Abby podeszła do siostry i czekała cierpliwie, aż ta ją zauważy.

Potrwało to dłuższą chwilę.

– Słucham? – odezwała się w końcu Fern, odwracając w jej stronę głowę.

– Zgadnij, co się stało.

– Co takiego?

– Zostałam zaproszona na imprezę po balu.

– Aha – odparła beznamiętnym tonem Fern. – Moje gratulacje.

Chwilę później skupiła uwagę z powrotem na swoich znajomych. Abby domyślała się, że w ten niezbyt subtelny sposób siostra daje jej do zrozumienia, żeby nie zawracała jej dłuższej głowy. Mimo to mówiła dalej:

– I chłopcy powiedzieli, że mogę przyprowadzić, kogo chcę. Wiem, że planujesz iść do kina, ale pomyślałam, że może zajrzałybyś na imprezę już po seansie. Mogłabym podpytać Chucka, pod jakim adresem mieszka Andrew, i dać ci...

– Chwileczkę – weszła jej w słowo Fern, w końcu odwracając się do siostry.
– Co to za impreza? Kto ją urządza?

– Chuck i paru chłopaków z drugiej klasy. Rodzice tego chłopaka, Andrew, wyjeżdżają i impreza będzie u niego w domu – wyjaśniła Abby.

Przez chwilę rozważała w myślach, czy powiedzieć też o piwie, które planują kupić chłopaki, ale uznała, że lepiej będzie, jeśli zachowa tę informację dla siebie. Akurat w przypadku Fern piwo to żaden argument.

Siostra zaśmiała się wyniośle.

– Abby, przecież ja chodzę do trzeciej klasy. Po co miałabym iść na imprezę dla drugoklasistów?

Po tych słowach zrobiła głupią minę, spoglądając na swych znajomych, na co oni zareagowali śmiechem.

Abby nagle zrobiło się gorąco. Ściągnęła szybko szalik z szyi.

– Jak chcesz. Bez łaski. Chciałam tylko być miłą.

Odchodząc, przygryzała wargę, by powstrzymać się przed wygarnięciem siostrze prosto w twarz, że ani Fern, ani jej znajomi i tak nigdy nie mogą liczyć na to, że zostaną zaproszeni na imprezę trzecioklasistów. Tak samo jak nikt nie zapraszał ich w drugiej klasie. Zamiast tego jednak, przystanęła tylko i podciągnęła podkolanówki, które ciągle zsuwały się jej z nóg.

ROZDZIAŁ 12

Musiałoby upłynąć sporo czasu, nim Sara odnalazła swój stary rower. Stał na tyłach garażu, przykryty brudną, kwiecistą koszulą ojca, którą zakładał do grabienia liści na podwórzu. Przy jednym z kół zauważyła doczepioną kartę do gry – wpleciona między szprychy, podczas jazdy wydawała przyjemny dźwięk. Sara przypomniała sobie, kiedy ostatni raz jechała na rowerze. Pedalowała zawzięcie, byle jak najszybciej znaleźć się daleko od grupki dziewczyn, z którymi zadawała się w pierwszej klasie. Do oczu cisnęły się jej łzy, bo znów, tysięczny już raz, okazało się, że nie wie o czymś, o czym wiedzieć powinna.

– Dlaczego nie możesz być po prostu normalna? – zastanawiały się głośno jej ówczesne „przyjaciółki”. Wszystkie jak jeden mąż zareagowały zdumieniem, kiedy Sara zjawiała się na potańcówce spocona jak ruda mysz, ponieważ przyjechała na rowerze. A przecież one też przez całe lato jeździły ciągle na rowerach! Nie pierwszy już raz dziewczyny, z którymi się spotykała, robiły jej tego typu wymówki. Słyszała je bez przerwy od początku gimnazjum. Ciągle przypomniano jej, że wszystko robi na opak.

Nie wyjęła karty spośród szprych. Kiedy wyjechała spod domu i minęła przystanek autobusowy, pełen dzieciaków wybierających się do szkoły, karta trzepotała między szprychami. Jadąc, Sara przenosiła ciężar ciała z jednej strony na drugą, z całej siły naciskając pedały. Ich powierzchnia była ząbkowana i dziewczyna czuła, jak metalowe rowki wbijają się w podeszwy jej wysłużonych tenisówek. Szwy czarnych dżinsów wpijały się boleśnie w wewnętrzną stronę ud. Po każdym naciśnięciu pedału Sara czuła, jak obcierają ją do krwi. W pewnym momencie odkrztusiła nieco flegmy i plunęła na jezdnię.

Cholerne papierosy.

Jej stary rower był w jeszcze gorszej kondycji niż ona sama. Poza tym był już na nią za mały i kolanami uderzała w kierownicę, z której zwisały się smętne plastikowe wstążki przywodzące na myśl niedogotowany makaron. Łańcuch wymagał smarowania, tylna opona miała flaka, a hamulce nie działały tak, jak powinny.

Wszystko to nie miało jednak znaczenia, ponieważ Sara postanowiła, że do końca tygodnia nie będzie dojeżdżała do Mount Washington autobusem. Uknęła niedawno plan, genialny i diaboliczny plan. Najwyraźniej do wszystkich tych geniuszek z Mount Washington dotarło wreszcie, że Sara Singer nie ma zamiaru sprostać ich kanonom piękna. Co się stanie, gdy będzie za to próbowała być celowo brzydka, tak jak sugerowała to lista? Co będzie, jeśli stanie się tak brzydka, jak to tylko możliwe? Tak bardzo, że inne dziewczyny nie będą mogły odwrócić wzroku od jej szpetoty.

Dyrektorka Colby powinna być z siebie dumna – to ona nieświadomie podsunęła jej ten pomysł.

* * *

Kiedy pani Colby zaczepiła ją na korytarzu i wręczyła jej zawiadomienie o spotkaniu w gabinecie, Sara zdążyła już zapomnieć, że paraduje po szkole z napisem na czole. Dyrektorka momentalnie jednak go zauważyła i odruchowo wyciągnęła rękę, żeby odgarnąć jej włosy z twarzy. W ostatniej chwili powstrzymała się i założyła ręce do tyłu, splatając dłonie na plecach.

– Saro, kto ci to napisał na czole? – spytała głosem, w którym pobrzmiwał niepokój i smutek.

Dziewczyna wykrzywiła twarz. Czyżby dyrektorka naprawdę sądziła, że ktoś ją skrępował, unieruchomił jej ręce i nogi, i umieścił napis na czole wbrew jej woli? Litości!

– Sama to zrobiłam – wyjaśniła z dumą.

Na twarzy pani Colby pojawił się nerwowy, enigmatyczny uśmiech. Spoglądała na uczennicę takim wzrokiem, jakby Sara odezwała się do niej w jakimś niezrozumiałym języku.

– Ludzie wcale nie postrzegają cię w taki sposób.

Sara przeczytała treść zawiadomienia, które podała jej dyrektorka, po czym stwierdziła:

– Może pani jeszcze tego nie zauważyła, ale tutaj wszyscy myślą w taki sam sposób, jakby mieli jeden mózg. To przypomina jakąś wielką sektę. Każdy musi pić napój gazowany tej samej marki i myśleć to samo co reszta.

Pani Colby westchnęła głucho.

– Proszę, żebyś starła ten napis, zanim przyjdiesz na spotkanie w moim gabinecie.

– Napisałam to niezmywalnym markerem – oznajmiła Sara. – Poza tym nie wybieram się na to spotkanie.

– Jest obowiązkowe. A ten twój napis na czole będzie rozpraszał pozostałe dziewczyny. Poza tym nie zgadzam się z tym, co o sobie napisałaś.

Sara zmrużyła podejrzliwie oczy. Dyrektorka coś za bardzo się starała. Może naczytała się latem za dużo podręczników typu *Jak-być-skuteczną-dyrektorką*. W sumie chyba nawet wolałaby, żeby dalej pracował w szkole dyrektor Weyland, który po zakończeniu ostatniego roku szkolnego odszedł na emeryturę. Weyland miał miliard lat i sprawował w szkole iście dyktatorskie rządy. Nie miał o niczym pojęcia, ale przynajmniej nie próbował za wszelką cenę wchodzić w komitywę z uczniami. Nie do wiary, że pozwolono, by jego miejsce zajął ktoś taki jak pani Colby. Może była w typie starego Weylanda i dlatego dostała tę pracę? Dyrektorka była kobietą atrakcyjną w nudny, nijaki sposób, do którego aspirowały wszystkie

uczennice Mount Washington. Sara miała absolutną pewność, że w rzeczywistości pani Colby jest fałszywa i uważa, że jej naszyjniki, kolczyk w nosie oraz dziwaczna fryzura są zwyczajnie brzydkie.

Dziewczyna zaczesła palcami włosy na twarz, tak że napis na czole utonął w nich.

– Jak pani sobie życzy – powiedziała. – Nie będzie żadnego rozpraszania.

Dyrektorka przechyliła głowę na bok, a po chwili podjęła jeszcze jedną próbę.

– Wiem, że jest ci smutno, Sara. To zupełnie zrozumiałe, że...

– Wcale nie jest mi smutno – przerwała jej uczennica.

Kobieta zaczynała tracić cierpliwość. Sara zauważyła, że jej policzki zapłonęły rumieńcem, widocznym nawet pod mocnym makijażem.

– No dobrze... Jest oczywiste, że lista budzi w tobie silne emocje. I doceniam, że próbujesz coś w ten sposób powiedzieć. Nie rozumiem tylko, jak dyrektor Weyland mógł przez tak długi czas pozwalać, by w szkole trwała ta tradycja – rzekła pani Colby. Jej ostatnie stwierdzenie było dla Sary sporym zaskoczeniem. Nauczyciele nigdy nie obgadywali się nawzajem przy uczniach. W każdym razie ona nigdy się z tym nie zetknęła. – Byłoby wspaniale, gdybyś zmotywowała pozostałe dziewczynki do zajęcia stanowiska w tej sprawie. W ten sposób mogłybyśmy dopilnować, by nic podobnego nie spotkało za rok kolejnych dziewczyn.

Sara z trudem stłumiła śmiech. Dyrektorka Colby najwyraźniej łudziła się, że zdoła powstrzymać ludzi przed tworzeniem listy. I że ona zechce jej w tym pomóc.

– Nic mnie nie obchodzą pozostałe dziewczyny z listy – oznajmiła buńczucznie. – Nie obchodzi mnie, czy lista będzie tworzona już zawsze. Prawdę mówiąc, mam nadzieję, że tak właśnie będzie! Niesamowite, że ludzie tak bardzo się nią przejmują. Ale skoro tak jest, po co im to odbierać?

– Marsz do łazienki i zmaż ten napis z czoła – poleciła wyprowadzona z równowagi dyrektorka, marszcząc groźnie brwi. – To moje ostatnie słowo.

Sara wpadła jak burza do łazienki, chwyciła papierowy ręcznik i namoczyła go pod kranem. O co chodzi tej kobiecie? Jaka jest różnica między listą a jesiennym balem? Obie tradycje to tylko konkursy piękności dla kretynów, tyle że jeden zwyczaj jest usankcjonowany przez szkołę, a drugi nie.

Przetarła ręcznikiem czoło. Oczywiście niewiele to pomogło – napis był teraz tylko nieco jaśniejszy niż dotychczas. Najtańszy płyn do mycia rąk w podajniku nie mógł sobie poradzić z niezmywalnym markerem. Parę kropel wpadło jej do oczu i zaczęło szczypać. No super. Po prostu zajefajnie. Usiadła na posadzce łazienki i tarła oczy, próbując usunąć z nich piekący płyn. Gdyby ktoś ją tu teraz zobaczył, pomyślałby, że płakała.

Najwyraźniej będzie mogła zmyć ten napis dopiero, gdy wróci do domu.

A nazajutrz przyjdzie do szkoły i będzie udawała, że nic się nie stało.

I właśnie wtedy ją olśniło. Wpadła na pomysł, co musi zrobić, żeby jej bunt osiągnął kolejny poziom. Dowiedzie wszystkim uczniom, w jak wielkim poważaniu ma ich opinie i ich zasady. Przez zbyt długi czas kładła uszy po sobie i pozwalała, by wszystko uchodziło im na sucho. A najpiękniejsze w tym pomysłe było to, że jeśli zdoła go zrealizować, zepsuje przy okazji również potańcówkę. To będzie mistrzostwo świata, pokaże wszystkim, jaką jest twardzielką.

* * *

Sara skręciła w lewo i po chwili zatrzymała się u podnóża wysokiego wzgórza. Nie kojarzyła tego miejsca. A może wzgórze wydawało się znacznie niższe, kiedy pokonywała tę drogę autobusem. Z miejsca, gdzie stała, nie było widać zabudowań szkoły Mount Washington, która powinna znajdować się na grzbiecie wzniesienia. Przed oczami dziewczyny rozciągał się tylko niekończący się pas asfaltu, który, jak się zdawało, sięgał pod samo niebo.

Pedałowała, ile sił w nogach, balansując całym ciałem na boki, żeby szybciej nabrać prędkości. Kiedy pokonała połowę drogi na szczyt, poruszała się już tak wolno, że z trudem utrzymywała rower w pionie. Wehikuł kołysał się na boki, zjeżdżając na środek jezdni, i wkrótce za plecami Sary utworzyła się kolejka samochodów i szkolnych autobusów. Jechała samym środkiem ulicy, tak że kilka nadjeżdżających z naprzeciwka pojazdów musiało zjechać na krawężnik, żeby ją przepuścić.

Była jednak zdeterminowana. Jesienne chłodne powietrze szczypało ją w czubki uszu. Spod kół roweru wystrzeliwały zeschnięte liście zaścielające asfalt. W końcu dziewczyna stanęła prosto na pedałach, wkładając w jazdę całą siłę, jaka jej jeszcze została. Koszulkę miała już mokrą od potu.

Koszulkę Milo, przypomniała sobie.

A zresztą co za różnica? To ta sama, którą założyła do szkoły wczoraj.

Kiedy wreszcie dotarła na teren szkoły, zastała Milo na ich ławce. Machnął jej na powitanie i zawołał:

– Hej, fajny rower! – Jego spojrzenie powędrowało ku czołu Sary. – Cóż, wygląda na to, że nie bez powodu nazywają te markery niezmywalnymi.

– Chyba tak – wydusiła z siebie.

Była tak bardzo zdyszana, że mówienie przychodziło jej z największym trudem.

Chwyciła brzeżek T-shirta i uniosła go do czoła, żeby wytrzeć pot. Uważała przy tym, żeby przy okazji nie zetrzeć napisu. Nadal tam był, może odrobinę jaśniejszy niż wczoraj, tym niemniej wyraźnie widoczny.

– Znowu założyłaś moją koszulkę?

– A co, będziesz mnie teraz rozliczał z tego, jak się ubieram? – odparła

provokacyjnie. Przez chwilę szukała po kieszeniach papierosów, ale w końcu uznała, że to kiepski pomysł. Smród tytoniu mógłby przytępić jej naturalny zapach. Będzie musiała rzucić palenie jeszcze w tym tygodniu. – Tak, to twój T-shirt.

Usiadła na drugim brzegu ławki i podciągnęła kolana pod brodę. Całe nogi miała obolałe, czuła też skurcze po wysiłku, jakiego wymagało wjechanie na wzgórze.

Na twarzy Milo odmalowało się zdziwienie. Jego oczy ukryte za szklami okularów stały się odrobinę zezowate, kiedy je zmrużył.

– Dlaczego nosisz tę koszulkę, skoro, jak twierdzisz, nie znosisz mnie? – spytał. Po chwili sięgnął do plecaka i wyciągnął z niego jakiś czarny ciuch złożony w kostkę. – A tak przy okazji, masz tu swoją. Jest wyprana.

Zabawne, że czasami ten chłopak umiał być tak bardzo bezpośredni. W takich momentach jego nieśmiałość znikwała bez śladu.

Sara nie powiedziała mu jeszcze wprost, że chce się rozstać. Ostatnio zbyt wiele się działo, zwłaszcza wczoraj. A w ogóle dlaczego to ona ma to zrobić? Czemu to ona musi brać odpowiedzialność za rozstanie, skoro sama nie zrobiła nic złego? Czemu jemu wszystko ma ująć płazem?

Zanim się odezwała, uniosła głowę kilka centymetrów wyżej.

– Postanowiłam, że przez cały tydzień nie będę się myć.

– Serio?

– Owszem. Nie biorę prysznicza, nie myję zębów, nie używam dezodorantu. Będę do końca tygodnia ubierać się w te same ciuchy, nie tylko koszulkę, ale też dżinsy, skarpetki, majtki, stanik. Ostatni raz pod prysznicem byłam w niedzielę wieczorem, zanim poszłam do ciebie. Jakikolwiek zabiegi higieniczne wykonam dopiero po sobotnim wieczorze.

Dobrze było wypowiedzieć plan na głos. Teraz nie mogła się już wycofać.

– A co takiego jest w sobotę wieczorem?

– Potańcówka – wyjaśniła. Zabrzmiało to zapewne totalnie absurdalnie, ale udało jej się zachować kamienną twarz. – Zamierzam pójść na nią śmierzdząca i obrzydliwie brudna. Założę te same ciuchy co teraz.

Milo zaniósł się śmiechem, jednak kiedy się zorientował, że Sara się nie śmieje, szybko spoważniał.

– Zaraz, zaraz. Chyba nie mówisz poważnie?

– Owszem, poważnie.

– Czemu aż tak się przejmujesz tą głupią listą? Nie cierpisz, całkiem zresztą słusznie, tych wszystkich dziewczyn. A teraz się okazuje, że wybierasz się na ich kretyńską potańcówkę. To totalnie do ciebie niepodobne.

Sara w zamyśleniu bawiła się wstążkami przyczepionymi do kierownicy roweru, próbując je rozplątać. Oto był najlepszy dowód, że Milo nic nie kuma. Zresztą nigdy jej nie rozumiał. A ona nie miała teraz najmniejszej ochoty strzepić

na darmo języka, tłumacząc coś komuś, kto i tak nic z tego nie pojmie.

– Słuchaj, nie ma o czym mówić. Postanowiłam już i wdrażam swój plan w życie.

– No to może pozwolisz mi pójść ze sobą? – spytał, wzruszając ramionami.

Zmierzyła go spojrzeniem.

– Nawet nie próbuj...

– Może być fajnie – zauważył, a jego twarz rozjaśnił promienny uśmiech.

– Założę krawat. Załatwię nawet specjalny bukiet na nadgarstek.

Gotowość Milo, by dotrzymać Sarze towarzystwa na balu, wydała się jej podejrzana. Dziewczyna szybko jednak stłumiła w sobie zdziwienie. W gruncie rzeczy to całkowicie zrozumiała reakcja w świetle tego, czego się o nim dowiedziała.

– A zatem jesteśmy umówieni na randkę?

Sara potrząsnęła głową skonsternowana.

– Jeśli randka oznacza dla ciebie, że zjawimy się oboje w tym samym miejscu o tej samej porze, to jasne: idziemy na randkę. Ale nie waż się przynosić mi żadnego bukietu!

Rozległ się dzwonek na lekcję. To wszystko zaczynało zakrawać na jakieś totalne szaleństwo. Gdyby parę dni temu ktoś jej powiedział, że pójdzie na jesienny bal, uznałaby, że ów ktoś ma nierówno pod sufitem. A teraz wybierała się na tę imprezę, w dodatku z chłopakiem. Oczywiście za nic by się do tego nie przyznała, jednak prawda była taka, że ta perspektywa budziła w niej pewną ekscytację, tym bardziej obrzydliwą, że całkowicie banalną i przyziemną.

Kiedy oboje ruszyli do szkoły, przyglądała się twarzom mijanych uczniów. Najwyraźniej nikt nie zauważył, że przyszła w tych samych ciuchach co wczoraj. Trochę niefajnie.

Aż nagle, zupełnie bez uprzedzenia, Milo wziął ją za rękę gestem tak naturalnym, jakby robili to zawsze. Co oczywiście nie było prawdą.

Sara nie cofnęła dłoni, mimo że w pierwszym odruchu chciała to zrobić. Wiedziała, że niedługo będzie żałować, że jednak tego nie uczyniła. W tym momencie poczuła jednak, że w Milo kryje się chłopak, za którego z początku go brała. Było to bardzo przyjemne uczucie. Chciałaby, żeby potrawało dłużej.

ROZDZIAŁ 13

Ciekawe, czy pan Farber odezwie się dziś do mnie – zastanowiła się na głos pani Finn, odwracając się, żeby sprawdzić, czy może bezpiecznie zmienić pas. – Mam nadzieję, że jest na tyle porządny, żeby poinformować mnie, że nie dostanę tej pracy. Niektórych ludzi na to nie stać. To okrutne z ich strony, nie sądzisz?

– No tak.

Beznamiętny ton Lauren nie zabrzmiał niezbyt przekonująco, bo tak naprawdę dziewczyna niezbyt uważnie słuchała, o czym mówi jej matka. Przyglądała się odwrotowi listy, którą włożyła między kartki zeszytu do historii powszechnej.

Wczoraj poznała sporo osób. Parę dziewczyn podeszło do sprawy dość formalnie – przedstawiając się, podały nie tylko swoje imiona, ale też nazwiska. Inne przyjęły odmienną strategię – kiedy Lauren szła korytarzem, podchodziły do niej, obejmowały ją ramieniem i wdawały się z nią w rozmowę na tematy, które powinny być zarezerwowane dla dobrych przyjaciółek. Opowiadały o swoich bólach miesięczkowych, plotkowały na temat nieznanych jej jeszcze osób, wyznawały, w którym chłopaku się zadurzyły.

Lauren starała się nie pogubić w tych wszystkich nowych twarzach. Wszystkie poznawane osoby zapisywała na odwrocie listy. Wypisywała imiona w słupku, poprzedzając każdą pozycję rysunkiem pięciolistnego kwiatka. Za kwiatkiem i imieniem umieszczała krótki opis wyglądu danej osoby. Z początku podobało jej się, jak strona przemieniała się w ogród pełen kwitnących na wiosnę kwiatów, jednak pod koniec dnia zapisanych osób było już tak wiele, że odróżnienie ich od siebie okazało się praktycznie niemożliwe. Ogród imion rozrósł się w gęstą dżunglę. I właśnie to zaprzętało jej myśli, kiedy za przednią szybą samochodu ukazały się zabudowania Washington High.

– Masz dziś sprawdzian z historii? – zainteresowała się pani Finn, próbując zajrzeć do zeszytu córki. – Nic mi o tym nie mówiłaś. Mogłyśmy się wczoraj pouczyć razem.

Lauren natychmiast zamknęła zeszyt i zacisnęła palce na jego grzbiecie.

– Nie. Po prostu mam przeczucie, że nauczycielka może nam dziś zrobić niezapowiedzianą kartkówkę.

Oczywiście nie wspomniała mamie ani słowem o liście.

Wiedziała, że nie byłaby zachwycona z tego powodu. To właśnie przed tego typu sprawami chciała chronić córkę, zapewniając jej naukę w domu.

Był też inny powód, dla którego nie rozmawiały o tym, co się stało. Przez cały wieczór analizowały w najdrobniejszych szczegółach przebieg rozmowy kwalifikacyjnej pani Finn. Matka była przekonana, że nie dostanie pracy, o którą

się starała. Lauren natomiast próbowała ją przekonać, że na pewno świetnie się spisała. Równocześnie jednak po cichu zamartwiała się, co będzie, jeśli mama faktycznie nie dostanie tej posady.

Kiedy matka jest równocześnie twoją najlepszą przyjaciółką, bywa ciężko, pomyślała.

Pani Finn przywołała na usta blady uśmiech.

– Szkoda, że musisz iść dziś do szkoły. Będę tkwiła sama w domu i zadręczała się domysłami, co będzie z moim zatrudnieniem – powiedziała, a po chwili dodała: – Mam pomysł! Może skoczmy na naleśniki? Niedaleko jest bar, do którego twój dziadek zabierał mnie co niedzielę. Serwują tam przepyszne naleśniki. Mogłabym napisać ci zwolnienie. Wyjaśniłabym w nim, że masz na dzisiaj umówioną wizytę u lekarza.

Naleśniki oczywiście były nęcącą perspektywą, jednak w gruncie rzeczy Lauren nie mogła się doczekać, aż znów znajdzie się w szkole. Pierwszy raz w życiu tak się czuła.

– Przepraszam, mamusiu, ale nie mogę. Ta kartkówka może wypaść na pierwszej lekcji.

– W porządku, rozumiem.

– Jeśli będziesz się nudzić, możesz zająć się rozpakowywaniem reszty rzeczy po przeprowadzce – zasugerowała dziewczyna.

Od chwili, gdy przeniosły się do Mount Washington, upłynęły już niemal dwa miesiące, mimo to większość ich rzeczy nadal tkwiła w pudłach.

– Najpierw muszę mieć pewność, że faktycznie zostaniemy tu na stałe. Kto wie, jeśli nie dostanę tej posady, może będziemy zmuszone sprzedać dom.

– Mamusiu, na pewno cię przyjmą do pracy. Wiem o tym – zapewniła Lauren, licząc, że wywoła tym uśmiech matki.

Twarz pani Finn zachowała jednak kamienny wyraz. Zamiast tego obrzuciła córkę dziwnym spojrzeniem, jakby ta powiedziała coś całkowicie niestosownego.

Gdy tylko podjechały pod szkołę i Lauren wysiadła z samochodu, momentalnie zauważyła, że inne dzieciaki zwracają na nią uwagę. W pewnym sensie lista była dla niej niczym akt urodzenia – stanowiła formalne potwierdzenie, że istnieje i uczęszcza do liceum Mount Washington. Obróciła się, żeby sprawdzić, czy matka tego nie widzi. Na szczęście pani Finn spoglądała już w boczne lusterko.

Lauren poszła do klasy, gdzie miała się odbyć godzina wychowawcza. Usiadła w ławce i jeszcze raz pochyliła się nad zapiskami na odwrocie listy. Próbowała skupić się na zapamiętaniu imion tylko tych dziewczyn, które sprawiały wrażenie, jakby były najbardziej zainteresowane zawarciem z nią znajomości.

I rzeczywiście po dłuższej chwili koleżanki zaczęły po kolei wchodzić do klasy i zajmować miejsca jak najbliżej niej. Inne stanęły nieopodal i przyglądały się jej z uśmiechem, jakby była słodkim niemowlakiem, którego wspólnie adoptowały.

Wszystkie sprawiały wrażenie, jakby były zachwycone jej niewinnością. Spoglądały po sobie z zadowoleniem, milcząco komentując to, co w osobie Lauren wykraczało poza normę – fakt, że nie była umalowana; brązowy papier, w który oprawiła podręczniki; klamrę, którą spięła włosy, żeby nie opadały jej na twarz.

Dziewczyna poczuła, jak krew napływa jej do twarzy. Zrobiło jej się gorąco, była lekko oszołomiona.

Wreszcie ruszyła lawina pytań.

– Mieszkasz w Mount Washington przez całe życie?

– Nie – odparła Lauren, kiedy już wyszukała w tłumie twarz dziewczynki, która zadała to pytanie. – Wcześniej mieszkaliśmy z mamą na zachodzie kraju. Przeprowadziłyśmy się tutaj po tym, jak zmarł mój dziadek.

– Twoi rodzice są ze sobą?

Lauren odwróciła się do dziewczynki, która opierała się o ławkę stojącą po prawej stronie.

– Nie, mieszkamy tylko we dwie.

– A gdzie jest twój tata? – zainteresowała się dziewczyna oparta o tablicę z ogłoszeniami.

– Umarł, kiedy byłam jeszcze małą.

– Ojej. To takie smutne – dobiegł ją czyjś głos zza pleców. Wszystkie koleżanki ponuro przytaknęły.

– Był znacznie starszy od mojej mamy.

Lauren wyczuwała, że dziewczyny bardzo chcą ją poznać. Starła się sprostać wyzwaniu, udzielając odpowiedzi tak szybko, jak tylko mogła. Ze sposobu, w jaki się ze sobą porozumiewały – skinięć głową, wymownych spojrzeń i posyłanych sobie uśmiechów – domyślała się, że większość z nich zna się praktycznie od zawsze. Przez ostatnie kilka tygodni obserwowała je z boku: na przerwach zawsze trzymały się razem i chodziły pod rękę korytarzami. Chciałaby stać się częścią ich wspólnoty. Miała wrażenie, że ominęła ją cała wieczność, którą one spędziły ze sobą, i że teraz musi jakoś nadgonić stracony czas.

Wolałaby jednak, żeby ta rozmowa nie była tak jednostronna. Ona też chciałaby dowiedzieć się o nich różnych rzeczy. Dziewczyny jednak nadal zasypywały ją pytaniami.

– A co najbardziej lubisz robić?

– Hm, sama nie wiem. Czytać? Tak, lubię czytać.

– A masz chłopaka?

– Paru gości prosiło, żebyśmy cię o to spytały – wyjaśniła jedna z dziewczyn z przebiegłym uśmiechem, wywołując wesołość pozostałych.

– Nigdy nie miałam chłopaka – wyjaśniła Lauren, potrząsając głową. – Tak naprawdę... nigdy się nawet z żadnym nie całowałam.

Jak tylko wypowiedziała te słowa, dotarło do niej, że w rzeczywistości ich

adresatami wcale nie są tylko dziewczyny, które otoczyły ją teraz wianuszkami. Wszystkie jej odpowiedzi zostaną powtórzone innym osobom, których nawet nie zna.

– Nigdy? – rozległ się zbiorowy pisk, wyrażający równocześnie oburzenie i zachwyty.

Kilka dziewcząt przysunęło się bliżej jej ławki, jakby obudziła się w nich instynktowna potrzeba chronienia jej. Nie mogła sobie przypomnieć imienia ani jednej z nich.

– Najwyższy czas temu zaradzić – odezwała się jedna z nich. Mówiła do koleżanek, jednak spojrzenie miała utkwione w Lauren. – Założę się, że znajdzie chłopaka jeszcze przed bale.

Dziewczyna poczuła, jak oblewa się rumieńcem. Jakoś nie chciało jej się wierzyć, żeby to było możliwe.

– No nie wiem – wydukała.

– A kupiłaś już bilet na bal?

– Nie.

– Ale wybierasz się, prawda?

– Chyba tak – przyznała niepewnie, choć tak naprawdę w ogóle wcześniej o tym nie myślała. Poza tym będzie musiała poprosić o pozwolenie matkę, więc to jeszcze nic pewnego.

– Super. W takim razie pomożesz nam w przygotowaniach do Karawany Entuzjastów, która odbędzie się przy okazji parady przed meczem. Polega to na tym, że wszyscy dekorują swoje samochody i robią nimi objazd po mieście, trochę tak jak podczas parady przed rozpoczęciem dorosłych rozgrywek futbolowych. Mieszkańcy wychodzą przed domy, żeby nas podziwiać. To naprawdę fajna sprawa.

– Z przyjemnością wam pomogę – zapewniła Lauren.

To będzie niesamowicie ekscytujące: przejechać się samochodem razem z dziewczynami, które być może staną się jej prawdziwymi przyjaciółkami. Nagle licealna rzeczywistość, wbrew temu, co jej mówiono, zaczęła dorównywać jej wyobrażeniom na temat tego, jak mogłaby wyglądać nauka w szkole.

Jedna z dziewcząt przechyliła lekko głowę i odezwała się żartobliwym tonem:

– Pewnie masz wrażenie, że to totalne szaleństwo. W jednej chwili jesteś zupełnie niewidzialna, a już w następnej wszyscy cię kojarzą.

– Od początku wydawałaś mi się w porządku – odezwała się inna. – Sama nie wiem, czemu nigdy do ciebie nie zagadałam.

– Ja tak samo – przyznała inna.

– To po części moja wina – stwierdziła Lauren. – Przecież ja też z własnej inicjatywy nie próbowałam z wami porozmawiać. Jestem bardzo nieśmiała.

Omiotła spojrzeniem wszystkie dziewczyny i właśnie wtedy zauważyła w drzwiach przechodzącą korytarzem Candace – dawniej przywódczynię tej grupy. Dziewczyna, mijając drzwi klasy, zerknęła do środka. W jej spojrzeniu było coś dziwnego, jakby równocześnie patrzyła i nie chciała nic widzieć. Żadna z dziewczyn nie zauważyła jej pojawienia się. Całą ich uwagę pochłaniała nowa koleżanka.

– Współczuję Candace – powiedziała cicho Lauren. – Wczoraj sprawiała wrażenie bardzo przygnębionej.

Wydawało się jej, że to właśnie Candace była najbardziej przytłoczona spośród wszystkich dziewczyn, które stawily się na rozmowę w gabinecie dyrektorki.

Jedna z dziewczyn w otaczającym ją wianuszkę jęknęła przeciągle.

– Daj spokój, nie przejmuj się nią.

– Dlaczego?

– Bo Candace jest zła do szpiku kości! – zawołała inna, a wszystkie pozostałe poważnie pokiwały głowami.

– Zaraz, zaraz – zastanowiła się Lauren. – Przecież wszystkie się z nią przyjaźnicie, prawda?

– Tak, przyjaźnimy się – przyznała któraś. – Na razie...

– Candace sama jest sobie winna, wiesz?

– Wiele rzeczy uchodziło jej płazem, dlatego że jest... no wiesz... taka ładniutka – wyjaśniła jedna z dziewczyn. – To nie w porządku.

– Mówiła paskudne rzeczy o wielu ludziach. – Lauren odniosła wrażenie, że dziewczyna, która to powiedziała, wypatruje na jej twarzy jakiejś reakcji. Kiedy się nie doczekała, dodała: – O tobie też.

Lauren myślami przebiegła ostatnie cztery tygodnie w szkole. Próbowwała wtopić się w tłum, jednak nie uniknęła kilku potknięć. Kiedy w deszczowy dzień przyszła do szkoły w wodoodpornych ciężkich butach do górskich wędrówek, kilka osób spoglądało na nią jak na wariatkę. Poza tym ubierała się w bardzo prostym i stonowanym stylu, nic wymyślnego. Włosy miała o kilka centymetrów dłuższe niż uczennice Mount Washington. No i czesała się na bok, spinając włosy zaśniedziałą starą kłamrą.

Uniosła teraz rękę i bez słowa wypięła spinkę z włosów. Jest tyle rzeczy, których musi się jeszcze nauczyć. Spraw, o których nie wie albo o których matka nigdy nie chciała jej powiedzieć.

Po zakończeniu godziny wychowawczej Lauren nadal nie opuszczała myśl, że powinna spróbować porozmawiać z Candace. Zawieranie nowych przyjaźni było cudowne i niesamowicie ekscytujące, ale nie chciała równocześnie robić sobie wrogów.

Kiedy zobaczyła, że Candace znika w damskiej toalecie, ruszyła za nią.

– Cześć – rzuciła na powitanie. – Mam na imię Lauren.

– Wiem, jak masz na imię – odburknęła Candace, po czym przeszła do kabiny i zamknęła za sobą drzwi.

– Chciałam... – zaczęła Lauren, splatając ręce. – Chciałam powiedzieć ci, że jest mi przykro z powodu tego, co się wczoraj stało. Nie zasługujesz, by ktokolwiek nazywał cię brzydką.

Po chwili z wnętrza kabiny dobiegł szum spuszczonej w klozecie wody, mimo że wcześniej Lauren nie usłyszała, by Candace zrobiła siku. Drzwi się otworzyły i dziewczyna ruszyła do umywalki, żeby umyć ręce. Ani przez moment nie zaszczyciła Lauren spojrzeniem.

– Wiem, że nie zasługuję – mruknęła.

Było jasne, że jest jej smutno. Lauren wcale jej się zresztą nie dziwiła. Być może zagadywanie do niej to błąd, jednak czuła dzięki temu pewną ulgę.

– I przykro mi, że twoje przyjaciółki nie chcą z tobą rozmawiać. Jestem pewna, że niedługo im przejdzie.

Candace parsknęła w odpowiedzi śmiechem, a Lauren przeszły ciarki. W sumie nie miała przecież pojęcia, co tak naprawdę dzieje się między tymi wszystkimi dziewczynami. Nie znała ich i nie wiedziała, jak wyglądają koleżeńskie relacje w liceum.

– No tak. Chciałam ci po prostu o tym powiedzieć.

Była już prawie przy samych drzwiach, gdy Candace zawołała:

– Zdajesz sobie sprawę, że wszyscy nagle stali się dla ciebie mili tylko dlatego, że znalazłaś się na liście, prawda?

Tym razem to Lauren nie miała ochoty odpowiadać. Oczywiście wiedziała, że tak właśnie jest. Ale równocześnie nic ją to nie obchodziło. Liczyło się tylko to, że ludzie rzeczywiście stali się dla niej mili. A ona zamierzała w pełni wykorzystać tę sytuację.

ROZDZIAŁ 14

Danielle poczuła pod palcami płytki, którymi wyłożone były ścianki basenu – znak, że pokonała całą długość toru pływackiego. Wykonała w wodzie obrót, odepchnęła się energicznie stopami od ścianki i rozpoczęła ostatnie okrążenie.

Zazwyczaj kiedy płynęła, jej głowy nie zaprzętały żadne myśli. Jej umysł był pusty, nad wszystkim dominował zapach chloru, którego pełna była woda. Dzisiaj było jednak inaczej. Myśli dziewczyny były mętne i mroczne niczym woda latem w jeziorze Clover.

* * *

Obóz letni zorganizowano jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów na północ od Mount Washington. Ani Danielle, ani Andrew nigdy wcześniej na nim nie byli, jednak oboje mieli krewnych, którzy obozowali tam przed laty, mieli jakieś znajomości na miejscu, a teraz zdołali załatwić im świetnie płatne fuchy na lato.

Pozostali nastoletni opiekunowie na obozie mieli już wieloletnie doświadczenie. Przyjeżdżali nad jezioro Clover już jako dzieciaki i teraz znali wszystkie piosenki, jakie śpiewało się wieczorami przy ognisku. Wiedzieli też, gdzie rosną i jak się nazywają drzewa rzadkich gatunków. I pewnie nie zależało im wcale na zarobkach – chodziło im przede wszystkim o to, żeby móc spędzić kolejne lato nad jeziorem. Danielle i Andrew nie należeli do tej kliki, byli ludźmi z zewnątrz. Czasami posyłali sobie nawzajem wymowne spojrzenia i przewracali oczami, gdy któryś ze starych wyjadaczy skrytykował sposób, w jaki przymocowali do drzewa budkę dla ptaków. Albo kiedy ktoś poprawiał ich, gdy błędnie wymówili nazwę któregoś z indiańskich plemion niegdyś zamieszkujących te tereny. Mimo tej komitywy z początku nie przyjaźnili się ze sobą.

Dzieciaki, które przyjeżdżały na obóz, przepadały za Danielle. Pozostali opiekunowie poświęcali im niewiele uwagi, za to ona spędzała z podopiecznymi mnóstwo czasu. Brała udział we wszystkich zabawach, głównie po to, by mieć do kogo otworzyć usta. Dziewczynki z jej grupy uplotły ulubionej opiekunce nawet wełnianą smycz na jej gwizdek ratownika. Chłopaki bez przerwy próbowali sprowokować ją do wyścigów – albo biegu przez trawnik, albo płynięcia do boi i z powrotem do brzegu. Z początku, kiedy przegrywali, i to z dziewczyną, wyczuwała w nich frustrację, jednak z czasem przerodziła się ona w coś w rodzaju szacunku.

Mniej więcej w tym czasie Andrew zaczął do niej lgnąć. Kiedy siedziała na stanowisku ratownika, widziała, jak przechadza się nieopodal wzdłuż brzegu. Wyczuwała jego obecność za sobą w kolejce po jedzenie. A wieczorami, gdy wszyscy zasiadali przy ognisku, przyłapywała go, gdy gapił się na nią zza

pomarańczowej zasłony płomieni.

Po raz pierwszy zainteresował się nią jakiś chłopak.

Dla zabicia nudy pisywała czasami staroświeckie listy do swojej przyjaciółki Hope. Jednak temat Andrew wymagał rozmowy, a nie opisywania w liście. Dlatego zaczęła wieczorami po kryjomu wydzwaniać do przyjaciółki i zdawać jej dzień po dniu relację z rozwoju sytuacji na froncie.

– Mam wrażenie, że chce ze mną pogadać – donosiła szeptem któregoś wieczoru, kiedy obozowicze już usnęli. Opierała się o cedrową ściankę domku, leżąc na piętrowym łóżku i wyglądając przez okno w nadziei, że na nocnym niebie ujrzy spadającą gwiazdę.

– No to ty pierwsza do niego zagadaj – poradziła przyjaciółka.

– Chyba żartujesz – obruszyła się Danielle.

– Nie bądź durna. Przecież przez cały czas gadasz z chłopakami. Poza tym już niedługo będziemy pierwszoklasistkami!

– No tak, ale to nigdy nie są chłopcy, którym mogłabym się podobać – uściśliła Danielle.

– Pewnie po prostu ma stracha – podpowiedziała Hope. – Wiesz, możesz trochę onieśmielać chłopaków.

Danielle zamknęła oczy i przez chwilę wdychała parne, wilgotne powietrze. Ona też obawiała się tej rozmowy, więc może oboje byli w podobnej sytuacji.

Nazajutrz Andrew wykonał pierwszy ruch.

Dziewczyna stała po pas w wodzie, doglądając pływackich wyścigów jedenastolatków. W pewnym momencie zauważyła, że Andrew siedzi na pomoście nieopodal. Jego nogi zwisały zanurzone w wodzie. Pomyślała, że to pewnie minimalna odległość, na jaką umie się do niej zbliżyć. Postanowiła w takim razie podплыnąć do niego.

– Cześć – odezwał się chłopak, kiedy znalazła się przy pomoście. – Przyszędłem, żeby cię ostrzec.

– Przed czym? – spytała, wspinając się na pomost i siadając obok niego, na tyle jednak daleko, by go nie zamoczyć.

– Wszystkie chłopaki z mojej drużyny kochają się w tobie – powiedział Andrew, nie odrywając oczu od taflı jeziora.

Czyżby znaczyło to, że on też zalicza się do tej grupy? Odchyliła głowę na bok, tak by nie oślepiła jej słońce, i bacznie mu się przyjrzała. Był opalony, miał kędzierzawe jasne włosy. Spod podwiniętych rękawów granatowej koszulki wyglądały szczupłe, lecz mocno umięśnione ramiona.

– Podśłuchałem ich rozmowę zeszłego wieczoru – ciągnął. – Danny Fannelli zapowiedział, że zasymuluje tonięcie, żebyś go uratowała i zrobiła mu sztuczne oddychanie metodą usta-usta.

Danielle wybuchła śmiechem.

– O rany. Dzięki za cynk.

Andrew odczekał chwilę, po czym spytał:

– Od września zaczynasz naukę w Mount Washington, prawda? Słyszałem, jak ktoś o tym wspomniał.

– Tak jest. A co, ty też się tam wybierasz?

– Owszem – odparł.

Podrapał się po głowie i zmrużył oczy, spoglądając pod słońce.

Nowina ta oznaczała dla Danielle małą rewolucję – teraz już nie chodziło tylko o przelotni letni romans i okazję do zasmakowania, czym jest miłość. Znajomość z Andrew przybrała nagle znacznie bardziej podniecający obrót. Przez chwilę próbowała obmyślić jakiś inteligentny i zabawny komentarz. Z pomocą przyszedł jej Danny Fannelli. Chłopak kąpał się przy samym brzegu. Woda w tym miejscu sięgała Danielle zaledwie do kolan, jednak chłopiec młócił taflę ramionami i chlapał, jakby nagle znalazł się na głębinie.

– No widzisz, o tym właśnie mówiłem – stwierdził Andrew, szczerząc zęby w uśmiechu. – Tłumaczyłem Danny’emu, że pewnie masz chłopaka, więc najlepiej będzie, jeśli da sobie spokój.

– Nie mam chłopaka – wyjaśniła Danielle ze śmiechem.

Wstała i stanęła na samym brzeżku pomostu, tak że jej palce wystawały poza jego krawędź.

– O, dobrze wiedzieć – oznajmił Andrew, po czym też wstał. – No to do zobaczenia, Danielle.

– Do zobaczyska – odpowiedziała, po czym wskoczyła z powrotem do jeziora.

Nigdy wcześniej woda w jeziorze Clover nie wydawała się jej równie ciepła.

* * *

Wynurzyła się na powierzchnię, ściągnęła gogle i sprawdziła czas na stoperze. Kilka sekund później do celu dopłynęły też dziewczyny z sąsiednich torów.

Trenerka szkolnej drużyny pływackiej stała na brzegu nad Danielle. W jednej ręce trzymała notatnik, w drugiej gwizdek. Trenerka Tracy była wysoką i szczupłą kobietą. Blond włosy ścinała na króciutko, niczym rekrut w wojsku, pozostawiając tylko na przedzie kilka dłuższych kosmyków, które zawijała sobie za uszy. Podczas nauki w college’u trenowała pływanie, a nawet zdobyła stypendium sportowe. Jej kariera zakończyła się jednak przedwcześnie, gdy płynąc stylem motylkowym podczas przygotowań do olimpiady, doznała poważnej kontuzji, zrywając dwa mięśnie zwane pierścieniami rotatorów.

Bywała już na wcześniejszych treningach pierwszoklasistów, jednak zawsze zasiadała tylko na trybunach. Tym razem naprawdę weszła w rolę, trenerkę

pierwszoklasistów wysyłając na krzesło przeznaczone dla ratowników. Wcześniej w szatni Danielle podsłuchiwała, że trenerka Tracy szuka nowych ludzi do reprezentacji szkoły w pływaniu.

– Dobra robota, Dana – pochwaliła trenerka. – Ale musisz jeszcze popracować nad obrotami przy zmianie kierunku. Tracisz na nie co najmniej sekundę. Powinnaś bardziej się streszczać.

Danielle puściła mimo uszu pochwały trenerki. Nie dotarły do niej też słowa krytyki.

Spoglądała na kobietę, która odeszła już kawałek dalej, żeby porozmawiać z kolejną pływaczką. W gardle urosła jej ze zdenerwowania gula. Słowa wyskoczyły same z jej ust:

– Na imię mam Danielle.

Trenerka odwróciła się w jej stronę.

– Słucham? – spytała, unosząc ze zdziwienia brwi.

– Przepraszam – wybąkała dziewczynka. – Wolałabym, żeby nazywała mnie pani Danielle. Tak mam na imię.

Od strony stanowiska ratownika dobiegł podniesiony głos trenerki pierwszoklasistów:

– Słyszałaś, co mówiła pani Tracy?

– Tak, jasne. Próbowałam tylko...

Przerwał jej przeszywający pisk gwizdka. Trenerka Tracy prychnęła i zawołała:

– No dobra, dziewczyny na brzeg, chłopaki do wody. Migiem!

Danielle podплыnęła do drabinki. Powtarzała sobie w myśli, że nie powinna mieć wyrzutów sumienia z powodu poprawienia trenerki. W końcu tak właśnie brzmiało jej imię – Danielle.

Najwyraźniej przezwisko, jakie nadali jej autorzy listy, zdążyło się już przyjąć. Co z tego, że zrobiła dziś sobie makijaż i wyprostowała włosy, skoro mijani na korytarzach ludzie, których nie знаła, wołali do niej „Dana Babochłop” albo udawali, że ją pozdrawiają, i naśladowali niski, chrapliwy głos. Tyle tylko że ona wcale nie miała takiego głosu. Wystarczyło zamienić z nią parę słów, żeby się o tym przekonać. Ilekroć słyszała to przezwisko, miała ochotę wrzasnąć na cały głos: *Mam na imię Danielle!*

Nie zrobiła jednak tego. A zwrócenie uwagi trenerce Tracy było jej pierwszą tak odważną próbą stanięcia w swojej obronie. Nawet to wystarczyło, by załęgło się w niej poczucie winy. Zwłaszcza po tym, co powiedział jej Andrew. Na domiar złego przecież chciała świetnie się zaprezentować przed trenerką. A mimo to z jakiegoś powodu to właśnie panią Tracy postanowiła poprawić, gdy ta, zwracając się do niej, użyła obmierzłego przezwiska.

Miała już wspiąć się po drabince, gdy poczuła, jak Hope chwyta ją za stopę

i wciąga z powrotem do wody.

– No to dałaś czadu – powiedziała Hope, chlapiąc wodą w kierunku Danielle i pierwsza docierając do drabinki.

– Właśnie zaprzepaściłam swoją szansę – poskarżyła się Danielle, wspinając się na brzeg w ślad za przyjaciółką.

– Daj spokój. Przecież to jasne jak słońce, że trenerka Tracy przyszła specjalnie po to, żeby popatrzeć, jak pływasz – stwierdziła Hope, po czym sięgnęła po bidon leżący na trybunach i pociągnęła porządny łyk. – Jestem niemal pewna, że dostaniesz powołanie do reprezentacji. Chyba powinnam złożyć anonimowe doniesienie i zmusić władze szkoły, żeby zrobiły ci badanie DNA. Słowo honoru, pływasz tak, jakbyś była półkrwi syreną.

Danielle posłała jej łagodny uśmiech, przeciągając dłońmi po swoim płaskim brzuchu, żeby strzepnąć wodę z kostiumu kąpielowego. Kiedy podniosła spojrzenie, zobaczyła Andrew. Stał niedaleko drzwi, ubrany w koszulkę do treningu i ochraniacze futbolowe. Na jego widok serce, które zaczynało się już uspokajać po niedawnym wysiłku w wodzie, zabiło jej znów żywiej.

Przez całe lato paradowała przy nim w kostiumie kąpielowym, zupełnie się tym nie pesząc. Teraz jednak, zanim do niego podeszła, wzięła z ławki ręcznik i szczelnie się nim owinęła.

– Świetnie się spisałaś! – pochwalił Andrew, krzyżując ramiona na piersi.
– Pływasz jak prawdziwa ryba.

Co prawda ryba to nie to samo co syrena, ale Danielle nie zamierzała się tym zamartwiać. Zrobiło jej się miło, że Andrew podziwiał ją, kiedy była w wodzie, w swoim żywiole.

– Dzięki – odparła. – A ty przypadkiem też nie masz teraz treningu?

– Skłamałem, że muszę skoczyć do toalety, żeby móc cię zobaczyć – powiedział, utkwivszy wzrok w posadzce. – Nie mieliśmy jeszcze okazji dziś dłużej pogadać. Wybacz.

– Nic się nie stało – stwierdziła, choć tak naprawdę przez większą część przedpołudnia było jej przykro z tego powodu. Szukała go w miejscach, gdzie zazwyczaj się widywali, jednak nigdzie nie mogła go wypatrzeć. Na długiej przerwie była już niemal pewna, że Andrew celowo jej unika. I z jakiegoś powodu ta myśl sprawiła jej ulgę. Kiedy była w towarzystwie chłopaka, a zwłaszcza jego kolegów, którzy najbardziej jej dokuczali, trudno było udawać, że lista nic jej nie obchodzi. Dlatego teraz w sumie była zadowolona, że Andrew kłamie. Dzięki temu było im nieco łatwiej.

Kolega poklepał ją po plecach, po czym wytarł dłoń w jej ręcznik.

– Lepiej już pójdę, zanim trener pośle kogoś, żeby mnie poszukał. Przedzwonię do ciebie potem.

– Po szkole chyba wybiorę się z mamą na zakupy. Musimy upolować

sukienkę na bal – stwierdziła. – Ej, a macie już jakieś plany na sobotę?

Danielle nie bardzo wiedziała, jakie zasady obowiązują na licealnych potańcówkach: na przykład czy ludzie, którzy ze sobą chodzą, zjawiają się na imprezie jako para, tak jak to jest w przypadku oficjalnych imprez trzecio- i czwartoklasistów?

Andrew potrząsnął głową i ruszył w kierunku drzwi.

– Jeszcze nie wiem, co będziemy robić. Chuck coś tam kombinuje... Pewnie będziemy się gdzieś włóczyć, ale na razie nie wiem gdzie. Na razie wszyscy skupiają się na sobotnim meczu. Musimy wygrać, w przeciwnym razie staniemy się pośmiewiskiem całej dywizji. Dam ci znać, jak będę już wiedział coś konkretnego.

Kiedy się rozchodzili, Danielle czuła się podniesiona na duchu. Zdoła jeszcze przez jakiś czas zgrywać twardzielkę, do czasu aż ucichnie sprawa listy. Dziś wieczorem sprawi sobie jakąś piękną kieckę na szkolną potańcówkę. A wówczas nikt, a już na pewno nie Andrew, nie będzie miał żadnych wątpliwości, że Danielle jest dziewczyną.

ROZDZIAŁ 15

Treningi cheerleaderek są teraz znacznie fajniejsze niż kilka tygodni temu. Takie myśli chodziły po głowie Margo, kiedy przebierała się w szatni. Założyła na siebie swój strój treningowy – legginsy, koszulkę bez rękawów, tenisówki, plus bluzę dresową. Bluza miała ją ochronić przed chłodem, gdy będą na zewnątrz w ramach rozgrzewki truchtać dookoła boiska. Dana i Rachel ubrane były praktycznie tak samo jak ona. Jako trójka kapitanek drużyny występowały zawsze wspólnie, stanowiąc jednolity front.

Dzisiaj w planie były zajęcia z trenerką części tanecznej Sami, z którą miały przećwiczyć po raz ostatni układ przewidziany na przerwę meczu. Dziewczyny nauczyły się już wszystkich ruchów, teraz pozostawało dobrze się zgrać. Wszystko musiało wyglądać perfekcyjnie.

– Może jedna z nas powinna usiąść z boku i przyglądać się, czy wszystkie dziewczyny wykonują bezbłędnie całe ćwiczenie – zastanowiła się Margo.

– Dobry pomysł – zgodziła się Rachel. – Sami nie ma oczu dookoła głowy.

– No jasne! – przytaknęła ochoczo Dana, po czym dodała ze śmiechem: – Kiedy Sami tańczy razem z nami, w lustrze i tak widzi tylko siebie.

Zbliżał się mecz. A dziewczyny miały już niewiele czasu na trening. To był najważniejszy mecz w całym sezonie. Na trybunach zjawia się nawet uczniowie, którzy ukończyli już szkołę. Nie zabraknie też zesłorocznych kapitanek drużyny cheerleaderek, które będą oczekiwać, że dziewczyny spiszą się na medal. Przyjdą wszystkie z wyjątkiem Maureen, która nie zdoła przyjechać do domu. Możliwe, że nie wyrobi się nawet na Święto Dziękczynienia – zależy, jak jej pójdzie z zaliczeniami na studiach. Mimo wszystko na dziewczynach z drużyny będzie ciążyć wielka presja.

Większość dziewcząt była już na zewnątrz, czekając na trybunach.

Kiedy Margo podeszła bliżej, te młodsze przywitały ją oklaskami. Dziewczyna poczuła się trochę niezręcznie, ponieważ wszystkiemu przypatrywała się Sami. A co gorsza, ta sama sytuacja miała miejsce już wczoraj.

– O co chodzi? – zainteresowała się instruktorka.

Dziewczęta skwapliwie opowiedziały jej o liście, co było błędem. Lista to nie jest coś, o czym należałoby rozmawiać z belframi. A spięcie z dyrektorką Colby sprawiło, że Margo złapała lekko paranoiczny klimat. Koniec końców jednak wszystko rozeszło się po kościach. Sami przyznała nieśmiało, że kiedyś sama dostała się na listę. Było to przed dziewięcioma laty, kiedy chodziła do trzeciej klasy. Cała drużyna nagrodziła instruktorkę brawami. Margo przywitała to z ulgą, bo chociaż na chwilę dziewczyny przestały się nią interesować.

Wreszcie Sami oświadczyła:

– W nagrodę Margo nie musi dziś biegać. Posiedzimy sobie we dwie i pogadamy. No dobrze, dziewczyny, do roboty!

Margo zauważyła, że Dana i Rachel spoglądają po sobie wymownie, przewracając oczami.

– Założę się, że przyjaciółki ci zazdroszczą – odezwała się Sami, kiedy dziewczyny zaczęły robić okrążenia wokół boiska.

– Nie, one takie nie są.

– Twoja siostra, Maureen, miała z tego powodu poważne problemy w zeszłym roku – zaśmiała się cierpko Sami. – Wydaje mi się, że ludzie po prostu nie rozumieją, jak ciężko czasami jest nam, atrakcyjnym dziewczynom.

Margo obserwowała, jak koleżanki docierają do drugiego krańca boiska. W końcu podniosła się z trawy.

– Zaraz wracam – powiedziała, po czym puściła się biegiem za dziewczynami.

Chciała mimo wszystko pobiegać razem z nimi. Głupio byłoby siedzieć z boku i patrzeć, jak same się męczą.

* * *

Po treningu Margo podeszła do swojej szafki na ciuchy, żeby zostawić w niej pompony, a zabrać książki i zeszyty. Następnie poszła na parking, gdzie przy samochodzie miały czekać na nią Rachel i Dana. Planowały zapolować w sklepach na sukienki na zbliżający się bal, a przy okazji zjeść obiad w galerii handlowej. Mama dała jej na zakupy kartę stałego klienta. Margo nigdy nie nadużywała jej zaufania w tej kwestii. Zawsze najpierw szukała przecenionych ciuchów. Tym razem jednak zamierzała sprawić sobie coś naprawdę wyjątkowego. Przecież zbliżająca się impreza będzie jej ostatnim jesiennym balem. Za rok o tej porze studiować będzie w jakimś odległym college'u, a potańcówka stanie się mglistym wspomnieniem. Dlatego zależało jej, żeby ta impreza była naprawdę super.

Zarzuciła na głowę kaptur bluzy, żeby osłonić się przed wiatrem. Może pojedzie na studia w miejsce, gdzie jest ciepło? Ale to odległa perspektywa, na razie nie wypełniła jeszcze ani jednego podania. Nie wymyśliła też, co napisze w wymaganym eseju na swój temat. Przez cały czas jednak nie opuszczała jej świadomość, że moment wyjazdu wkrótce nadejdzie. Ta myśl wprawiała ją w nostalgiczny nastrój. Zastanowiła się, dokąd trafią Dana i Rachel. Czy będą utrzymywać ze sobą kontakt? Miała nadzieję, że tak. To jej najbliższe przyjaciółki, przepadała za nimi obydwoma.

Myślami cofnęła się do swojego pierwszego jesiennego balu trzy lata temu. Tak bardzo przepychały się z Maureen, walcząc o miejsce przed łazienkowym lustrem, że mało brakowało, a poparzyłyby się lokówką elektryczną. Cudownie było tańczyć w pięknej sukni razem z Daną i Rachel, popijać gazowane napoje

i marzyć, że odezwą się do nich chłopcy ze starszych klas.

Tamtego roku też znalazła się na liście. Królem balu został wybrany czwartoklasista Bry Tate, a kiedy DJ puścił jakąś spokojną piosenkę, Bry wręczył Margo różę. Oczywiście Bry to nie to samo co Matthew Goulding, ale dziewczyna i tak nie narzekała. Chłopak ubrany był w koszulkę do futbolu amerykańskiego, a kiedy tańczyli przytuleni pod obracającą się niespiesznie kulą dyskotekową, Margo czuła, że pachnie trawą. Pozostali członkowie drużyny futbolowej też zjawili się na balu w sportowych koszulkach. Byli świeżo po meczu, w którym roznieśli na strzępy swoich największych rywali, drużynę Chesterfield Valley. Po balu Margo wylądowała w samochodzie Bry'ego i po chwili zaczęli się całować. Dana i Rachel zabawiały się z jego kolegami w innych autach. Po powrocie do domu Margo włożyła podarowaną jej różę między strony pamiętnika. Do dzisiaj przechowuje jej płatki.

Wszystkich przepelniało wtedy takie szczęście. Wszyscy świetnie się bawili.

Również na tamtej liście, podobnie jak teraz, figurowało nazwisko Jennifer, która nie zjawiała się na balu z oczywistych powodów. Mimo to jednak Margo przez cały czas wypatrywała jej po kątach. Niechętnie się do tego przed sobą przyznawała, ale dobrze się wtedy bawiła właśnie dlatego, że Jennifer postanowiła nie przyjść. Mogła tylko liczyć, że w tym roku będzie podobnie. Tak niewiele pozostało jej okazji, by poczuć się szczęśliwą.

Kiedy dotarła na parking, z daleka zobaczyła Rachel i Danę. Siedziały na bagażniku jej samochodu. Margo pomachała w ich stronę.

I w tym samym momencie kątem oka dojrzała, jak jakaś duża postać zmierza w jej stronę. Po chwili wiedziała już, że to Jennifer. Ona też machała jej na powitanie.

Dlaczego ta dziewczyna o tej porze jeszcze kręci się po terenie szkoły?

Margo podeszła do samochodu, próbując zachować kamienną twarz.

– Co tam?

– Zapropionowałyśmy Jennifer, żeby skoczyła z nami na zakupy – oświadczyła Rachel, zeskakując z bagażnika na ziemię. – Okazało się, że nie ma jeszcze sukienki na bal.

– W sumie to nawet nie planowałam na niego iść – wyjaśniła Jennifer cichym głosem, kiedy też zbliżyła się do samochodu.

Dana dała jej do potrzymania swoje książki, a sama schyliła się, żeby zawiązać sznurówkę.

– Jennifer, idziesz na bal. Bez dyskusji. To przecież twój ostatni rok w liceum.

– No nie wiem. Może pójde, jeśli znajdę jakąś sukienkę – odpowiedziała ostrożnie Jennifer, przytulając do piersi nie swoje książki.

Po chwili Dana się wyprostowała i poklepała koleżankę po plecach.

– Znajdziemy ci kieckę, spokojna głowa.

Następnie dziewczyny odwróciły się do Margo, czekając, aż otworzy im drzwi do samochodu.

– Wybaczcie, dziewczyny – odezwała się przyjaciółka, ściskając klucze w dłoni. – Ja chyba dzisiaj odpuszczę sobie zakupy.

– Co ty gadasz? – jęknęła Rachel. – Przecież sama wyskoczyłaś z tym pomysłem, żebyśmy jechały do galerii handlowej!

– Wiem – westchnęła Margo, próbując gorączkowo wymyślić jakąś sensowną wymówkę. – Przed chwilą dostałam SMS-a od mamy. Pisze, żebym wracała prosto do domu. Mamy spotkać się z tatą na obiedzie niedaleko jego biura. Mama martwi się, że odkąd Maureen wyjechała na studia, nie spędzamy już prawie czasu całą rodziną. Coś mi się wydaje, że dopadł ją syndrom pustego gniazda. Wie, że w przyszłym roku ja też wyjadę, i zaczyna się dołować.

Za dużo szczegółów, skarciła się w myśli. Rachel i Dana zmierzyły ją niechętnymi spojrzeniami. Było jasne, że się wkurzyły. Ale Margo też była na nie zła. Czemu nie uprzedziły jej, że zaprosiły Jennifer? Chodziło im o to, żeby zrobić jej głupią niespodziankę? Czyżby nie przyszło im do głowy, że dla Margo towarzystwo Jennifer jest strasznie krępujące? Oczywiście nie mogła teraz wywlekać tych spraw, ponieważ koleżanka stała tuż obok.

Dana wzięła swoje książki od Jennifer.

– Plan był chyba taki, że kupujemy kiecki wszystkie razem, tak żebyśmy mogły dopasować je kolorystycznie i nie kupiły takich samych. Musimy się zgrać kolorami, żeby dobrze razem wypaść na zdjęciach – mówiła Dana, a w jej głosie wyraźnie pobrzmiwała irytacja.

Szczególny nacisk położyła na słowo *razem*. I oczywiście nie wzięła przy tym pod uwagę, że dla Jennifer jej przemowa musi być dość bolesna. Bo przecież ona nie pójdzie razem z nimi na bal i nie będzie z nimi pozować do zdjęć.

Margo miała już zaproponować, żeby wybrały się na zakupy jutro. Nawet jeśli Jennifer znów dołączy do nich, to trudno – jednak nim zdążyła otworzyć usta, Jennifer odwróciła się tyłem do Margo i zwracając się do Rachel i Dany, zaproponowała:

– Słuchajcie, dziewczyny, jeśli chcecie teraz jechać do galerii... mogę was podrzucić. Zaparkowałam auto tuż obok.

* * *

Margo usiadła w końcu za kierownicą w pustym samochodzie i przez długą chwilę rozmyślała nad tym, co się właśnie stało. Powinna była pojechać razem z nimi. Mogła przecież jakoś stłumić w sobie niechęć do Jennifer, pomóc jej znaleźć odpowiednią kieckę. Mogła udawać, że wszystko gra, że nigdy nie łączyło ich nic więcej – że nie były kiedyś najlepszymi przyjaciółkami.

* * *

Przypomniała sobie tamten odległy dzień – ostatni dzień nauki, gdy minuty dzieliły ją od chwili, kiedy przestanie być uczennicą ostatniej klasy gimnazjum, a stanie się licealistką. Dla Margo był to przełomowy moment, tak to wtedy odczuwała. Miała wrażenie, jakby wydarzenia tamtego dnia – walka na wypełnione wodą balony na sali gimnastycznej, a potem pożegnalna pizza i napoje w papierowych kubkach – nagle stały się zamkniętym rozdziałem niczym wspomnienia zanotowane w dziecięcym pamiętniku. Nagle wyrosła ze swojego dotychczasowego życia, mimo że z miejsca, w którym stała, nadal mogła dojrzeć wyraźnie widoczny na tle nieba zaokrąglony szczyt flagowego masztu gimnazjum.

Razem z Jennifer stały na końcu ulicy, przy której mieszkała Margo. Jennifer kończyła właśnie opowiadać jej o Matthew – podsłuchiwała, jak przechwalał się przed innymi chłopakami, że jak tylko pójdzie do liceum, będzie się umawiał wyłącznie z dziewczynami, które mają piersi co najmniej w rozmiarze B. Jaki sens, tłumaczył, miałoby randkowanie z takimi, które mają mniejszy biust?

Margo odniosła wrażenie, że to zupełnie nie w stylu Matthew. Ale rozmowy chłopaków rządziły się swoimi prawami. Spuściła oczy i prześlizgnęła się spojrzeniem po swoim płaskim biuście, który od biedy można było podciągnąć pod rozmiar A.

Sekundę po tym, jak Margo zawołała „Do zobaczenia”, kiedy dziewczynki obgadały już ostatnie szczegóły związane z nocowaniem w domu Jennifer, co planowały już od wielu tygodni – uświadomiła sobie, że tak naprawdę wcale nie ma na to ochoty.

Co więcej, dotarło do niej, że w ogóle nie chce się już dłużej przyjaźnić z Jennifer.

I wcale nie chodziło o to, że Jennifer zrobiła coś nie tak.

W każdym razie nie to było najważniejsze.

Kiedy już w Margo zaległa się ta myśl – czy raczej kiedy w końcu, po wielomiesięcznych próbach wypierania ich, dziewczyna pogodziła się w końcu z tymi nowymi emocjami – nie było już odwrotu.

Zamiast pójść do domu, gdzie powinna spakować śpiwór i pidżamę, zbliżyła się do krawędzi krawężnika i odprowadzała wzrokiem oddalającą się Jennifer. Dziewczynka mozolnie wspinała się pod górę, taszcząc ciężki plecak wypełniony pamiątkami z ostatniego roku szkolnego: starymi segregatorami na notatki, ciuchami z wuefu do prania, liścikami, które do siebie pisały, streszczeniami książek z pierwszego semestru. Margo już od kilku miesięcy nie nosiła do szkoły plecaka. Wszystko, co trzymała w swojej szkolnej szafce, powędrowało teraz do kosza na śmieci.

Spoglądając za oddalającą się Jennifer, pomyślała, że właśnie ten widok,

wraz z dziwnym poczuciem lekkości, najlepiej streszcza całą ich przyjaźń i tłumaczy, dlaczego chce się od niej odciąć.

Domyślała się jednak, że zakończenie znajomości wcale nie przyjdzie jej łatwo.

Kiedy w końcu poszła do domu, skierowała się do pokoju swojej siostry. Wsunęła się po cichu do środka, przycupnęła na brzeжку łóżka Maureen i cierpliwie czekała, aż siostra skończy rozmawiać przez telefon. Zazwyczaj Maureen reagowała krzykiem na jej wtargnięcie i kazała się wynosić. Teraz jednak Margo musiała wyglądać na naprawdę przybitą, bo starsza siostra pozwoliła jej zostać.

W końcu wyłączyła telefon, sięgnęła po grzebień i zaczęła się czesać.

– Co jest, Margo?

– Chodzi o Jennifer... Ja... ja po prostu... – Znalezienie właściwych słów, które mogłyby opisać dzisiejsze wydarzenia, wcale nie było łatwe.

– Nie chcesz dłużej się z nią przyjaźnić – odpowiedziała beznamiętnym, rzeczowym tonem Maureen.

Margo poczuła, że spadł jej kamień z serca.

Przyniosła ze sobą swój pamiętnik. Czekał wciśnięty za pasek jej szortów, tak żeby w odpowiednim momencie mogła po niego sięgnąć. Gdyby Maureen spytała ją o powody jej decyzji, mogła powołać się na konkretne zapisane w dzienniku wydarzenia, kiedy Jennifer ją zdenerwowała, popsowała jej nastrój, sprawiała, że poczuła się winna, albo zachowywała się dziwacznie w towarzystwie innych koleżanek. Czowała się pewniej, wiedząc, że ma przy sobie dowód tych przewinień. Dzięki niemu miała poczucie, że to, co robi, jest słuszne.

Okazało się jednak, że sięganie do pamiętnika nie będzie konieczne. Maureen najwyraźniej nie potrzebowała dodatkowych argumentów. Sprawiała raczej wrażenie, jakby powitała decyzję Margo z ulgą.

– Przygotuj się na to, że Jennifer zacznie odbijać z tego powodu. Przecież ta dziewczyna ma bzika na twoim punkcie.

– Nieprawda – zaprzeczyła Margo, choć ostatnio faktycznie odnosiła takie wrażenie.

– Przecież jest zazdrosna, kiedy spotykasz się z innymi koleżankami. Próbujesz włączyć ją w te spotkania, a ona potem robi ci z tego powodu wymówki.

Kiedyś ich przyjaźń wyglądała zupełnie inaczej. Przez wiele lat świetnie się razem bawiły i doskonale czuły się w swoim towarzystwie. Margo nie chciała teraz o tym wspominać, bo tylko by wszystko pokomplikowała. Położyła się na łóżku, tonąc w poduchach.

– Na twoim miejscu zrobiłabym to jak najszybciej – ciągnęła Maureen. – Przecież zaraz pójdziesz do liceum. Jennifer nie może cię ograniczać. Nie może być tak, że będziesz zawierać nowe znajomości i bywać w miejscach, do których

ona nie będzie miała wstępu, a równocześnie czuć z tego powodu wyrzuty sumienia.

Właśnie tego dnia po południu stało się coś takiego.

Kilka dziewczyn zaproponowało Margo, żeby wspólnie uczcić wieczorem zakończenie nauki. Planowały skoczyć na lody i pokręcić się trochę wśród ludzi. Eskapada skończyłaby się pewnie nocnym pływaniem w basenie przy domu którejś z dziewczynek.

Dana i Rachel odczekały z zaproszeniem Margo do momentu, aż Jennifer wyszła z klasy, żeby skorzystać z toalety. Wszystkie ich zaproszenia wyglądały tak samo – wypowiedane w tajemnicy i dotyczące tylko Margo.

Była im wdzięczna, że zachowują dyskrecję. Gdyby Jennifer dowiedziała się, że Margo została zaproszona, na pewno chciałaby dołączyć. Najwyraźniej była przekonana, że skoro się przyjaźnią, nie mogą nic robić osobno. Może nawet miała rację, kto wie. Może tak właśnie powinna wyglądać relacja dwóch najlepszych przyjaciółek? Margo czuła jednak, że dusi się w takim układzie. I między innymi właśnie dlatego miała dosyć tej znajomości.

– Mam dziś nocować u Jennifer. W sumie to chyba dobra okazja – przyznała, choć na myśl, że ma rzucić przyjaciółce prosto w twarz, że to koniec, czuła straszny niepokój. No bo co niby ma jej powiedzieć? Miałaby przedstawić listę powodów, dla których nie chce się z nią już przyjaźnić? A co, jeśli Jennifer zareaguje agresywnie? Co będzie, jeśli się posprzeczą? Bardzo możliwe, że tak się właśnie stanie. Na pewno nie obędzie się bez płaczu. Zresztą Margo też się poryczy, bo każde rozstanie jest przecież smutnym wydarzeniem. A jak już wszystko sobie wyjaśnią, czy Margo będzie musiała, ze względu na starą przyjaźń, spędzić u niej czas do rana? Czułaby się potwornie niezręcznie.

Maureen wyskubała włosy, które zostały na grzebieniu, i wrzuciła je do kosza na śmieci.

– Jeśli nie chcesz u niej nocować, to po prostu nie idź. Powiedz, że jesteś chora. Albo wymyśl inną wymówkę.

– Domyśli się, że kłamię. Dziesięć minut temu obiecałam jej, że przyjdę. Za godzinę przyjedzie jej mama, żeby mnie zabrać.

– Doskonale! – ucieszyła się Maureen.

– Słucham?

– Za bardzo to wszystko komplikujesz, Margo. Wcale nie musisz tłumaczyć Jennifer, dlaczego już nie chcesz się z nią przyjaźnić. Niech sama się domyśli. A jeśli nie będzie wiedziała, cóż... to już nie twoje zmartwienie.

Po godzinie pod domem rozległ się klakson. Margo podeszła na palcach do okna i zerknęła zza żaluzji. Po chwili ujrzała, jak z domu wynurza się jej mama i podbiega do samochodu, żeby zanieść przybyłym smutną nowinę. Na twarzach Jennifer i pani Briggis momentalnie odmalowało się rozczarowanie. Pani Briggis

zachowywała się jak każda matka na wieść, że czyjeś dziecko zachorowało – wydawała się przejęta i pełna współczucia. Jennifer zareagowała inaczej. Jej twarz stała się blada niczym ściana. Zaciśnęła usta i wpatrywała się przez przednią szybę samochodu w okno pokoju Margo.

Margo ogarnął nagle dziki niepokój. Czyżby Jennifer już się domyśliła, co to znaczy? Starła się dotychczas zachowywać pozory, ale może to nie wystarczyło i Jennifer przejrzała ją na wylot? Jeśli faktycznie tak było, czy ułatwi to całą sprawę?

Najchętniej odeszłaby od okna, jednak odepchnęła tę myśl i odsunęła żaluzje, tak by Jennifer mogła ją zobaczyć. Przepelniała ją teraz dziwna mieszanina uczuć – odwagi i tchórzostwa.

Jennifer i pani Briggis odjechały w końcu spod domu, a pani Gable pomachała im na do widzenia. Po drodze do drzwi schyliła się i wyrwała rosnący przy ścieżce kwiat mniszka, po czym rzuciła go na grządkę z bluszczem oddzielającą ich dom od posesji sąsiadów.

Kiedy niedługo potem Margo poprosiła, żeby mama podrzuciła ją do lodziarni, gdzie umówiła się z Rachel i Daną, pani Gable nawet nie chciała o tym słyszeć. Oznajmiła, że skoro córka jest chora, musi zostać w domu. Margo spojrzała błagalnie na Maureen, ta jednak pokazała jej tylko język i wyslizgnęła się za drzwi.

Rankiem nazajutrz Margo nie próbowała umówić jeszcze raz nocowania u Jennifer. A kiedy Jennifer zadzwoniła do niej, nie odebrała, ani nie oddzwoniła. Nie zareagowała też, gdy pani Gable przyklepała do drzwi kolejne kartki z wiadomościami, jakie kazała przekazać jej przyjaciółka. Musiało upłynąć kilka tygodni, nim Jennifer dała sobie spokój.

Pozbывszy się uciążliwej przyjaciółki, Margo przeżyła wspaniałe lato. Bywała na imprezach nad basenem, grillach, a także prowadziła nocne rozmowy z nowymi koleżankami na dachu jej garażu. Dana zaproponowała jej, by wspólnie pojechały na wozie straży pożarnej podczas parady z okazji Dnia Niepodległości. W weekendy razem z Rachel sprzedawały zabytkowe butelki po coca coli na targu ze starociami, ale przez większość czasu po prostu opalały się na leżakach. Ani przez chwilę nie zatęskniła za Jennifer. A ludzie w ogóle nie zastanawiali się, dlaczego przestała się z nią pokazywać.

Tylko jedna osoba nie pozwalała jej uwolnić się do końca od przeszłości.

Z perspektywy czasu wiedziała już, że popełniła błąd, angażując wtedy swoją mamę. Przez całe liceum pani Gable fundowała Margo wyrzuty sumienia, wypytyjąc bez przerwy o Jennifer, o to, jak sobie radzi, jak się mają państwo Briggis, czy Jennifer znalazła sobie chłopaka. Zasypywała ją tego typu pytaniami, choć przecież doskonale wiedziała, że córka nie zna na nie odpowiedzi. Margo domyślała się, o co chodzi – mama chciała jej dać do zrozumienia, jaka z niej zła

osoba. Zresztą wcale jej się nie dziwiła. Domyślała się, jak to musi wyglądać z boku: śliczna dziewczyna porzuca swoją brzydką przyjaciółkę. Wszyscy pewnie postrzegali to w takich kategoriach.

Wszyscy, łącznie z główną zainteresowaną – Jennifer.

A Margo nie chciało się nikomu tłumaczyć, że wcale nie o to chodzi.

Osiągnęła to, na czym jej zależało. I tyle. Nie chciała dłużej zawracać sobie tym głowy.

* * *

Z rozmyślań wyrwało ją pukanie w boczą szybę. Obok samochodu stał Matthew, ubrany w ochroniacze treningowe.

Margo opuściła szybę i przełknęła nerwowo ślinę.

– Cześć.

– Samochód ci nawalił?

– Nie, działa. Wszystko w porządku, po prostu na chwilę odpłynęłam.

– Dobra, w takim razie do zoba...

– Jak było na treningu? – weszła mu w słowo, żeby jakoś podtrzymać rozmowę.

Matthew westchnął. Sprawiał wrażenie zmęczonego.

– Było ciężko. Przed nami mecz z Chesterfield, z którymi ostatnio wygraliśmy w pierwszej klasie. Poza tym od dawna już nie zanotowaliśmy żadnego zwycięstwa.

Margo związała włosy w koński ogon i uśmiechnęła się słodko.

– Mam dla ciebie nowiny w sprawie mojej piątkowej imprezy. Rodzice postanowili, że jednak zostaną w domu na weekend. To pewnie wina Maureen, której znajomi przesadzili na jej imprezie rok temu. Ktoś dobrał się wtedy do szafy mamy i gwizdnął jej szlafrok. Ale impreza nadal jest aktualna. Możemy pić alkohol i w ogóle. Rodzice obiecali, że nie wyściubią nosa ze swojego pokoju.

Matthew skinął głową na znak, że przyjmuje to do wiadomości. Odsunął się o krok od samochodu i przyjrzał uważnie Margo.

– Na pewno dobrze się czujesz? – spytał. – Wyglądasz... sam nie wiem... jakby coś cię gryzło.

Uśmiechnęła się tak szeroko, że aż zapiekły ją policzki.

– Nic mi nie jest – zapewniła, choć tak naprawdę czuła się fatalnie. Nie podobało jej się, że Matthew tak łatwo ją przejrzał.

Kiedy poszedł, zasunęła z powrotem szybę i wróciła myślami do Jennifer, Rachel i Dany. Była przekonana, że dziewczyny będą o niej rozmawiać. Kto wie, może już to robią? Co będzie miała do powiedzenia na jej temat Jennifer?

Nic dobrego, tego akurat mogła być pewna.

ROZDZIAŁ 16

Jennifer oddalała się od samochodu Margo szybkim krokiem. Za sobą słyszała kroki dziewczyn, pod których stopami szeleściły liście.

Może źle zrobiła, proponując, że podrzuci je do galerii handlowej. Margo pewnie wścieknie się na nią z tego powodu. Jennifer nie jest ślepa, wychwyciła nienawistne spojrzenia, jakie słała jej eksprzyjaciółka. Zachowywała się tak, jakby ilekroć Jennifer znalazła się w pobliżu, wkraczała bezprawnie na prywatny teren Margo.

Ale jak niby miała zareagować, kiedy Rachel i Dana zaprosiły ją na zakupy? Te dziewczyny naprawdę starały się być dla niej bardzo miłe, a Jennifer nie miała zamiaru odrzucić ich starań. A poza tym, odkąd przekonały ją, żeby poszła na bal, naprawdę strasznie chciała sprawić sobie jakąś sukienkę. Rachel i Dana z łatwością mogły ją spławić – wymyślić jakąś wymówkę i poczekać, aż dołączy do nich Margo.

A jednak nie zrobiły tego. Przystąpiły na propozycję Jennifer.

Rachel zajęła miejsce w fotelu pasażera i zaczęła szukać w radiu piosenki, którą mogłyby wszystkie razem zaśpiewać. Dana usiadła z tyłu, a gdy wyjeżdżały na szosę, sprawdziła, czy mają wolny pas i mogą bezpiecznie włączyć się do ruchu. Były to drobne gesty, które jednak budziły w Jennifer ciepłe uczucia. Dzięki takim drobiazgom łatwiej jej było znieść świadomość, że praktycznie całą drogę do galerii handlowej dziewczyny pokonały, rozmawiając wyłącznie ze sobą. Ona wtrącała się tylko w momentach, kiedy wydawało jej się, że ma coś do powiedzenia, żeby przypomnieć im, że nie są same. Poza tym całą uwagę skupiała jednak na prowadzeniu, niczym modelowy, odpowiedzialny kierowca, i próbowała nie brać zachowania pasażerek do siebie. I tak przecież wszystko toczyło się dobrze, a nawet świetnie. Nie mogła nadziwić się swojemu szczęściu: wczoraj zdobyła tytuł królowej brzydoty Mount Washington, a dzisiaj jedzie z cheerleaderkami do galerii handlowej, żeby poszukać sukni na bal.

Równocześnie jednak przejażdżka pokazywała, jak mogłoby wyglądać jej życie, gdyby Margo nie zerwała z nią kontaktów, zanim poszły do liceum. No i proszę bardzo, przecież wcale nie byłaby dla nich jakimś strasznym ciężarem. Mogłaby spokojnie dopasować się do grupy. Wiedziała, że dałaby radę. Margo powinna była przed laty postawić sprawę jasno: Jennifer ma sprawić sobie nowe ciuchy, inaczej ściąć włosy albo zrzucić parę kilo. Stanęłaby na wysokości zadania, cokolwiek by to było. Tylko że Margo nigdy nie dała jej nawet szansy.

A skoro wreszcie nadarzyła się okazja, Jennifer wiedziała, że musi się wykazać.

Kiedy znalazły się w pobliżu galerii, dziewczyny skupiły się na obmyślaniu

strategii: do których sklepów należy zajrzeć najpierw, do których potem. W pewnym momencie Rachel odwróciła się do kierowcy i spytała:

– Jennifer, na jakiej sukni ci zależy?

– Jeszcze o tym nie myślałam – wzruszyła ramionami. – Dalej nie mogę uwierzyć, że idę na bal.

– Byłoby ci do twarzy w kolorze jasnożółtym – odpowiedziała Dana.

– W żółtym, serio? – zdziwiła się Jennifer, zerkając na koleżankę w lusterku wstecznym.

Nie miała w garderobie żadnych żółtych ubrań. Poza tym odruchowo zawsze stroniła od jasnych barw.

– Żółty jest teraz na topie! – potwierdziła Dana ze śmiechem.

Rachel ściągnęła adidas i podkolanówki, po czym oparła bosc stopy o drzwiczki schowka. Odrobinę śmierdziały po treningu, ale najważniejsze było to, jak pięknie wyglądają – palce były równiuteńkie niczym stopnie schodów, a paznokcie pomalowane pięknym wiśniowym lakierem. Jennifer zerknęła na nie kątem oka. Były prześliczne, Rachel mogłaby z takimi stopami pozować do zdjęć. *Gdybym miała takie stopy, pomyślała Jennifer, nie nosiłabym nigdy zakrytego obuwia, tylko chodziła zawsze w klapkach.*

– Nic się nie martw, Jennifer – poradziła Rachel. – Zdaj się na nas. Razem z Daną wyszukamy ci najpiękniejszą suknię w całej historii jesiennego balu. Masz moje słowo.

Nagle Jennifer poczuła, że do oczu cisną jej się łzy. Nie mogła się teraz poryczeć, bo wyszłyby na idiotkę. Wjechała na parking pod galerię i wyszukała wolne miejsce, o dziwo niedaleko głównego wejścia.

– Podobno wolne miejsce na parkingu przy frontowym wejściu dobrze wróży zakupom – odezwała się do dziewczyn.

Wymyśliła to na poczekaniu, mimo to obie skwapliwie przytaknęły.

* * *

Wszystkie przebieralnie w sklepie odzieżowym były puste. Rachel i Dana weszły do tej przeznaczonej dla niepełnosprawnych, bo była największa. Jennifer wybrała kabinę naprzeciwko. Słyszała głosy dziewczyn dobiegające zza drzwi.

– Faj – jęknęła Rachel – faj, faj, faj!

Dana westchnęła ciężko, po czym rozległ się szelest materiału.

– Nigdy nie było mi do twarzy w żółtym – przyznała ze smutkiem.

Jennifer stała w samej bieliźnie, odwrócona plecami do lustra, i wpatrywała się w ostatnią sukienkę, którą powiesiła na drzwiach. Prócz niej przyniosła jeszcze dwie inne, które leżały teraz rzucone na pokrytą wykładziną posadzkę.

Pierwsza, obcisła sukienka w kolorze lawendowym z dużym dekoltem, wyglądała ślicznie, dopóki była na wieszaku. Po założeniu okazało się jednak, że

źle leży na Jennifer: szwy przesunęły się na prawo i lewo, wyglądając niczym kręta wiejska droga. W rezultacie wydawało się, że wszystkie części jej opiętego materiałem ciała były nie na miejscu.

Druga sukienka uszyta była z czarnego koronkowego materiału i sięgała do połowy łydki. Miała podszewkę w kolorze brzoskwiowym, która lekko prześwitywała spod koronki. Jennifer miała wrażenie, że jest nieco staroświecka, ale Rachel i Dana upierały się, że taki styl vintage jest teraz bardzo modny. Twierdziły, że na sto procent będzie na niej świetnie leżeć.

Wkrótce jednak się okazało, jak bardzo się myliły. Jennifer nie zdołała w ogóle wcisnąć się w tę kieckę.

Domyślała się, że będzie za ciasna. Kiedy ekspedientka poinformowała je, że nie mają innych rozmiarów w magazynie, Rachel uparła się, żeby Jennifer spróbowała mimo wszystko ją przymierzyć. Tymczasem razem z Daną zaczęły uganiać się pośród stoisk z ciuchami, a ich kryteria wyboru szybko uległy zmianie: teraz nie chodziło już o to, w czym Jennifer będzie do twarzy, ale o kiecki, które w ogóle były dostępne w jej rozmiarze. I dlatego koniec końców to Dana, a nie Jennifer, przymierzała żółtą sukienkę.

Jennifer próbowała mimo wszystko robić dobrą minę do złej gry. Dziewczyny starały się wyszukać dla niej też inne rzeczy – między innymi znalazły odpowiedni stanik, który będzie lepiej podtrzymywał biust, a także pasiaste buty na płaskim obcasie, które pasują do wszystkiego. Nie chodziło już tylko o znalezienie sukienki na bal, ale w ogóle o pomoc w skompletowaniu jej na nowo garderoby.

Jennifer godziła się przymierzyć praktycznie wszystko, co tylko jej przynosiły.

Po trzech godzinach uganiań się po sklepach poczuła jednak, że pada na twarz. Poza tym wkurzało ją, że dziewczyny w ogóle nie próbują postawić się w jej sytuacji. Najwyraźniej nie docierało do nich, że dla Jennifer robienie z nimi zakupów było trudnym doświadczeniem.

Przykładowo, w pewnym momencie Dana wskazała jej pewien model dżinsów i stwierdziła z naciskiem, że *musi* je przymierzyć, po czym pognąła do innego działu. Dla szczupłych dziewczyn to proste – wystarczy podejść do sterty spodni i wziąć pierwszą parę z brzegu. To takie łatwe, nie muszą wkładać w to żadnego wysiłku. Dziewczyny w typie Jennifer muszą się ostro namęczyć, żeby coś znaleźć. Żeby dokopać się do pary w swoim rozmiarze, musiała wywrócić do góry nogami całe, równo poukładane, stosy spodni. Czasami jej rozmiaru w ogóle nie było na stole, tylko tkwił schowany w skrytce pod spodem. Jennifer musiała przyklęknąć i zacząć przekopywać te pochowane pary niczym świnia ryjąca w błocie. A Dana w takich chwilach wołała już z innej części sklepu: *Jennifer, pośpiesz się! Musisz koniecznie przymierzyć jeszcze tę parę!*

I chociaż stawało się jasne, że nie znajda dla niej idealnej sukienki na bal, jak

obiecały, Jennifer próbowała nie robić z tego wielkiej sprawy. Wkurzało ją, że Dana i Rachel są tak bardzo krytyczne w stosunku do kiecek, które przymierzały, mimo że przecież wszystko leżało na nich idealnie. Mogłyby wystroić się w każdą z tych sukni i wyglądać jak boginki. Dostrzegały wady, które dla innych były całkowicie niewidzialne. Czyżby wymyślały je, żeby poprawić nastrój Jennifer? Niestety efekt był zupełnie odwrotny – dziewczyna czuła się coraz bardziej przybita. Poza tym zrobiła się głodna. Trzeba już było wracać do domu.

– I jak tam, Jennifer? – zawołała Rachel.

– Chyba mam już dosyć.

Nie miała już nawet siły przymierzać ostatniej sukienki.

– Serio? – zdziwiła się Dana. Z tonu jej głosu Jennifer nie umiała wywnioskować, czy przemawia przez nią autentyczne zdziwienie, czy może współczucie.

– Odwagi – powiedziała Rachel. – Musisz zaprezentować się nam w przynajmniej jednej kiece.

Jennifer westchnęła znużona i zdjęła z wieszaka ostatnią sukienkę. Wykonała ten ruch dość gwałtownie; biorąc pod uwagę cenę, zdecydowanie zbyt gwałtownie. Była to bezramiączkowa sukienka z tafty w kolorze chabrowym, o kroju empire, z rozkloszowaną spódniczką u dołu. Wsunęła ją przez głowę, a potem żeby się dopiąć, zaczerpnęła głęboko powietrza i wciągnęła brzuch. Musiała trochę się pomęczyć z zapięciem, ale w końcu się udało.

Kiedy ujrzała się w lustrze, kąci jej ust uniosły się same w mimowolnym uśmiechu. Zrobiła obrót, żeby zobaczyć, jak sukienka leży z tyłu.

– Ta jest w sumie całkiem niezła – zawołała zdziwiona.

Rozsunęła drzwi kabiny dziewczyn. Rachel i Dana siedziały na dwóch miękkich fotelach, obok trzyczęściowego lustra. Na kolanach trzymały stopy ciuchów.

– Znalazłyście coś dla siebie?

– O nas się nie martw! Skup się na sobie – poradziła Rachel.

– Chwila – odezwała się Dana, po czym wstała szybko i powcisnęła tasiemki do wieszania za górę sukienki Jennifer. – No dobrze, teraz spójrzmy, jak to wygląda.

Dziewczyna weszła na podwyższenie naprzeciwko lustra.

– Mnie się bardzo podoba – przyznała, zaczesując dłonią włosy do góry.

Ta sukienka naprawdę przypadła jej do gustu. Teraz potrzebowała jeszcze, żeby dziewczyny też wyraziły aprobatę.

– Uważam, że jest perfekcyjna – obwieściła Rachel.

– Piękna sukienka na bal – przytaknęła Dana. – A do tego czerwone pantofelki, prawda, Rachel?

– Tak, czerwone szpilki byłyby idealne.

Jennifer podskoczyła radośnie na palcach. Oczami wyobraźni widziała już siebie na sali gimnastycznej, jak w pełnym makijażu i ze starannie zrobioną fryzurą tańczy w kółeczku razem z Rachel, Daną i Margo. Żeby tylko ktoś zrobił im razem fotkę do kroniki szkolnej.

W tej samej chwili do kabiny zajrzała ekspedientka, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Od stóp do głów ubrana była na czarno, włosy miała związane w koński ogon. Utkwiła spojrzenie w Jennifer i przygryzła wargę. Dziewczyna od razu się domyśliła, że sprzedawczynie chciałyby się podzielić opinią na temat wybranej przez nią sukienki.

– Jak się pani podoba? – spytała, choć coś jej podpowiadało, że nie powinna. Ekspedientka zrobiła kwaśną minę.

– Średnio – oświadczyła, po czym zbliżyła się do niej i wyciągnęła przed siebie dłoń ze starannie zrobionym manikiurem. – Ta sukienka za bardzo wcina ci się w talię, a przez to spódniczka nienaturalnie układa się na biodrach. Tutaj powinna być prosta, gładka linia, a nie żadne wcięcie.

Jennifer stała nieruchomo, podczas gdy ekspedientka pokazywała jej w lustrze, na czym polegają rzekome wady. Wszystkie niedoskonałości odbijały się w trzyczęściowym lustrze raz za razem, w nieskończoność. W pewnym momencie Jennifer zaczęły drżeć usta, broda zmarszczyła się i zaczęła podskakiwać.

Ekspedientka w końcu zauważyła, co narobiła. Wycofała się szybko i przepaszającym tonem zasugerowała:

– Może znajdziesz coś lepszego w sklepie The Salon na drugim piętrze.

The Salon to sklep, do którego na zakupy chodziła matka Jennifer. Jego klientelą były starsze, otyłe kobiety. Nie sprzedawano tam ciuchów dla nastolatek ani telewizorów, na których puszcza się teledyski, a przy kasach nie można było dokupić lakierów do paznokci w efektownych jasnych kolorach. Jennifer wiedziała, że nie znajdzie tam nic dla siebie.

Rachel wstała z fotela i wepchnęła ekspedientce do rąk stertę ubrań, którą trzymała na kolanach.

– Dzięki, to by było na tyle – rzuciła lakonicznie. – Proszę zabrać te ciuchy, już je przymierzyłam.

– Przepraszam, twoja koleżanka spytała przecież, czy...

– Powiedziałam, że dziękujemy. Niczego nie potrzebujemy, więc może pójdzie już sobie pani i... sama nie wiem... zajmie się układaniem ubrań na półkach.

Ekspedientka odwróciła się i szybko wyszła z przymierzalni. Jennifer czuła, jak do oczu napływają jej łzy. Nie umiała już dłużej ich powstrzymać. Usiadła na podwyższeniu przed lustrem i wybuchła płaczem.

– Jennifer! – powiedziała cicho Dana, podbiegając do niej. – Jeśli czujesz się dobrze w tej sukience, co cię obchodzi zdanie jakiejś durnej sprzedawczynie?

– Dokładnie – wtrąciła Rachel. – Ludzie pracujący w sklepach to dno. Ta panna nienawidzi życia, to jasne.

Ich słowa nie pomagały, Jennifer zanosila się płaczem. Przez załzawione oczy widziała, jak Dana i Rachel wymieniają pełne smutku spojrzenia. A więc w końcu zrozumiały, w końcu to do nich dotarło. Poczula, jak któraś z nich głaszcze ją po plecach.

Najstraszniejsza była jednak myśl, że Margo miała rację – Jennifer nie pasuje do takiego życia, do takiego świata. Nie pasuje do tych dziewczyn. Znowu nawaliła. Lepiej będzie, jeśli zapomni o potańcówce. I o całej reszcie.

– Naprawdę świetnie wyglądasz w tej sukience – przekonywała Rachel.

Schowała dłoń w rękaw bluzy i delikatnie otarła łzy z policzków Jennifer.

– Zobaczysz, na balu będzie super – obiecała Dana, klękając naprzeciw niej.

– Będziemy się razem świetnie bawić.

W uszach Jennifer słowa „będziemy” i „razem” zabrzmiały niczym najpiękniejsza muzyka. Były zaproszeniem. A więc dziewczyny chcą, żeby wybrała się na bal razem z nimi! Pójdą wszystkie razem, jak prawdziwe przyjaciółki.

Ciekawe tylko, co na to Margo.

Przebrała się w końcu, wytarła twarz i przy kasie zapłaciła wrednej ekspedientce za sukienkę. Miała poczucie, jakby właśnie odniosła jakieś wielkie zwycięstwo. A w każdym razie, jakby dostała coś, co jej się od dawna należało.

ROZDZIAŁ 17

Tuż przed północą Candace poszła nad basen znajdujący się na tyłach posesji jej rodziców i stanęła na samym brzegu. Wpatrywała się w rozłożoną nad wodą płachtę srebrzystego brezentu, naciągniętą niczym siatka trampoliny. Gdzieś tam widniały niewielkie kałuże, leżały w kupkach martwe liście i strącone z drzew żołędzie – pamiątki po niedawnej burzy.

Już dawno, pod koniec sierpnia, facet jej mamy, Bill, przykrył basen brezentem. Candace tłumaczyła mu, że przecież będzie jeszcze wiele słonecznych dni, ale nic sobie z tego nie robił. Nie chciała się pogodzić z tym, że lato się skończy. Ostatnie było takie super – koleżanki wpadały do niej niemal codziennie, w zależności od tego, którą akurat miała ochotę zaprosić. Na patio stały tylko cztery krzesła, co stanowiło znakomity pretekst, by być wybredną w doborze gości. Tradycją stała się zabawa w gorące krzesła. Kiedy wyłączała muzykę, a goście rzucali się do krzeseł, by jak najszybciej zająć jedno dla siebie, Candace miała poczucie władzy. Wszystkie przyjaciółki marzyły, by spędzić z nią trochę czasu na patio. Gdy zdarzyło się, że nie zaprosiła jednej z koleżanek i ta się wkurzyła, już nazajutrz z łatwością puszczała to w niepamięć, byle tylko zostać zaproszoną następnym razem. Dziewczyny słuchały radia, smarowały się olejem kokosowym, przeglądały czasopisma i wygrzewały się na słońcu, zmieniając pozycję, w miarę jak wędrowało ono po niebie.

Ilość czasu, jaką tego lata Candace spędzała na słońcu, doprowadzała do szaleństwa jej matkę. Pewnie dlatego uparła się, żeby Bill jak najszybciej zamknął basen. Od czasu do czasu pani Kincaid stawała w drzwiach wiodących na patio z twarzą ukrytą pod niesamowicie szerokim rondem słomianego kapelusza i przypominała dziewczętom o niebezpieczeństwach związanych z opalaniem. Pokazywała im nawet paragony z drogerii, żeby na własne oczy zobaczyły, jak drogie są kremy przeciwzmarszczkowe, i ostrzegała, że już nigdy nie będą wyglądały tak pięknie jak teraz.

Candace przewracała tylko oczami skrytymi za ciemnymi szklami okularów przeciwsłonecznych i przypominała mamie, jak sama wyglądała w jej wieku, gdy spędzała wakacje w Whipple Beach. Jej opalenizna kontrastowała z nieopalonymi częściami ciała niczym barwy waniliowa i karmelowa w deserze lodowym. Córka odgrażała się przy tym, że gdyby nie mokry kostium kąpielowy, poszłaby zaraz do domu i przyniosła powieszzone nad kominkiem zdjęcia, które by to potwierdziły.

W takich chwilach pani Kincaid spuszczała nieco z tonu. Przysiadała na brzeжку krzesła Candace i dzieliła się z dziewczynami opowieściami o tym, jak to kiedyś jacyś chłopcy próbowali tak wcelować frisbee, żeby wylądowało na jej ręczniku plażowym. Albo o tym, jak dziadek Candace postanowił spędzać noce na

ławce na ganku w obawie, że jakiś kawaler wykradnie mu w nocy córkę. Albo o sesji zdjęciowej do katalogu nieistniejącego już domu towarowego. Na koniec pani Kincaid całowała córkę w czoło i dawała dziewczynkom enigmatyczną radę życiową w rodzaju: „Korzystajcie z życia, póki możecie”.

Po jej wyjściu dziewczyny zawsze zachwycały się minioną urodą mamy Candace i przekonywały, że wygląda ona identycznie jak matka przed laty. W takich chwilach Candace wiedziała, że mama chłonie każde słowo ukryta za żaluzjami.

Scena ta powtarzała się regularnie co parę tygodni. I za każdym razem i córce, i matce chodziło o to samo – komplementy i podziw.

Candace odchyliła teraz krawędź brezentowej płachty i z zadowoleniem odkryła, że woda pod spodem nadal ma zachwycający turkusowy kolor. Starła się uważać, ale i tak w pewnym momencie z brezentu zsunęło się trochę błota, które zmąciło krystaliczną wodę.

W zeszłym roku zaczęła się zastanawiać, czy przed zakończeniem nauki w liceum dołączy do grona dziewczyn przygotowujących listę. Wyobrażała sobie, że któregoś dnia w skrzynce na listy znajduje kopertę, a w niej anonimowy liścik z odcisniętym starym stemplem szkoły. A może będzie to zaproszenie, by dołączyła do tajemnego stowarzyszenia dziewcząt – może znajdzie się w nim informacja, że o północy ma zjawić się na środku boiska do futbolu, żeby dostąpić inicjacji, albo jakaś inna równie tajemnicza instrukcja. Świetnie by sobie poradziła z zadaniem sporządzania listy, bo umiała bez ogródek komentować urodę innych i obiektywnie oceniać, jak prezentuje się dana panna. Nie to co dziewczyny, które w tym roku stworzyły listę. Przecież nazwanie jej najbrzydszą uczennicą świadczy tylko o tym, że ktoś zazdrości jej urody.

Ostrożnie zanurzyła palec stopy w wodzie i aż się wzdrygnęła – była lodowata. Całym jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Cofnęła się o krok, zaskoczona widokiem swojego ciała odbitego w wodzie. Spojrzała za siebie, w kierunku domu, i jej spojrzenie padło na pidżamę porzuconą niedaleko krzesła. Na poduszce na krześle spoczywał pamiętnik, a wiaterek przewracał jego kartki. Dostrzegła też swoje niewyraźne odbicie w przesuwanych szklanych drzwiach. Miała na sobie tylko stanik i majtki, a wkoło niej odbijały się w szybie ponure barwy jesieni i ciemne nocne niebo.

W gardle urosła jej gęła.

Po szkole przez wiele godzin siedziała w Internecie. Liczyła, że uda jej się z kimś porozmawiać, ale nie otworzyło się ani jedno okno komunikatora.

Nikt nie próbował jej pocieszać, nikt nie powiedział, że mu przykro, że to Candace znalazła się na liście.

Nikt nie stwierdził, że popełniono błąd.

Nikt nie zamienił z nią ani słowa w szkole.

Nikt z wyjątkiem Końskiej Grzywy.

Zaczerpnęła powietrza w płuca i skoczyła przed siebie. Ponieważ jednak źle wymierzyła, stopami zahaczyła o brezent, zrywając jego mocowania i pociągając go za sobą do wody. Kiedy stopami oparła się o dno, w piętę wbił jej się kolec jakiejś gałązki. Ból był tak przeszywający, że natychmiast zapomniała o przejmującym chłodzie wody. Błyskawicznie odbiła się od dna i wynurzyła na powierzchnię, po czym podpłynęła z powrotem do brzegu.

W tej samej chwili rozsunęły się drzwi na patio i wyjrzała zza nich pani Kincaid, w pełnym makijażu, nienagannej fryzurze, elegancko ubrana i wypachniona.

– Candace! Candace! – wołała, ruszając biegiem w stronę basenu.

W połowie drogi zaczęła nogą o otomanę, wywracając ją do góry nogami. Natychmiast się zatrzymała i zaczęła sprawdzać, czy przypadkiem nie poleciało jej oczko w pończosze.

Candace podciągnęła się w końcu na brzeg basenu i usiadła. Czuła, jak majtki kleją się jej do cementu. Ciekła w niej obficie woda. Podwinęła nogę i ścisnęła stopę w miejscu, gdzie krwawiła, próbując wydłubać kolec.

– Podaj mi ręcznik! – poleciła matce.

Pani Kincaid zatrzymała się nad córką zdumiona. Uniosła ramiona, ale po chwili opuściła je bezradnie. Zagrzechotały jej srebrne bransoletki.

– Spójrz, co żeś narobiła! Popsułaś plandekę! – jęknęła pani Kincaid. – Będę musiała teraz błagać Billa, żeby to naprawił. Nie obejdzie się pewnie bez spuszczenia całej wody, żeby oczyścić basen z syfu, którego tam nasypałaś. Co ci strzeliło go głowy, Candace?!

Córka uniosła spojrzenie na matkę. Najchętniej opowiedziałaby jej o liście, o wszystkim, co się stało. Ale tłumaczenie tych spraw byłoby takie upokarzające. Pani Kincaid pewnie zrobiłaby z tego wielką sprawę, poszła na skargę do szkoły i urządziła awanturę dyrektorze Colby. A na to Candace nie mogła pozwolić. Sama narobiła już wystarczającego bałaganu. Po tym, jak zachowała się podczas rozmowy z dyrektorką, czuła się jeszcze gorzej.

– Podasz mi ten ręcznik czy nie? – warknęła na matkę.

Pani Kincaid podeszła do krzesła, jednak zamiast ręcznika wzięła do ręki pamiętnik córki.

– W tym roku znowu pojedziesz w Karawanie Entuzjastów?

– Tak.

– I to wszystko dziewczyny, które chcą jechać razem z tobą?

Candace wiedziała, na co patrzy jej matka: była to zajmująca całą stronę kolumna imion. Spis jej koleżanek. Dziewczyn, które – jak sądziła – ją lubią, a które teraz świętowały jej niepowodzenie.

Lista podejrzanych.

– Końska Grzywa, kto to? – zainteresowała się matka.

– A taka nowa dziewczyna.

– Ma urocze przezwisko... – zachichotała pani Kincaid.

Candace weszła na patio, podniosła z ziemi pidżamę i rzuciła oschle:

– Cała jest urocza.

Końska Grzywa – panienska, która z dnia na dzień stała się wcieleniem urody i wdzięku. Kiedy próbowała porozmawiać z Candace w łazience, zachowywała się tak bardzo prostolinijnie i szczerze, że było to nie do zniesienia. Była taka świętoszkowata, jakby nic sobie nie robiła z tego, że znalazła się na liście.

Zresztą kto wie, zastanowiła się Candace. Może jest z niej tak wielkie dziwadło, że faktycznie niewiele ją to obchodzi.

Dziewczyna weszła do domu, znacząc mokrymi plamami wykładzinę. Skierowała się do łazienki na parterze, stanęła przed umywalką i sięgnęła po ręcznik, żeby wytrzeć twarz. W ostatniej chwili się powstrzymała – ręcznik był wysmarowany i poplamiony wszelkimi kolorami tęczy jak szmatka do wycierania farb w pracowni malarskiej.

– Fuj, mamó – poskarżyła się córka.

Pani Kincaid zbyła wyrzut córki fuknięciem i wyciągnęła drugi ręcznik z szafki pod umywalką.

– Proszę, tu masz czysty – stwierdziła.

Tak naprawdę ten też był poplamiony, ale przynajmniej pachniał po praniu płynem do płukania tkanin.

Candace wytarła się cała, uważając, żeby niczego nie zrzucić na podłogę. Półeczki wokół umywalki zastawione były buteleczkami, tubkami, pędzelkami i gąbkami do makijażu.

Jako naturalnie piękna kobieta jej matka wcale nie potrzebowała się malować, mimo to prawie nigdy nie pokazywała się światu bez makijażu. Spoglądając na nią w jaskrawym łazienkowym świetle, Candace nie mogła opanować dreszczu obrzydzenia. Skóra umalowanych kobiet w takim oświetleniu wygląda nienaturalnie. Widać każdy upudrowany włos.

– Zobacz, co ci przyniosłam ze studia – odezwała się pani Kincaid, zanurzając dłoń w jednej ze szkatulek z kosmetykami. Po chwili wydobyla z niej maleńkie opakowanie złocistego cienia do powiek. – Będzie świetnie pasował do twojej sukienki na bal, nie sądzisz? Aha, Candace, pozwól, że sama cię umaluję przed balem. Wiesz, że znam się na makijażu odmładzającym.

Pani Kincaid pracowała jako makijażystka w lokalnej stacji telewizyjnej. Do jej zadań należało ukrywanie zmarszczek, które byłyby widoczne przed kamerą.

– Zobaczymy – odparła Candace.

Prawdę mówiąc, nie była już wcale pewna, czy w ogóle się wybierze na tańce.

Matka, ilekroć tylko miała okazję, próbowała podmalowywać jej oczy eyelinerem w dziwnym zielonym kolorze, pociągnąć usta matową koralową szminką albo przykleić sztuczne rzęsy. Najwyraźniej nie mogła pojąć, że dziewczynom w liceum nie zależy na tak spektakularnych efektach, których wymaga się od osób występujących w telewizji. Taki makijaż mógłby się od biedy sprawdzić na balu maturalnym, ale przecież nie codziennie. Candace jednak nie narzekała – mimo wszystko fajnie mieć w domu kogoś, kto umie sprawnie dobrać odpowiedni odcień podkładu, którym można przykryć pryszczę, gdy się czasem pojawi.

– A może zaprosisz koleżanki do domu na sesję zdjęciową przed balem?

Candace przez chwilę dumiała nad tym pomysłem. Taka wstępna impreza byłaby świetną okazją do zażegnania sporów przed balem.

– A załatwisz nam procenty?

– Candace... – jęknęła pani Kincaid.

Owszem, zakupiła alkohol na kilka letnich imprez córki, ale odkąd zaczęła się szkoła, zapowiedziała, że to koniec.

– Kup dwie butelki rumu – poprosiła błagalnym tonem Candace. A po chwili sięgnęła po ostateczny argument. – Pozwolę ci się umalować.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Będziesz mogła zrobić ze mną, co tylko zechcesz. Złote cienie do powiek, czarna szminka...

– Daj spokój – przerwała jej matka. – Nigdy nie pomalowałabym ci ust czarną szminką.

– Wiem, chodzi mi tylko o to, że będziesz mogła zaszaleć.

– Ale ja wcale nie chcę *zaszaleć* – poprawiła ją pani Kincaid. – Zadaniem makijażystki jest wydobyć i podkreślić naturalne piękno. A ty, złociutka, masz tego aż nadto.

Chociaż dalej była mokra, Candace nachyliła się, żeby przytulić matkę. W tym samym momencie łokciem zahaczyła buteleczkę z podkładem – ta roztrzaskała się na dnie umywalki, a jej gęsta pomarańczowa zawartość spłynęła do kanalizacji.

ŚRODA

ROZDZIAŁ 18

Sara wyłączyła budzik, po czym odwróciła się na drugi bok i powąchała się pod pachą. Z niezadowoleniem zmarszczyła brwi. Mimo że nie myła się już od trzech dni, nadal nie śmierdziała tak, jak chciała. Jej ciało wydzielało zaledwie lekki smrodek. Fatalnie.

Inna sprawa, że kiedy jej babcia zaczęła mieć problemy z nietrzymaniem moczu, staruszka nie miała bladego pojęcia, że w całym domu cuchnęło uryną.

Sara wstała z łóżka i przejrzała się w lustrze. Dobrze, że przynajmniej wygląda ohydnie.

Słowo BRZYDULA wypisane na jej czole nadal było świetnie widoczne, ale i tak obawiała się, że nie dotrwa do soboty. Kto wie, może przed samym bale będzie musiała poprawić napis markerem.

Włosy z przodu były już tłuste na całej długości. Mogła czesać je bez końca, ale nie układały się normalnie. Rozdzielały się na pojedyncze tłuste kosmyki, jakby nie chciały znaleźć się w większej grupie. Za to podgolony tył głowy był strasznie wyschnięty i swędzący. Nigdy dotąd nie miała łupieżu, jednak teraz wystarczyło, że przeczesала włoski palcami, a na ramiona sypały się jej białe płatki złuszczonej skóry.

Sara zawsze miała zdrową cerę i nigdy nie musiała się nią specjalnie przejmować. Czasami tylko przed samym okresem wyskoczył jej na twarzy pryszcz. Teraz jednak, gdy zbliżyła się do lustra, zauważyła, że policzki usiane ma maleńkimi wypryskami. Był to ten rodzaj pryszczu, które nie mają ropnych główek, za to sprawiają, że cała twarz ma nierówną powierzchnię jak ulica wysadzana kocimi łbami.

Za paznokciami przyczał się czarny brud.

Swędziały ją uszy wewnątrz.

Błyskawicznie się ubrała. Zakładanie na nieumyte ciało brudnych ciuchów wymagało nie lada determinacji. Otwór na szyję w koszulce Milo był dziwnie rozciągnięty, odsłaniał jej kawał dekoltu, jakby T-shirt był na nią o rozmiar za duży. W miejscach pod pachami zebrały się kryształki soli po wyschniętym pocie. Dżinsy nie były już obcisłe – wisiały jej na tyłku i kolanach, a w dotyku były dziwne, jakby zakurzone. Jej bielizna zrobiła się obrzydliwa. Taki sam los spotkał skarpetki, sztywne, jakby chciały się połamać.

Całe szczęście, że już środa, pocieszała się w myślach Sara. A zatem była już w połowie drogi. Liczyła, że kiedy nadejdzie dzień balu, będzie cuchnęła jak bezdomna.

Po drodze do szkoły uświadomiła sobie, że większość uczniów z Mount Washington zapewne nigdy nie widziała na własne oczy bezdomnego. Wszyscy ci

ludzie to wychowane pod kloszem dzieciaczki.

Milo zastała na ich ławce. Pochylał się nad rozłożonym na kolanach szkicownikiem i coś rysował. Sara zeskoczyła z roweru i powoli, cichuteńko jak myszka zbliżyła się do ławki.

Myślami cofnęła się do ostatniej niedzieli.

* * *

Siedziała na podłodze w pokoju Milo, przeglądając jego szkicownik i podziwiając rysunki. Chłopak był niesamowicie utalentowany, a Sara marzyła, że pewnego dnia stworzą coś we dwoje – może komiks, a może udałoby się go namówić, żeby zrobił ilustracje do jej wierszy. Milo nie wiedział nawet, że Sara pisuje wiersze. Uważała, że są straszne. Gdyby miała je komuś przeczytać, umarłaby chyba ze wstydu. Ale wśród nich znalazłoby się też kilka takich, z których była zadowolona. Te akurat mogłaby mu pokazać. Chyba.

Milo najchętniej rysował dziewczęce postaci z mangi. Były to niezmiennie młodzietki uczennice rodem z chłopięcych marzeń, z olbrzymimi biustami, które wyglądały jakby miały za chwilę rozsądzić ich szkolne mundurki. Wszystkie one miały długie lśniące włosy i wydatne usteczka. Sprawiały wrażenie bezbronych i skromniutkich. Aż prosiły się, żeby je wykorzystać. Ich widok zawsze ją onieśmiał. Wiedziała, że to głupia reakcja, ale nie umiała nic na to poradzić. Nie chodziło o to, że czuje zazdrość. W końcu były to tylko komiksowe postaci. A poza tym nie byli już z Milo parą.

Na którejś z kartek szkicownika odnalazła rysunek przedstawiający jakąś Azjatkę. Nie była to komiksowa postać, tylko realistyczny szkic dziewczęcej twarzy. W rogu kartki Milo przyczepił nawet zdjęcie prawdziwej dziewczyny, żeby móc się na nim wzorować. Wtedy po raz pierwszy Sara poczuła, że rysunek chłopaka jest słaby. Dziewczyna na zdjęciu była zjawiskowo piękna, ta z rysunku nie mogła się z nią równać. Modelka ubrana była w różową bluzeczkę, włosy zaczesana na bok. Miała perfekcyjny uśmiech, lśniące oczy, a na szyi, na wysokości obojczyka, zawiesiła złoty wisiołek w kształcie litery A. Wyglądała niczym jakaś azjatycka anielica.

– A to kto?

– Annie – brzmiała enigmatyczna odpowiedź.

Milo siedział na łóżku, przypatrując się Sarze. Wiedziała, że miał kiedyś dziewczynę w West Metro. Zerwali ze sobą, zanim przeprowadził się do Mount Washington, jednak nadal utrzymywali kontakt. Niekiedy Sara odnajdywała SMS-a od niej na jego komórce albo maila na komputerze. Zresztą Milo sam z siebie o niej wspominał. Kiedy teraz się nad tym zastanowiła, uderzyło ją, że w gruncie rzeczy napomykał o niej całkiem często. Jednak nigdy dotychczas nie widziała jej zdjęcia.

Zawsze zakładała, że Annie i ona sama wyglądają w miarę podobnie.

Nagle poczuła, jak budzi się w niej jakieś gwałtowne uczucie. Miała wrażenie, jakby przyłapała Milo na kłamstwie, albo przejrzała maskę, pod jaką ukrywał swoją prawdziwą twarz. Ani razu nie wspomniał, że Annie jest piękna. Fakt, że związał się kiedyś z kimś takim, stawiał pod znakiem zapytania wszystko, co wiedziała o tym chłopaku. Kto wie, może gdyby nie zachęciła go, żeby przysiadł się do niej na ławkę, czekałby cierpliwie, aż przygarną go ci sami ludzie, którymi tak pogardzała. A wówczas być może związałby się z kimś w rodzaju Bridget Honecutt.

Milo zsunął się z łóżka, na kartkę szkicownika ze zdjęciem padł jego cień. Po chwili chłopak nachylił się i pocałował Sarę w usta. Odsunęła się odruchowo i zdumiona uniosła na niego spojrzenie – Milo wydawał się niesamowicie zadowolony. Najwyraźniej wielką frajdę sprawiała mu świadomość, że wprawił ją w zakłopotanie. Nieśmiały, grzecznutki chłopczyk, którego znała, zniknął bez śladu.

Szybko wzięła się w garść. Zamknęła szkicownik, wychyliła się do przodu i pocałowała go namiętnie, licząc, że w ten sposób przegna z myśli obraz twarzy Annie.

Nie pomogło.

No a potem wszystko potoczyło się szybko. Przypominało to trochę grę w cykora, gdy stawka wzrasta bez przerwy do momentu, że nie można się już wycofać. A rezygnowanie nie leżało w jej naturze. Milo musiał wiedzieć, że Sara nigdy nie odpuszcza. Być może wykorzystywał to nawet przeciwko niej. Może domyślał się, że przez całe lato marzyła o tej chwili.

Jednak przez cały czas spokoju nie dawała jej myśl, jak to możliwe, by Milo pragnął być z nią po tym, jak spotykał się z taką piękną jak Annie. W jej odczuciu przeczyło to zdrowemu rozsądkowi. Akurat tego typu przeciwieństwa niezbyt się przyciągały. Nie pomagała też świadomość, że – jak się okazało – mało wiedziała o chłopaku, z którym pierwszy raz w życiu się całowała i poszła do łóżka, wszystko tej samej nocy.

* * *

Kiedy przypinała rower, Milo powiedział:

– Annie twierdzi, że powinienem na bal sprawić ci bukiet na nadgarstek.

Słyszając to, pozwoliła, by rower osunął się na ziemię. Nie pofatygowała się nawet, by go postawić z powrotem do pionu.

– I co jej odpowiedziałeś?

W tej chwili po raz pierwszy poczuła wstyd, że doprowadziła się w ciągu ostatnich dni do takiego stanu. Nagle poczuła się jeszcze bardziej brudna niż przez cały poranek.

– Nie wspominałem jej, no wiesz, o tej twojej akcji z niemyciem się. Powiedziałem tylko, że wybieramy się razem na tańce.

Sara nie wiedziała, czy powinna się z tego cieszyć, czy może martwić.

– Miło, mówiłam ci już, że nie chcę bukieciku – przypomniała, potrząsając głową.

– To prawda. Ale Annie twierdzi, że tylko tak gadasz. A w rzeczywistości pewnie i tak byś chciała go dostać.

– Ona mnie nie zna. I najwyraźniej ty też nie – wyrzuciła z siebie. Ze zdenerwowania zaczynała dygotać.

– Saro, pomyślałem tylko...

– Nie chcę twojego pieprzonego bukieciku! – wrzasnęła na cały głos. Wszyscy obecni na Wysepce Pierwszaków odwrócili się w ich stronę.

– Dobrze, w porządku. Żadnych bukiecików – zgodził się skwapliwie Miło, zamykając szkicownik. Zaczepnął powietrza głęboko, tak głęboko, że ramionami niemal dotknął uszu. Momentalnie oblał się rumieńcem. – Saro, chciałbym cię o coś spytać. Czy byłem do niczego? No wiesz... w łóżku?

– Co takiego? – jęknęła.

– Pytam zupełnie poważnie. Przez kilka ostatnich dni nawet na mnie nie patrzysz. Pomyślałem, że... poczułaś się rozczarowana.

Czyżby Miło nie widział, kiedy byli w łóżku, że jej się to podoba? A może porównywał jej reakcję z reakcjami Annie? Sara przysiadła na drugim końcu ławki, tak by zachować dystans.

– Po pierwsze, Miło, nie mam zamiaru komentować tego, co się wydarzyło. Nigdy. A po drugie mam teraz inne rzeczy na głowie prócz ciebie.

– No to może porozmawiaj ze mną o nich – zaproponował. – Naprawdę uważasz mnie za takiego drania, że nie chcesz porozmawiać ze mną o swoich uczuciach? Myślisz, że nie domyślam się, jakie to musi być okropne uczucie, kiedy ktoś nazwie cię brzydką?

Sara parsknęła śmiechem. Na końcu języka miała już: *Serio? Co ty nie powiesz? Czyżby Annie miała podobny problem?* Powstrzymała się jednak, zamiast tego śmiała się bez przerwy. Liczyła, że Miło zrobi się głupio i w końcu się zamknie.

– Podobasz mi się. Wiesz o tym, prawda?

Oczywiście jego słowa sprawiły jej przyjemność. Jednak działało się teraz zbyt wiele, by mogła sobie pozwalać na sentymenty. Poza tym podjęła już decyzję – jeśli zostanie z Miło, nigdy nie pozbędzie się podejrzeń. Zawsze będzie porównywać się do Annie i żyć w obawie, że pewnego dnia, gdy tylko nadarzy się okazja, chłopak porzuci ją dla kogoś atrakcyjniejszego.

– Lepiej nie mów już nic więcej.

– A więc żałujesz... *no wiesz...* – wydukał.

Wyglądał w tej chwili na tak strapionego, jakby doświadczał fizycznego bólu.

– Milo, żałuję, że w ogóle rozpoczęliśmy tę rozmowę. Wcale nie oczekuję, że będziemy się teraz przed sobą wywnętrzać.

– Ale ja po prostu próbuję być blisko, na wypadek gdybyś potrzebowała się wygadać.

– Czego ty ode mnie chcesz? Żebym padła ci w ramiona i zanosła się płaczem?

– Chcę, żebyś ze mną rozmawiała jak z przyjacielem.

Sara z wrażenia opuściła głowę i schowała ją w dłoniach.

– A więc jesteśmy tylko przyjaciółmi, tak? W porządku. W takim razie nie muszę się już martwić, że znów będziesz próbował wziąć mnie za rękę?

Milo zacisnął usta.

– Nie o to mi chodziło.

– Słuchaj, nie odstawiaj teraz scen rozpacz. Zamierzam kupić dla siebie bilet na bal. Jeśli nadal chcesz się ze mną wybrać, możemy iść razem. A jak nie, to też nie będzie dramatu. Rób, co chcesz.

Milo włożył rękę do kieszeni i przez chwilę w niej myszkował. W końcu wręczył Sarze pieniądze.

– Idę z tobą. Nie zmieniłem zdania.

Kiedy wzięła od niego banknot, wyczuła pod palcami, że coś jest w niego zawinięte. Jakiś prostokątny kształt.

Listek gumy do żucia.

– Nie wkurzaj się – poprosił Milo, spuszczać głowę. – Saro, śmierdzi ci z ust. A nie chcę, żeby ktoś zwrócił ci uwagę, bo znów będzie ci przykro.

– Jezu, wielkie dzięki, Milo – prychnęła, rzucając w niego gumą.

Przez głowę przeleciała jej myśl, o ile łatwiejsze byłoby jej życie, gdyby nigdy nie zaprzyjaźniła się z tym chłopakiem.

Raźnym krokiem ruszyła w kierunku szkoły. Niedaleko głównego wejścia przy stoliku dwie dziewczyny z czwartej klasy sprzedawały bilety na bal. Obie na koszulkach miały naklejki z napisem GŁOSUJ NA JENNIFER – KRÓLOWĄ BALU.

Jennifer Briggis miałyby zostać królową balu? No bez jaj.

Dla Sary był to dodatkowy impuls, by zrealizować do końca swój plan. Pomysł, by przyznać tytuł królowej Jennifer, to najlepszy dowód, że całą tę porąbaną tradycję listy trzeba rozpieprzyć od środka. Jennifer jest kimś w rodzaju jeńca wojennego, który był gnębiony przez wszystkie te lata. A Sara dostarczy jej soli trzeźwiących.

Najchętniej wyrzygałyby się na panienki przy stoliku.

– Aleście wymyśliły przeprosiny – zauważyła z przekąsem.

Jedna z dziewczyn, ta rozdająca naklejki, zrobiła zdezorientowaną minę.

– O co ci chodzi?

– O akcję głosowania na Jennifer. Bardzo miłutki pomysł, zwłaszcza że przez trzy ostatnie lata mówiłyście, że jest brzydka jak noc – wyjaśniła, po czym podając pieniądze, dodała – Dwa bilety.

Dziewczyny spojrzały po sobie stropione, żadna jednak nie wyciągnęła ręki po pieniądze.

Sara nachyliła się nad stołem, otworzyła kasetkę i wrzuciła pieniądze do środka. Następnie wzięła dwa bilety ze stołu.

– Do zobaczenia na parkiecie.

Kiedy odchodziła, dobiegły ją słowa jednej z dziewczyn.

– O Boże, ależ ona śmierdzi.

Po raz pierwszy tego dnia na usta zakradł się jej uśmiech. W sobotę jej odór wypełni całą salę gimnastyczną. Wszystkie śliczne, pięknie wystrojone dziewczyny uciekną na trybuny i będą zatykać nosy. Sara dopilnuje, żeby tego dnia tylko ona świetnie się bawiła.

ROZDZIAŁ 19

Margo przyszła do szkoły z dziesięcioma dolarami na bilet i zdjęciem sukienki, którą zamówiła wieczorem poprzedniego dnia w Internecie. Miała nadzieję, że kiecka przypadnie do gustu Rachel i Danie. I że będzie pasować do sukni, które dziewczyny kupiły dla siebie.

Jej była w kolorze szmaragdowozielonym. Króciutka, bez rękawów, dopasowana. Na plecach zapinana na rząd powleczonych materiałem guziczków. Może trochę zbyt szykowna jak na jesienną potańcówkę, jednak Margo uznała, że do dobrze. W momencie gdy ją kupowała, na kolanach trzymała talerz ze spaghetti, więc okoliczności nie były sprzyjające do zbyt długich roztrzasań. Pomyślała, że w końcu jest już czwartoklasistką, za miesiąc obchodzi osiemnaste urodziny, więc elegancka sukienka to całkiem niezły pomysł. Poza tym to nie miała być jednorazowa kreacja – planowała założyć ją jeszcze później. Kto wie, może przyda się jej na uroczystość zaprzysiężenia przy wstępowaniu do dziewczęcego stowarzyszenia studenckiego, jeśli w przyszłym roku postanowi do niego dołączyć. Zapłaciła fortunę za ekspresową przesyłkę – sukienka miała zostać dostarczona w ciągu dwudziestu czterech godzin. Opłata za przesyłkę niemal dorównywała kosztowi samej sukienki. Ale było warto, bo dzięki zakupowi znów poczuła podniecenie na myśl, że pójdzie na potańcówkę. Na bal przyjdzie w rozpuszczonych włosach. Założy te aksamitne czarne sandaalki z odkrytymi palcami, które upolowała na przedświątecznej przecenie rok temu. To będzie ich premiera.

Na chwilę poczuła się jak dawna ona.

Dana i Rachel nie odezwały się do niej po wizycie w galerii handlowej. Margo postanowiła wówczas przedzwonić do kwiaciarni Vines on Vine, gdzie zamówiła trzy bukietki na nadgarstek z małych różyczek i listków cytryny. Przed rokiem Maureen kupiła bukietki swoim przyjaciółkom. Margo liczyła teraz, że tym gestem przeprosi swoje przyjaciółki za to, że zachowywała się dziwnie z powodu Jennifer, odkąd rozwieszono nową listę.

Nadal wpadała w lekką paranoję, ilekroć zaczynała się zastanawiać, co Jennifer mogła nagadać dziewczynom podczas wypadu na zakupy. Próbowiła się uspokoić, tłumacząc sobie, że ich rozstanie przed laty należało nieodwołalnie do przeszłości i zapewne dawna przyjaciółka nie będzie chciała wyciągać starych brudów. Roztrzasanie tamtej sprawy mogło postawić je obie w niekorzystnym świetle.

Danę i Rachel zastała przy stoliku niedaleko wejścia do szkoły, gdzie sprzedawały bilety na bal. Ustawiła się już do nich kolejka chętnych. Margo zajęła miejsce na końcu. Parę osób z ogonka, zwracając się do niej, zapewniło, że to

właśnie na nią zagłosują w wyborach królowej balu. Niektórzy pokazywali nawet, że wpisali już jej imię na kartach do głosowania, które wydrukowano na odwrocie biletów. Margo podziękowała im uprzejmie, a przy okazji przypomniała o zbliżającej się piątkowej imprezie tym, których chciała na niej zobaczyć.

Kiedy wreszcie dotarła do wydających bilety przyjaciółek, przywołała na twarz swój najpiękniejszy uśmiech i powiedziała:

– Poproszę jeden bilet.

Wręczając im pieniądze, zauważyła, że Dana i Rachel mają na koszulkach naklejki z napisem CZEŚĆ, NAZYWAM SIĘ... W pozostawionym pod spodem miejscu na wpisanie imienia widniał napis GŁOSUJ NA JENNIFER – KRÓLOWĄ BALU. Na stole leżał cały stos identycznych naklejek, a Dana różowym markerem wypisywała kolejne.

– Jennifer? – wydusiła z siebie Margo.

Dana spuściła wzrok i skupiła się na kolejnej naklejce. Rachel westchnęła i poradziła:

– Nie bierz tego do siebie, Margo.

– Moje dwie najlepsze przyjaciółki prowadzą kampanię wyborczą przeciwko mnie, w dodatku promują dziewczynę, której nie lubię. Jak niby mam nie brać tego do siebie?

– Gdybyś wybrała się z nami wczoraj na zakupy, wszystko byłoby dla ciebie jasne.

– To było takie straszne – wtrąciła ponuro Dana, dorysowując gwiazdeczkę nad literą „i” w imieniu Jennifer. – Naprawdę straszne. Jak tylko o tym pomyślę, zbiera mi się na płacz.

– Przecież ona nawet nie wybierała się na bal – ciągnęła Rachel. – Przez trzy lata ta dziewczyna nie była na ani jednej szkolnej potańcówce. Margo, zrozum, Jennifer potrzebuje tego tytułu. A na pewno potrzebuje go o wiele bardziej niż ty.

Mówiąc to, wręczyła przyjaciółce zakupiony bilet i naklejkę z hasłem GŁOSUJ NA JENNIFER.

Bilet razem ze zdjęciem sukienki Margo wsunęła do tylnej kieszeni dżinsów. Naklejkę nadal jednak trzymała w ręce.

Świetnie wiedziała, jak powinna się w tej sytuacji zachować – przyjąć to na klatę i udawać, że nic się nie stało. Wówczas całe to napięcie, jakie narosło między nią a kumpelami, zostałyby nareszcie rozładowane. Ludzie podziwialiby, jaka porządna z niej dziewczyna. Nikt, nawet Jennifer, nie żywiłby już do niej złych uczuć.

Zamiast tak zrobić, odłożyła jednak naklejkę na stertę pozostałych. W międzyczasie ze zdenerwowania spociły jej się dłonie i rozmazała atrament.

– Nie mogę.

– No nie żartuj – odparła Rachel, odchylając się na krześle.

– Margo, daj spokój – poradziła Dana. – Czemu taka jesteś?

Poczuła, jak ciarki przechodzą jej po plecach. Ludzie stojący za nią w kolejce zaczęli niecierpliwie przestępować z nogi na nogę. Nagle cały korytarz zakolysał się jej przed oczami.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł. Ludzie mogą pomyśleć, że nabijacie się z...

– No dobra – weszła jej w słowo Rachel, po czym machnięciem ręki dała do zrozumienia, żeby Margo ustąpiła miejsca następnej osobie w kolejce. – Jak chcesz.

– Rachel, pozwól mi...

– Nie. Pomyślałam, że komu jak komu, ale tobie przede wszystkim powinno zależeć na oczyszczeniu sumienia. Ale może ty po prostu uważasz, że nic złego nie zrobiłaś.

To nie była prawda. Margo doskonale zdawała sobie sprawę, że są pewne sprawy, których powinna się wstydzić. Jednak zerwanie znajomości z Jennifer kosztowało ją naprawdę wiele, a teraz nie miała siły znowu rozgrzebywać tej rany. A już na pewno nie miała ochoty w ramach pokuty zrzec się korony królowej balu. W końcu nie tylko ona była winna temu, jak potoczyły się sprawy. Jennifer była w tym samym stopniu odpowiedzialna za zerwanie znajomości jak Margo.

Chciała powiedzieć coś na swoją obronę, wytłumaczyć się, jednak niechętnie spojrzenia koleżanek sugerowały, że cokolwiek powie na temat Jennifer, zabrzmiałoby źle. Nie zostanie to odebrane jako obrona, tylko znęcanie się nad bezbronną i pogwałconą dziewczyną. Dlatego w końcu bez słowa odwróciła się i odeszła od stolika.

Idąc korytarzem, miała wrażenie, że wszyscy mijani uczniowie mają na koszulkach naklejki z napisem GŁOSUJ NA JENNIFER – KRÓLOWĄ BALU. Zerkali ciekawie, sprawdzając, czy też sprawiła sobie taką. A kiedy odkrywali, że Margo nie ma naklejki, wyraz ich twarzy zmieniał się błyskawicznie. Pochylali szybko głowy i zaczęli coś szeptać między sobą. Dziewczyna wiedziała, że rozmawiają o niej.

Zastanawiała się nad tym w zeszłym roku, teraz jednak była już pewna – opinia najładniejszej czwartoklasistki nie zawsze się opłaca. Czasami to istne przekleństwo.

* * *

Przed maturą życie siostry Margo, Maureen, przybrało dość dziwny obrót. Między nią a jej starymi przyjaciółmi wybuchały ciągle niezliczone sprzeczki. Kiedy cała jej klasa wyjeżdżała na ostatnią pożegnalną wycieczkę do Whipple Beach, Maureen w ostatniej chwili postanowiła, że nie jedzie, mimo że rodzice opłacili już jej pokój w hotelu. Tuż przed balem maturalnym, bez żadnego

konkretnego powodu, rozstała się ze swoim chłopakiem Wayne'em – superciachem, z którym chodziła przez dwa lata i z którym straciła dziewictwo (tak przynajmniej wynikało z listu miłosnego, który Margo pewnego dnia znalazła w szufladzie na bieliznę siostry). Na imprezie, jaką Maureen zorganizowała z okazji zdania matury, nie zjawił się nikt z jej znajomych. Skończyło się na tym, że maturzystka upiła się do nieprzytomności w obecności dziadków. Kimała na leżaku, budząc się co chwilę, żeby beknąć.

Margo w osłupieniu obserwowała, jak siostra niszczy wszystko, na czym do niedawna najbardziej jej zależało. W oczach młodszej siostry wydawało się to skrajnie nieodpowiedzialne. Chodziło o to, by kończąc liceum, nie zrywać starych więzi, tymczasem Maureen najwyraźniej od wszystkiego chciała się uwolnić.

Zdecydowała się na studia w odległym college'u. Margo chciała pomóc jej się spakować przed wyjazdem, jednak ponieważ już się wtedy słabo dogadywały, pozostawało jej schodzić z drogi starszej siostrze. Powstało między nimi napięcie, które w oczach Margo urastało do rangi nienawiści. Podczas pożegnalnego obiadu, zanim matka poleciała ze starszą córką na drugi kraniec kraju, gdzie ta miała rozpocząć studia, Maureen nie zaszczyciła Margo ani jednym spojrzeniem.

Kiedy w końcu wyjechała, dziewczyna poczuła niemal ulgę.

Zaraz potem zakradła się do pokoju siostry. Wszystkie zdjęcia jej przyjaciół, zajmujące kiedyś całą ścianę, wylądowały w koszu na śmieci.

Margo usiadła na podłodze i wysypała zdjęcia z kosza. Do niektórych przyłgnęła taśma klejąca, którą trzeba było odczepić. Inne były pogięte. Część fotografii zrobiono na balu absolwentów. Jedna z nich ukazywała jej siostrę w diademie tonącym w kasztanowych włosach, tańczącą z Wayne'em.

Zdjęcie było zniszczone – jedno z zagięć przebiegało w poprzek twarzy Maureen – jednak wystarczyło przyjrzeć się uważniej, by dostrzec, że dziewczyna wygląda na nim na absolutnie szczęśliwą.

* * *

Idąc na lekcję wychowawczą, Margo zauważyła dyrektorkę. Kobieta przypatrywała się uczniom na korytarzu, jej spojrzenie przeskakiwało nerwowo z jednej osoby na drugą.

Ciekawe, co pani Colby pomyśli o akcji GŁOSUJ NA JENNIFER – KRÓLOWĄ BALU. Margo mogła postąpić na dwa sposoby: albo weźmie udział w tej hucpie (i narazi się na pogardliwe spojrzenia), albo się wymiga (co zostanie potraktowane jako jeszcze bardziej podejrzane zachowanie).

W końcu postanowiła zawrócić, żeby nie wpaść na dyrektorkę.

ROZDZIAŁ 20

Skurcze były jeszcze silniejsze niż te, które towarzyszą miesiączce.

Bridget zacisnęła usta i próbowała skoncentrować się na bohomazach wydrapanych na pokrytych migdałową farbą drzwiach łazienki. Schowała się w damskiej toalecie przy szatni gimnastycznej. Siedziała na klozecie, pochylona do przodu, z łokciami wspartymi na nagich udach, dłońmi podpierając brodę. Między tenisówkami ustawiła opróżnioną do połowy plastikową butelkę po wodzie. Jej zawartość miała oleistą konsystencję, na wierzchu unosił się gęstszy osad.

Bridget dochodziła do wniosku, że to nie mikstura oczyszczająca, tylko jakiś magiczny eliksir.

Przez cały ranek co chwilę musiała biegać do toalety. Za każdym kolejnym razem potrzeba załatwienia się była bardziej nagła niż poprzednio. Teraz już trzeci raz podczas lekcji wuefu wylądowała w ubikacji. Dziewczyny grały w siatkówkę. Jej drużyna akurat rozgrywała piłkę, gdy Bridget poczuła, że dłużej nie wytrzyma. Skurcze były tak silne, że praktycznie nie była w stanie normalnie iść. Zamiast tego kuśtykała, dłońmi ściskając obolały brzuch. Mało brakowało, a w ubikacji nie zdążyłaby ściągnąć spodenek gimnastycznych.

Marzyła o tym, żeby znaleźć się już w domu i schować przed ludźmi. Mogłaby spokojnie zamknąć się w łazience, może nawet poczytać jakieś czasopismo albo książkę, żeby skupić na czymś myśli. Jezu, a co się stanie, jeśli któryś nauczyciel nie pozwoli jej wyjść do łazienki? Oprócz tego martwiły ją te dziwne skurcze. Było w nich coś bardzo niepokojącego, jakby nagle dopadło ją zapalenie wyrostka robaczkowego.

Nie ma się czym przejmować, powtarzała sobie w myśli. Przecież w opisie kuracji oczyszczającej uprzedzono, że jednym z efektów ubocznych są ostre skurcze. Znalazło się tam też ostrzeżenie, że Bridget może doświadczać dzikich napadów łaknienia. I faktycznie wczoraj dosłownie umierała z głodu, a przy tym nie miała ochoty na nic konkretnego, po prostu chciało jej się potwornie jeść. Było to znacznie silniejsze pragnienie niż zazwyczaj. Z instrukcji wynikało, że jeśli zdoła jakoś przetrzymać ten napadowy głód, jeśli znajdzie w sobie siłę, by przeciwstawić się wewnętrznemu głosowi namawiającemu ją do zjedzenia czegokolwiek, wówczas po jakimś czasie osiągnie równowagę i łaknienie minie. I rzeczywiście tak się stało.

Musi po prostu w spokoju przetrwać cały ten oczyszczający proces.

Nagle jej brzuch przeszła kolejna błyskawica straszliwego bólu. Z porcelanowej muszli dobiegł chłupot. Za każdym razem, gdy rozlegały się te dźwięki, była pewna, że nic więcej już z niej nie wyleci. Po chwili jednak okazywało się, że jest w błędzie.

W pewnym momencie przez ściany przeniknął gwizdek kończący lekcję wuefu, a już chwilę potem drzwi do szatni otworzyły się i w środku zaroilo się od dziewczyn. Wszystkie przebierały się na wyścigi, żeby zdążyć przed dzwonkiem na przerwę. Bridget szybko wstała z klozetu i przyjrzała się błotnistej wodzie w odpływie. Efekty działania mikstury były obrzydliwe, jednak kiedy pociągnęła za spłuczkę i patrzyła, jak wszystkie nieczystości, które blokowały ją od środka, znikają w kanalizacji, a na ich miejsce pojawia się czysta chłodna woda, poczuła swoistą dumę. Jej brzuch nadal co prawda przypominał wypełniony wodą balon, jednak czuła się teraz dziwnie lekka i pełna życia.

Fajnie nie czuć głodu, prawda?

Tak, to naprawdę dobre uczucie.

Umywszy ręce, Bridget wróciła do szatni. Większość jej koleżanek zdążyła już się przebrać i teraz stały przed lustrami, zawieszonymi wzdłuż jednej ze ścian. Wszystkie coś mówiły, zwrócone twarzami prosto do tafli, które odbijały ich słowa i kierowały je z powrotem w ich twarze.

– Słowo daję – jęknęła jedna z dziewczyn – nikt w całej szkole nie ma brzydszej skóry ode mnie.

Stojąca obok koleżanka szturchnęła ją w bok.

– Bez jaj, przecież masz śliczną skórę bez żadnych wągrów! – pocieszyła ją, po czym nachyliła się do samego lustra, tak blisko, jakby chciała powąchać szkło.

– Za to ja mam cały nos w zaskórnikach.

– Co ty gadasz, twój nos jest perfekcyjny – odparła tamta pierwsza. – Błagam rodziców, żeby na Gwiazdkę zafundowali mi operację plastyczną nosa. Wolę to niż samochód, trudno.

– Nawet jak umówisz się na wizytę w klinice chirurgii plastycznej, każdy lekarz cię wyśmieje. Za to gdyby to mnie zobaczył, mógłby na mój temat napisać rozprawę naukową. Znasz jakąś inną dziewczynę, która chodziłaby do trzeciej klasy, a już miała takie zmarszczki?

Po tych słowach zczesła włosy do góry, naciągając skórę na twarzy. Przyglądająca się z boku Bridget zobaczyła wypukłość jej czaszki i niebieskie żyłki na czole.

Druga dziewczyna wykrzywiła się, szczerząc do lustra zęby w kolorze gumy cynamonowej, którą najwyraźniej żuła.

– Wolalabym już mieć twoje niewidzialne zmarszczki niż moje krzywe zęby. Chyba nigdy nie daruję rodzicom, że nie zafundowali mi aparatu ortodontycznego, kiedy byłam mała. Przecież to zakrawa na znęcanie się nad dzieckiem.

Bridget naciągnęła przez głowę swój biały sweterek. Zakładała go bardzo powoli, próbując choć na kilka sekund schować twarz w jego wełnianej miękkości. To była typowa zabawa jej koleżanek – pocieszanie się nawzajem wynajdywaniem u siebie nieistniejących wad. Wygrywała ta, która umiała najlepiej odegrać

falszywą nienawiść do samej siebie.

W tej dziedzinie Bridget mogłaby je wszystkie z łatwością pokonać.

Chwyciła grzebień i ruszyła do lustra.

– Laski, wszystkie jesteście porabane – oznajmiła, wbijając spojrzenie w swoje odbicie. – Przecież to ja jestem z was wszystkich najbrzydsza.

Oczywiście wiele razy wygłaszała już podobne komentarze. Ten akurat był jej ulubionym, ponieważ obejmował absolutnie wszystkie jej potencjalne niedoskonałości. I naprawdę wierzyła w te słowa. Znała wszystkie te dziewczyny od przedszkola. Razem dorastały. Widziała, jak wymieniały się między sobą chłopakami, testowały nowe fryzury, próbowały palić papierosy, upijać się alkoholem, który akurat zdołały zdobyć, obmyślać układy choreograficzne do kretyńskich popowych piosenek. A teraz wszystkie one były już niemal dorosłymi kobietami. W oczach Bridget wszystkie były piękne, a ona do nich nie pasowała.

Rozpuściła związane w koński ogon włosy i zaczęła je czesać. Pod dotykiem jej czarne pukle elektryzowały się, jakby przeskakiwały w nich iskry. W pewnym momencie zorientowała się, że w łazience zapadła cisza. Wszystkie dziewczyny utkwiliły w niej spojrzenia.

– Bridget, litości – jęknęła w końcu jedna z nich.

– Dokładnie, co ty gadasz! – skwapliwie przyznała inna.

– No co? – zaperzyła się Bridget.

Wszystkie koleżanki jak na komendę zaczęły przewracać oczami.

– Jasne, jesteś najbrzydsza.

– Naprawdę myślisz, że ci uwierzymy?

Nagle zrobiło jej się dziwnie słabo. Odgrywały tę scenkę setki razy, teraz jednak z jakiegoś powodu nie mogła sobie przypomnieć, jaka jest jej kwestia.

– Ja... ja... – dukała, nie umiejąc znaleźć odpowiednich słów.

Jakiś czas temu chciała już opowiedzieć koleżankom o tym, co przydarzyło jej się zeszłego lata. Milczała jednak, bo nie chciała ich niepokoić. Nie chciała, by pomyślały, że coś jest z nią nie w porządku. Zaczęłyby panikować. To dlatego nie zaprosiła żadnej z nich latem do siebie. Gdyby miała towarzystwo, musiałyby wszystko wytłumaczyć. Zresztą ostatnio czuła się już lepiej.

– Wszystkie cieszymy się, że znalazłaś się na liście, ale...

– Bridget, dałabym się pokroić na kawałki, żeby znaleźć się na twoim miejscu.

– Wiesz, to trochę niegrzeczne z twojej strony... My naprawdę mamy powody narzekać na swoją urodę, ale ty... Przecież każdy wie, że jesteś śliczna. To fakt potwierdzony naukowo.

Kiedy rozległ się dzwonek na przerwę, Bridget poczuła kolejny skurcz. Koleżanki całą grupą wyszły z szatni, kierując się na stołówkę, a ona, skulona, wróciła do kabiny.

Miała już zdjąć džinsy, gdy zorientowała się, że tym razem jej organizm ma inną potrzebę niż poprzednio.

Mikstura oczyszczająca podeszła jej do gardła.

Był to dla niej totalny szok, bo Bridget nigdy w życiu jeszcze nie wymiotowała. Jedzenie przepływało przez nią tylko w jednym kierunku. Liczyła kalorie, liczyła kęsy i łyki. Teraz nagle poczuła, że coś chce się z niej wydobyć przez usta. Czowała, jak toksyny buzują w jej żołądku. Nagle odniosła wrażenie, że zupełnie nie panuje nad swoją fizjologią.

Wyszła z kabiny i sięgnęła po butelkę z miksturą. Po namyśle jednak odstawiła ją i przepłukała usta wodą z kranu. Woda nie była zimna, wyczuwała w niej leciuteńki posmak rdzy.

Właśnie zaczęła się długa przerwa śniadaniowa.

Bridget skierowała się do biblioteki, a po drodze wylała zawartość swojej butelki do odpływu fontanny. Naczynie śmierdziało miksturą. Pomyślała, że pewnie nigdy nie uda jej się zmyć z niego tego zapachu, dlatego je też po chwili wyrzuciła. Koniec, nie będzie więcej piła tego świństwa. Skoro nic więcej w niej nie zostało, i tak nie miałyby czego zwracać. Wiedziała wprawdzie, że ta logika jest dość naciągana, jednak postanowiła, że wymiotowanie to granica, której nie ma zamiaru przekraczać.

ROZDZIAŁ 21

Na przerwie śniadaniowej Lauren usiadła razem ze swoimi nowymi koleżankami. Ich stolik stał w najlepszym, najbardziej nasłonecznionym miejscu stołówki. Przy jedzeniu dziewczyny snuły plany dotyczące Karawany Entuzjastów.

Pierwsza połowa przerwy upłynęła im na obmyślaniu możliwie najbardziej sprawiedliwej strategii dzielenia się pomysłami dekoracyjnymi. Ustalono, że będą przedstawiały pomysły po kolei, tak jak siedzą w kółku, a potem głosowały na nie przez podniesienie ręki. Dzięki temu odpadała konieczność decydowania za każdym razem, która z dziewcząt odzywa się w jakiej kolejności. Ktoś zaproponował też, by na wstępnym etapie burzy mózgów wszystkie pomysły traktowane były jako potencjalnie wartościowe: żaden nie miał być nazwany głupim, idiotycznym czy debilnym.

Gdyby przy ich stoliku siedziała Candace, proces ten wyglądałby zgoła inaczej.

Dopiero teraz Lauren po raz pierwszy dopuściła możliwość, że Candace faktycznie jest tak straszna, jak twierdziły dziewczyny. Odkąd wy dostały się spod jej wpływu, wszystkie sprawiały wrażenie, jakby wstąpiło w nie nowe życie. Lauren doskonale rozumiała, czym jest takie uczucie. Wyzwolenie. Niezależność. Jeszcze niedawno miała poczucie winy, że poszła do szkoły. Dręczyła ją świadomość, że w domu czeka opuszczona matka. Czowała się winna, że marzy o niezależności. Teraz już uwolniła się od tych emocji. Towarzystwo tych dziewczyn, jej nowych koleżanek, było takie inspirujące.

Lauren z ekscytacją śledziła, jak na jej oczach tworzy się nowy piękny świat. W pewnym momencie któraś z dziewczyn wyciągnęła z plecaka kartkę z planami Karawany Entuzjastów przygotowanymi przez Candace. A kiedy podała ją na strzępy, wszystkie pozostałe koleżanki nagrodziły ją wiwatami. Lauren pomyślała wtedy, że dziewczyny przypominają rewolucjonistów amerykańskich z okresu wojny o niepodległość, którzy skrzyknęli się razem, by położyć kres tyrańskim brytyjskim rządóm.

– Mogę być sekretarką, będę notowała wszystko w zeszycie – zaproponowała ochoczo. – W ten sposób nie umknie nam żaden dobry pomysł.

Wcześniej już postanowiła, że nie weźmie udziału w burzy mózgów. Było zbyt wcześnie, by mogła pozwolić sobie na spontaniczne dzielenie się pomysłami na temat spraw, których przecież jeszcze nie знаła. Na razie wystarczyło jej, że w ogóle dopuszczono ją do obrad, że mogła usiąść przy tym stoliku.

Wzięła do ręki długopis i otworzyła zeszyt na czystej stronie.

Czekała.

Okazało się jednak, że chociaż wiele spraw wymagało omówienia, kiedy

przyszło co do czego, uczestniczki wcale nie mają zbyt wiele pomysłów dotyczących tego, jak ma wyglądać Karawana Entuzjastów.

Milczenie przerwała w końcu jedna z dziewczyn.

– W sumie to nieważne, co zrobimy – powiedziała z westchnieniem. – Pod warunkiem, że będzie to fajniejsze niż plany, do których chciała nas przekonać Candace.

Lauren nie chciała, żeby dziewczyny się zniechęciły. Spoglądając na kartkę, przypominała sobie, że na odwrocie widnieją rysunki, które wykonała na ostatniej lekcji. Odwróciła ją teraz, żeby się im przyjrzeć.

– Na angielskim zrobiłam parę szkiców. *Ethana Frome'a* Edith Wharton czytałam chyba z piętnaście razy, więc trochę się nudziłam – powiedziała. Dziewczynki otoczyły ją ciasnym kręgiem. Szkic nie był zbyt szczegółowy, dlatego musiała pokrótce wyjaśnić, co przedstawia. – Maskotką Mount Washington jest alpinista, prawda? Pomyślałam więc, że mogłybyśmy powycinać z tektury góry i przymocować po bokach samochodu. Byłaby to taka sugestia, że jesteśmy niczym wspinacze wysokogórscy.

– Super pomysł – ucieszyła się jedna z dziewcząt.

– Mogłybyśmy pojechać pikapem mojego ojca – zaproponowała inna.

– Wtedy wszystkie się zmieścimy.

– Założymy flanelowe koszule, weźmiemy kijki do trekkingu, liny i sprzęt wspinaczkowy – podpowiedziała Lauren.

– Lauren, to są absolutnie fantastyczne pomysły!

– I pomyśleć, że miałyśmy ograniczyć się do rysunków wykonanych kremem do golenia i jakichś wstążek – westchnęła inna z dziewczyn. – Tymczasem to jest... prawdziwy oryginalny koncept!

– Hej, Lauren – zawołał kto inny. – Musisz po lekcjach wybrać się z nami na zakupy i poszukać potrzebnych rzeczy.

Lauren uśmiechnęła się na tę myśl, ale już po chwili przyszło otrzeźwienie.

– Zaraz po szkole odbiera mnie mama – powiedziała. – Ale mogę pomóc wam zrobić listę.

– No to zadzwoń do niej i powiedz, że musisz dzisiaj zostać dłużej w szkole. Proszę, przedzwoń z mojej komórki – zasugerowała jedna z dziewczyn, wręczając jej telefon. Po chwili rozejrzała się po sali, sprawdzając, czy nie obserwuje ich opiekun stołówki. – Tylko lepiej nie podawaj żadnych konkretów.

Lauren wystukała na klawiaturze swój domowy numer. Na szczęście włączyła się skrzynka głosowa.

– Cześć, mamusiu. To ja. Wiesz co, nie musisz odbierać mnie dzisiaj po lekcjach. Muszę zostać dłużej w szkole, żeby przygotować pewien projekt. Jak skończę, wrócę pieszo do domu, dobrze? Dzięki, mamusiu. Do zobaczenia potem. Kocham cię.

Rozłączyła się i oddała komórkę właścicielce. Łatwo poszło.

Po chwili telefon zaczął wibrować. Dziewczyna, do której należał, zerknęła na ekran i powiedziała:

– Lauren, to chyba twoja *mamusia*.

Parę innych dziewcząt parsknęło śmiechem.

– Nie odbieraj, najwyżej zostawi wiadomość na poczcie głosowej – stwierdziła Lauren, wyłamując palce.

– Dobra.

Po minucie telefon znów zawibrował.

– Przepraszam – odezwała się Lauren. – Odkąd poszłam do szkoły, mojej mamie lekko odbija.

W tym samym momencie jedna z dziewczyn podniosła wzrok i szepnęła:

– Ciiii, idzie Candace.

Lauren obserwowała, jak Candace zbliża się do stolika. Żadna z koleżanek nie ustąpiła jej miejsca. Lauren poczuła się nagle nieswojo, jakby to ona ją podsiadła. Chciała już wstać, ale jedna z dziewczyn przytrzymała ją na miejscu, kładąc jej dłoń na kolanie pod stołem. Ostatecznie Candace usiadła na krześle na samym skraju stołu.

– Przygotowujecie plany na Karawanę Entuzjastów?

– No – padła lakoniczna odpowiedź.

– I jak wam idzie?

Kiedy żadna nie pospieszyła z odpowiedzią, Lauren odwróciła zeszyt w kierunku Candace, tak by mogła zapoznać się z jej szkicem.

– Całkiem niezłe. Chcesz zobaczyć, co wymyśliłyśmy?

– Nie – ucięła Candace, po czym odrzuciła włosy na plecy. Lauren zdążyła jednak zauważyć, że spojrzenie dziewczyny prześlizgnęło się po rysunku. – W tym roku nie będzie mnie na Karawanie Entuzjastów. Będę zajęta przygotowaniem... w sumie to dlatego do was podeszłam.

Na chwilę umilkła i westchnęła z obojętnością.

– Urządzam imprezkę w sobotę przed bale. Wszystkie jesteście zaproszone, zrobimy sobie razem fotki. Mama obiecała, że kupi parę butelek rumu. Będzie mnóstwo żarcia i w ogóle.

Lauren ożywiła się, słysząc zaproszenie, jednak pozostałe dziewczyny nie sprawiały wrażenia zachwyconych.

– Fajnie – rzuciła jedna z nich, dziobiąc niechętnie widelcem jedzenie na talerzu.

– No, może wpadnę – bąknęła inna.

Kąciki ust Candace opadły.

– No tak – wydusiła z siebie, powoli zbierając się do odejścia. – Mam nadzieję, że przyjdziecie.

Gdy tylko oddaliła się od stolika, wszystkie koleżanki spuściły głowy i zaczęły się naradzać konspiracyjnym szeptem.

– Co ona sobie wyobraża? Naprawdę myśli, że zrobi imprezę i znów ją polubimy?

– Poza tym idziemy przecież po balu na imprezę do Andrew. Wcale nie potrzebujemy, żeby załatwiała nam gorzałę, jak zeszłego lata.

– Może wreszcie do niej dotrze, że nie wolno traktować ludzi jak śmieci. I że człowiek musi ponosić konsekwencje swoich czynów.

– Z niej zawsze była wredna suka. Nigdy się nie zmieni. Zawsze będzie jej się wydawało, że jest lepsza od nas.

Lauren przeniosła spojrzenie z powrotem na swój zeszyt. Od razu zrozumiała, że Candace, podchodząc do stolika, wyciągała rękę na zgodę i próbowała naprawić relacje z dziewczynami. Było jednak jasne, że naprawdę głęboko zalaźła im za skórę. Impreza raczej nie mogła tego zmienić.

Jedna z dziewczyn w zamyśleniu zacisnęła usta, a po chwili oświadczyła:

– W sumie... fajnie byłoby przemycić alkohol na bal. Mogłybyśmy się jeszcze lepiej zabawić.

– Dokładnie, pójdziemy na chatę do Candace, zgarniemy rum, ale będziemy dalej obrażone.

– Zróbmy tak – przytaknęła inna dziewczyna.

Lauren przygryzła wargę. Pomysł, by wybrać się na imprezę Candace tylko ze względu na darmowy alkohol, zupełnie jej się nie podobał. Z drugiej strony może jednak do dziewczyn powoli docierało, że Candace jest przykro. Może muszą spędzić razem trochę czasu, żeby jakoś się dogadać? Może na imprezie Candace zdobędzie się na bardziej szczere przeprosiny?

W końcu jednak jedna z koleżanek skrzyżowała ręce na piersi i oświadczyła zdecydowanym tonem:

– Jeśli Lauren nie chce iść na imprezę do Candace, to ja też nie idę.

– Ja tak samo – wtrąciła kolejna, a wszystkie pozostałe pokiwały zgodnie głowami.

Dla Lauren to, że jej nowe koleżanki spoglądają na nią jak na wyrocznie, było absolutnie niesamowite. A więc Candace nie miała racji – im wcale nie chodzi tylko o to, że Lauren jest ładna. Po prostu ją lubią, naprawdę lubią.

Dziewczyna, która pozwoliła jej wcześniej skorzystać z telefonu, pochyliła się tak nisko, że jej głowa znalazła się pod stołem, i sprawdziła pocztę głosową.

– Lauren – odezwała się po chwili – twoja mama kazała ci przekazać, że dostała pracę.

– O rany! – ucieszyła się Lauren. – Wiecie, co to znaczy? Zostajemy w Mount Washington!

Ostatnie słowa wypowiedziała podniesionym piskliwym głosem, taka była

podekscytowana. Dziewczyny zareagowały uprzejmymi uśmiechami, choć chyba je to żenowało.

– Przepraszam – powiedziała szybko Lauren, zakrywając usta dłonią, po czym dodała, wybuchając nerwowym śmiechem: – Po prostu jestem taka szczęśliwa!

Dziewczyna od komórki sprawiała wrażenie nieco zmieszanej.

– Fajnie – powiedziała – ale głos twojej mamy brzmiał, jakby była trochę przybita.

ROZDZIAŁ 22

Rozległ się dzwonek na przerwę przed szóstą lekcją. Abby pomachała na do widzenia Lisie, która szybko wstała zza ławki w laboratorium i jak błyskawica wyleciała na korytarz. Następną lekcję miała na drugim końcu budynku szkoły, dlatego żeby się wyrobić, musiała jak najszybciej wyjść z lekcji nauk o ziemi. Umówiły się, że na tych zajęciach Lisa wykonuje większość eksperymentów i obliczeń, a do obowiązków Abby należy zapisywanie wyników, a potem sprzątanie po pracy. Abby bardzo odpowiadał taki układ. Na następnej lekcji miała wuef, dlatego nie zamierzała się spieszyć. Powoli zwinęła mapę fizyczną i równie niespiesznie podkładała próbki skał na miejsce w szafce. Wuefu nie cierpiała niemal tak samo jak nauk o ziemi.

Chciała wyjść, gdy pan Timmet uniósł trzymany w ręce długopis, przywołując ją do siebie.

– Abby, zaczekaj.

Była już za progiem, ale zatrzymała się w pół kroku i odwróciła w kierunku biurka nauczyciela. Celowo nie cofnęła się do wnętrza klasy, żeby dać mu do zrozumienia, że się spieszy.

– Słucham, panie profesorze?

– Obawiam się, że mamy pewien problem – oświadczył nauczyciel, przyzywając ją bliżej biurka. Kiedy podeszła, skupił się na przerzucaniu papierów leżących na blacie. Przez cały czas unikał kontaktu wzrokowego. – Po dwóch pierwszych sprawdzianach i niekompletnie wypełnionym arkuszu z odpowiedziami z poniedziałku mam wrażenie, że coś słabo ci idzie na moich lekcjach.

O cholera. Na wieść, że znalazła się na liście, Abby wpadła w takie uniesienie, że kompletnie zapomniała o skopiowaniu odpowiedzi z arkusza Lisy.

– Abby, wiem, że wydaje się, jakbyśmy dopiero co zaczęli naukę po wakacjach. Ale w rzeczywistości jesteśmy już niemal na półmetku semestru – ciągnął pan Timmet, sięgając po stertę jasnoniebieskich kart. Abby wiedziała, co się na nich znajduje: były to raporty o postępach w nauce do wglądu dla rodziców. – Odnieś mi to do końca tygodnia z podpisem matki albo ojca.

Abby wbiła ręce w kieszenie džinsów, czując pod palcami zmechancone szwy.

– Ale ja się naprawdę staram, panie profesorze – mówiąc to, próbowała nadać swojemu głosowi niewinne i bezbronne brzmienie. Nauczyciele pokroju pana Timmeta, którym wydawało się, że nadal są młodzi i mogą podobać się uczennicom, często ulegali takim sztuczkom. – I przepraszam za ten niedokończony arkusz z poniedziałku. Tamtego ranka wydarzyło się coś bardzo emocjonującego i... – Umilkła na chwilę, licząc, że w twarzy nauczyciela dojrzy

potwierdzenie, że wie o liście. Albo chociaż wyraz współczucia. – W każdym razie naprawdę *chciałam* wtedy wypełnić ten test.

Pan Timmet przesunął okulary na czoło i przetarł oczy.

– Jak już wspomniałem, Abby, nie chodzi tylko o poniedziałkowy arkusz z odpowiedziami. Doceniam, że się starasz. I chciałbym, żebyś wiedziała, że jeszcze masz sporo czasu na poprawę ocen. Pamiętaj, że w przyszłym tygodniu będzie ważna klasówka. Jeśli dostaniesz z niej dobrą ocenę, twoja średnia poprawi się i odzyskasz szansę na zaliczenie semestru. Mimo wszystko proszę cię jednak, żebyś poinformowała rodziców, że na chwilę obecną jesteś zagrożona.

Nogi się pod nią ugięły. Zagrożona? Już?

A jeszcze niedawno, rozpoczynając naukę w liceum, miała takie wielkie nadzieje. Liczyła, że w nowej szkole będzie inaczej niż w ostatniej klasie gimnazjum, kiedy musiała stawać na głowie i nadskakiwać nauczycielom, żeby dopuszczali ją raz za razem do poprawkowych klasówek, dzięki czemu mogła uniknąć powtarzania klasy.

Mając w pamięci tamte wydarzenia, Abby od początku roku szkolnego w pierwszej klasie liceum starała się uważać na zajęciach. Pierwszego dnia nauki robiła nawet notatki. Zapisywała starannie w zeszycie wszystko, o czym mówił pan Timmet.

Przez jakiś czas miała nawet wrażenie, że zaczyna rozumieć materiał przerabiany na naukach o ziemi. Nagle okazało się, że zaczyna pojmować, skąd biorą się klęski żywiołowe, i rozumieć całe to szaleństwo dokonujące się w jądrze Ziemi. Wraz jednak z upływem czasu lekcje pana Timmeta przybrały inną formę – zamiast uczenia się nazw skał, uczniowie mieli przyswajać przypominające hieroglify równania. No i tutaj Abby szybko straciła wątek.

– Jeśli moi rodzice zobaczą spis ocen, zamordują mnie. Proszę, proszę, proszę, panie profesorze, może znajdziemy jakiś kompromis? Mogłabym odrobić zaległe zadanie domowe. I mogę codziennie zostawać po lekcjach w laboratorium, dopóki nie poprawię ocen.

Nauczyciel położył kartkę z ocenami na samym skraju biurka. Jeszcze centymetr i zleciałaby na podłogę.

– Jestem zobowiązany powiadomić twoich rodziców, Abby. Nie bierz tego do siebie.

Pan Timmet był ulubionym nauczycielem Fern. Abby oczami wyobraźni widziała, jak starsza siostra, siedząc w pierwszej ławce wpatruje się zachwycona w nauczyciela i liczy prążki na jego koszuli. Abby przyjrzała się uważnie mężczyźnie. Na przegubie miał zegarek, z którym można nurkować. Praktyczny. W przeciwieństwie do innych nauczycieli szkła w jego okularach w drucianej oprawce nigdy nie były poplamione ani brudne. Na lekcjach lubił czasem rzucić niezbyt zabawnym dowcipem na jakiś naukowy temat. Inteligentne dzieciaki

umiały to docenić i nagradzały go śmiechem. Abby domyślała się, dlaczego siostra tak bardzo ceni tego belfra, dla niej jednak wszystkie te jego cechy były po prostu wkurzające.

– Panie profesorze, błagam pana. Może chociaż wstrzyma się pan z zawiadaniem moich rodziców do czasu klasówki w przyszłym tygodniu? W sobotę mamy jesienny bal, a jeśli dowiedzą się o moich ocenach, pewnie każą mi zostać w domu. A do tego... – Nie dokończyła jednak, widząc, że nauczyciel odwrócił się już do komputera.

Guzik go obchodziła Abby i potańcówka, to jasne. W przeciwieństwie do swojej starszej siostry, nigdy nie umiała znaleźć wspólnego języka z nauczycielami. Uwielbiali za to, kiedy Fern zostawała dłużej po lekcji w klasie i opowiadała o tym, co się dzieje w jej życiu.

Gdy pan Timmet zorientował się, że Abby nie próbuje już go przebłagać, spojrzął znów na nią. Odniosła wrażenie, że nauczyciel jest odrobinę zdenerwowany. A może po prostu było mu przykro, że rozmowa przybrała taki obrót.

– Obawiam się, że nie mogę zmienić zdania. To moje ostatnie słowo.

Abby poczuła nagle, że ciężar trzymany w rękach książek wzrósł dziesięciokrotnie. Przycisnęła je mocno do piersi, czując, jak do oczu napływają jej łzy.

– Ale ja się poprawię – szepnęła. – Obiecuję.

– Możesz mi wierzyć, że o niczym innym nie marzę. Powinnaś poprosić swoją siostrę, żeby udzieliła ci korepetycji. Fern świetnie sobie radzi z tym przedmiotem. To niezwykle bystra dziewczyna.

Abby porwała kartkę z ocenami z biurka. Zrobiła to tak gwałtownie, że parę innych papierów sfrunęło na podłogę.

– Jasne – burknęła, kierując się ku drzwiom.

Akurat tego nikt nie musiał jej uświadamiać.

Na wuefie grali w chińską piłkę, a Abby przez cały czas zastanawiała się, co powinna zrobić. Jeśli pokaże raport rodzicom, dostanie szlaban i niemal na pewno nie będzie mogła zjawić się na balu. Jeśli do piątku nie odniesie do szkoły podpisanego raportu, pan Timmet zapewne przedzwoni do rodziców i efekt będzie taki sam. A wówczas cała popularność, jakiej przysporzyła jej lista – łącznie z zaproszeniem na imprezę Andrew – pójdzie na marne.

Znalazła się w sytuacji, z której praktycznie nie mogła wyjść obronną ręką.

* * *

Abby siedziała na łóżku w swoim pokoju. Nie chciało jej się odrabiać pracy domowej ani oglądać telewizji. W małym telewizorku ustawionym na zagraconej komodzie leciał akurat jakiś talk show, ale nie umiała się na niczym skupić.

W drugiej części pokoju Fern siedziała przy biurku pochylona nad zeszytem. Wkoło niej piętrzyły się stosy książek. Wyglądało to trochę tak, jakby siostra przycupnęła w dolinie otoczonej górami. W snopie światła biurkowej lampki wirowały drobinki kurzu. Abby przypatrywała się długopisowi Fern, który szybko i zdecydowanie poruszał się po kartce.

Ponieważ oboje rodzice potrzebowali osobnych pokoiów do pracy biurowej, dziewczynki musiały dzielić jedną sypialnię. Pokój podzielony był na dwie niemal identyczne części – siostry miały do dyspozycji takie same zestawy mebli: łóżko, biurko, komodę i stolik nocny. Jednak to tylko pozory, wystarczyło bowiem przyrzeć się uważniej, by mimo identycznego schematu umeblowania i wyposażenia dostrzec olbrzymie różnice.

Ściany przy łóżku Abby pełne były przeróżnych zdjęć – fotografii modelek i młodziutkich aktorów wyciętych z kolorowych magazynów, a także ozdóbek będących pamiątkami po wypadach z przyjaciółmi. Powiesiła tam na przykład drukowane na czerwonym papierze bilety wstępu do wesołego miasteczka, do którego zajrzała, gdy latem odwiedziła Lisę w letniskowym domku jej rodziców. Podłoga wokół łóżka zasłana była jej brudnymi ubraniami.

Część pokoju należąca do Fern mogłaby natomiast posłużyć jako przykład miejsca, w którym właśnie przeprowadzono pokazowe sprzątanie. Wszystko tutaj leżało na swoim miejscu i pod właściwym kątem. Ubrania dziewczyny wisiały na wieszakach lub leżały poskładane na półkach. Z lewego słupka przy łóżku zwisał cały pęczek kokard z herbami różnych uczelni. Na suficie nad łóżkiem Fern przykleiła plakat motywacyjny przedstawiający wschód słońca nad morzem. Pod zdjęciem widniał napis: NIC NIE ZASTĄPI CIĘŻKIEJ PRACY. W tablicę korkową powbijane były wyłącznie pinezki z białymi główkami. Podtrzymywały one kalendarz, w którym kaligraficznym pismem Fern zaznaczyła daty oddania wypracowań oraz terminy sprawdzianów i konkursów.

Gdyby siostra Abby przypominała bardziej Bridget, wówczas mogłyby wspólnie się zastanowić i obmyślić jakiś plan. W najgorszym wypadku Bridget mogłaby sama porozmawiać z rodzicami i przekonać ich, żeby nie robili wielkiego zamieszania z powodu raportu Abby. Na pewno znalazłaby bez trudu argumenty za tym, by rodzice puścili siostrę na sobotnią potańcówkę.

Jednak było absolutnie wykluczone, by Fern zechciała pomóc jej w taki sposób.

Abby poszukała dłonią pilota, po czym zaczęła powoli, stopniowo podgłaśniać telewizor. Po chwili oklaski zgromadzonej w studiu widowni huczały już niczym ogłuszający grom.

Fern, nadal notująca coś z zapałem w zeszycie, przerwała na chwilę i spytała napastliwym tonem:

– Czemu nie pójdziesz do dużego pokoju, żeby pooglądać telewizję?

– A więc jednak jesteś w stanie się do mnie odezwać – mruknęła w odpowiedzi Abby.

– Słucham?

– Wiem, że wściekasz się na mnie z powodu listy – odparła Abby, wyłączając dźwięk w telewizorze. Nareszcie powiedziała to na głos.

Fern wypuściła z dłoni długopis, który upadł na zeszyt.

– Nie jestem na ciebie zła z powodu listy – wyjaśniła, powoli cedząc słowa, jakby rozmawiała z kretynką. – Nie wiem po prostu, jak według ciebie powinnam zareagować.

– Hm, pomyślmy... Mogłabyś na przykład powiedzieć: „Gratuluję, Abby”.

Fern odwróciła się gwałtownie od biurka.

– Mówisz poważnie?

– Niewykluczone – wymamrotała speszona dziewczyna. Nagle pożałowała, że w ogóle poruszyła ten temat. – Nie powinnaś mnie winić. Stało się, to nie moja wina.

– No jasne, że to nie jest twoja wina. Wiem przecież, jak to działa. Ale po co paradujesz po szkole dumna jak paw z tego powodu?

– A co, może ty się zachowujesz inaczej, kiedy znajdziesz się na liście prymusów?

– To co innego, Abby – parsknęła Fern.

– A dlaczego? Ja zawsze cieszę się z twoich sukcesów, mimo że sama nigdy nie byłam prymuską.

– Miejsce na liście najlepszych uczniów to dowód prawdziwych osiągnięć. To nagroda za ciężką pracę i wysiłek włożony w naukę. Zamierzasz w podaniu na studia wpisać informację o tym, że zostałeś wybrana najładniejszą pierwszoklasistką? Wątpię.

Po tych słowach wybuchła śmiechem. Abby miała ochotę zapaść się pod ziemię.

– Nieważne – burknęła.

– Czemu gapisz się w telewizor, zamiast skupić się na odrabianiu pracy domowej? Po co cały swój wolny czas spędzasz, przeglądając jakieś głupie kiecki w Internecie? – spytała Fern, odwracając się z powrotem do biurka. – Czemu nie popracujesz nad czymś, co ma jakąś wartość? Czemu nie zdobędziesz nagrody, która naprawdę pomoże ci w życiu?

– Te kiecki wcale nie są głupie – odszczeknęła się Abby. – Może wydaje ci się, że lista jest jakimś kretyńskim pomysłem. Ale to nieprawda. To zaszczyt móc się na niej znaleźć.

Fern wzięła do ręki długopis, jednak zamiast wrócić do odrabiania pracy domowej, utkwiała spojrzenie w ścianie.

– Abby, ta lista w żaden sposób nie zmieni twojego życia. Nie chcę być

niemiła, ale nie myśl, że padnę z wrażenia z powodu czegoś, co pozbawione jest wszelkiego znaczenia. Jeśli kiedykolwiek znajdziesz się na liście prymusów, pierwsza ci powinszuję. Udekoruję twoje łóżko balonami i w ogóle.

Abby nie chciała się rozbeczeć, ale czuła, że jeszcze chwila i z oczu trysną jej łzy. W tym momencie na szczęście zadzwoniła jej komórka. Sięgnęła po telefon, bez słowa wstała z łóżka i wyszła z pokoju. Przed wyjściem zdążyła jeszcze, na złość siostrze, włączyć dźwięk w telewizorze.

– Cześć, Liso – powiedziała do komórki, opierając się plecami o ścianę. Czuła, jak w kręgosłup wbijają się jej oprawki rodzinnych fotografii. Z pokoju dobiegło ją poirytowane westchnienie Fern, która po chwili wstała od biurka, żeby wyłączyć telewizor.

– Brzmisz, jakbyś była zdołowana – zauważyła przyjaciółka. – Co się stało?

Abby przygryzła wargę. Najchętniej opowiedziałaby Lisie o raporcie z ocenami i rozmowie z panem Timmetem, ale za bardzo się wstydziła.

– Chodzi o moją siostrę – wyjaśniła. Wypowiedziała te słowa dość głośno, po czym zerknęła przez szparę w drzwiach do pokoju, żeby sprawdzić, jaki efekt wywołały. Fern zdążyła już wrócić do biurka i siedziała pochylona nad książkami. Abby posłała jej plecom mordercze spojrzenie. – Odkąd wywieszono w szkole listę, strasznie się na mnie wyżywa.

– Słuchaj – odezwała się Lisa, zniżając głos – Nie chciałabym, żeby to, co powiem, utrudniło wam kontakty, ale... Fern po prostu ci zazdrości. Wiesz o tym, prawda?

– Bzdura – fuknęła Abby.

– Ależ oczywiście, że ci zazdrości, głuptasko. Słuchaj, Fern lepiej sobie radzi w szkole od ciebie, ale wiesz co? Założę się, że oddałaby wszystkie swoje superoceny, byle tylko zamienić się z tobą materiałem genetycznym. Jesteś od niej po prostu znacznie ładniejsza.

W głębi duszy Abby podejrzewała, że tak właśnie może być. Ta myśl nachodziła ją, ilekroć pokłóciła się ze starszą siostrą. Zawsze czuła się z jej powodu winna, jakby nosiła w sercu mroczny, straszny sekret i stawała się złym człowiekiem tylko dlatego, że w ogóle dopuściła go do świadomości.

Poczuła się lepiej, gdy Lisa wypowiedziała na głos jej podejrzenia.

Odrobinę lepiej.

ROZDZIAŁ 23

Po treningu na basenie Danielle wynurzyła się spod buchających parą pryszniców i otworzyła swoją szafkę na ubrania. Wnętrze wypełniała żółtawo-zielonkawa poświata – znak, że dostała SMS-a od Andrew:

Spotkajmy się po twoim treningu przy wejściu na basen.

Wieczorem poprzedniego dnia, po tym jak wróciła do domu z galerii handlowej, zadzwoniła do niego i znów przegadali przez telefon całą noc. Opowiedziała mu o swojej sukience na bal, bladuróżowej, z krótkimi przezroczystymi rękawami. Nigdy jeszcze nie założyła nic tak szykownego. Ta sukienka była dziewczęca i świetnie na niej leżała. Co prawda rękawki trochę za bardzo się opinały na ramionach z powodu jej szerokich barów, ale to drobiazg. Najbardziej zdumiona wyborem tej akurat kreacji była jej matka. Wyznała nawet ekspedientce, że ostatnio jej córka była tak wystrojona na Pierwszą Komunię.

Ani razu nie poruszyli tematu listy, ale Danielle zachodziła w głowę, jak odebrał to Andrew i co na ten temat mówili jego koledzy. Teoretycznie mogła go spytać, ale rozmawiało im się tak dobrze, że nie chciała psuć atmosfery.

Dzisiaj jednak coś się zmieniło. Kolejny już raz Andrew unikał jej na przerwach i Danielle zaczynała powoli popadać w paranoję. Czyżby wstydził się z nią pokazywać w towarzystwie? Plus ten SMS, który wydawał się odrobinę zbyt lakoniczny. Czy Andrew zamierza dziś z nią zerwać?

Z włosów skapywała jej woda, a krople lądowały na ekranie komórki. Przetarła telefon ręcznikiem i dopiero wtedy zauważyła coś, co przeoczyła w jego wiadomości:

:)

Dopiero teraz, czując ulgę, wypuściła wstrzymywane w płucach powietrze. Gdyby Andrew chciał z nią zerwać, nie wstawiałby do treści SMS-a uśmiechniętej buźki. W jednej chwili wszystkie dręczące ją obawy znikły niczym rozwiane wiatrem obłoki skrywające słońce. Od razu zrobiło jej się cieplej. Nie mogła się doczekać chwili, gdy spotka się ze swoim chłopakiem.

Hope przepchnęła się obok Danielle, by dostać się do swojej szafki.

– Może wpadniesz dzisiaj do mnie na obiad? Mama ugotowała meksykańskie żarcie. Pokazałabym ci przy okazji moją kreację na bal. Wiem, że większość dziewczyn założy sukienki. Zastanawiam się jednak, czy by nie przyjść w dżinsach i jakiejś ładnej koszulce. Sama nie wiem. Nigdy nie czułam się dobrze w kieckach. Nie umiałabym nawet w czymś takim zatańczyć.

Danielle miała tak samo, ale mimo to kupiła sukienkę. Gdyby na balu zjawiała się w czymś mniej dziewczęcym, potwierdziłaby tylko, że zasługuje na swoje nowe przezwisko.

– Dzisiaj się nie wyrobię – odparła. – Umówiłam się już z Andrew.
– Ojej – zdziwiła się Hope. – Wszystko w porządku między wami?
– No jasne. Czemu pytasz? – zainteresowała się. Wyciskała wodę z włosów, czując na sobie badawcze spojrzenie przyjaciółki.

– Sama ostatnio mówiłaś, że od momentu wywieszenia listy Andrew zachowuje się dziwnie, jakby chciał się zdystansować.

Danielle faktycznie wyznała to Hope w chwili słabości, gdy dziewczyny na przerwie przygotowywały się do lekcji. Teraz jednak żałowała, że była taka szczerą.

– Wcale nie zachowuje się dziwnie – próbowała tłumaczyć. – Chodzi tylko o to, że nie rozmawialiśmy zbyt wiele na ten temat.

– A myślisz, że kiedyś w ogóle mu się zachce... no wiesz, poruszyć ten wątek?

– Mam nadzieję, że nie – ucięła Danielle, otwierając dezodorant o zapachu waniliowym, który, jak liczyła, zamaskuje smród chloru na jej skórze. Obojętne jak długo szorowała się pod prysznicem po wyjściu z basenu, ten zapach nigdy jej nie opuszczał. – Wcale nie marzy mi się długa krępująca rozmowa o liście.

Zresztą obecna pogawędka z Hope również niezbyt jej odpowiadała. Dlatego zamiast zabrać się za czesanie włosów i nałożenie lekkiego makijażu, Danielle pośpiesznie wrzuciła wszystkie swoje rzeczy do plecaka.

– To wcale nie musiałyby być długa i krępująca rozmowa – zauważyła Hope, siadając na ławce. – Po prostu Andrew powinien coś powiedzieć. Dać ci do zrozumienia... że dla niego nie ma to żadnego znaczenia; że uważa, że jesteś piękna, niezależnie od tego, co mówią inni.

– Hope, przestań – ucięła Danielle.

Miała nadzieję, że żadna z dziewczyn w szatni nie podsłuchiwała ich rozmowy. Wysiłki Hope, by zmotywować przyjaciółkę, były nieco krępujące. Odwróciła się do niej plecami i na krótką chwilę zamknęła oczy, wsłuchując się w pomruk toczonych wokoło rozmów, mieszający się z szumem suszarek do włosów. Andrew nigdy nic takiego jej nie powiedział. Ale może to dobrze, bo poczułaby się jeszcze gorzej – niczym jakiś słabeusz, który potrzebuje chłopaka, by poczuć się lepiej sam ze sobą.

– Przepraszam – odezwała się po chwili Hope. – Po prostu chcę, żebyś była szczęśliwa.

– Wiem – odparła Danielle. I rzeczywiście wiedziała, o co chodzi przyjaciółce. Dokończyła pakowanie i rzuciła na odchodnym: – Przedzwonię potem do ciebie.

Wychodząc z szatni, obiecała sobie, że nigdy już nie będzie opowiadać nikomu o tym, co dzieje się między nią a Andrew. Nic dobrego z tego nie wynikało, a Hope przytaczała jej słowa wyrwane z kontekstu i opacznie

zinterpretowane. Nie chciała oczywiście, żeby przyjaciółka wyrobiła sobie złe zdanie na temat jej chłopaka, ale prawda była taka, że ona i tak nie mogłaby zrozumieć ich relacji. Hope nie było z nimi na letnim obozie. Nigdy też sama nie miała chłopaka. Tymczasem Andrew był osobą, która pojawiła się nagle w życiu Danielle i wkroczyła między nią a jej najlepszą przyjaciółką.

Weszła do łazienki przy szatni i tam dokończyła czesanie. Schodząc po schodach, za oknem zauważyła Andrew z kolegami. Oparła się balustradę i przez chwilę przypatrywała się wygłupom chłopaków. Andrew akurat mocował się z Chuckiem, próbując wyrwać się z uchwytu kolegi. Z daleka wydawał się znacznie młodszy. Był najdrobniejszy ze wszystkich chłopaków.

W pewnym momencie po Chucka podjechał ojciec w sportowym samochodzie, a chwilę później na parkingu zjawił się minivan, do którego wsiedli pozostali chłopcy. Na parkingu został tylko Andrew, który przysiadł na krawężniku, jakby czekał na swoją podwózkę, i pomachał kumplom na do widzenia. Gdy jednak minivan odjechał, szybko wstał z ziemi, sięgnął po plecak i ruszył w kierunku budynku basenu.

Danielle poderwała się z miejsca i ruszyła sprintem. Chciała dotrzeć przed nim na miejsce, w którym mieli się spotkać. Biegając, chciała uwolnić się od myśli o tym, czy koledzy Andrew wiedzą, że ma się z nią zobaczyć.

Zwolniła kroku w momencie, gdy Andrew dotarł do rogu boiska. Gdy tylko ją zauważył, uśmiechnął się promiennie. Było jasne, że cieszy się na jej widok. Danielle natomiast była szczęśliwa, widząc jego reakcję. Dla niej jego uśmiech znaczył więcej niż wszelkie ckliwe wyznania czy niezręczne przeprosiny z powodu listy. Uśmiech, który widziała na twarzy chłopaka, był całkowicie szczery i niewymuszony.

– Zgadnij, co się stało – powiedział Andrew, obejmując ją ramieniem. – Moi rodzice wyjechali z miasta. Wypadło im coś w ostatniej chwili, jakiś niecierpiący zwłoki projekt.

– No coś ty – rzuciła Danielle, a jej oczy zapłonęły.

Rodzice ich obojga byli bardzo zasadniczy. Dziewczyna miała wrażenie, że minęły wieki, odkąd mogli spędzić trochę czasu sam na sam, tak jak mieli to w zwyczaju na obozie nad jeziorem Clover.

– Może zamówimy jedzenie i trochę się pobyczymy u mnie w domu? – zaproponował, kiedy ich palce się splotły. – Stęskniłem się za tobą.

– Ja za tobą też.

Danielle przedzwoniła do rodziców i zapowiedziała, że obiad zje u Hope, a potem oboje ruszyli drogą przez las.

Jak tylko znaleźli się w domu, Andrew przycisnął ją do drzwi i odszukał jej usta. Całowali się namiętnie. Po chwili osunęli się na dywanik rozłożony w przedpokoju. Leżeli wśród listów, które listonosz wsunął przez otwór

w drzwiach na pocztę. Danielle podobała się niecierpliwość jego dotyku, to w jak gwałtowny sposób wodził dłońmi po jej koszuli. Lgnął do niej w sposób, którego nigdy wcześniej u niego nie widziała.

Po chwili znalazła się na nim. Było to niesamowicie podniecające i równocześnie dawało jej poczucie władzy, którego teraz łaknęła. Zaraz potem odniosła jednak wrażenie, że ta nowa pozycja jest z jakiegoś powodu niewłaściwa. Wydawało jej się, że jest zbyt duża, by znajdować się u góry, tak jakby mogła go zgnieść. Zalęgła się w niej myśl, że wszystko to wygląda z boku tak, jakby to ona była facetem, a on dziewczyną.

– Chcesz, żebyśmy przestali? – spytał Andrew, odrywając dłonie od jej ciała jakby w zwolnionym tempie. – Co się stało?

Nie chciała o tym wspominać, ale przecież praktycznie wcale nie rozmawiali o jej problemie. W końcu westchnęła ciężko i powiedziała:

– Myślę o tej durnej liście.

– Nie zadrećzaj się tym – poradził, gładząc ją po ramieniu.

– Niby jak? – spytała, schodząc z niego. – Przecież ty też o niej myślisz.

Andrew usiadł i na chwilę ukrył twarz w dłoniach.

– Pamiętasz, jak się umawialiśmy? Pokerowa twarz.

Prawdę mówiąc, nie takiej reakcji się spodziewała.

– Nie o to mi chodzi. Mogę dzień po dniu zakładać maskę największej twardzielki, ale przez cały czas i tak mam świadomość, że za moimi plecami ludzie gadają na ten temat – stwierdziła, a ponieważ Andrew się nie odezwał, spytała:

– Czy twoi kumple dalej się z ciebie nabijają dlatego, że się ze mną spotykasz?

– Głównie Chuck – przyznał Andrew. – Ten gość wszystkich wkurza. Ale do czasu. Poza tym jakoś sobie z tym radzę.

Myśl, że chłopaki dokuczają Andrew z jej powodu, była dla Danielle nie do zniesienia. Może przyjęta przez nich strategia ignorowania zaczepek była błędem? Może nadszedł moment, by zmierzyli się z tym problemem?

– Następnym razem, gdy Chuck powie coś na mój temat, powinienes mu przywalić – podpowiedziała. Wcale nie chciała żartować, jednak na myśl o tym jej usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. – Albo lepiej ja się tym zajmę.

– Jasne, Danielle, świetny pomysł – jęknął Andrew. – Przecież wtedy chłopaki tym bardziej postrzegaliby cię jak faceta. Naprawdę musimy w ogóle o tym rozmawiać?

Dziewczyna nachyliła się i pocałowała go znów w usta. W myślach powtarzała sobie, że nie ma przecież żadnego znaczenia, co jego kumple myślą na jej temat. Liczyło się tylko to, że w jego oczach była dziewczyną. Jego dziewczyną.

Po chwili przyciągnęła jego dłonie z powrotem ku brzegowi swojej koszuli, po czym zawinęła mu palce na jej krawędzi, tak by mógł ją ściągnąć. Przez kilka sekund czekała, aż Andrew zajmie się jej stanikiem. Jednak on siedział jak

zamurowany i tylko się w nią wpatrywał. W końcu sama sięgnęła do tyłu i rozpięła biustonosz. Ręce jej się trzęsły, zapięcie wyslizgiwało się z palców, w końcu jednak zdołała się go pozbyć.

Wreszcie przebudził się też Andrew. Wyciągnął ostrożnie rękę i dotknął ją tam, gdzie jeszcze nigdy jej nie pieścił.

Danielle zamknęła oczy i skoncentrowała się na jego dotyku. Sama doskonale wiedziała, że nie jest facetem. Domyślała się jednak, że jej chłopak być może wymagał dyskretnego przypomnienia.

CZWARTEK

ROZDZIAŁ 24

Zanim Jennifer zdążyła wysiąść z samochodu, czekały już na nią Dana i Rachel. Dziewczyny uśmiechały się promiennie.

– O rany, Jen-ni-fer!

– Mamy super nowiny!

– Dajcie spokój, dziewczyny – westchnęła Jennifer, sięgając po książki i zamykając samochód. – Chyba mam już dosyć.

Kiedy wreszcie odwróciła się w ich stronę, zobaczyła, że na koszulkach mają naklejki: GŁOSUJ NA JENNIFER – KRÓLOWĄ BALU. Kiedy wspomniały o tym wczoraj, uznała, że to po prostu jakiś kawał. Najwyraźniej jednak było to coś więcej.

Cała trójka ruszyła w kierunku szkoły. W pewnym momencie Rachel objęła Jennifer ramieniem i spytała:

– Co robisz jutro wieczorem?

– Myślę, że znasz odpowiedź na to pytanie – odparła dziewczyna beztróskim tonem. Był to dowcip, którego puentę wszystkie już znały.

Dana podbiegła kilka kroków do przodu, po czym odwróciła się, by spojrzeć Jennifer w oczy.

– A może miałabyś ochotę wpaść na imprezę w piątek? Wszyscy tam będą. Chłopaki z drużyny futbolowej...

– Momencik – weszła jej w słowo Jennifer. – A przypadkiem trener nie obdzwaniania wieczorem w przededniu ważnego meczu wszystkich zawodników reprezentacji, żeby upewnić się, że nie imprezują?

Rachel potrząsnęła gwałtownie głową.

– To głupstwo, sposób, by zdyscyplinować najmłodszych zawodników. W każdym razie wszyscy są zaproszeni na imprezę, a ty będziesz na niej gościem honorowym.

– Naprawdę? – zdziwiła się Jennifer. Impreza. Dla przeciętnego ucznia rzecz zupełnie zwyczajna i bez znaczenia. Jednak dla niej było to coś, o czym od lat mogła tylko pomarzyć. Nawet w najśmielszych marzeniach nie spodziewała się, że kiedyś zostanie gościem honorowym na imprezie. – To nie żart?

Przez cały czas nie dawała jej spokoju myśl, że być może dziewczyny próbują zabawić się jej kosztem. Rozmyślała o tym kilka razy na dzień, próbując przewidzieć moment, w którym wszystkie dobre rzeczy, jakie ją ostatnio spotkały, okażą się złudzeniem.

Kiedy znalazły się na schodkach przed wejściem do szkoły, Dana otworzyła i przytrzymała dla Jennifer drzwi.

– Postanowiłyśmy, że ta impreza będzie częścią kampanii GŁOSUJ NA

JENNIFER. Wpuszczamy wyłącznie gości, którzy przy wejściu okażą bilet na bal absolwentów z wypisanym twoim imieniem na odwrocie.

W tej samej chwili Rachel nachyliła się do Jennifer i szepnęła:

– Nie rób sobie zbyt wielkich nadziei, ale jest możliwe, *całkiem możliwe*, że zostaniesz wybrana królową balu.

Jennifer momentalnie dostała gęziej skórki. Jak to możliwe, że tak wiele osób, które przez lata ją gnębiły, teraz garnie się do tego, by ją uszczęśliwić? Oczywiście nie dotyczyło to wszystkich, nie miała co do tego złudzeń. Wielu chłopaków nadal patrzyło na nią w taki sposób, jakby nie miała prawa istnieć. O ile w ogóle zaszczycali ją spojrzeniem. To samo dotyczyło zresztą części dziewczyn, głównie tych młodszych i atrakcyjnych. Zachowywały się tak, jakby wybór Jennifer na królową balu mógł zagrozić świętości samej tradycji potańcówki. Albo jakby była gliniarzem z wydziału antynarkotykowego, który może wtargnąć na imprezę i przed czasem ją zakończyć.

No i oczywiście była Margo.

– Dziewczyno, jestem wam tak bardzo wdzięczna. No jasne... no jasne, że się zjawię. Gdzie będzie ta impreza?

– Na chacie u Margo – wyjaśniła Dana.

Jennifer zatrzymała się w pół kroku.

– Niemożliwe – potrząsnęła głową. – Margo nie zgodziłaby się na coś takiego.

– No cóż, zgodziła się – zapewniała Rachel. – Sama nam to powiedziała.

– Sama wyskoczyła z tym pomysłem! – wtrąciła Dana. – I powiedziała, że popiera akcję GŁOSUJ NA JENNIFER.

– Chociaż sama pewnie nie założy naklejki z naszym hasłem wyborczym – sprostowała szybko Rachel, spoglądając to na Jennifer, to na Danę. – No bo sama rozumiesz, wyglądałoby to trochę dziwnie. Przecież jest twoją konkurentką w tym konkursie.

– Wiem, że różnie wam się układało w przeszłości – powiedziała Dana – ale teraz to już stare dzieje.

Jennifer spoglądała zachwycona na dziewczyny, z całej duszy pragnąc uwierzyć w to kłamstwo.

Tyle że ona знаła prawdę – między nią a Margo nigdy nie będzie tak jak kiedyś.

Z ulgą i zaskoczeniem odkryła jednak, że w gruncie rzeczy niewiele już to ją obchodzi.

– Tak się cieszę, że przyjdiesz! – zawołała Dana, po czym wzięła ją w objęcia. Jennifer poczuła, jak koleżanka przyciska coś do jej piersi. Kiedy Dana się odsunęła, Jennifer na koszulce miała przyklejoną naklejkę GŁOSUJ NA JENNIFER – KRÓLOWĄ BALU.

– Dziewczyny, naprawdę myślicie, że powinnam...

Nie zdążyła nawet dokończyć zdania, gdy Rachel przytaknęła skwapliwie.

– Myślę, że ludzie powinni zobaczyć, że sama też przyklaskujesz temu pomysłowi.

– No a czemu miałabym zgłaszać jakieś obiekcje? – spytała Jennifer, mrugając.

Poczuła, jak Dana klepie ją po plecach.

– No właśnie. Dobrze, do zobaczenia potem.

Jennifer czuła się tak, jakby umarła i trafiła do nieba. Powiesiła swoją kurtkę w szafce, wzięła potrzebne książki i zamknęła drzwiczki.

A chwilę potem na ziemię sprowadziły ją głosy innych uczniów dobiegające zza pleców.

– Podobno Sara, ilekroć zrobi kupę, chowa ją do woreczka. A w dniu balu planuje przynieść worek i obrzucić gównem wszystkich zwycięzców.

– O Boże. Przecież za coś takiego trafiłaby do aresztu, co nie? To chyba przestępstwo, prawda?

– Może dyrekcja odwoła bal, żeby nie narażać nas na niebezpieczeństwo.

Mówili o Sarze Singer.

A więc największą przeszkodą dla bajkowego balu Jennifer wcale nie miała okazać się Margo. Zabawne.

Zamiast skierować się do klasy, gdzie miała się odbyć lekcja wychowawcza, dziewczyna wyszła z powrotem przed szkołę. Była już bez kurtki i poczuła chłód. Żeby zasłonić się przed wiatrem, przycisnęła do piersi książki. Odnalezienie Sary nie nastęczało większych trudności – siedziała jak zwykle na swojej ulubionej ławce. Miejsce obok niej zajmował chłopak, który zawsze za nią łąził. Siedział pochylony nad jakąś książką. W pierwszej chwili obleciał ją strach na myśl, że ma podejść i im przeszkodzić. Jednak stawka była zbyt wysoka, by mogła sobie pozwolić na nieśmiałość. Rażnym krokiem ruszyła w stronę ławki.

Sara przywitała ją szyderczym uśmiechem.

– No co tam, Jennifer?

– Chciałabym cię o coś spytać.

Sara i jej chłopak wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Zareagowali tak, jakby grzeczność ze strony Jennifer wydawała im się absurdalna.

– Śmiało, to wolny kraj – zachęciła Sara.

Jennifer zaczerpnęła głęboko powietrza – i momentalnie tego pożałowała. Nie miała pojęcia, jak ten chłopak wytrzymuje, siedząc tak blisko Sary. Prawdę mówiąc, poczuła smród, zanim jeszcze podeszła do ławki.

– Podobno kupiłaś bilety na bal. To prawda?

– A czemu pytasz? Czyżbyś chciała, żebym dotrzymała ci towarzystwa?

Jennifer najchętniej kazałaby jej spadać na drzewo, jednak w porę ugryzła

się w język – dokładnie takiej reakcji oczekiwała Sara. Ta dziewczyna za wszelką cenę starała się wywołać w otaczających ją ludziach określone reakcje, a Jennifer postanowiła, że nie wpadnie w zastawione przez nią sidła.

– Chciałabym się dowiedzieć, czy planujesz jakiś wyskok, który ma popsuć bal.

– Wyskok? Niby jaki?

Zadowolenie z siebie i wyniosłość Sary sprawiały, że Jennifer chciało się rzygać.

– No nie wiem... Jakiś numer, który wytniesz, żeby odegrać się na ludziach, którzy umieścili cię na liście. To dlatego tak śmierdzisz, prawda?

Sara rozchyliła szeroko usta i szybko zasłoniła je dłonią, żeby w ten sposób pokazać, w jak wielkim jest szoku.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Z niecierpliwością czekam na bal. Wybrałam już nawet sukienkę – zaszczebiotła słodkim głosem przywodzącym na myśl aktorkę ze starego serialu komediowego. – A tak w ogóle, Jennifer, niegrzecznie jest zwracać uwagę innym, że nieładnie pachną. Sądziłam, że ty wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Jennifer przewróciła w odpowiedzi oczami.

– Słuchaj, popełnisz wielki błąd. Jeżeli faktycznie zrujnujesz ten bal, wszyscy cię znienawidzą.

Sara przesunęła się na samą krawędź ławki i pochyliła się do przodu.

– Guzik mnie obchodzi, czy wszyscy mnie znienawidzą. Ja ich też nienawidzę. Nienawidzę wszystkich po kolei ludzi w tej szkole.

Jennifer z wrazenia cofnęła się o krok. Popełniła błąd, wdając się w dyskusję z tą dziewczyną. Nie sposób przemówić do rozsądku komuś zaślepionemu przez gniew. Jeśli ktoś ma prawo czuć się naprawdę źle z powodu listy, to osobą tą jest Jennifer, a nie Sara, której tytuł najbrzydszej przypadł dopiero po raz pierwszy. A jeśli faktycznie, jak sama twierdzi, nic ją to nie obchodzi, czemu uwzięła się, żeby popsuć wszystkim zabawę?

– W porządku – rzuciła Jennifer. – Żebyś wiedziała, zamierzam poinformować o twoich planach panią Colby.

Mówiąc to, poszukała spojrzeniem okna gabinetu dyrektorki. Miała nadzieję, że znajduje się ona teraz w swoim pokoju i przysłuchuje się w ukryciu całej ich rozmowie.

– Czemu z takim zapałem próbujesz chronić tę potańcówkę? – zastanowiła się Sara. – Chyba nie sądzisz, że naprawdę zostaniesz wybrana królową balu, co?

Jennifer poprawiła trzymane przy piersi książki, niechcący pokazując przy okazji naklejkę z hasłem GŁOSUJ NA JENNIFER – KRÓLOWĄ BALU.

– O Boże – szepnęła Sara, szturchając swojego najdroższego. – Popatrz tylko na tę naklejkę! Kurwa mać, Jennifer, a więc to prawda! Ty naprawdę się łudzisz, że

tak się stanie!

– Tylko się zbłaźnisz – ostrzegł ją chłopak.

– Po prostu mi zazdrościsz – burknęła Jennifer, spoglądając wyniośle na Sarę.

W odpowiedzi dziewczyna zaniósła się pogardliwym śmiechem. Było jasne, że tylko udaje wesołość. To był śmiech na pokaz, nic więcej. Tak samo jak te jej ufarbowane na czarno włosy, naszyjniki i słowo BRZYDULA na czole, teraz już niemal nieczytelne z powodu warstw brudu oblepiających jej skórę.

– Niby czego miałabym ci zazdrościć? Że nie zostałam brzydką maskotką rozpieszczaną przez grupę? Jennifer, oni robią sobie żarty twoim kosztem! Powinnaś powiedzieć im wszystkim, żeby spieprzali. Wykorzystują cię, nabijają się z ciebie za twoimi plecami. Przez trzy lata traktowali cię jak śmiecia, a teraz wystarczyło, by zamachali ci przed twarzą zgniłą marchewką i już zamierzasz puścić wszystko w niepamięć. Tak naprawdę nie ma żadnego znaczenia, czy przyznają ci kryształową koronę królowej czy nie. W rzeczywistości i tak wszyscy uważają, że jesteś brzydka.

– Dobrze wiem, jak wyglądam! – wrzasnęła Jennifer znacznie głośniejszym głosem niż zamierzała. – Pogodziłam się już z tym, ale nie tracę nadziei. Za to ty... wściekasz się, bo marzysz, by być taka jak pozostałe dziewczyny. Tylko że nie masz odwagi sama się do tego przyznać.

Sara poderwała się z ławki i dźgnęła powietrze palcem, kierując go ku Jennifer.

– Naprawdę sądzisz, że te wredne cheerleaderki są twoimi przyjaciółkami? Gównno je obchodzisz.

– No i co z tego? – zaśmiała jej się w twarz Jennifer. – A może ty się mną przejmujesz, co?

– Nie – odparła Sara, podpierając się pod boki. – Jennifer, nie obchodzisz mnie. Ale po prostu żal mi ciebie, że dałaś się nabrać na ten cyrk. Gównno mnie obchodzi, co zrobisz. I nie próbuję udawać, że jest inaczej. A teraz wypierdalaj jak najdalej od mojej ławki.

Odchodząc, Jennifer dygotała z zimna. Nieco cieplej zrobiło jej się dopiero, gdy dotarła do gabinetu dyrektorki. Minęła biurko sekretarki i bez pukania pchnęła drzwi.

– Pani Colby? Muszę z panią porozmawiać – oznajmiła na progu.

– Wejdz, Jennifer – przywitała ją dyrektorka. – Prawdę mówiąc, liczyłam, że do mnie zajrzysz. Od pewnego czasu zastanawiam się, czy odwołanie jesiennego balu nie będzie najlepszym pomysłem.

– Chwileczkę, jak to? – wydusiła z siebie dziewczyna. Słowa dyrektorki były dla niej całkowitym zaskoczeniem.

– Przepraszam – odparła pani Colby, unosząc ze zdziwienia brwi. –

Widziałam porozwieszane w całej szkole naklejki GŁOSUJ NA JENNIFER i pomyślałam...

– Przychodzę do pani w innej sprawie.

– A więc nie masz nic przeciwko tej akcji?

W odpowiedzi Jennifer odgarnęła włosy z ramienia, tak by widać było naklejkę na jej piersi.

– Nic a nic. Uważam, że to miłe. Zawsze miałam opinię tej brzydkiej dziewczyny. Myśl, że miałabym zostać wybrana królową balu, zakrawa na szaleństwo – wyznała, bo faktycznie nadal miała takie wrażenie. – Dlatego proszę nie odwoływać balu z mojego powodu. Wszyscy mnie wtedy znienawidzą. Ludzie uznają, że to moja wina.

Nagle poczuła, jak do oczu napływają jej łzy.

Dyrektorka sprawiała wrażenie zaskoczonej.

– W porządku. Wygląda na to, że źle to wszystko zinterpretowałam – powiedziała, potrząsając głową. – W takim razie o czym chciałaś ze mną porozmawiać?

– O Sarze Singer – wyjaśniła Jennifer, wygładzając zadarte rogi naklejki, które odkleiły się od jej sweterka. – Musi ją pani powstrzymać.

ROZDZIAŁ 25

Margo podeszła do stolika na stolówce i zatrzymała się, niepewna, co powinna zrobić. Jej cień padał na krzesło, na którym zawsze siadała. Nagle przez głowę przeleciała jej obrzydliwa myśl, że musi spytać o pozwolenie, czy może dosiąść się do swoich przyjaciółek i zjeść razem z nimi lunch. Miała wrażenie, jakby jej krzesło stało się z dnia na dzień zarezerwowane dla Jennifer.

Rachel i Dana nie podniosły nawet spojrzenia znad swoich jogurtów. Bez słowa zerwały z nich przykrywki, zanurzyły w kubeczkach plastikowe łyżeczki i zaczęły mieszać, aż gęsty biały krem zabarwił się na różowo.

Nie doczekawszy się zachęty z ich strony, Margo w końcu postawiła tacę na stoliku i zajęła swoje miejsce. Przez chwilę miała ochotę odpłacić dziewczynom pięknym za nadobne i też zbyć je milczeniem. Była jednak zbyt wkurzona, by milczeć.

– Jennifer zje z nami lunch? – spytała.

– Uczy się w bibliotece albo rozmawia jeszcze z dyrektorką Colby – poinformowała Dana.

– O czym?

– A co cię to obchodzi? – warknęła Rachel, wreszcie nawiązując kontakt wzrokowy z Margo. – Masz stracha?

Do stolika obok podeszli chłopcy: Matthew, Justin i Ted, z impetem kładąc swoje tace.

– Niby dlaczego miałabym mieć stracha? – zapytała szeptem Margo, mrużąc podejrzliwie oczy.

Dana nachyliła się do niej i odszepnęła:

– Ludzie zaczynają gadać, że może to ty sporządziłaś w tym roku listę. A teraz się wściekasz, że twój plan się nie powiódł, ponieważ zamiast ciebie to Jennifer może zgarnąć tytuł królowej balu.

– Dziewczyny, nie mówicie tego poważnie, co? – spytała Margo. Mówienie szeptem przychodziło jej teraz z dużym trudem. Nie chciała jednak, by chłopaki, a zwłaszcza Matthew, podsłuchali ich rozmowę. – Jennifer rozpowiada ludziom, że to ja stworzyłam listę?

– Nie – odparła Dana. – Ale parę innych osób tak twierdzi.

Parę innych osób. Margo zastanowiła się, co może się kryć za tym niezbyt precyzyjnym określeniem. Czy do tej grupy należał, powiedzmy, Matthew? Nigdy wcześniej nie musiała się przejmować tym, co ludzie gadają na jej temat, ponieważ mówili wyłącznie dobrze, prawili jej komplementy.

– A tak nawiasem mówiąc, Jennifer ani razu nie powiedziała nic złego na twój temat w rozmowie z nami – oświadczyła Rachel, po czym wymieniła z Daną

porozumiewawcze spojrzenia i dodała: – Ona wierzy, że pomagasz nam w akcji GŁOSUJ NA JENNIFER – KRÓLOWĄ BALU. No i że... zaprosiłaś ją do siebie na jutrzejszą imprezę.

– O nie – Margo gwałtownie potrząsnęła głową. – Nie ma mowy.

– Naprawdę nie mogę skumać, o co ci chodzi – powiedziała Rachel. – Sądziłam, że nie zależy ci na zdobyciu tytułu królowej balu. Przecież sama twierdziłaś, że to dla ciebie bez znaczenia.

– Nie zależy mi na tym tytule – przyznała Margo.

Powiedziała to jednak na tyle głośno, by mógł usłyszeć ją Matthew. Oczywiście jakaś część jej samej nadal pragnęła zwycięstwa, jednak czuła potrzebę ukrycia tego przed światem niczym wstydliwego sekretu. Nie umiała porzucić nadziei, która zrodziła się w niej, gdy tylko ujrzała swoje nazwisko na liście – nadziei, że ona zostanie wybrana królową, a Matthew królem balu. Zatańczyliby wówczas ze sobą, a chłopak w końcu ujrzałby ją taką, jaką zawsze pragnęła być widziana – jako dziewczynę, z którą pragnie być.

– Dlaczego w takim razie próbujesz nie dopuścić, by to Jennifer zdobyła ten tytuł? – zastanowiła się Dana, przechylając głowę na bok.

– Ależ nic podobnego nie robię. Po prostu uważam, że błaganie ludzi, by na nią zagłosowali, jest dość żenujące. I naprawdę wolałabym, żebyście przestały udawać, że tytuł królowej balu to jakieś olbrzymie wyróżnienie, które łaskawie składacie u jej stóp.

– Przede wszystkim nikogo nie błagamy. Prowadzimy w imieniu Jennifer kampanię, która ma wynagrodzić jej fakt, że przez cztery lata z rzędu zdobyła tytuł najbrzydszej dziewczyny w szkole. Nie wydaje ci się, że zasługuje, by choć przez jeden wieczór poczuć się piękną? Po tym wszystkim, przez co przeszła.

Margo dobierała starannie słowa:

– Dziewczyny, posłuchajcie, domyślam się, że uważacie, że wyświadczenie jej teraz wielką przysługę. Ale bądźmy przez chwilę szczerze: nikt nie zagłosuje na Jennifer ze względu na jej urodę. Dlatego może chodzić albo o wielką zgrywę: najbrzydszej dziewczynie przyznajmy tytuł najpiękniejszej, albo o fortel, dzięki któremu wszyscy poradzą sobie z poczuciem winy, że przez tyle lat traktowali Jennifer jak śmiecia.

– Chyba chciałaś powiedzieć, że to ty przez te wszystkie lata tak ją traktowałaś – zauważyła ze śmiechem Dana.

Margo nie mieściło się w głowie, że dziewczyny chcą nakierować rozmowę na te tory.

– A więc waszym zdaniem nie mogę samodzielnie decydować, z kim się przyjaźnię?

– Ależ oczywiście, że możesz. Tylko że wszyscy wiedzą, dlaczego podjęłaś taką, a nie inną decyzję.

Margo sięgnęła po kartonik z mlekiem. Było letnie, a tektura nadawała mleku dziwny posmak. Mimo to wypila wszystko do ostatniej kropli.

– Dobra, nie będę kłamać i przekonywać was, że wygląd Jennifer nie wpłynął na moją decyzję. Oczywiście odegrało to jakąś rolę. – Po tych słowach zrobiła pauzę i pozwoliła, by wybrzmiały one w ciszy. Prawda bowiem była taka, że to Rachel i Dana naciskały na nią, by zerwała znajomość z byłą przyjaciółką, i pomogły jej podjąć tę decyzję. Czyżby wyparły ten fakt z pamięci? A może kampania na rzecz Jennifer była ich sposobem na poradzenie sobie z wyrzutami sumienia? – Ale nie był to jedyny powód.

Margo wzięła głęboki oddech i spróbowała oczyścić umysł. Miała wrażenie, że nie jest w stanie myśleć logicznie, gdyż umysł zasnuwają jej wszystkie wypierane od dawna myśli i emocje.

– Z powodu Jennifer czułam się źle.

Wiedziała, jak to brzmi, i gotowa była na odparcie ataków Rachel i Dany. Dziewczyny mogły nie zrozumieć, niby jakim cudem przyjaciółka miałyby kontrolować Margo. Przecież to ona postanowiła porzucić Jennifer, a nie na odwrót. To ona zdecydowała się zakończyć tę znajomość, odejść.

W pewnym momencie poczuła, jak Dana poklepuje ją pocieszająco po ramieniu.

– Wiemy o tym. Ale teraz masz możliwość wszystko naprawić. I oczyścić sumienie.

Margo, słysząc to, zmarszczyła czoło.

Najwyraźniej dziewczyny źle ją zrozumiały.

A może sama się przejęzyczyła?

Chodziło jej o to, że doświadczała tych trudnych emocji jeszcze *przed* zakończeniem przyjaźni z Jennifer. A nie o coś, co czuła po zerwaniu znajomości. Tak naprawdę, gdy cofała się myślą do czasu, kiedy się przyjaźniła z Jennifer, miała wrażenie, że była wtedy zupełnie inną osobą. Brakowało jej pewności siebie, była niezdarna i nerwowa. Gdy ich znajomość dobiegła końca, wszystkie te cechy zniknęły bez śladu.

– A co będzie po balu? Nadal zamierzacie się z nią kumplować? Będziecie zapraszać ją na urządzone przeze mnie imprezy? – spytała, choć domyślała się, jaka będzie odpowiedź. Naturalnie dziewczyny porzucą Jennifer. I prawdę mówiąc, nie mogła się już doczekać chwili, gdy ten nieszczęsny bal przejdzie do historii.

– A może to wy stworzyliście listę i teraz macie z tego powodu wyrzuty sumienia?

– Naprawdę tak sądzisz? – spytała Rachel śmiertelnie poważnym tonem.

– A ty uważasz, że to ja ją ułożyłam? – odparowała Margo.

Sytuację próbowała rozładować Dana:

– Margo, wiemy, że jesteś dobrym człowiekiem. I właśnie dlatego musisz nas posłuchać.

– Musisz się liczyć z tym, że ludzie zaczną cię źle oceniać. Próbuje cię ochronić – wyjaśniła Rachel, wskazując ruchem brody stolik, przy którym siedział Matthew z chłopakami. Wszyscy jedli z opuszczonymi głowami, jednak Margo była pewna, że w rzeczywistości nasłuchują każdego ich słowa.

– Nie pozwól, by duma przesłoniła ci rozum.

– Margo, zgódź się, żeby Jennifer przyszła na twoją imprezę.

Najchętniej spierałaby się jeszcze z dziewczynami, ale prawda była taka, że nie miała już sił. A poza tym w gruncie rzeczy i tak nie miała wyboru. O ile nie odwoła całej imprezy, Jennifer zjawi się tam i tak. Nie przepuści przecież takiej okazji.

ROZDZIAŁ 26

Sara wyrzuciła ręce na boki, po czym odchyliła się do tyłu, udając, że ziewa. Wcale nie czuła się jakoś specjalnie obolała ani zmęczona. Odgrywała scenkę z ziewaniem, bo w gabinecie dyrektorki było za cicho. No i dlatego, że jej oddech śmierdział równie strasznie, o ile nie gorzej, co jej ciało.

Mogła niemal dojrzeć ten obrzydliwy odór, który niczym obłok smogu unosił się spod pach jej sztywnej z brudu czarnej koszulki i z jej otwartych ust, muskając powierzchnię biurka pani Colby, na którym panował nienaganny ład. Dyrektorka wzięła do ręki filiżankę z herbatą i upiła łyk, wdychając herbaciany aromat. Sara musiała przygryźć wargę, żeby nie parsknąć śmiechem na ten widok. Komiczne, z jakim samozaparciem ta kobieta próbowała udawać, że dziewczyna nie cuchnie niczym owoce rosnące na Wysepce Pierwszaków miłorzębu na wiosnę. Zamiast odstawić filiżankę na biurko, pani Colby uznała, że bezpieczniej będzie trzymać ją pod nosem.

– Saro, dotarły do mnie pewne skargi na ciebie.

Sara nie była tym zdziwiona. Przez cały dzień uczestniczyła w lekcjach z takim zapalem jak jeszcze nigdy. Za każdym razem gdy jakiś nauczyciel zadawał klasie pytanie, ręka Sary wystrzeliwała w górę, rozprzestrzeniając po klasie odór. Nauczyciele bardzo szybko zorientowali się, jakie jest jego źródło, i próbowali ją ignorować. Sara nie dawała jednak za wygraną i bez przerwy zgłaszała się do odpowiedzi. W gruncie rzeczy reakcja nauczycieli dodawała jej tylko animuszu. Guzik ją obchodziło, czy profesor ją zapyta, czy też nie. Liczyło się tylko to, że mogła trzymać rękę w górze.

Nie od razu odpowiedziała. Przez długą chwilę udawała, że poważnie się nad czymś namyśla. Podrapała się nawet w zamyśleniu brudnymi paznokciami po policzku, gromadząc pod nimi warstwę obumarłego naskórka.

– Chyba nie bardzo wiem, o czym pani mówi, pani dyrektor – stwierdziła przemądrzałym tonem, który w połączeniu z jej cuchnącym oddechem musiał robić piorunujące wrażenie.

I pomyśleć tylko, że rano zdarzył jej się moment, kiedy gotowa była zarzucić swój plan.

* * *

Przy śniadaniu, kiedy siadła przy stole, żeby zjeść płatki, mama zaproponowała jej układ: jeśli Sara weźmie prysznic, dostanie sto dolarów. Gdyby zgodziła się założyć czyste ubranie, mogła liczyć na pięćdziesiąt dolarów. W domu swoje dziwne zachowanie i wygląd tłumaczyła braniem udziału w fikcyjnym eksperymencie szkolnym. W sumie nie odbiegało to zbyt od rzeczywistości

i Sara postanowiła trzymać się tej wersji. *Mamo, chyba nie chcesz, żeby twoja córka nie dostała zaliczenia?*, spytała. Żeby ukryć cisnący się na usta uśmiech, podniosła ze stołu szklankę soku pomarańczowego i pociągnęła solidny łyk.

Ze zdziwieniem odkryła wtedy, że sok praktycznie jest pozbawiony smaku. W jej ustach przypominał wodę.

Poszła na górę do łazienki, otworzyła usta i wysunęła język. Pokryty był grubym, śliskim nalotem. Kojarzył się z gęstym leśnym mchem porastającym głązy w okolicznych lasach. Tyle że mech pokrywający jej język miał barwę martwego ciała – był blady i chorobliwie szary.

Tuż obok, powieszona nad umywalką, czekała szczoteczka do zębów. Wystarczyło sięgnąć. Pokusa była silniejsza niż potrzeba zapalenia papierosa, która, nawiasem mówiąc, nie dokuczala jej zbyt w tym tygodniu. Zamknęła oczy, językiem przesunęła po swoich pokrytych lepkim nalotem zębach. Wyobraziła sobie, jak cudownie byłoby nabrać na szczoteczkę odrobinę błękitnej miętowej pasty do zębów, wypełnić usta pianą i wypłukać całe to paskudztwo. Skorzystałaby też z płynu do płukania ust. Pewnie poczułaby nieznośne pieczenie, ale byłoby to miłe. Płyn syczałby w zetknięciu z osadem na zębach i dziąsłach. Na koniec wypłukałaby wszystko do olśniewająco białej umywalki niczym w wilgotny piasek. Przynajmniej od środka byłaby znów czysta, a wewnątrz jej ust przybrałoby zdrową różową barwę.

Odsunęła się od lustra i zgasiła światło w łazience. Nie mogła się poddać, nie teraz. Nie gdy dotarła już tak daleko.

Zanim wyszła z łazienki, otworzyła apteczkę i wyjęła z niej opakowanie nici dentystycznej. Odwinęła kawałek woskowej białej nici, po czym przeciągnęła nią po języku, ścierając z niego białawy nalot niczym ktoś usuwający łopatą rozmokły śnieg z podjazdu pod domem. Wbrew oczekiwaniom zabieg ten wcale nie sprawił, że poczuła się lepiej. Wręcz przeciwnie – po usunięciu językowego nalotu nic już nie mogło uchronić jej przed wyraźnym doświadczeniem posmaku, jaki miała naprawdę w ustach.

* * *

Sara wolałaby, żeby dyrektorka się streszczała. Chciałaby wrócić już do klasy, gdzie trwała lekcja biologii. Miała już przypomnieć pani Colby, że trochę jej się spieszy, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

Dziewczyna odwróciła się na krześle. Na progu stanął speszony Milo. Ich spojrzenia się spotkały, a wtedy Sara dojrzała na jego twarzy wyraz rozczarowania. Na szyi chłopaka zaczynały już się pojawiać czerwone plamki, świadczące o tym, że chłopak się stresuje.

– Prosiła pani, żebym przyszedł – wybąkał.

– Usiądź, Milo – powiedziała pani Colby.

Sara ze zdziwienia otworzyła szeroko buzię. Nie miała pojęcia, dlaczego dyrektorka wezwała też Milo. Przecież on nie miał nic wspólnego z jej planem. Nie był współwinny. Ten bunt był wyłącznie jej dziełem. I bardzo chętnie ona sama zbierze za niego laury.

Odchrząknawszy, dyrektorka stwierdziła:

– Saro, pozwolisz, że przejdę od razu do rzeczy. Dlaczego tak się zachowujesz?

– To znaczy jak? – spytała dziewczyna, unosząc głowę.

– Martwię się o ciebie, wiesz? – Dyrektorka posłała jej błagalne spojrzenie.

– To, co robisz, może być niebezpieczne dla twojego zdrowia. Narażasz się na infekcje, poza tym na pewno źle się czujesz w tych ubraniach.

Jasne, że źle się w nich czuła, ale jakie to miało znaczenie? Przywołała na twarz sztuczny uśmiech, kierując go i do dyrektorki, i do Milo.

– Milo, wiem, że zależy ci na Sarze. Codziennie widuję was razem. Założę się, że kiedy widzisz, jak się zadręczą, czujesz się źle z tego powodu. Mam rację?

Chłopak obrzucił Sarę ponurym spojrzeniem i uchylił usta, jakby chciał coś powiedzieć; jakby zamierzał błagać ją, żeby przestała. Sara utkwiała w nim mordercze spojrzenie, które niosło niemą groźbę: *Ani się, kurwa, waż.*

Dyrektorka odchyliła się na krześle. Nie było jej do śmiechu.

– Zadam wam teraz obojgu jedno proste pytanie – powiedziała, przenosząc spojrzenie z Sary na Milo i z powrotem. – Planujecie wyciąć jakiś numer na potańcówce? Wiem, że oboje kupiliście bilety.

– Nie – odparł z przekonaniem Milo. – Słowo honoru, że nic nie knuję.

Sara też potrząsnęła głową.

– Ja też nie – zapewniła, choć domyślała się, że nie brzmi zbyt przekonująco.

– Mam nadzieję, że oboje jesteście teraz ze mną szczerzy. Chciałabym, żebyście mnie dobrze zrozumieli: jeśli narobicie jakichś kłopotów podczas balu, bądźcie pewni, że zostaną wobec was wyciągnięte surowe konsekwencje. Zostaniecie zawieszani w prawach ucznia.

Milo wyglądał teraz, jakby za chwilę miał się obrobić ze strachu. Sara tylko uśmiechnęła się pod nosem. Pomyślała, że to w sumie zabawne – choć w gorzki, właściwy dla jej poczucia humoru sposób – że dyrektorka Colby za wszelką cenę próbuje chronić tradycję jesiennego balu. Kiedy przyszło do dochodzenia, kto tak naprawdę stał za listą, nie zdobyła się na taką determinację. Nie odkryła źródła problemu, mimo że podczas poniedziałkowego spotkania w jej gabinecie solennie przyrzekała, że tak się stanie. Tymczasem teraz okazywało się, że wystarczy, by Sara raz – no dobrze, pięć razy – nie wzięła prysznic, a już groziło jej, że zostanie zawieszona. Ciekawe.

Kiedy pozwolono im odejść, Milo ruszył przodem, a Sara próbowała dotrzymać mu kroku.

– I tak nie ma prawa tego zrobić, wiesz? Nie może zawiesić mnie tylko dlatego, że się nie myję – tłumaczyła, jednak chłopak oddalał się coraz bardziej. Był już w połowie długości korytarza. – Milo, zaczekaj!

– Muszę wracać do klasy – odparł, nie zwalniając kroku.

– Czemu nagle zrobiłeś się taki wredny? – spytała, chwytając go za ramię i zmuszając, by się zatrzymał.

– Ponieważ właśnie zostałem wezwany na dywanik do dyrektorki. Nigdy w życiu nie spotkało mnie nic takiego.

– Wielkie mi rzeczy – prychnęła.

– Dla mnie to ważne. I wcale nie jestem już taki pewny, czy chcę iść na tę potańcówkę.

Co prawda pierwotnie wcale nie zamierzała wciągać w to Milo, teraz jednak wkurzyło ją, że chłopak zamierza ją olać.

– Czemu? Bo nie przyjdę wystrojona w śliczną sukienkę? Bo głupio ci będzie pokazać się ze mną? Bo nie chcę bukieciku, o którym marzyłyby Annie?

Milo skrzyżował ramiona na piersi. Była to jego klasyczna poza obronna, ta sama, którą przyjął pierwszego dnia w nowej szkole.

– A co Annie ma z tym wszystkim wspólnego?

– Współczuję ci. W mieście, z którego przyjechałeś, spotykałeś się z taką ślicznotką. A teraz musisz wałęsać się ze mną. Na twoim miejscu wpadłabym w depresję.

– Nie rozumiem, czemu taka jesteś.

– A pamiętasz, jak w poniedziałek powiedziałeś, że *tak zwane atrakcyjne dziewczyny tak naprawdę są brzydkie*. Cóż, skoro spotykałeś się z taką pięknoscią jak Annie, nie mogłeś mówić tego serio.

– Przyznaję, Annie była ładna, ale nie chodziłem z nią tylko z tego powodu.

– Ach, rozumiem, byliście bratnimi duszami.

– A może byś się tak zamknęła! Annie przynajmniej była miła. A biorąc pod uwagę to, jak ostatnio się do mnie odnosisz, nie mogę powiedzieć tego samego na twój temat. Nie zgodzę się, by mnie zawiesili tylko dlatego, że chcesz pozłatwić jakieś swoje sprawy. Poza tym nigdy tak naprawdę nie zależało mi na tym balu. Nie cierpię tańców.

– To *ja* ich nie cierpię – powiedziała Sara, podnosząc głos.

– To po jaką cholerę mamy tam iść? – Nie był to może krzyk, jednak nigdy wcześniej Milo nie podniósł na nią głosu. Głos mu drżał. Mówił z odchyłką do tyłu głową: – Uważam, że to kretyński pomysł.

– Guzik mnie obchodzi, co uważasz.

– Wiem o tym. Tak właśnie wygląda nasza relacja: ty wydajesz polecenia, ty masz zdanie na każdy temat. Jednak i tak ci to powiem: ten pomysł nie ma sensu.

– Milo, wydaje ci się, że dla mnie to taka frajda? – spytała, biorąc w palce

parę tłustych kosmyków swoich włosów. Były ciężkie od brudu, gdy tylko je puściła, opadły bezwładnie. – Myślisz, że fajnie się z tym czuję?

– Raczej nie. Jeśli odór, jaki się wokół ciebie unosi, może być jakimś wskaźnikiem, pewnie nie czujesz się z tym zbyt dobrze.

Sara odsunęła się o krok. Nagle poczuła, jak nogi odmawiają jej posłuszeństwa. W głębi duszy przez cały czas wiedziała, że go sprawdza. Testowała Milo, zanim zakocha się w nim do szaleństwa. Uświadomiła to sobie dopiero teraz, gdy chłopak oblał egzamin. Oblał na całego. Szybko wzięła się w garść.

– Pierdol się, Milo. Wiesz co? W takim razie nie idź ze mną na bal. Mam to gdzieś!

Nie wiedziała, czy jej słowa w ogóle dotarły do niego. Zdążył już odwrócić się na pięcie i oddalał się różnym krokiem. Po chwili zniknął za zakrętem korytarza. Przepadł.

Wiedziała, że jeśli ma dociągnąć swój plan do końca, będzie musiała oczyścić umysł z myśli o Milo, o dyrektorze Colby, o wszystkich innych. Będzie to wymagać od niej krańcowego samozaparcia. A w tym akurat Sara była mistrzynią.

ROZDZIAŁ 27

Ilekcję Abby musiała podjąć jakąś trudną decyzję, zwlekała do ostatniej chwili. Nie inaczej było tym razem. Nadal nie wymyśliła, co zrobi ze spisem ocen z nauk o ziemi, który miała dać rodzicom do podpisu. Po lekcjach zaszyła się w kabinie w damskiej toalecie i czekała, aż ucichnie gwar za drzwiami.

Sama była sobie winna. Powinna była pokazać rodzicom oceny wieczorem poprzedniego dnia i prosić ich o zmiłowanie. Tylko że przez cały czas w pobliżu kręciła się Fern, która mogła wszystko usłyszeć. Zwierzanie się przed mamą i tatą z tego, jak bardzo Abby marzy o pójściu na bal, i przyznanie się przed nimi, że zawałiła szkołę, samo w sobie byłoby nie lada wyzwaniem. A ponieważ całości przysłuchiwałyby się też starsza siostra, upokorzenie stałoby się zbyt wielkie. Zapewne Fern wpadłaby do pokoju i opowiedziała rodzicom o liście, a Abby musiałaby wysłuchać wykładu na temat tego, jaka jest głupia, że w ogóle cieszy się z tytułu najładniejszej uczennicy. Oberwałoby się jej też za to, że ma kompletnie poronione priorytety.

Do tego dochodził też zwyczajny strach – Abby bała się, że znów wpadnie w tarapaty, bała się, że dostanie szlaban, a rodzice znów będą spoglądali na nią z dezaprobatą i rozczarowaniem.

Właśnie obawa, by nie przynieść im znów rozczarowania, kazała jej teraz unikać Lisy. Umówiły się, że po lekcjach spotkają się przy samochodzie Bridget i pojedą do galerii handlowej, żeby zapolować na sukienki na bal. Zamiast jednak zjawić się w umówionym miejscu, Abby przyczaiła się w łazience. Miała nadzieję, że Bridget niedługo straci cierpliwość i zmusi Lisę, by pojechały bez niej. Oczywiście przyjaciółka będzie wściekła, jednak Abby czuła, że dopóki nie będzie pewna, że może pójść na bal, nie ma prawa kupić sobie swojej wymarzonej sukni. Pękłoby jej serce, gdyby musiała powiesić ją, nieużywaną, w szafie albo co gorsza, odnieść do sklepu. Wołała już w ogóle zrezygnować z jej kupowania.

W pewnym momencie usłyszała, jak drzwi do łazienki się otwierają. Szybko podniosła nogi, żeby nikt nie mógł wypatrzeć z zewnątrz, że chowa się w kabinie.

Ktoś wszedł do sąsiedniej kabiny, a po chwili rozległy się z niej suche zduszone kaszlnięcia. Po nich dobiegły ją odgłosy, jakby ktoś bez skutku próbował zwymiotować. Abby zastanowiła się, czy przypadkiem osoba w kabinie obok nie zakrztusiła się czymś.

– Hej – zawołała, wstając z sedesu. – Wszystko w porządku?

Odgłosy wymuszanych wymiotów umilkły.

– Abby?

Dziewczyna wyszła z kabiny, a po chwili otworzyły się też drzwi obok i stanęła w nich Bridget. Była blada jak trup.

– O rany – odezwała się Bridget wesoło – ależ to krępujące.

– Może przyprowadzę pielęgniarkę?

– Nic mi nie jest – zapewniła Bridget, odgarniając włosy z twarzy. – Podtrułam się czymś, co zjadłam na lunch. Najchętniej poszłabym do domu i walnęła się do łóżka. Tylko że Lisa tak strasznie napaliła się na kupowanie sukienki... No i robi się późno, a ja nie chcę sprawić jej zawodu.

Abby znowu przyłapała się na tym, że w myślach porównuje Bridget do swojej siostry. Oczywiście Fern wypadła w tym zestawieniu fatalnie.

Bridget podeszła do umywalki i zaczęła myć ręce.

– Jedziesz z nami, prawda? Mam nadzieję, że cię nie wystraszyłam. To na pewno nic zaraźliwego. Proszę, nie wspominaj o tym Lisie, dobrze? Nie chcę, żeby się bez powodu przejmowała.

Abby wyczuwała, że coś tu nie gra. Może brało się to stąd, że Bridget trajkotała jak nakręcona. A może podejrzany wydał jej się fakt, że chce ukryć swój stan przed Lisą. Postanowiła jednak zachować swoje domysły dla siebie.

– Dobrze, nie pisnę ani słówka – obiecała, posyłając uśmiech Bridget.

– Dzięki – odparła Bridget, sięgając po papierowy ręcznik. Abby zauważyła wtedy, że trzęsą się jej ręce. – Super z ciebie kumpela.

Kiedy wyszła przed szkołę, Lisa czekała już przy samochodzie siostry, oparta o bagażnik.

– Cześć, gdzie się podziewała? – spytała Lisa.

– Byłam w łazience. Przed chwilą spotkałam twoją siostrę... na korytarzu – wyjaśniła. Fatalnie się czuła, okłamując przyjaciółkę. No ale przecież obiecała Bridget, że będzie trzymać język za zębami. – Dołączy do nas za kilka minut.

– Aha, no dobrze. – Lisa wyciągnęła rękę do Abby i pomogła jej wskoczyć na bagażnik. – Słuchaj, mam super pomysł: powinniśmy kupić nie tylko suknie na bal, ale też jakieś fajne kreacje, w których mogłybyśmy wystąpić na imprezie u Andrew.

– Racja.

– Chyba że chcesz przez cały wieczór bawić się w tej eleganckiej sukience balowej. Wydaje mi się jednak, że lepiej byśmy się czuły w dzinsowych ciuchach.

– Lisa przygryzła w zamyśleniu wargę. – Mam nadzieję, że Candace ani inne drugoklasistki nie przyjdą do Andrew. No bo wiesz, mogłyby uznać, że zarywamy do ich chłopaków, i być dla nas strasznie wredne. Podobno Candace najchętniej zamordowałyby wszystkie ładne dziewczyny z listy, taka jest zazdrosna.

– Ojej.

W tej samej chwili Lisa strzeliła palcami tuż przy twarzy Abby.

– Z tym mordowaniem to był żart.

Abby zaczerpnęła głęboko powietrza i powiedziała:

– Słuchaj, nie mogę pojechać z tobą i Bridget na zakupy.

– Co takiego? Czemu?

Dziewczyna nie odpowiadała, bawiąc się w zamyśleniu zamkiem błyskawicznym plecaka na książkę.

– No powiedz mi, jestem przecież twoją najlepszą przyjaciółką.

W końcu Abby otworzyła plecak, wyciągnęła z niego niebieską kartę z ocenami i wręczyła Lisie. Przyjaciółka w pierwszej chwili podziękowała jej uśmiechem, sądząc zapewne, że to kolejny liścik od Abby. Przez głowę dziewczyny przeleciała wtedy myśl, że Lisa nie rozpoznaje raportu o opóźnieniach w nauce, ponieważ sama nigdy dotychczas takiego nie dostała.

– Muszę dzisiaj zdobyć podpis – wyjaśniła Abby. – Jeśli pokażę to rodzicom, będę miała przechłapanie.

Lisa jęknęła głucho, gdy wreszcie pojęła, co trzyma w rękach.

– O cholera. No to faktycznie pewnie będziesz miała kłopoty. Kto wie, może rodzice nie pozwolą ci wybrać się na mecz albo imprezę u Andrew. Ale *muszą* pozwolić ci iść na bal!

– Wiem, że dostanę absolutny szlaban. Moi staruszkowie w nosie mają potańcówki. Dla nich najważniejsze jest to, jakie mam oceny. Jak tylko zaczęłam chodzić do liceum, zapowiedzieli, że nie chcą widzieć żadnych więcej raportów o opóźnieniach w nauce.

– Abby, ale ja nie chcę iść na bal, jeśli ciebie tam nie będzie!

Abby też nie chciałyby, żeby Lisa poszła bez niej. W głowie wirowało jej sto różnych myśli.

– Może sama się podpiszę. No wiesz, tak żeby wyglądało, jakby podpis złożyła moja mama

– No pewnie, świetny pomysł! Przecież pan Timmet i tak się nie zorientuje. Niby skąd miałby wiedzieć?

– A potem do końca semestru będę się już przykładła do nauki. Mogłabym nawet poprosić Fern, żeby udzieliła mi korepetycji – zapaliła się Abby. W tej chwili naprawdę gotowa była to zrobić.

– Zrób tak. Poza tym przecież nie masz w tej chwili już nic do stracenia.

To takie miłe, że Lisie zależało, by Abby poszła z nią na bal, niemal tak samo jak jej samej. Poza tym przyjaciółka w ogóle nie była zazdrosna, że to Abby zdobyła tytuł najpiękniejszej pierwszoklasistki. Najwyraźniej cieszyła się z jej wyróżnienia i napawała ją ono dumą.

Abby wzięła jeden z długopisów Lisy, bo wszystkie jej pisały na różowo albo fioletowo. Przez chwilę ćwiczyła na brudno podpis, który w niczym nie przypominałby jej własnego, po czym na raporcie, na wykropkowanej linii, wypisała imię i nazwisko swojej mamy, dodając dorosłe wyglądające zawijasy.

– Od razu poprawił mi się nastrój – przyznała.

– Mnie też – potwierdziła Lisa, głaskając Abby po plecach. – Może od razu

podejdziesz do gabinetu pana Timmeta i mu to podrzucisz? Założę się, że skończył już pracę. Zostawisz mu raport na biurku, będziesz miała sprawę z głowy i pojedziemy na zakupy!

– Świetny pomysł.

Dziewczynki pobiegły razem do szkoły. Ich kroki i radosny śmiech odbijały się echem w pustych korytarzach. Abby przepełniało poczucie, jakby wyrosły jej skrzydła. Nadal jednak była zdecydowana przyłożyć się do nauki, tak by zaliczyć przedmiot profesora Timmeta na koniec semestru. Ta sprawa z raportem to był dla niej ostatni dzwonek.

Drzwi do sali nauk o ziemi były otwarte. Dziewczyny weszły do środka, spodziewając się, że pomieszczenie będzie puste. Wewnątrz zastały jednak nauczyciela, który zakładał właśnie płaszcz, szykując się do wyjścia.

A na ławce przy oknie, machając nogami, siedziała Fern.

Abby momentalnie zauważyła, że siostra ma taką samą fryzurę, jaką Abby zrobiła sobie kilka dni wcześniej: kok na szczycie głowy i włosy zaplecione wzdłuż linii czoła. Uczesanie Fern stanowiło marną namiastkę oryginału. Było niezbyt starannie wykonane i nierówne, jednak nie ulegało żadnej wątpliwości, że dziewczyna próbowała naśladować młodszą siostrę.

– Ja... chciałabym... – bąkała speszona Abby.

Pan Timmet zachęcił ją gestem, by podeszła.

– Mało brakowało, a byśmy się minęli – stwierdził, a po chwili zauważył niebieską kartę w dłoni uczennicy. – Mam nadzieję, że przyniosłaś ją z podpisem.

Abby przełknęła nerwowo ślinę. Skinęła lekko głową, czując na sobie badawcze spojrzenie nauczyciela.

– Wspaniale. Woląłem uniknąć sytuacji, gdy zmuszony będę wydzwaniać do twoich rodziców. Mam nadzieję, że wbrew obawom nie dostałaś szlabanu. – Po tych słowach zbliżył się do Abby, wziął kartę, po czym odwrócił się do Fern i powiedział: – Muszę już lecieć. Przegadaliśmy pół godziny, niesamowite. Dzięki za podrzucenie mi tego artykułu. Z wielką ochotą go przeczytałem.

Abby patrzyła ze zdziwieniem, jak pan Timmet wsuwa do swojej teczki czasopismo „Popular Science” należące do ich ojca.

Fern zeskoczyła z ławki i uśmiechnięta ruszyła w stronę drzwi.

– Powinien pan, jest naprawdę świetny.

Abby wyszła na korytarz, gdzie czekała na nią Lisa. Przyjaciółka stała oparta plecami o szafkę na książki, zastygła w bezruchu. Abby, bezgłośnie poruszając ustami, obiecała jej, że potem do niej przedzwoni. Lisa również jedynie ruchem warg powiedziała *przepraszam*, po czym szybko zniknęła na schodach.

Fern pożegnała się z nauczycielem, a po chwili dołączyła do siostry na korytarzu. Mijając Abby, rzuciła:

– Minęły dopiero cztery tygodnie nauki, a ty już zawałasza nauki o ziemi?

Brawo!

– Zamknij się, Fern – odburknęła Abby, trzymając się kilka kroków za siostrą.

– Kto podpisał twój raport?

– Mama – odparła dziewczyna, próbując zabrzmieć przekonująco.

Fern wybuchła jednak śmiechem, który runął na Abby niczym grom z jasnego nieba.

– Serio? – droczyła się, popychając ciężkie dwuczęściowe drzwi. – Zaraz ją spytamy.

Samochód pani Warner czekał już zaparkowany przed szkołą. Jak tylko dziewczyny wynurzyły się z budynku, matka pomachała im na powitanie. Abby szła kilka metrów za siostrą, obserwując, jak w głębi ulicy niknie auto Lisy i Bridget.

– Proszę, nie wygadaj się przed mamą – poprosiła błagalnym tonem Abby.

– Niby czemu?

– Jeśli rodzice się dowiedzą, nie pozwolą mi pójść na potańcówkę – tłumaczyła Abby, ścierając rękawem łzę, która potoczyła się jej po policzku.

Wiedziała, że dla Fern płacz z powodu balu to rzecz godna pogardy. Równocześnie jednak liczyła, że na widok łez siostra się nad nią zlituje.

– Ależ oczywiście, że jej powiem. Zresztą rodzice i tak się o wszystkim dowiedzą, kiedy nie zaliczysz przedmiotu na koniec semestru.

– Fern, daj spokój! Mogłabyś chociaż ten jeden raz wyświadczyć mi przysługę? Proszę! – Abby bezwstydnie błagała o zmiłowanie. – Nigdy więcej już cię o nic innego nie poproszę.

– Niby dlaczego miałabym kłamać z twojego powodu?

– Ponieważ jesteś moją siostrą – wyszeptała Abby. Cała dygotała.

– A siostry nie robią sobie takich rzeczy.

Fern ściągnęła gumkę do włosów, rozpuściła kok i rozrzuciła ruchem głowy włosy.

– Przecież nikt nie wierzy, że jesteśmy spokrewnione. Ja w każdym razie nie mam co do tego złudzeń.

ROZDZIAŁ 28

Na lekcji historii powszechnej, ostatnich tego dnia zajęciach Lauren, zjawiała się sekretarka i wręczyła jakiś liścik nauczycielowi. Ten zapoznał się z jego treścią, po czym położył kartkę na ławce dziewczyny.

Okazało się, że pani dyrektor życzy sobie, by Lauren zaraz po zakończeniu lekcji zajrzała do jej gabinetu.

Dziewczyna spojrzała wyczekująco na nauczyciela w nadziei, że podpowie jej, o co chodzi, ten jednak wzruszył obojętnie ramionami. Domyślała się, że ma to jakiś związek z listą. Koleżanki uprzedzały ją, że pani Colby wstąpiła na wojenną ścieżkę i będzie starała się za wszelką cenę odkryć, kto stoi za jej sporządzeniem. Czyżby dyrektorka doszła do wniosku, że główną podejrzaną jest Lauren?

Przez chwilę rozważała nawet możliwość wymigania się od wizyty u pani Colby. Mogłaby przecież udawać, że liścik nigdy do niej nie dotarł. Wiedziała, że zaraz po lekcjach podjedzie po nią mama i mogłaby się błyskawicznie z nią zabrać. Nie mogła jednak zostawić na lodzie dyrektorki. Miałaby z tego powodu wyrzuty sumienia. Poza tym pani Colby mogłaby wtedy zadzwonić do jej mamy. Wyglądało więc na to, że Lauren nie ma wyboru. Koniec końców pożegnała się z koleżankami i z ponurą miną ruszyła w kierunku budynku, w którym mieścił się gabinet dyrekcji.

Gdy znalazła się przed biurkiem dyrektorki, zauważyła swoją mamę siedzącą nieopodal na ławce. Pani Finn miała na sobie kremową bluzkę i wełnianą spódniczkę. Był to ten sam komplet ubrań, który założyła na poniedziałkową rozmowę o pracę.

– Mamusiu, a co ty tu robisz? – spytała Lauren. – Nie powinnaś być w pracy?

Ze strachu serce aż podeszło jej do gardła. Czyżby pani Colby pokazała matce listę? Usiadła obok na ławce, postanawiając w myśli, że jeśli faktycznie mama dowiedziała się już o wszystkim, Lauren będzie udawała, że w ogóle o niczym nie wie.

– Urwałam się wcześniej z pracy, tak żebyśmy mogły porozmawiać z dyrektorką Colby na temat twojej nauczycielki angielskiego – wyjaśniła pani Finn. Następnie zerknęła na zegarek i zmarszczyła brwi. – Skoro najwyraźniej nie miałaś czasu sama się tym zająć.

Od strony korytarza doszedł je beztrioski głos pani Colby, zwracającej się zapewne do jakiegoś nauczyciela:

– Do zobaczenia jutro!

– Czy to ona? – spytała szeptem pani Finn, a kiedy Lauren zacisnęła usta i skinęła w milczeniu głową, matka dodała: – Brzmi... jak *młoda* osoba.

Po chwili zza zakrętu wyłoniła się pani Colby. Ubrana była w czarną wełnianą sukienkę i czarne buty na wysokim obcasie; na jej piersi połyskiwały maleńkie perełki związanego w połowie naszyjnika. Włosy związała w luźny koński ogon, a grzywkę przytrzymały na czole okulary w szylkretowych oprawkach. Lauren momentalnie wyczuła, jak siedząca obok pani Finn zastyga nieruchomo.

– Dzień dobry – zawołała pani Colby, ruszając im na spotkanie różnym krokiem. – Pani zapewne jest mamą Lauren. Bardzo mi miło panią...

– Dzień dobry, pani Colby – weszła jej w słowo pani Finn, wstając z ławki. Dyrektorka wyciągnęła dłoń na powitanie, jednak matka zignorowała ten gest.

Pani Colby oblała się rumieńcem, zaskoczona jej reakcją.

– Przepraszam, że musiały panie na mnie czekać. Mamy tu dzisiaj dość... wariacki dzień.

Dyrektorka zaprowadziła panią Finn do swojego gabinetu. Lauren podążyła za nimi, czując, jak z nerwów nagle zaschło jej w gardle.

Pani Colby usiadła przy biurku i spojrzała niepewnie na dziewczynę.

– Domyślam się, że chodzi o program nauczania angielskiego Lauren. Czyżbyś nie mogła dotrzymać kroku pozostałym uczniom?

Lauren wbiła spojrzenie w buty matki. Miały więcej lat niż córka, być może były nawet starsze niż sama pani Colby, choć czas obszedł się z nimi łaskawie. Były to beżowe skórzane pantofle z niskimi kanciastymi obcasami.

Pani Finn zaśmiała się cierpko.

– Pani dyrektor, kiedy stało się jasne, że nie będę mogła dłużej zajmować się edukacją Lauren, spotkałam się z jej nowymi nauczycielami i wręczyłam im egzemplarze planów przeprowadzonych już lekcji. Chodziło mi o to, by kadra pedagogiczna w szkole wiedziała, jakie zagadnienia zdążyłyśmy już przerobić. Rozumiem, że zapoznała się pani z nimi?

– Cóż... wydaje mi się, że miałam je w rękach. Tak – powiedziała ostrożnie dyrektorka.

Pani Finn pozwoliła sobie na ciężkie westchnienie.

– W takim razie musi pani być świadoma, że Lauren przerobiła już dawno wszystkie książki z listy lektur dla drugiej klasy. Mamy już czwarty tydzień nauki, a nauczycielka mojej córki w żaden sposób nie dostosowała dla niej programu nauczania. Domyślam się, że rozumie pani, jak bardzo frustrująca jest dla mnie ta sytuacja. Lauren musi codziennie tkwić na lekcjach, umierając z nudów.

Dziewczyna wzdrygnęła się odruchowo. Wczorajszego popołudnia w rozmowie z matką użyła dokładnie tych samych słów, teraz jednak w ustach pani Finn zabrzmiały one znacznie gorzej. Lauren powiedziała to wczoraj, żeby jakoś załagodzić napiętą sytuację w domu. Wyczuwała, że matka ma do niej pretensje z powodu późnego powrotu do domu, po tym jak pracowała nad przygotowaniem

Karawany Entuzjastów. Spędziła bardzo przyjemnie popołudnie z dziewczynami. Domalowywała wyciętym z tektury górom śniegowe czapy na szczytach i zupełnie straciła poczucie czasu. Kiedy w końcu dotarła do domu, okazało się, że matka zdążyła już zjeść swoją porcję obiadu, który ugotowała dla nich obojga. Podczas gdy Lauren się posilała, pani Finn dotrzymywała jej towarzystwa przy stole, jednak przez cały czas nie odezwała się ani słowem. Lody przełamało dopiero wyznanie córki, że jej nowa nauczycielka angielskiego jest straszna, zwłaszcza w porównaniu z tym, jak do lekcji podchodziła jej matka. Lauren miała w tamtej chwili wrażenie, że to zupełnie niewinny komplement, który pomoże rozładować atmosferę.

Dyrektorka w zakłopotaniu zaczęła przestawiać przedmioty na biurku. Lauren jeszcze nigdy nie widziała, by pani Colby była tak bardzo zmieszana.

– Naprawdę nie wiem, co powiedzieć, pani Finn. Ale sama pani rozumie, że nasi nauczyciele nie mogą tylko ze względu na Lauren zmienić programu nauczania dla całej klasy.

– Ależ naturalnie, że nie mogą państwo tego zrobić – przyznała cierpko matka. Zabrzmiało to tak, jakby właśnie zyskała oficjalne potwierdzenie, że jej córka marnuje tylko czas w szkole.

– Obiecuję jednak pani, że porozmawiam z nauczycielką angielskiego i poproszę ją, żeby przygotowała dla Lauren osobną listę lektur. Wiem, że pani córka jest niesamowicie zdolna. Gdybym pozwoliła jej zmarnować cały rok nauczania, sprzeniewierzyłabym się ideałom, dla których w ogóle podjęłam pracę w szkolnictwie.

Lauren zerknęła na matkę, licząc, że dojrzy na jej twarzy wyraz ulgi. Zapewnienie dyrektorki najwyraźniej nie stłumiło jednak obaw pani Finn.

– Domyślam się, że na nic więcej nie mogę liczyć – stwierdziła oschle i podniosła się z krzesła.

Pani Colby też wstała od biurka, w jej zachowaniu dało się wyczuć nerwowość.

– Nawiasem mówiąc, wie pani, że Lauren robi furorę w szkole?

Lauren spiorunowała dyrektorkę wzrokiem, w myślach błagając ją: *Proszę tylko nie wspominać o liście!*

Pani Colby musiała coś zauważyć, bo spróbowała niezdarnie wybrnąć jakoś z tej sytuacji:

– Zawsze otacza ją wianuszek koleżanek. Wygląda na to, że zawarła tu dużo nowych znajomości.

Lauren poczuła, jak uchodzi z niej całe powietrze. To, co właśnie powiedziała dyrektorka, było praktycznie jeszcze gorsze.

* * *

„Biurowe” ubrania trzymały w kilku zamykanych na zamek błyskawiczny

pokrowcach. Matka przymierzała je po kolei, po czym stawiała przed popękany lustrem ustawionym na dębowej komodzie i wspinała się na palce, niepewna końcowego efektu.

Lauren przypatrywała się temu z łóżka mamy, leżąc na nim na brzuchu z uniesionymi w górę stopami.

Poszczególne części garderoby były czyste i nieznoszone, jednak staromodny krój zdradzał ich wiek. Pani Finn nie mogła sobie, przynajmniej na razie, pozwolić na zakup nowych ubrań do pracy, dlatego Lauren postanowiła, że za wszelką cenę musi sprawić, by mama poczuła się dobrze. Ilekroć zakładała nową kreację, córka zasypywała ją komplementami. Chwaliła granatowy żakiet, który świetnie podkreślał barwę oczu mamy. Zachwycała się ponadczasowym charakterem spódnicy w jodełkę.

Kiedy matka włożyła następny komplet ubrań i znów stanęła przed lustrem, Lauren zebrała się na odwagę i powiedziała:

– W sobotę w szkole będzie jesienny bal. – Umilkła, czekając na jakąś reakcję mamy, ta jednak skupiona była bez reszty na usuwaniu zmechaconych kłaczek z pary luźnych spodni. – Chciałabym się na niego wybrać.

Upłynęła co najmniej minuta, nim pani Finn odezwała się, nie odwracając spojrzenia od lustra:

– Lauren, mamy teraz mało pieniędzy.

– Bilet kosztuje tylko dziesięć dolarów, zaoszczędziłam już na niego. Poza tym nie potrzebuję nowej sukienki. Podejrzewam, że większość dziewczyn i tak przyjdzie w dzinsach.

Oczywiście było to kłamstwo. Jej koleżanki praktycznie bez przerwy rozmawiały o sukniach, jakie założą na bal. Lauren wiedziała jednak, że będzie musiała zadowolić się dzinsami i jakąś bluzeczką. Mogła też zdecydować się na czarną sukienkę, którą założyła na pogrzeb dziadka. Albo liczyć, że któraś z dziewczyn pożyczy jej jakąś kreację.

Pani Finn uniosła brwi ze zdziwienia.

– Zamierzacie pójść większą grupą? Czy to te dziewczyny, o których wspomniała dyrektorka?

– To tylko koleżanki z klasy. Najpierw wybieramy się na mecz futbolu, a potem...

– Mecz? – weszła jej w słowo mama, potrząsając gwałtownie głową, jakby te nowiny ją przerastały. – Pierwsze słyszę, Lauren.

Dziewczyna zaczerpnęła głęboko powietrza, żeby się uspokoić. Zachowanie cierpliwości przychodziło jej z coraz większym trudem. Skąd właściwie ten dziwny oschły ton, jakim zwracała się do niej matka? Przecież nie miały na ten dzień żadnych wspólnych planów.

– Tak, mecz. A potem potańcówka. I chciałabym być na obu tych imprezach.

Mogę? Proszę! – To błaganie o pozwolenie sprawiało, że czuła się jak mała dziewczynka, mimo że kiedy przebywała w towarzystwie matki, tak naprawdę zawsze czuła się dorosła. – Przed balem spotykamy się w domu jednej z dziewczyn, a potem stamtąd idziemy całą grupą do szkoły.

Pani Finn usiadła z drugiej strony łóżka.

– Nie tęsknisz za czasem, gdy byliśmy tylko ty i ja, i nikt więcej?

Lauren zamarła. W ustach matki zabrzmiało to niemal jak wymówka, sugerująca, że córka postępuje źle.

– Ależ oczywiście, że tęsknię. Po prostu próbuję brać udział w życiu towarzyskim szkoły.

– Musisz uważać, Lauren. Nie znasz zbyt dobrze tych dziewczyn.

– Są miłe, to moje koleżanki.

– A kto urządza tę imprezę?

– Candace Kincaid.

– Może zaprosiłabyś ją jutro do nas na obiad? W ten sposób mogłabym ją poznać.

Dlaczego spośród wszystkich dziewczyn matka chciała poznać akurat Candace? Lauren wiedziała, że to fatalny pomysł.

– Mamusiu, pozwól mi iść – naciskała.

– A zatem teraz, gdy poszłaś do liceum, mam ci się we wszystkim podporządkowywać, co? – powiedziała matka, potrząsając z niedowierzaniem głową. – Chyba mam prawo wiedzieć, z kim prowadzi się moja córka.

* * *

Podczas gdy pani Finn brała prysznic, Lauren pobiegła do dużego pokoju i podniosła słuchawkę telefonu. Numery swoich nowych koleżanek zapisała na odwrocie listy. Wybrała jeden z nich i poprosiła koleżankę, by podała jej numer Candace. Dziewczyna zareagowała zdumieniem i próbowała wydusić z Lauren informację, po co właściwie chce kontaktować się z Candace. Koniec końców Lauren zdołała jednak zdobyć numer, nie zdradzając zbyt wiele upokarzających szczegółów.

Nie była wcale pewna, czy zdoła nakłonić koleżankę do odwiedzin. Zapewne została zaproszona na imprezę tylko ze względu na pozostałe dziewczyny, bo w przeciwnym razie Candace wyszłaby na zawistnicę. Wiedziała, że jeśli dziewczyna odrzuci jej zaproszenie, matka może w ogóle nie pozwolić iść Lauren na bal.

Z drugiej strony, tłumaczyła sobie, gdyby tak się stało, wówczas żadna z dziewczyn nie pofatygowałaby się na imprezę Candace.

Candace sprawiała wrażenie zaskoczonej jej telefonem.

Lauren wyjaśniła jej pokrótce, z czym dzwoni, a dziewczyna, ku jej

wielkiemu zaskoczeniu, niemal natychmiast przyjęła zaproszenie na obiad.

Prawdę mówiąc, skwapliwość, z jaką zgodziła się przyjść, trochę nawet przeraziła Lauren.

ROZDZIAŁ 29

Danielle miała już wskoczyć do basenu z innymi pierwszoklasistkami, gdy zobaczyła, że trenerka Tracy gestem przywołuje ją do swojego kantorka.

– Przyniosłaś dzisiaj strój treningowy?

– Tak.

– W takim razie – odparła trenerka, zbierając jakieś papiery z biurka – przebierz się szybko i jazda na siłownię.

– Dobrze – odparła zaintrygowana Danielle.

Siłownia w liceum Mount Washington mieściła się dokładnie naprzeciw pływalni. Kiedyś znajdowały się tu dwie sale lekcyjne, lecz potem wyburzono dzielącą je ścianę, tablice zastąpiono lustrami i wyposażono pomieszczenie w sztangi i hantle, ławeczki do ćwiczeń, rowery treningowe i bieżnie stacjonarne. Stare radio zawsze ustawione było na stację nadającą rockowe szlagiery, umilając ćwiczenia utworami Led Zeppelin, Pink Floyd czy Steve Miller Band.

Danielle zjawiała się na siłowni ubrana w spodnie dresowe, białą koszulkę bez rękawów i swój ulubiony stanik sportowy. Zżerała ją trema, po części dlatego, że nigdy wcześniej nie ćwiczyła na siłowni, po części zaś dlatego, że zgromadziła się tu już większość członków szkolnej reprezentacji pływackiej. Byli tam chłopcy i dziewczyny, zajęci ćwiczeniami i pogawędkami. Członkowie szkolnych sekcji sportowych nie mieli zbyt wielu okazji do takich spotkań, ponieważ w sporcie ściśle przestrzegano rozdziału płci. W przypadku pływaków było jednak inaczej – wszyscy tutaj sprawiali wrażenie, jakby świetnie się znali i przyjaźnili.

Danielle знаła parę osób z widzenia. Kilka z nich skinęło jej głową, jakby dając do zrozumienia, że oni również wiedzą, kim jest. Ludzie ci spoglądali na nią inaczej niż uczniowie na korytarzach od momentu wywieszenia listy. Tutaj witali ją z uśmiechem, świadomi, że mają do czynienia z utalentowaną pływaczką.

Po chwili na salę weszła trenerka Tracy. W rękach trzymała stertę papierów.

– No dobrze, dzisiaj panie ćwiczą mięśnie ramion, panowie mięśnie nóg. Dobierzcie się w pary i zróbcie podwójny cykl ćwiczeń. Tym, którzy jeszcze nie znają naszej nowej koleżanki, podpowiadam: na imię ma Danielle. – Przy tych słowach trenerka wyszczerzyła zęby w uśmiechu, ewidentnie nawiązując do ich niedawnej wymiany zdań. – Danielle weźmie udział w sobotnich zawodach na dystansie czterystu metrów stylem dowolnym.

Danielle poczuła nagły przyływ energii. Właśnie oficjalnie została przyjęta do reprezentacji szkoły! To pierwsza dobra rzecz, jaka przydarzyła jej się w tym tygodniu. Wiedziała, że musi się nią nacieszyć.

Przez głowę przeleciała jej myśl, żeby wyskoczyć na moment do łazienki. Mogłaby wtedy zadzwonić do Andrew i podzielić się z nim radosną nowiną. Zanim

jednak zdążyła cokolwiek zrobić, podeszła do niej czwartoklasistka Jane, z którą miała ćwiczyć w parze. Miały zacząć od wyciskania na ławeczce.

– Chcesz zacząć? – spytała Jane.

– Nie. Tak naprawdę... nigdy jeszcze tego nie robiłam. Lepiej, żebyś ty zaczęła.

Jane umieściła na gryfie dwa okrągłe talerze, każdy ważący po cztery i pół kilograma. Następnie położyła się na ławeczce.

– Danielle, stań za mną i ujmij delikatnie gryf palcami od spodu. W ten sposób będziesz mnie ubezpieczać. Nie chcę, żeby sztanga spadła i mnie przygniotła.

– Dobra.

Jane opuściła sztangę nisko, tak że gryf niemal dotykał jej klatki piersiowej, po czym wypchnęła go w górę. Wykonała osiem powtórzeń ćwiczenia. Już po kilku ramiona zaczęły jej drżeć, a policzki stały się czerwone. Przy ostatnim powtórzeniu Danielle delikatnie pomogła jej unieść sztangę.

W końcu Jane, lekko zdyszana, usiadła na ławce.

– Twoja kolej – stwierdziła.

Danielle położyła się na ławce i zaczerpnęła głęboko powietrza, przygotowując się do wyciskania. Z nerwów serce waliło jej w piersi. Ujęła sztangę i zdjęła ją z uchwytów. Okazała się znacznie lżejsza, niż sądziła. I ku swojemu zaskoczeniu wykonała osiem powtórzeń bez większego trudu.

– Zaczekaj. Miałaś chyba zbyt małe obciążenie – stwierdziła Jane, spoglądając na nią ze zdziwieniem. Umieściła na gryfie dodatkowe talerze, po czym powiedziała: – Spróbuj teraz.

Danielle wykonała polecenie. Tym razem musiała włożyć w ćwiczenie nieco więcej wysiłku, jednak poradziła z nim sobie znakomicie.

– Trenerko Tracy! – zawołała Jane. – Proszę do nas podejść na chwilę. Danielle super sobie radzi z wyciskaniem!

Po chwili przy ich stanowisku zjawiała się trenerka, a wraz z nią kilka zaciekawionych dziewczyn. Jane kolejny raz zwiększyła obciążenie sztangi. Kiedy Danielle wykonywała ćwiczenie, dziewczyny głośno ją dopingowały.

Gdy w przerwie między seriami Danielle rozejrzała się wokół, zobaczyła, że do jej ławeczki podeszło też paru chłopaków z reprezentacji. Na ich twarzach malował się ten sam wyraz pełnego zazdrości szacunku, który widziała u chłopców nad jeziorem Clover.

Po dodaniu kolejnych talerzy do sztangi Danielle musiała nieźle się natrudzić, żeby wykonać ostatnią serię. Trenerka Tracy zastąpiła Jane, asekurować ćwiczącą. Wkoło zgromadziła się już cała reprezentacja, dopingując głośno dziewczynę przy każdym powtórzeniu. Kiedy opuściła gryf i przygotowywała się do ostatniego wyciśnięcia, miała wrażenie, jakby jej ramiona zamieniły się w zbyt

mocno rozciągnięte gumki recepturki. Doping jej nowych kolegów i koleżanek z drużyny sprawił, że zdołała znaleźć ukryte głęboko rezerwy energii i zmobilizować się ostatni raz. Z jej piersi wydarł się ryk, gdy wypychała sztangę w górę w ostatnim powtórzeniu. Ramiona jej drżały, gdy odkładała z głośnym hukiem gryf na stojaki. Wszyscy nagrodzili ją radosnymi okrzykami.

Danielle usiadła na ławce, czując lekkie zawroty głowy. Po policzkach spływał jej pot. Kiedy tłumek kibiców w końcu się rozstał, zauważyła, że przy drzwiach siłowni stoi paru chłopaków z drużyny futbolowej.

Wśród nich był też Andrew.

Chuck zanosił się histerycznym śmiechem.

– Człowieku, czy Dana Babochłop robi ci takie rzeczy, jak jesteście sami? – spytał, a kiedy Andrew nie odezwał się ani słowem, Chuck zwrócił się do pozostałych chłopaków: – Założę się, że tak właśnie wygląda ich gra wstępna. Dana chwyta Andrew i wyciska go jak sztangę.

Andrew stał nieruchomo i marszczył czoło. Wyglądał na ostro wkurzonego. Danielle nie mogła jednak stwierdzić, co tak naprawdę wywoływało w nim gniew: docinki Chucka czy może fakt, że ona sama dała do nich pretekst.

W pewnym momencie Chuck szturchnął Andrew w ramię.

– Całe szczęście, że Dana nie trenuje futbolu. Znowu grzałbyś ławę rezerwowych. Ta panna na sto procent lepiej od ciebie poradziłaby sobie na pozycji skrzydłowego w ataku.

Danielle chciała wstać z ławeczki i odejść od drzwi, jednak z jakiegoś powodu nie mogła się poruszyć. Nie była w stanie nawet unieść ręki, żeby obetrzeć pot ściekający jej po twarzy i skapujący z brody.

– Zamknij się – warknął Andrew, jednak jego głos zginął wśród docinków kolegów.

– Panowie, jazda stąd – wtrąciła się trenerka Tracy. – Rozpraszacie pływaków.

Danielle, zdyszana po ćwiczeniu, czując wciąż palenie w mięśniach, widziała, jak Andrew odwraca się i odchodzi. Trenerka zamknęła za chłopakami drzwi.

ROZDZIAŁ 30

Mogłam zamówić sałatkę – stwierdziła Lisa, wpatrując się ponuro w swój talerz.

Bridget siedziała naprzeciw niej. Dziewczynki zajęły stolik w pizzerii w galerii handlowej. Wybór Bridget padł na stół przy oknie. Nie przeszkadzało jej, że lepił się od brudu i musiała uprzątnąć talerze po poprzednich gościach. Siadając tutaj, liczyła, że będzie miała czym odwrócić uwagę od jedzenia. Mogła na przykład przyglądać się klientom galerii, którzy próbowali omijać faceta puszczającego samoloty na gumkę.

– Liso, nie wygłupiaj się. Przecież uwielbiasz tutejszą pizzę. Wsuwaj i idziemy dalej – poleciła siostrze, nadziewając na widelec listek sałaty. Zamówiła sałatkę, żeby nie ściągać na siebie podejrzeń siostry. Doskwierał jej straszny głód, jednak mimo to sałatka wydawała się zupełnie nieapetyczna.

Ale chyba przecież właśnie o to chodziło. Prawdę mówiąc, była zła na siebie, że zarzuciła kurację oczyszczającą. Gdyby z niej nie zrezygnowała, nie umierałaby teraz z głodu. A gdyby nie umierała z głodu, nie dałaby dzisiaj takiej plamy.

– Nie powinnam się tak odżywiać – stwierdziła Lisa, potrząsając głową. – Zwłaszcza że nie uprawiam żadnych sportów. Przy takiej diecie niedługo będę gruba jak balon.

Bridget odłożyła do miski plastikowy widelec i zmierzyła siostrę spojrzeniem.

– O czym ty mówisz?

Czyżby Abby wspomniała przyjaciółce o tym, co widziała w łazience? Była świadkiem, jak Bridget bezskutecznie próbowała zmusić się do wymiotów. Że też musiała akurat nakryć ją w momencie, gdy była u kresu sił! Chwilę wcześniej dowlokła się jakoś do automatu sprzedającego precle. Ale przecież to były tylko precle, a nie orzechy czy słodkie draże. Mimo to efekt był straszny.

– Sama nie wiem – wzruszyła ramionami Lisa. – Wcale się nie przejęłam tym, że Abby została wybrana najładniejszą uczennicą, bo naprawdę na to zasługuje. Ale byłoby miło, gdybym to ja w przyszłym roku wygrała.

– Boże, i to cię tak dręczy? – spytała z niedowierzaniem Bridget. – Masz geny po ojcu, a on nigdy nie przybiera na wadze. To ja mam się czym martwić, bo odziedziczyłam skłonność do nadwagi po mamie. Poza tym kawałek pizzy naprawdę nie może ci zaszkodzić.

– Ale ty w ogóle nie jadasz już pizzy – zauważyła Lisa oskarżycielskim tonem.

Bridget wbiła widelec w dno styropianowej miseczki. Tak naprawdę wcale nie miała ochoty siedzieć w tej pizzerii. Uległa jednak namowom Lisy, jakim więc

prawem jej siostra teraz jęczy?

– No to daj – powiedziała, zabierając Lisie talerz.

Ugryź jeden kęs.

Duży kęs.

Wtedy Lisa się zamknie.

Zamiast jednak sięgnąć po jedzenie, Bridget wzięła parę serwetek z podajnika.

– Jeśli tak się przejmujesz kaloriami, zawsze możesz zrobić taki trik – powiedziała, kładąc serwetki na serze. Przyklepała je delikatnie palcami. Serwetki momentalnie przybrały jasnopomarańczową barwę. – W ten sposób będziesz jakieś sto kalorii do tyłu. Możesz też po prostu zdjąć ser z ciasta.

Bridget wykonała tę operację, odrywając warstwę sera i odkładając na bok talerza.

– Ale przecież ser jest najsmaczniejszy – jęknęła niepoczyszona Lisa.

Bridget puściła jej uwagę mimo uszu. Następną serwetką starła z ciasta sos pomidorowy.

– Sos to największe zło. Kryje się w nim mnóstwo cukru – oznajmiła, po czym odkroiła bardziej przypieczone części pizzy. – Ta przypieczona skórka będzie ci tylko zalegać w żołądku.

Po chwili Lisa dostała kawałek wypreparowanego ciasta. Było blade i rozmiękle.

– O Jezu, wielkie dzięki – westchnęła z obrzydzeniem.

Bridget czuła, że ma tłuste palce. Najchętniej wylizałaby je do czysta. Zamiast tego chwyciła kolejną serwetkę i zaczęła je z zapamiętaniem wycierać. Tarła tak długo, aż z serwetki zostały strzępy. Nagle poczuła wyrzuty sumienia, że uchyliła przed siostrą rąbka tajemnicy. A przy okazji zepsuła piękny kawałek pizzy. Nie mogła się doczekać, aż będzie już po tej kretyńskiej potańcówce i znów będzie mogła być sobą.

– Zamówię ci nowy kawałek, dobrze? Chciałam ci tylko pokazać, jak durne jest takie podejście.

– Nie trzeba. Wiem, że tylko próbujesz mi pomóc – odparła cicho Lisa. Zjadła odłożony na bok ser, po czym stwierdziła: – Chodźmy już.

Bridget zaczerpnęła głęboko powietrza, a kiedy wstawały od stołu, zmierzwiła siostrze włosy. Zaraz wszystko jej wytłumaczy, przede wszystkim jednak musi jak najszybciej wydostać się z tej pizzerii.

* * *

Pół godziny później dziewczyny wylądowały w sklepie z ciuchami. Bridget momentalnie znalazła kreację na bal, która jej się spodobała. Była tu króciutka czerwona sukienka bez ramiączek. Śliczna i taka dziewczęca. Przez chwilę

dziewczyna krążyła wokół manekina, na którym ją prezentowano. Zauważyła, że na plecach sukienka została założona i przymocowana szpilkami, żeby wydawała się jeszcze bardziej obcisła. Przed oczami natychmiast stanęły jej te nieszczęsne precle. Wyobraziła sobie, jak szpilki wyskakują, by materiał mógł pomieścić jej spuchnięte od nadmiaru jedzenia ciało.

– Ta kiecka będzie na tobie leżeć jak ulał – ucieszyła się Lisa, przytulając się do pleców siostry.

– No nie wiem.

Lisa podbiegła do wieszaków.

– Przymierz ją!

Bridget posłusznie zaczęła myszkować wśród rozwieszonych sukienek. W końcu odnalazła jedną w tym samym rozmiarze co jej letnie bikini. Zdjęła ją z wieszaka i uniosła, żeby dokładnie się jej przyjrzeć. Z bliska kiecka sprawiała wrażenie, jakby uszyto ją z wielkiej ilości materiału. Była strasznie obszerna niczym czerwony namiot cyrkowy. A ona miała małe szanse, żeby się w nią wcisnąć.

W przymierzalni, założywszy sukienkę, Bridget stanęła przed lustrem i zmarszczyła brwi. Bez trudu się w nią zmieściła, a nawet dopięła zamek. Powinna być zadowolona – zrzuciła zbędne kilogramy, w które obrosła od wakacji. Czerwony materiał świetnie pasował do jej ciemnych włosów. Efekt psuły jednak biodra, które sterczały spod materiału i zaburzały sylwetkę. No i brzuszek, wystający na samym przedzie niczym torba kangura. Bridget odkryła z przerażeniem, że nawet kolana ma tłuste.

– Strasznie mi przykro z powodu Abby – odezwała się Lisa z sąsiedniej kabiny. – Pewnie przez Fern nie uda jej się pójść na bal.

– O kurczę, to niedobrze – odparła po kilku sekundach Bridget. Chciało jej się ryczeć, tak strasznie wyglądała w tej sukience.

Ach, gdybym tylko nosiła mniejszy rozmiar.

Pomyślała o kupionym latem kostiumie kąpielowym. Wtedy jej celem stało się schudnięcie, tak by mogła się w niego zmieścić. A ponieważ dokonała zakupu, nie miała innego wyjścia – musiała osiągnąć założony cel.

Do balu zostały tylko dwa dni. Czy jeśli tym razem też kupi mniejszy rozmiar, zdąży zrzucić jeszcze parę kilo?

– Pokaż, jak na tobie leży – poprosiła Lisa.

– Już ją zdjęłam. Spotkajmy się przy kasie.

Podczas gdy Lisa się przebierała, Bridget szybko wróciła do wieszaków i wybrała czerwoną sukienkę w mniejszym rozmiarze. Postanowione: jeszcze raz sprawdzi, na ile ją stać.

PIĄTEK

ROZDZIAŁ 31

To było niczym choroba, która zaatakowała całe jej ciało. Sara nie umiała już wskazać, gdzie kończy się brud, a zaczyna jej skóra. Obie warstwy zlały się w jedną.

Kiedy zadzwonił budzik, nie otwierała długo oczu w obawie, że znów poczuje, jak bardzo jej powieki są sklezione od brudu.

Spała zupełnie goła. W sumie to nie spała, tylko leżała przez całą noc na łóżku i zawzięcie się drapała.

Wilgotna kupka ubrań leżała na podłodze. Postanowiła lekko nagiąć reguły i założyła bieliznę odwróconą na lewą stronę. Niewiele to pomogło. Musiała zmobilizować wszystkie wewnętrzne siły, żeby założyć pozostałe ubrania.

Do szkoły pojechała oczywiście na rowerze, przez całą drogę próbując wyobrazić sobie rozmowę, jaką Milo na pewno odbył z Annie po tym, jak się wczoraj pokłócili. Annie z całą pewnością poradziła mu, żeby trzymał się od Sary z daleka. Stwierdziła pewnie, że z jego opowieści wynika, że Sara jest pomyłona. Milo pewnie wyznał Annie, że za nią tęskni. I że żałuje, że musiał się przeprowadzić.

Jakby na potwierdzenie jej najgorszych przeczuć, gdy dotarła do szkoły, okazało się, że chłopak nie czeka na nią na ławce.

Dobrze przynajmniej, że było tak zimno. Pod wpływem chłodu jej skóra naprężała się i drętwiała. W pewnym momencie była już tak zeszywniała, że niemal straciła w niej całe czucie. Usiadła na ławce i czekała, czując, jak stopniowo zamarza w swoim pancerzu z brudu. W końcu rozległ się dzwonek na lekcję – znak, że jest już spóźniona.

Milo się nie pojawił.

Piątek był całkowicie inny niż poniedziałek. Teraz już nikt nie mógł przejść obok niej obojętnie. Wszyscy koledzy i koleżanki z klasy Sary spoglądali na nią przerażeni. Gdy tylko przyszła do sali lekcyjnej i zajęła miejsce przy swoim stoliku, ze wszystkich stron rozległy się skrzypienia nóg krzeseł i ławek. Ludzie w panice starali się odsunąć najdalej, jak mogli, od źródła smrodu. Sara nic sobie jednak nie robiła z ich wstrętu. Tkwiła w skorupie brudu niczym w zbroi. Ukryta w niej, pod spodem nie czuła już praktycznie nic.

Odór rozchodził się w powietrzu przy każdym, choćby najbardziej nieznacznym ruchu, każdym kroku czy zmianie położenia ciała. Fetor, jaki wydzielala, był kwaśny i ostry. Chłopcy reagowali na jej pojawienie się naciąganiem koszulek na nosy. Dziewczyny zakrywały twarze dłońmi, tak by czuć tylko uperfumowane nadgarstki.

Cudownie.

Problem jednak polegał na tym, że, jak się okazało, wszyscy ci ludzie zawsze spodziewali się po niej czegoś równie obrzydliwego. Nie wydawali się ani zszokowani, ani zdumieni. W ich odczuciu to, co działo się teraz z Sarą, było jej naturalnym przeznaczeniem.

ROZDZIAŁ 32

Danielle stanęła w drzwiach prowadzących do kantorka trenerskiego przy pływalni, jedną ręką ściskając kurczowo ramię.

– Pani trener? – odezwała się, zaciskając z bólu zęby.

– Co się stało, Danielle? – spytała pani Tracy, odwracając się gwałtownie na fotelu. Na jej twarzy odmalował się niepokój. – Czemu nie przebrałaś się jeszcze w kostium?

– Obawiam się, że nadwyreżyłam wczoraj ramię na siłowni. Przesadziłam chyba z tym wyciskaniem – wyjaśniła spłoszona dziewczyna, widząc, że trenerka szybko wstaje z krzesła. – Niepotrzebnie się popisywałam. Coś mi się wydaje, że lepiej będzie, jeśli daruję sobie dzisiaj pływanie. Powinnam uważać, żeby jutro na zawodach być w formie.

Trenerka nacisnęła lekko kciukiem mięśnie na ramieniu Danielle, która syknęła na znak, że właśnie tu ją boli.

– No to mamy problem. Żeby jutro na zawodach osiągnąć dobry czas, powinnaś trenować dziś z całym zespołem. Nadal nie popracowałyśmy nad twoimi obrotami w wodzie przy zmianie kierunku – powiedziała pani Tracy, nadal badając ramię podopiecznej. Danielle od czasu do czasu strasznie się krzywiła. – Będę zmuszona wyznaczyć inną pływaczkę na twoje miejsce.

– Trenerko, do jutra na pewno będę znów w formie. Słowo honoru. A podczas dzisiejszego treningu będę siedziała na trybunach, żeby nic nie stracić. Po prostu nie chcę się dzisiaj przemęczyć i ryzykować kontuzji. Potrzebuję tylko jednego dnia luzu i na pewno poczuję się lepiej.

Trenerka nadal badała jej ramię, jednak coś zmieniło się w jej dotyku. Danielle odniosła wrażenie, że pani Tracy udaje tylko, że ją bada.

– No cóż, jeśli uważasz, że właśnie tego potrzebujesz, nie będę się z tobą spierać. Nie mogę ryzykować, że jutro będziesz niezdolna do pływania.

Wychodząc z kantorka, Danielle czuła się obolała. Tyle że ból wcale nie doskwierał jej w ramienia, lecz czuła go w klatce piersiowej, w sercu. Dokuczał jej przez cały dzień. Dlatego wiedziała, że w takim stanie nie może dziś pływać. Nie mogła popsuć fryzury, nad którą spędziła cały ranek. Poza tym zaraz po treningu miała plany, które wymagały, by wyglądała absolutnie wystrzałowo.

Zajęła miejsce na trybunach i z boku przyglądała się, jak trenują pozostałe zawodniczki reprezentacji. Wśród nich była też Hope, którą trenerka wskazała jako zastępczynię Danielle.

* * *

Niespełna dwie godziny później Danielle czekała w szatni, aż Hope się

przebierze.

– Jesteś pewna, że chcesz iść do pizzerii? – spytała z niedowierzaniem przyjaciółka. – Może powinnaś wrócić do domu i pozwolić odpocząć ramieniu.

– Hope, pizza mu raczej nie zaszkodzi – uspokoiła ją Danielle, składając w kostkę wilgotny ręcznik koleżanki.

– A co będzie, jeśli trenerka zobaczy, że spotykasz się z chłopakami? Przecież mogłaby cię wyrzucić z reprezentacji bez możliwości powrotu.

Danielle pomyślała, że czasami Hope zachowuje się nie jak najlepsza przyjaciółka, tylko młodsza siostra. Prawdę mówiąc, w tych luźnych spodniach dresowych, bezkształtnym T-shircie i bluzie z kapturem zawiązanej w pasie wyglądała nawet trochę, jakby była jej młodszą siostrą. Włosy, niedosuszone po prysznicu, miała upięte w beładny kok. Włosy Hope potrafiły być naprawdę piękne, pod warunkiem że dobrze je wysuszyła. Danielle przyszło do głowy, żeby powiedzieć przyjaciółce, żeby się nimi zajęła, ale nie chciała, by Andrew z kolegami musieli na nie czekać. Poza tym Hope, w przeciwieństwie do niej, nie musiała niczego im udowadniać.

– No i co trenerka Tracy mogłaby mi zrobić? Przecież muszę zjeść obiad, to chyba zupełnie naturalne – stwierdziła. Czując jednak, że zabrzmiało to być może zbyt obcesowo, dodała szybko: – Cieszę się, że idziesz ze mną.

To Andrew zaproponował, żeby Danielle zabrała ze sobą Hope.

Od wizyty na siłowni nie dzwonił do niej ani nie odpowiadał na SMS-y. Danielle domyślała się dlaczego. Pewnie obawiał się, że jest na niego wściekła za to, jak się wtedy zachował.

Ale kiedy do niego zadzwoniła, wcale nie miała zamiaru go ochrzaniać. Czowała po prostu potrzebę podzielenia się z nim nowiną, że zakwalifikowała się do reprezentacji pływackiej. Jasne, może nie było to równie wspaniałe osiągnięcie jak zostanie królową balu, może nie wiązało się w żaden sposób z byciem ładną lub brzydką, jednak Danielle wiedziała, że dla Andrew, a nawet dla jego debilnych kolegów, było to osiągnięcie, które musiało budzić szacunek.

Bardziej niż na ich szacunku zależało jej jednak, by Andrew znowu poczuł się z niej dumny. Dumny, że jest z taką dziewczyną.

I właśnie dlatego tego dnia wstała z łóżka wcześniej niż zazwyczaj i zrobiła się na bóstwo. Na włosy nałożyła odżywkę, notując w pamięci, że musi to robić częściej. Zrobiła makijaż i założyła lepszy stanik z push-upem. Wreszcie wystroiła się w letnią sukienkę na ramiączkach, którą zabrała na obóz nad jeziorem Clover. Była to ta sama sukienka, o której Andrew powiedział kiedyś, że jego podpieczeni dostają bzika, gdy Danielle ją zakłada. Teraz było już za zimno na samą sukienkę z przewiewnej bawełny, dlatego Danielle założyła do niej rozpinany sweter i legginsy.

Przed godziną wychowawczą zaczęła się na Andrew przy jego szafce na

książki.

– Cześć – rzucił na powitanie zmęczonym głosem.

– Zgadnij, co się stało – powiedziała podekscytowana Danielle, podskakując na palcach.

Czekała cierpliwie, aż na nią spojrzy. Andrew przez długą chwilę szukał książek w szafce. Zasłonił się przy tym drzwiczkami, tak żeby Danielle nie widziała jego twarzy.

Nagle poczuła, jak duma ustępuje miejsca pożądaniu.

– Twoi rodzice jeszcze nie wrócili, prawda? Pomyślałam, że może wpadłabym do ciebie po szkole.

Nadal co prawda nie umiała jednoznacznie stwierdzić, jakie uczucia budziło w niej to, co zaszło między nimi w środę. Jednak fakty mówiły same za siebie – stała tuż przy nim wystrojona, gotowa powtórzyć tamten wieczór, a nawet pójść jeszcze dalej.

– W sumie to po treningu umówiłem się z chłopakami na pizzę – burknął Andrew.

– Aha – wydusiła z siebie, zdumiona, ile desperacji może pomieścić takie niepozorne krótkie słówko. – A gdzie? W Mimeo czy Tripoli?

– Pewnie Tripoli, sam jeszcze nie wiem.

– Uwielbiam tę pizzerię, serwują tam najlepszą pizzę w całym mieście – ucieszyła się dziewczyna. Andrew zamknął odgradzającą ich szafkę, tak że Danielle znalazła się teraz tuż przy nim. Właściwie to napierała na niego całym ciałem. – Tak się składa, że też chętnie zjadłabym wieczorem pizzę. Trochę dziwne, co nie?

– No to może... wybierzesz się z nami?

– A chciałbyś, żebyśmy przyszła?

– A co mnie to obchodzi, czy zjesz pizzę czy nie? – mruknął, wzruszając obojętnie ramionami.

– W takim razie przyjdę – zapowiedziała.

Cóż, nie takiego zaproszenia się spodziewała, wiedziała jednak, że musi znaleźć wspólny język z jego kumplami, jeśli ich związek ma przetrwać. Nie chodziło jej tylko o to, by Andrew dojrzał w niej atrakcyjną dziewczynę. Musiała sprawić, żeby Chuck i reszta chłopaków też spojrzeli na nią w taki sposób.

– Cóż, może zaprosz też Hope. Inaczej będziesz jedyną dziewczyną przy stoliku i możesz czuć się niezręcznie. Z nią będziesz mogła przynajmniej pogadać.

– To chyba twoja rola, co? No wiesz, jako mój chłopak mógłbyś zabawiać mnie rozmową – zauważyła, kiedy jednak Andrew posłał jej zdumione spojrzenie, dała sobie spokój. Musiała uważać, by nie cofnął tak niechętnie danego zaproszenia. – W porządku, przyprowadzę Hope. Spotkamy się po treningu na rogu.

* * *

Danielle i Hope zjawily się o czasie w umówionym miejscu i tkwiły tam dwadzieścia minut, przez cały czas rozglądając się, czy nie nadjeżdża terenówka trenerki Tracy. Kiedy Andrew i jego koledzy nie pokazali się, Danielle pomyślała, że może przeciągnął się im trening. Dziewczyny ruszyły w stronę boiska.

Było puste.

– Przecież Andrew podobno powiedział, że... – odezwała się z westchnieniem Hope, ale Danielle nie pozwoliła jej dokończyć zdania.

– Pewnie zapomniał. Całą uwagę skupia teraz na zbliżającym się meczu. O niczym innym ostatnio nie mówi.

Żeby dostać się do pizzerii, dziewczyny musiały najpierw dojść do Main Street. Przez całą drogę, podczas której pokonały pięć kwartałów, Hope nie odezwała się ani słowem, lecz Danielle mimo to była na nią wkurzona. Jeszcze nie znalazły się w towarzystwie chłopaków, a przyjaciółka już udowodniła, że na nic się nie przyda. Danielle zabrała ją ze sobą, żeby nie czuć się niezręcznie, tymczasem już teraz czuła się fatalnie.

Kiedy znalazły się na wysokości pizzerii, dziewczyna odczekała, aż przejadą auta, i puściła się biegiem na drugą stronę ulicy. Wiedziała, że Hope została w tyle. Rozległ się klakson, jednak nawet wtedy Danielle nie zwolniła kroku. Spojrzenie utkwione miała we frontowych oknach pizzerii Tripoli.

W środku widziała już chłopaków: Andrew, Chucka i paru innych. Na stole stały dwie tace po pizzy, już niemal całkiem puste. Zostały na nich tylko trzy kawałki ciasta i stosik niedojedzonych spalonych skórek. Chłopaki zachowywali się głośno, zaśmiewali się z jakiegoś żartu. Kiedy Danielle weszła do środka, wszyscy umilkli. Tuż za nią wsunęła się Hope.

Danielle ruszyła zdecydowanie do stolika.

– Witamy Danę Babochłopa! – powitał ją Chuck.

– Mam na imię Danielle.

Chuck wytrzeszczył oczy i powiódł spojrzeniem po kumplach.

– Wybacz, Danielle. W każdym razie fajnie, że wpadłeś, chłopaku.

Wszyscy futboliści parsknęli śmiechem. Z wyjątkiem Andrew, który utkwiał spojrzenie w blacie stołu.

– Przecież miałeś spotkać się z nami na rogu – szepnęła z wymówką w głosie Danielle.

– Racja, przepraszam. Po treningu chłopaki zawlekli mnie tutaj. Wszyscy umieraliśmy z głodu. No i trener puścił nas wcześniej z zajęć.

Pozostali chłopcy też spuścili głowy, dlatego Danielle nie mogła stwierdzić, czy Andrew mówi prawdę, czy może kłamie. Nagle dotarło do niej, że żaden nie próbuje ustąpić jej miejsca przy stoliku. Na szczęście w tej samej chwili poczuła na

ramieniu dotknięcie.

– Znalazłam nam stolik. – Hope odciągnęła ją od stolika chłopaków.

Nagle Danielle uświadomiła sobie, że cała się trzęsie. Nigdy jeszcze nie czuła się taka zażenowana. Ale w sumie czego się spodziewała? Niemal zmusiła Andrew, żeby ją tu zaprosił. Ileż dałaby, żeby cofnąć czas i ocalić twarz. Zapędziła się w kozi róg i będzie teraz musiała udawać, że nic się nie stało. Jeśli nie zachowa zimnej krwi, narazi się na totalne upokorzenie.

Danielle podeszła do baru i zamówiła dla siebie i Hope po kawałku pizzy i napoju gazowanym. Kiedy usiadły przy swoim stoliku, chłopaki zdążyły najwidoczniej zapomnieć o ich obecności. Przy ich stole trwała ożywiona rozmowa. Danielle starała się przeżuwać najciszej, jak umiała, by ją słyszeć.

– Guzik mnie obchodzi, co wymyśliły sobie panny z czwartych klas. W życiu nie zagłosuję na Jennifer Briggis jako królową – oświadczył Chuck. – Przecież to byłaby kpina z balu. Dziewczyna, która została uznana za najbrzydszą w swoim roczniku, nie ma prawa zdobyć tego tytułu. Kropka.

Danielle poczuła na sobie wyzywające spojrzenie Chucka, jednak nie miała siły, by spojrzeć mu w oczy. Tymczasem chłopak perorował dalej:

– A czuliście, jak cuchnie ta wieśniaczka Sara Singer? Może to spisek najszpetniejszych dziewczyn w szkole, które chcą zepsuć potańcówkę? – zastanawiał się. Dopił napój z puszki, zgniótł ją w dłoni, po czym popchnął po stole aluminiową bezkształtną masę w kierunku Andrew. – Mam jeszcze jedną fatalną wiadomość. Podobno Abby nie przyjdzie na twoją imprezę po balu, stary. Dostała szlaban od starych.

Rozległo się nagłe szuranie nóg pod stołem chłopaków. Któryś z nich wybuchł śmiechem. Śmiał się tak bardzo, że niemal się zakrztusił.

Danielle momentalnie zeszytniała. Impreza u Andrew? Po balu? Dlaczego ani słowem jej o tym nie wspomniał?

– Zamknij się, Chuck – syknął Andrew.

– Tak jak powiedziałem, z Abby jest niezła laska. Prawda, Andrew?

Danielle wstrzymała oddech.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Chuck wstał i wskazując na Andrew oświadczył z triumfalną miną:

– Kłamca! Przecież sam mi mówiłeś, że wieczorem zwałeś sobie konia, myśląc o niej.

Andrew chwycił nadgryziony kawałek pizzy i rzucił nim w Chucka. Z gardeł ich kumpli dobyło się zachwycone wycie.

Hope wstała od stołu tak gwałtownie, że wylała swój napój na talerz.

– Chodźmy stąd – powiedziała, jednak Danielle zupełnie zamurowało. Po chwili przyjaciółka odciągnęła ją od stołu i popchnęła ku drzwiom. Na odchodnym rzuciła w kierunku Andrew: – Ależ z ciebie dupek!

Ciągnąc za sobą Danielle, ruszyła szybkim krokiem, by jak najszybciej oddalić się od pizzerii. Tyle że Danielle wcale nie chciała uciekać. Wolałaby porozmawiać z Andrew, pozwolić mu się wytłumaczyć. W pewnym momencie próbowała uwolnić rękę z kurczowego uścisku przyjaciółki.

– Hope...

– Danielle, co się z tobą stało? Zapomniałaś już, że musisz o siebie walczyć?

Mówiąc to, Hope miała łzy w oczach. I to właśnie ich widok był dla Danielle najstraszniejszy.

Po chwili z pizzerii wyszedł się Andrew i dogonił dziewczyny.

– Proszę, nie bądź na mnie zła.

Hope otwierała już usta, by puścić wiązanekę, jednak Danielle stanęła między nimi.

– Mam nie być na ciebie zła? – powtórzyła łamiącym się głosem. – Chyba żartujesz. Urządzasz imprezę po balu i nawet nie raczyłeś mnie na nią zaprosić?

– Danielle, tak naprawdę to nie będzie żadna impreza – tłumaczył Andrew.

– Po prostu kilka osób upiera się, żeby do mnie zajrzeć. Wcale nie chcę, żeby przychodzili. Jak dowiedzą się o tym moi rodzice, chyba mnie zabiją. Tylko że Chuck... Słuchaj, pomyślałem, że nie będziesz chciała przyjść. Nie chciałem narażać cię na konieczność spędzenia wieczoru z Chuckiem. Nie po tych wszystkich wstrętnych rzeczach, które wygadywał na twój temat.

– Jesteś niesamowicie troskliwy – zauważyła z przekąsem Danielle, krzyżując ramiona na piersi. – Hej, czy ty w ogóle chociaż raz wstawiłeś się za mną?

– Po prostu... zależy mi na moich kolegach – wydukał Andrew, utkwivszy spojrzenie w swoich butach. – Liczę się z ich zdaniem.

– Tak się składa, że ja też liczę się z opiniami moich przyjaciół. I właśnie dlatego przez cały ostatni tydzień bronię cię przed krytyką Hope. Tłumaczę jej, że jesteś porządnym facetem, mimo że nawet nie kiwnąłeś palcem, żeby poczuła się lepiej.

– Nie możesz obwiniać mnie o to, że nie wiedziałem, co powiedzieć – zaprotestował Andrew, unosząc ręce w geście kapitulacji. – Nie mam pojęcia, przez co przechodzisz.

To akurat było chyba prawdą. Ale Danielle zdążyła się już zorientować, że Andrew z jakiegoś powodu czuje się gorszy. Zawsze przytłaczała go obawa, że nie dorównuje Chuckowi i pozostałym kolegom z paczki – czy to na boisku, czy w kwestii ubioru, czy pod względem muskulatury.

Gdyby się postarał, gdyby zagłębił się w to, przez co przechodziła Danielle, na pewno by ją zrozumiał.

– Stawałam na głowie, żebyś poczuł się lepiej sam ze sobą. A kiedy ty zrobiłeś coś podobnego dla mnie? – spytała dziewczyna, czując, jak całe jej ciało

stopniowo ogarnia płomień. – I po tym wszystkim zrywasz ze mną, upokarzając mnie na oczach swoich znajomych?

Andrew w końcu odważył się unieść spojrzenie.

– Ale ja wcale z tobą nie zerwałem – wybąkał speszony.

Musiała upłynąć chwila, nim pojęła znaczenie tych słów.

A więc on nadal chce z nią być?

Wpatrując się w jego twarz, szukała w niej potwierdzenia, że Andrew nadal pamięta, kim była przed ostatnim feralnym poniedziałkiem. Czepiała się nadziei, że i on nadal jest tym samym chłopakiem, który był z niej dumny i który próbował ją zdobyć przez wiele tygodni spędzonych na obozie. Jak to możliwe, by w ciągu kilku dni człowiek zmienił się tak bardzo? W tym czasie Danielle nie tylko zatraciła pewność tego, kim jest ona sama, ale też przestała wiedzieć, kim jest Andrew.

Coś na dnie jego oczu i w kącikach ust zdradzało smutek. I nagle uświadomiła sobie, że spogląda teraz na twarz pokerzysty. Andrew przywdział maskę, by skryć zakłopotanie na myśl o tym, jak się ostatnio zachowywał i jak ją traktował. Drobne zmiany w jego twarzy podpowiadały jej, że w głębi duszy żałuje swojego zachowania.

To odkrycie przyniosło jej pewne pocieszenie.

Jednak niewielkie.

Bowiem Danielle przestała dbać o zachowanie twarzy pokerzysty. Odnalazła w sobie siłę, by całkowicie się przed nim otworzyć, pokazać mu nie tylko ładną część siebie, ale też tę szpetną. A teraz oczekiwała, że on zrobi dla niej to samo i nareszcie będzie z nią absolutnie szczery. Chciała usłyszeć, jak przyznaje wprost, że jest mu ciężko z powodu tego, że jego dziewczyna znalazła się na liście, i że się tego wstydzi. Mimo to nie powinien jednak pozwalać kolegom, by odnosili się do niej z lekceważeniem. Powinien stanąć w jej obronie. A przede wszystkim powinien przyznać, że jego pokerowa twarz była raczej objawem tchórzostwa, a nie siły.

– Wracaj do swoich kumpli – powiedziała po chwili. – Nie mam już siły dłużej tego ciągnąć.

I nagle poczuła się zaskoczona, i to podwójnie: sobą, bowiem to ona postanowiła zerwać, i faktem, że Andrew oddalił się różnym krokiem.

ROZDZIAŁ 33

Wygrabienie trawnika pod domem było pomysłem Bridget. Rodzicom powiedziała, że zajmie się tym, żeby zarobić parę groszy, ale prawda była inna. Wzięła się do tej pracy, bo podczas gry w badminton na sali gimnastycznej praktycznie wcale się nie zmęczyła.

Powtarzalna, mechaniczna praca fizyczna pomagała jej ukoić skołatanę nerwy. Zagarniała suche liście grabiami o długich metalowych zębach i pakowała je do worków na śmieci, które następnie ciągnęła przez trawnik do krawężnika, gdzie zostawiała je dla śmieciarki. Grabiła zawzięcie, tak by przyspieszyć pracę serca i spalić w krótkim czasie maksymalną ilość kalorii.

W pewnym momencie usłyszała, jak w domu otwiera się okno. Kiedy uniosła spojrzenie, w oknie na pierwszym piętrze ujrzała głowę Lisy.

– Pomóc ci? – zawołała siostra.

– Nie trzeba – odparła Bridget, opierając się na grabiach. Kręciło jej się trochę w głowie.

– Nie mam teraz nic do roboty, chętnie pomogę.

Nie pozwól jej.

Jeśli Lisa też będzie grabić, zostanie wtedy mniej roboty dla ciebie.

Spalisz mniej kalorii.

– Nie mam zamiaru dzielić się z tobą kasą – rzuciła oschle.

Jednak Lisa zdążyła już zamknąć okno, a po paru minutach stała na trawniku, ściskając swoje grabie.

Czasami Bridget naprawdę nienawidziła młodszej siostry.

Została niedaleko garażu, a Lisie kazała skupić się na grabieniu liści przy płocie. Obie dziewczyny dzielił teraz niemal cały trawnik, jednak młodsza siostra i tak próbowała nawiązać grzecznościową rozmowę.

– Podobno Margo urządza dziś wieczorem imprezę na chacie.

– Serio?

– Nie wybierasz się?

Bridget wiedziała, że będą tam jej znajomi.

– Raczej nie.

– Czemu? Chodzi o tę akcję GŁOSUJ NA JENNIFER – KRÓLOWĄ BALU? – dopytywała Lisa. – Ja będę głosować na Margo, chociaż niektórzy twierdzą, że to ona... no wiesz... przygotowała w tym roku listę.

Bridget doszły już te słuchy. Zastanawiała się nawet nad relacjami, jakie wiązały ją z Margo. Nie mogła zrozumieć, co miałyby zdecydować o tym, że ta wskazała ją jako najładniejszą trzecioklasistkę. Praktycznie nic nie wiązało jej z tą dziewczyną, jedynym punktem wspólnym był fakt, że obie kiedyś całowały się

z Bry'em Tatem.

– Nie wierzę, żeby Margo to zrobiła.

– A moim zdaniem to całkiem logiczne – wzruszyła ramionami Lisa. – Gdybym to ja przygotowała listę, też umieściłabym siebie na niej. Skoro mogłabym, to czemu nie?

Po zgrabieniu liści wróciły do domu. Po obiedzie pani Honeycutt wyjrzała przez okno w kuchni, żeby sprawdzić rezultaty ich pracy. Zadowolona wypłaciła Bridget umówioną sumę, a prócz tego obydwu córkom dała pieniądze na składniki do deseru lodowego, który zamierzała przygotować.

– Nie mam ochoty na lody – oznajmiła Bridget.

– Ty w ogóle nie masz ochoty na nic smacznego – zachnęła się Lisa, po czym zanurzyła palec w misce z ziemniakami purée. Podczas obiadu Bridget nie ruszyła swojej porcji, która miała teraz powędrować do lodówki.

Bridget poczuła w tej chwili, że mogłaby własnoręcznie zamordować młodszą siostrę. Zdołała jednak stłumić w sobie gniew, podziękowała matce i wzięła kluczyki do samochodu.

* * *

– Jaki smak lodów wybierzemy? – zastanawiała się Lisa, otwierając przeszklone drzwi lodówki w sklepie. Ze środka buchnął chłód.

– Obojętne, Liso.

– Może weźmiemy te z kawałkami czekolady?

Bridget pokręciła głową.

– One niezbyt się nadają do deserów lodowych. Lepiej weźmy waniliowe. – Jak tylko wypowiedziała to ostatnie słowo, poczuła, jak usta wypełnia jej wyobrażony smak słodczy.

– Ale waniliowe są takie nudne – poskarżyła się siostra.

– Jeśli nie interesuje cię, co mam do powiedzenia, po co w takim razie w ogóle pytasz mnie o zdanie? – spytała Bridget, krzyżując ramiona na piersi dla ochrony przed chłodem.

– Jezu, przepraszam...

Podczas gdy Lisa wybierała smaki, Bridget zajęła się szukaniem pozostałych składników: posypki, bitej śmietany, sosu czekoladowego i wiśni w syropie. Na szczęście wszystkie składniki były zapakowane w pudełeczka i słoiki. Z Lisą spotkała się dopiero przy kasie. Siostra koniec końców zdecydowała się na lody o smaku waniliowym.

– O cholera – odezwała się w pewnym momencie młodszą z sióstr. – Zapomniałyśmy o bananach.

Bridget zajęła się wykładaniem zakupów na taśmę przy kasie, a Lisa popędziła z powrotem w głąb sklepu. Kasjerką była starsza pani w firmowym

fartuchu. Szczytywała kody z produktów, nie unosząc nawet spojrzenia na Bridget. Czytnik wydawał raz za razem krótkie piski – bip... bip... bip.

W oczekiwaniu na siostrę Bridget próbowała unikać spoglądania w kierunku stojaków z czasopismami, z których okładek zerkało ku niej kilkanaście idealnych pod każdym względem kobiet. Przypominały wyjątkowo efektowne okazy w ogrodzie zoologicznym, chronione przed kontaktem z ciekawskimi oglądającymi je przez metalowe kraty. Wszystkie te piękne kobiety szczyrzyły do niej zębami w uśmiechu, jednak Bridget wiedziała, że to pułapka. Gdyby zatrzymała na nich spojrzenie zbyt długo, znowu zaczęłyby się z nimi porównywać. Zastanawiała się, jak biel jej zębów wypadłaby w zestawieniu z zębami modelek. Porównywałaby obwód w ramionach, a ślizgając się wzrokiem po wypisanych wielkimi literami nagłówkach, w myśli sporządzałyby listę defektów własnej urody. Zetknięcie się z modelkami na okładkach przypominało konfrontację z ogłuszającym śpiewem chóru z greckiej tragedii, na wszelkie sposoby starającego się ją przebłagać, by zapłaciła parę groszy i dzięki temu zyskała dostęp do sekretów urody tych obcych kobiet.

Chłopiec pakujący zakupy, który czekał na drugim krańcu taśmy, był kilka lat starszy od Bridget. Nie była tego pewna, bo nie przyjrzała mu się zbyt dokładnie. Lekkim skinieniem głowy dała mu tylko znać, żeby zapakował zakupy w papier, a nie foliowe torby.

Dopiero po chwili zorientowała się, że chłopak bacznie się jej przygląda.

Miała wrażenie, że jego spojrzenie kroi ją na kawałki. Chłopak w jej wyobraźni przemienił się w faceta z działu mięsnego, który w zakrwawionym fartuchu dzielił mięso. W jednej chwili Bridget została rozebrana na części: para cyczków, kawał tyłka, paski ud. Dopiero na koniec otaksował wzrokiem jej twarz.

Modelki z okładek czasopism przypatrywały się temu wszystkiemu w milczeniu, niczym niemi świadkowie, i uśmiechały się zachęcająco.

Bridget udawała, że nic nie zauważyła, i starała się zachowywać naturalnie. Równocześnie jednak zagotowało się w niej ze wzburzenia. Nie życzyła sobie, by ktoś zwracał na nią uwagę. Nie podobało jej się, że ten chłopak się na nią gapi. Ze zdenerwowania spociły jej się dłonie.

– Dobrze, wszystko już mamy – powiedziała Lisa, stając obok siostry.

Musiała błyskawicznie wyczuć, co się dzieje, bo chwilę potem wychyliła się i zerknęła nieśmiało na chłopaka. Oczywiście Bridget zrobiło się jeszcze bardziej nieswojo. Gdy tylko kasjerka wydała jej resztę, ruszyła w stronę drzwi. Spakowane do papierowych toreb zakupy odebrała od chłopaka Lisa.

Gdy Bridget dotarła do samochodu, policzki nadal jej płonęły.

– Ten chłopak przy kasie normalnie pożerał cię wzrokiem – zauważyła Lisa.

– Nieprawda.

– A właśnie że tak – upierała się Lisa, po czym utkwiała ponure spojrzenie

w torbie pełnej zakupów i westchnęła: – Tak bardzo bym chciała, żeby ktoś patrzył na mnie takim wzrokiem.

– Po co w ogóle wygadujesz takie rzeczy? – zaatakowała siostrę Bridget.
– Najpierw w galerii, a teraz tutaj. Tak jakbyś bez przerwy dopominała się komplementów. Nawiasem mówiąc, takie zachowanie pozbawia dziewczynę atrakcyjności.

Kątem oka zauważyła, jak dolna warga siostry zaczyna drżeć. Udawała jednak, że tego nie widzi. Wsiadła do samochodu i trzasnęła drzwiami. Lisa nie od razu podążyła za nią, stała przez długą chwilę na środku parkingu, plecami oparta o okno od strony pasażera.

– Wsiadasz czy nie? – krzyknęła w końcu Bridget. – Jeszcze trochę i twoje drogie lody zamienią się w papkę!

W końcu Lisa zajęła miejsce w samochodzie, jednak przez całą drogę do domu nie odezwała się ani słowem. Bridget wyczuła, że siostra może wygadać się przy rodzicach i ją wsypać.

Kiedy podjechały pod dom, Bridget zadzwoniła do jednej ze swoich koleżanek. Z komórką przy uchu, machnęła wolną ręką w stronę Lisy, dając jej do zrozumienia, żeby zaniósła torby z zakupami do domu. Sama poszła prosto do swojego pokoju i udawała przed znajomą, że zastanawia się nad pójściem wieczorem na imprezę do Margo. Tak naprawdę chodziło jej wyłącznie o znalezienie wymówki, by nie musiała wpychać w siebie lodów.

Kiedy kończyła rozmowę, usłyszała, jak Lisa wchodzi po schodach.

Koleżanka zdążyła się już rozłączyć, jednak Bridget nadal trzymała telefon przy uchu.

Po chwili młodsza siostra stanęła na progu pokoju. W rękach trzymała miseczkę z deserem lodowym. Porcja była duża, tkwiły w niej dwie łyżeczki.

– *Rozmawiam teraz* – powiedziała bezgłośnie Bridget, poruszając tylko ustami.

Lisa usiadła, marszcząc brwi.

Bridget przez chwilę wydawała aprobujące dźwięki do komórki, mimo że rozmowa była już zakończona. Kątem oka obserwowała siostrę, która odstawiła miskę i podeszła do sukienki powieszzonej na drzwiach szafy.

Bridget nie chciała, żeby siostra zobaczyła metkę, a na niej rozmiar kiecki. Dlatego powiedziała szybko „cześć” do komórki, po czym wyłączyła aparat.

– Przecież tłumaczyłam ci, że nie mam ochoty na lody.

– Wiem – odparła spokojnie Lisa, po czym usiadła na łóżku siostry. – Ale chciałabym, żebyś mimo wszystko zjadła ze mną tę porcję.

Ten zboląły, błagalny wyraz twarzy Lisy był nie do zniesienia. Bridget wstała z krzesła, sięgnęła po plecak z książkami i zaczęła w nim grzebać.

– Mam pracę domową do odrobienia, więc może...

– Bridget – weszła jej w słowo siostra – zjedz chociaż trochę.

– Liso, mówię zupełnie poważnie, daj mi spokój.

Lisa zrobiła minę, jakby zaraz miała się rozbeczeć. Bridget знаła ten wyraz twarzy siostry. Widywała go, ilekroć nie pozwoliła jej dotykać mebelków w domku dla lalek.

– Przecież ty nic nie jesz. Wiem o tym. Znowu zachowujesz się tak jak latem.

Bridget westchnęła ciężko.

– Po prostu chcę schudnąć, żeby dobrze się prezentować w sukience na balu.

– Ale przecież musisz coś jeść – naciskała Lisa, po czym tonem, w którym pobrzmiwało wielkie rozczarowanie, dodała: – Kiedy wróciłyśmy z wakacji do domu, świetnie sobie radziłaś, Bridge.

Bridget była wściekła na siostrę, że ta ją przejrzała. I wściekła na siebie, że nie umie lepiej udawać.

– Zacznę znowu jeść, obiecuję. Ale dopiero po balu.

– Już ci nie wierzę – powiedziała Lisa, a po jej policzku spłynęła pierwsza łza.

Bridget też nie mogła powstrzymać dłużej łez. Po chwili płakały już obie.

– Po balu znowu będę jadła, słowo honoru – tłumaczyła. – Przyrzekam, że wrócę do normalności. Pomyśl, sama bez przerwy opowiadasz o tym, że pewnego dnia chciałabyś się znaleźć na liście. A teraz spróbuj spojrzeć na to z mojej perspektywy. Wiesz, jaka to wielka presja, gdy już na niej jesteś?

Lisa jednak płakała bez przerwy, jakby w ogóle nie docierały do niej argumenty starszej siostry.

– Przez ciebie sama się czuję źle, wiesz? Za każdym razem, gdy coś zjem, mam wyrzuty sumienia. Nigdy wcześniej tego nie doświadczałam.

– Liso... – próbowała ją pocieszyć Bridget, jednak siostra potrząsnęła gwałtownie głową.

– Jeśli nie zaczniesz normalnie jeść, o wszystkim powiem mamie i tacie.

Po tych słowach Lisa otarła zapłakaną twarz i wyszła z pokoju. Na stole pozostała miska z nietkniętymi lodami, które zaczynały się już topić.

Według Bridget była to najbardziej wredna rzecz, jaką tylko mogła zrobić jej siostra.

ROZDZIAŁ 34

Abby siedziała sama w swoim pokoju i wpatrywała się w wyłączony telewizor. W ciemnym ekranie, niczym w brudnym lustrze, odbijała się jej twarz. Gdy z kuchni napłynął zapach jedzenia, zeszła na dół, mimo że nikt nie zawołał jej na obiad.

Cała rodzina siedziała już przy okrągłym stole. Wszyscy, z wyjątkiem Abby, mieli nałożone jedzenie. Jej stek, ziemniaki w mundurkach i sałatka czekały na kontuarze. Dziewczyna pożałowała, że spóźniła się na posiłek, jednak nie skomentowała tego ani słowem i w milczeniu postawiła swój talerz na stole.

Rodzice sięgnęli po prasę zapakowaną w błękitne foliowe woreczki i podzielili się między sobą gazetami, które ich interesowały. Zanim Fern zabrała się za swoją porcję mięsa, położyła na stole otwartą książkę, podpierając ją z jednej strony szklanką mleka, z drugiej młynkiem do pieprzu. Odświeżała sobie pierwszy tom cyklu *The Blix Effect*, tak żeby przed pójściem na film pamiętać dokładnie każdy szczegół. Okładka książki była już bardzo sfatygowana, niemal każda kartka miała pozaginane rogi.

Abby precyzyjnie sięgnęła z trudem obok siostry bez słowa *przepraszam*, po czym przez cały posiłek obyła się bez kwaśnej śmietany do ziemniaków, bo musiałaby prosić Fern, żeby ją jej podała. Od chwili, gdy Fern wygadała się matce, że Abby podrobiła jej podpis na raporcie z ocenami, młodsza siostra nie odezwała się do starszej ani słowem, ani razu nie zaszczyciła jej spojrzeniem i w ogóle nie zwracała na nią uwagi.

Mimo pozornej oziębłości, Abby nadal czuła, jak buzuje w niej gniew. Gniew, który nie mijał.

W kuchni cicho grało radio. Podawano wiadomości, przez co można było odnieść wrażenie, że w pomieszczeniu znajduje się jeszcze jedna, piąta osoba, która została zaproszona, by podtrzymywać nieklejącą się rozmowę. Zazwyczaj podczas wieczornych posiłków ktoś z trójki domowników unosił co jakiś czas spojrzenie znad lektury i wygłaszał jakiś komentarz na temat międzynarodowych konfliktów, sytuacji na rynkach finansowych czy też wynalazków naukowych. Abby nigdy nie brała udziału w tych rozmowach. W jej uszach słowa pozostałych członków rodziny były tylko nic nie znaczącym szumem, czymś równie nieistotnym jak dźwięk samochodu sąsiadów podjeżdżającego pod dom czy pomruk samolotu przelatującego nad ich domem w kierunku centrum miasta. Podczas posiłków dziewczyna na kolanach trzymała komórkę, która od czasu do czasu wibrowała, gdy koleżanki przesyłały jej SMS-y.

Tego dnia Abby próbowała jednak uchwycić się rozmów domowników, które przelatywały nad jej głową niczym piłka w grze w głupiego Jasia. Wtrącała

się niekiedy, nie formułując jednak żadnej własnej opinii, a tylko zgadzając się głośno z wypowiedziami taty i mamy. Rodzice sprawiali wrażenie przyjemnie zaskoczonych, ilekroć Abby otwierała usta. Fern nie odzywała się za to ani słowem.

Abby odczekała, aż wszyscy zjedzą, po czym grzecznie zaproponowała, że sprzątnie ze stołu i pozmywa naczynia.

Mama i tata wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia znad stołu pełnego brudnych talerzy i zmiętych papierów.

– Abby, nie myśl sobie, że skłonisz nas w ten sposób do zmiany decyzji – uprzedziła ją pani Warner.

– Okłamałaś nas i swojego nauczyciela. Za karę nie pójdziesz na bal – odezwał się pan Warner, spoglądając na córkę znad opuszczonych nisko na nosie okularów.

Fern otarła usta serwetką, po czym wrzuciła ją do swojego talerza. Zamoczony w krwistym soku, który wypłynął ze steka, papier szybko zabarwił się na czerwono.

– Wiem o tym – bąknęła Abby.

Była na siebie wściekła, że znów posłuchała Lisy. Przyjaciółka po lekcjach odnalazła ją przy szafce na książki i podpowiedziała jej, by nadskakiwała dzisiaj rodzicom, a może zładogdą nałożoną na nią karę.

Nagle dotarło do niej, w jak beznadziejnym położeniu się znalazła. A więc nie pokaże się wszystkim w swojej wymarzonej sukience. Nie będzie mogła zatańczyć z chłopakiem ze starszej klasy. Nie pójdzie też na imprezę u Andrew. Cały ten wieczór – który miał się stać cudownym wspomnieniem, do którego będzie mogła w nieskończoność wracać – został jej nagle odebrany niczym kartka wyrwana z pamiętnika.

A winna była Fern.

– Fern – odezwał się pan Warner – pan Timmet poinformował nas, że Abby w przyszłym tygodniu będzie miała klasówkę.

– Chcemy, żebyś w weekend pomogła jej się do niej przygotować – stwierdziła pani Warner.

Abby wstała od stołu i zaczęła zbierać naczynia, czując, jak do gardła podchodzi jej wielki, żylasty kawał steka. Członkowie jej rodziny rozmawiali o niej w taki sposób, jakby nie była obecna, sprawiając, że czuła się upokorzona. Przez głowę przeleciała jej myśl, co muszą wygadywać na jej temat, kiedy są sami. Pewnie mówią coś w rodzaju: „Ta biedna idiotka Abby”, albo „Fern, czemu ta twoja siostra bardziej nie przypomina ciebie?”.

– Pan Timmet wspomniał mi dzisiaj o tym po lekcjach – stwierdziła Fern, odchylając się na oparcie krzesła, tak by Abby mogła zabrać jej talerz. – Tak się jednak składa, że dzisiaj wieczorem idę do kina na *The Blix Effect*, a potem

wybieramy się do knajpy. Tak więc... nie dam rady.

– No a co z sobotą i niedzielą? – zastanowił się ojciec. Fern otwierała już usta, gdy pan Warner dodał: – Co jest ważniejsze, Fern: pomóc siostrze czy obejrzeć film? Jutro po południu przez co najmniej dwie godziny będziesz udzielać Abby korepetycji. W przeciwnym razie nici z kina.

Abby zabrała ze stołu szklankę Fern, nie czekając, aż siostra dopije mleko. Kiedy ją uniosła, książka momentalnie się zamknęła.

– Fern, czemu każdego dnia zaglądasz do gabinetu pana Timmeta? Chyba się w nim nie zabujasz, co? – spytała i z mściwą satysfakcją przypatrywała się, jak policzki siostry nabiegają krwią. – Wiesz, że on jest żonaty, prawda? Na biurku trzyma zdjęcie swojej żony. Niesamowita z niej laska.

– Abby, jak ty się wyrażasz! – zbesztła ją pani Werner.

– Ale, mamó, nie wydaje ci się dziwne, że Fern ma obsesję na punkcie pana Timmeta? Biega do jego gabinetu codziennie po lekcjach, mimo że przecież nie ma już z nim zajęć. Nigdy nie widziałam, żeby zamieniła dwa słowa z którymś z chłopaków ze swojej klasy – stwierdziła Abby, po czym przyłożyła złożone w trąbkę dłonie do ust i powiedziała teatralnym szeptem: – Coś mi się wydaje, że Fern leci na starszych facetów.

W tej samej chwili starsza siostra poderwała się od stołu i jak burza pobiegła do swojego pokoju. Abby z uśmiechem przysłuchiwała się jej krokom, gdy wbiegała po schodach, a potem pędziła korytarzem.

– Abby, daj już spokój swojej siostrze.

– Wiesz przecież, że Fern nie jest taka towarzyska jak ty. Łatwiej jej dogadać się z dorosłymi niż z rówieśnikami.

– To dlatego, że jest wyrzutkiem społecznym! – wrzasnęła Abby na całe gardło, licząc, że jej głos przebije się przez sufit i dotrze do uszu siostry.

W efekcie rodzice dołożyli jej kolejny dzień szlabanu, po czym zniknęli w swoich gabinetach.

Abby bez pośpiechu wkładała naczynia do zmywarki, uważając, by wszystkie talerze były równo ułożone. Potem starła kuchenne blaty i zamiotła podłogę. Kiedy kuchnia śniła już czystością, pogasiła światła, wyłączyła radio, po czym w ponurym nastroju powlokła się na górę.

Zatrzymała się w progu pokoju i przypatrywała się Fern, która przebierała się przed wyjściem do kina. Założyła za dużą o kilka rozmiarów koszulkę. W sumie mogłaby w niej uchodzić za chłopaka. Oczywiście Abby mogłaby jej pomóc. Wystarczyło wyprostować włosy i dobrać lepsze ciuchy. Kto wie, z jej pomocą siostra poznałaby może dzisiaj w kinie przystojnego chłopaka-dziwoląga, który darzyłby te kretyńskie powieści taką samą miłością jak ona.

Jednak nic z tego – po tym, co zrobiła jej Fern, Abby nigdy już w niczym jej nie pomoże.

Podjęła decyzję: od tej chwili nie są już siostrami.

ROZDZIAŁ 35

Candace wylądowała pod domem Lauren parę minut przed czasem. Stała na chodniku i przypatrywała się przez chwilę staremu budynkowi. Z gontów łuszczyła się biała farba, krzewy wkoło domu były wybujałe i bezkształtne, a trawę zaścierały opadłe liście. Dziewczyna pomyślała ze śmiertelną powagą: *I tak mieszka dziewczyna, która ukradła mi wszystkie przyjaciółki. Nie do wiary.* Uniosła trzymany za sobą bukiet kwiatów i zaczęła obskubywać uschnięte płatki.

Jej mama miała w zwyczaju zjawiać się na proszonym obiedzie z małym upominkiem dla gospodyni. Co prawda Candace milion razy bywała u znajomych, jednak nigdy nie zjawiała się z kwiatami. Ta wizyta była jednak wyjątkowa. Przyszła tu ze specjalną misją.

* * *

– Moja mama chciałaby cię poznać – oświadczyła Lauren, gdy rozmawiały wczoraj przez telefon. – Może wpadniesz do nas jutro na obiad?

– A niby dlaczego chce poznać akurat mnie?

– Moja mama... – zaczęła Lauren, a Candace w jej niepewnym głosie mogła niemal dosłyszeć wysiłek, jaki wkładała w dobór właściwych słów. Wreszcie Lauren westchnęła, a ponieważ trzymała słuchawkę zbyt blisko ust, zabrzmiało to niczym trzaskanie elektryczności. – Moja mama jest bardzo opiekuńcza. Jeśli cię wcześniej nie pozna, nie pozwoli mi wybrać się do ciebie na imprezę.

Candace przygryzła w zamyśleniu wargę. Prawdę mówiąc, wcale nie była taka pewna, czy życzy sobie Lauren na swojej imprezie. Miła z niej dziewczyna i w ogóle, ale zaprosiła ją głównie po to, żeby dobrze wypaść przed koleżankami.

– A co ja będę z tego miała? – spytała obcesowo.

– Jeśli ja nie przyjdę, reszta dziewczyn też zrezygnuje – wyjaśniła beznamiętnym tonem Lauren. – No to co, odwiedzisz nas jutro wieczorem?

Candace przetarła oczy. Czasami Lauren sprawiała wrażenie zagubionej, nic nierozumiejącej dziewczynki, która całe życie spędziła w jakiejś głuszy. A potem nagle zachowywała się tak, jakby doskonale wiedziała, o co w tym wszystkim chodzi.

– Jutro mamy piątek, tak? Jestem umówiona ze znajomymi – wyznała zbolalym głosem Candace, głównie po to, by dać do zrozumienia Lauren, jakiego wielkiego poświęcenia od niej wymaga. W rzeczywistości nie miała żadnych planów na piątkowy wieczór. – Dobra, najwyżej dołączę do nich potem.

Po tej rozmowie ze zdziwieniem odkryła, że zaproszenie w gruncie rzeczy jej schlebia. Oczywiście Lauren kierowała desperacją, jednak najwyraźniej ufała jej na tyle, by uczynić ją reprezentantką całej grupy jej nowych znajomych. I to mimo

tego, co na temat Candace napisali autorzy listy. I mimo wszystkich jej niecnych sprawek, o których na pewno dziewczyny nie omieszkaly jej poinformować.

Postanowiła, że stanie na wysokości zadania: założy ładną spódniczkę i rozpinany sweter. Przyniesie kwiaty.

Poza tym ciekawa była, jak wygląda domowe życie Lauren. A teraz nadarzała się okazja, by przekonać się o tym na własne oczy. Nadal nie pozbyła się podejrzeń, że ta dziewczyna należy do jakiejś dziwacznej religijnej sekty. I kompletnie nie mogła pojąć, co też dziewczyny dostrzegły w Końskiej Grzywie, że zapalały do niej tak wielką sympatią.

* * *

Kiedy zegarek wskazał godzinę osiemnastą pięćdziesiąt pięć, zadzwoniła do drzwi.

Kiedy Lauren otworzyła i zobaczyła kwiaty, jej twarz rozświetlił promienny uśmiech. *Urocze*, pomyślała Candace.

– To nie dla ciebie – wyjaśniła, chowając bukiet za plecy.

Zerknęła ponad ramieniem Lauren, żeby zorientować się, jak wygląda duży pokój. Pod jedną ze ścian dostrzegła sfatygowaną wersalkę obitą materiałem w kwiecisty deseń. Obok stał dębowy stolik kawowy, nieco dalej złota lampa. Na jej widok Candace uznała, że w życiu nie widziała większego szkaradzieństwa. Na obudowie kominka nie dostrzegła żadnych zdjęć w ramach, żadnych świeczek ani maleńkich wazoników, które zdobiły kominek w jej domu. Wszędzie unosił się jakiś gorzki cytrynowy zapach, być może pamiątka po płynie do czyszczenia. Zasłony były odsunięte, jednak wewnątrz panował straszny zaduch, ponieważ okna zostały już uszczelnione na zimę.

Pani Finn, która po chwili wynurzyła się z kuchni, przypominała nieco bledszą wersję Lauren. W oczach Candace sprawiała raczej smutne wrażenie, z przyklapniętymi włosami, ubrana w banalną bluzkę i spodnie o równie nieciekawym kroju. W poprzek jej palców u stóp przebiegał ścieg rajstop.

Była kompletnym przeciwieństwem mamy Candace. Nie malowała się, a sądząc po ubiorze, mogłaby być raczej czyjąś babcią niż matką. Inna sprawa, że Candace nie cierpiała, gdy matka pożyczala od niej którąś z jej młodzieżowych koszulek, żeby wystroić się w nią na randkę z Billem. No ale przynajmniej starała się wyglądać atrakcyjnie. Przy odrobinie zachodu może również pani Finn wyglądałaby niczego sobie. Najwyraźniej jednak dawno już przestała zwracać uwagę na sprawy urody. Przez głowę Candace przeleciała myśl, że pewnie minęły wieki, odkąd mama Lauren wybrała się na randkę.

– Dzień dobry, pani Finn – odezwała się dziewczyna, prezentując bukiet.
– To dla pani.

Lauren podziękowała jej promiennym uśmiechem, jednak Candace zgromiła

ją wzrokiem. Była i tak wystarczająco stremowana.

Pani Finn skinęła głową, po czym gestem poprosiła córkę, żeby zajęła się kwiatami.

– Obiad będzie trochę później – poinformowała. – Niedawno rozpoczęłam nową pracę i...

– Straciłyśmy rachubę czasu – weszła jej w słowo Lauren. – Pamiętam, jak mówiłaś, że masz jakieś plany na potem. Mam nadzieję, że ci ich nie pokrzyżujemy.

Candace nie miała wcale ochoty zostać tu dłużej, niż wymagała tego uprzejmość, jednak zdobyła się na uśmiech.

– Jasne, nie ma sprawy.

W jadalni nakryto do stołu tak elegancko, jakby Candace była bardzo ważnym gościem. Czekala na nią między innymi woda w kryształowej karafce. Ponieważ Lauren nie mogła znaleźć żadnego wazonu, w końcu włożyła kwiaty do słoika po keczupie i postawiła go na środku stołu.

– Skoczę na chwilę do kuchni, żeby pomóc mamie – poinformowała. – Za moment wracam.

– Dobrze – odparła Candace.

Siedziała w jadalni całą wieczność, a w każdym razie tak jej się wydawało. Przecież cały ten obiad miał być pretekstem do poznania jej, tymczasem tkwiła sama w ciemnym pokoju.

W końcu pani Finn wniosła garnek ze spaghetti. Lauren nałożyła wszystkim makaron, przez cały czas uśmiechając się sztucznie niczym idealna pani domu z telenoweli.

– Wychowała się pani w tym domu, pani Finn, prawda? – zagadnęła w końcu Candace, żeby jakoś przerwać niezręczne milczenie.

– Tak.

– A chodziła pani do Mount Washington High?

– Owszem, chociaż w tamtym czasie liceum bardzo się różniło od tego dzisiejszego.

– Założę się, że sporo rzeczy wygląda tak samo jak wtedy – stwierdziła Candace, przypominając sobie wiekowe, pachnące stęchlizną fotele w bibliotece szkolnej, stare gablotki z pucharami i nieludzko wręcz niewygodne siedzenia w auli.

– Na pewno masz rację – odparła wymijająco pani Finn.

Jak tylko Candace spróbowała spaghetti, stało się jasne, że makaron jest niedogotowany. Zniechęcona odłożyła widelec i sięgnęła po pieczywo czosnkowe.

– Powiedz parę słów o sobie, Candace.

Dziewczyna napiła się wody, po czym złożyła dłonie na kolanach.

– Cóż, chodzę do drugiej klasy, tak jak Lauren. Mieszkam razem z mamą po

drugiej stronie miasta, przy Elmwood Lane.

– A czym zajmuje się twoja mama?

To pytanie sprawiło Candace satysfakcję. Uwielbiała opowiadać ludziom o pracy swojej matki. Zwłaszcza kobietom, które zawsze wypytywały ją o porady dotyczące urody.

– Jest zawodową makijażystką. Pracuje dla lokalnej stacji telewizyjnej.

Z miny pani Finn można było wywnioskować, że jest wprawdzie zaskoczona, lecz niezbyt zachwycona.

– No proszę, cóż za nietypowe zajęcie.

– Kiedyś pracowała w drogerii – ciągnęła Candace. – Pewnego dnia przyszła do niej prezenterka z telewizji i poprosiła, by zaproponowała jej jakiś nowy makijaż. Była tak zachwycona rezultatem, że poleciła mamę swoim przełożonym.

– Pięknie – pochwaliła pani Finn i momentalnie, zanim Candace zdążyła sięgnąć po widelec, spytała: – No to może pochwalisz się, jakie książki najbardziej lubisz czytać?

– Słucham?

– Jaki typ literatury najbardziej cenisz? – powtórzyła pani Finn. – Lauren uwielbia czytać.

– To prawda – przytaknęła jej córka.

Candace nie zajrzała do żadnej książki od miesiący. Nie chciało jej się nawet przeczytać *Ethana Frome*'a Edith Wharton, a więc pozycji z listy lektur szkolnych, którą przerabiali teraz na angielskim.

– Podobał mi się *Ethan Frome*.

– O rany, uwielbiam tę książkę! – ucieszyła się Lauren. – To taka romantyczna i smutna opowieść. Możesz sobie wyobrazić, co musiał czuć bohater, gdy został zmuszony zamieszkać razem z żoną i kochanką, którą nieumyślnie doprowadził do kalectwa?

Candace uśmiechnęła się chłodno.

– Raczej nie.

– A co jeszcze ostatnio czytałaś? – dopytywała pani Finn. – Ale spoza listy lektur, tylko dla przyjemności.

Candace wypila łyk ciepłej wody i odstawiła szklanekę na stół.

– Hm... – starała się przeciągnąć ten dźwięk tak bardzo, jak tylko mogła.

– Mamo, nie bądź wścibska – wtrąciła się Lauren.

– W sumie to czytam głównie czasopisma. Tak, wolę czasopisma od książek – wyjaśniła Candace, spuszczać wzrok. – To źle, wiem o tym.

– Nieprawda – zaprotestowała Lauren, wstawiając się za koleżanką. – Czasopisma są super, uwielbiam je.

– Lauren twierdziła, że masz wiele koleżanek w klasie. Jak myślisz, co takiego ludzie w tobie lubią?

W tym momencie nic, pomyślała Candace.

– Sama nie wiem. Może doceniają to, że jestem szczerą?

– Szczerłość, bardzo szanuję tę cechę charakteru. Świetnie się składa, że wspominasz o szczerości, bo chciałabym ci teraz zadać szczerze pytanie. I wcale nie chodzi mi o to, czy smakuje ci obiad. Bo najwyraźniej nie smakuje – zauważyła pani Finn, wybuchając śmiechem. Obie dziewczyny zachowały jednak powagę, spoglądając po sobie wyraźnie spłoszone. – Chciałabym, żebyś powiedziała mi, jak to się stało, że nagle wszyscy w klasie zapałali tak wielką sympatią do mojej córki.

Odpowiedź sama wyskoczyła z ust Candace, zupełnie ją tym zaskakując. Zamiast powiedzieć, że to dlatego, że Lauren jest ładna, odparła:

– No bo jest miła.

* * *

– Bardzo ci jestem wdzięczna, że przyszedł – powiedziała Lauren, odprowadzając gościa do drzwi. – Mam nadzieję, że nie było bardzo strasznie.

Ostatnie słowa dodała szeptem. Wyglądała na zmęczoną, niemal wycieńczoną, jakby ten obiad dla niej też był niezbyt miłym doświadczeniem.

– No coś ty – skwapliwie zaprzeczyła Candace, choć w rzeczywistości czuła się fatalnie. Pani Finn wcale nie zależało na poznaniu gościa, a tylko na dowiedzeniu, że dziewczyna nie jest godna przyjaźni z jej córką.

Najchętniej zawołałaby teraz przez ramię do gospodyni: *Niech się pani nie martwi, nie jesteśmy przyjaciółkami. Nie ma na to szans.*

Po chwili poczuła, jak Lauren delikatnie dotyka jej ramienia.

– Wiem, że miałaś ciężki tydzień. Jestem pewna, że dziewczynom w końcu miną te fochy. Obiecuję, że się za tobą wstawię.

– Dziękuję – odparła, zupełnie szczerze, Candace.

Przed samymi drzwiami nagle naszła ją pewna myśl. Zwolniła kroku. Może powinna zaproponować Lauren, żeby spędziły razem trochę czasu. Tej dziewczynie na pewno przydałoby się parę godzin z dala od domu, tak żeby mogła odpocząć od pani Finn. Poza tym Candace poczuła nagle dziwną potrzebę rozmowy z Lauren. Chciała udowodnić jej, że wcale nie jest taka okropna. I przeprosić za to, jak zachowała się we wtorek w damskiej łazience. Lauren próbowała być wtedy miła, a Candace postąpiła wrednie. Najchętniej cofnęłaby czas, tak by móc jeszcze raz zasiać do obiadu i lepiej wypaść przed panią Finn.

Przestąpiła próg, po czym odwróciła się, żeby coś powiedzieć. Było już jednak za późno – Lauren zamykała drzwi. Zanim domknęła je do końca, zawołała jeszcze na pożegnanie:

– Baw się dziś dobrze, Candace.

Jasne, chodziło o jej zmyślane plany na wieczór.

– Postaram się – zapewniła Candace, choć w głębi duszy wiedziała, że tak

nie będzie.

ROZDZIAŁ 36

Jennifer odczekała minutę, po czym zadzwoniła do drzwi drugi raz. Jednak te i tym razem ani drgnęły.

Upłynęły cztery lata, odkąd ostatni raz była u Margo w domu. Co jakiś czas przejeżdżała jednak nieopodal bez żadnego konkretnego powodu. Chyba tylko po to, żeby sprawdzić, czy budynek nadal stoi na swoim miejscu. Wychyliła się nad barierkę przy schodkach i spojrzała w górę, w kierunku okna pokoju Margo. W ciemnych szybach odbijały się tylko wiotkie gałęzie pozbawionego liści drzewa rosnącego przed domem oraz luźno zwisające przewody rozciągnięte między słupami elektrycznymi.

Jennifer przyłożyła ucho do drzwi i zadzwoniła po raz trzeci. Nie zdołała jednak dosłyszeć dźwięku dzwonka. Albo był zepsuty, albo po prostu zagłuszał go gwar głosów i śmiechy ludzi bawiących się wewnątrz domu. Zapukała kilka razy, potem zaczęła łomotać do drzwi pięścią. Widziała, jak za zwiewną firanką w oknie na piętrze poruszają się jakieś cienie.

Nagle przypomniała sobie, że pod wycieraczką zawsze leżał ukryty klucz do domu. Margo często zapominała swoich kluczy i nie mogła się dostać do środka. Bywało tak, że parę minut po tym, jak dziewczynki pożegnały się na rogu ulicy, Margo zjawiała się u Jennifer i oglądały kreskówki albo jakiś talk show do czasu, aż rodzice Margo wrócili z pracy i wpuścili ją do domu. To było w ósmej klasie, a więc zanim jeszcze wszystko się pochrzanilo. Wreszcie Margo wyprosiła u mamy, żeby zostawiała zapasowy klucz pod wycieraczką. A potem już prawie nigdy nie wpadała do Jennifer.

Dziewczyna schyliła się i uniosła róg ciężkiej, szorstkiej wycieraczki. Pod spodem znalazła jednak tylko pokruszone zeschnięte liście i kurz. W tej samej chwili w ciemną ulicę, przy której stał dom, wtoczył się minivan. Kierowca zmierzył ją wzrokiem, po czym skręcił na podjazd budynku nieopodal.

Oby tylko sąsiad, widząc ją, nie domyślił się, że w domu trwa impreza. Margo mogłaby wpaść przez nią w tarapaty. Na myśl o tym po plecach Jennifer przebiegł dreszcz.

Zaczęła szperać w torebce w poszukiwaniu komórki. Kiedy w końcu ją znalazła, dotarło do niej, że przecież nie pamięta numeru Margo. A Dana i Rachel nie wpadły na to, żeby podać jej swoje numery. Umówiły się tylko, że Jennifer zjawi się o dwudziestej u Margo.

Gość honorowy westchnął ciężko.

Co tak naprawdę stało za tym zaproszeniem: dziewczyny faktycznie chciały, żeby się zjawiała, czy tylko po prostu jej współczuły?

Ale co to właściwie za różnica?

Poza tym Jennifer spóźniła się, dochodziła już dwudziesta czterdzieści pięć. Może dziewczyny doszły do wniosku, że stchórzyła i nie przyjdzie. Margo pewnie skrycie na to liczyła.

Poświęciła więcej czasu na czesanie, niż pierwotnie zakładała. Zdecydowała się upiąć część włosów do góry, a części loków pozwoliła swobodnie opaść na ramiona. Taką samą fryzurę miała na swoim ulubionym zdjęciu, na którym wyglądała najpiękniej. Miała wtedy dziewięć lat, a fotografię zrobiono przy okazji rocznicy ślubu jej dziadków. Na przyjęciu urodzinowym towarzystwa dotrzymywała jej Margo. Kiedy ktoś wniósł tort dla jubilatów, obie dziewczynki odśpiewały zwrotkę pieśni, którą przed laty wykonano podczas ceremonii ślubnej dziadków. Wcześniej przez całe lato przygotowywały się do tego występu. Na fotografii widniały dwie dziewczynki z lekkich sukienkach, stojące na podwyższeniu w podziemnej salce w kościele. Fotograf uwiecznił je z otwartymi ustami, kiedy śpiewały. Zdjęcie stało zawsze na kominku w dużym pokoju, nawet po tym jak zakończyła się ich znajomość. Jennifer zależało, by fotografia pozostała – przypominała jej, że kiedyś była ładną dziewczynką. W czasach, gdy wygląda zewnętrznie nie miał żadnego znaczenia.

Wszyscy goście, nie tylko jej dziadkowie, zgodnie uznali, że Jennifer ma znacznie ładniejszy głos niż Margo.

Kiedy dzisiaj poprosiła rodziców, by pożyczyli jej samochód, czuła się świetnie. Całe popołudnie spędziła w galerii handlowej, przymierzając mnóstwo ubrań. Zdecydowała się w końcu na obcisły czarny sweterek i fioletową ołówkową spódnicę, które wybrały dla niej wcześniej Rachel i Dana.

– Gdzie odbędzie się ta impreza? – zainteresowała się pani Briggis.

– U Margo – wyjaśniła córka. Rodzice spojrzeli po sobie zaniepokojeni, jednak Jennifer próbowała zbyć ich obawy machnięciem ręki. – Wszystko gra, już się na siebie nie gniewamy.

– Dobra z ciebie dziewczynka, Jennifer – pochwalili córkę państwo Briggis.

Kiedy dawali jej buziaka na do widzenia, na szczęście ani ojciec, ani matka nie zauważyli, że do torebki spakowała butelkę wódki.

Mimo że strasznie się spóźniła, nadal czuła podniecenie na myśl o tym, jak cudowny wieczór ją czeka. Jakie to ma znaczenie, czy znalazła się tutaj dlatego, że przyłgnęła do niej etykietka najbrzydszej dziewczyny w szkole? Liczyło się tylko to, że była tu i teraz. I zamierzała świetnie się bawić.

Choćby po to, by udowodnić Margo, jak wielki błąd popełniła przed laty.

W pewnym momencie usłyszała za sobą chrzęst żwiru na pojeździe. Kiedy się odwróciła, ujrzała przednie reflektory samochodu. Po chwili silnik zgasł, wraz z nimi światła, a oślepiona Jennifer przez sekundę widziała tylko jasne gwiazdy. Gdy w końcu odzyskała wzrok, ujrzała przed sobą Margo.

Dziewczyna miała jeszcze wilgotne po myciu włosy. Nie była wystrojona na

imprezę: ubrana w zwykłe dżinsowe spodnie, obcisłą koszulkę cheerleaderki, rozpinany sweter i tenisówki. Otworzyła tylne drzwi samochodu i wyjęła dwie torby zakupów spożywczych.

– Czemu nie wejdiesz do środka? – spytała z lekko drwiącym uśmiechem, w którym specjalizują się starsze siostry. Zanim Jennifer zdążyła otworzyć drzwi, gospodyni minęła ją i nacisnęła kławkę. Ustąpiły niczym za dotknięciem magicznej różdżki. Okazało się, że nie były zamknięte na klucz.

Jennifer weszła do środka. W domu było ciepło, wręcz parno. Pod wpływem temperatury palce zaczęły ją piec i szybko zrobiły się czerwone. Wszędzie było bardzo jasno, jak w klasie, a nie na imprezie. Żadnych przyciemnionych świateł, żadnych świeczek, które tworzyłyby intymny nastrój. Jennifer minęła wieszak na ubrania i skierowała się do pokoju gościnnego. Wyglądał tak samo, jak go zapamiętała – pomalowane na szaro ściany z białymi odcieniami u góry. Niedaleko kominka nadal stały dwie zwrócone do siebie frontami identyczne leżanki. Na podłodze wciąż leżał ten sam orientalny kasztanowy dywanik z frędzlami. Kiedy jednak przyjrzała mu się dokładniej, zauważyła, że jest nowy. Wszędzie siedzieli goście – na leżankach, na podłodze, na brzeżkach stolików kawowych, pod regałami.

Chwilę później drzwi zamknęły się za Jennifer i wszyscy, którzy zauważyli jej przyście, powitali ją uśmiechami. Ze zdziwieniem zauważyła, że wbrew temu, co obiecały Dana i Rachel, przy drzwiach nie było nikogo, kto sprawdzałby, czy wszyscy goście na odwrotach swoich biletów na bal zaznaczyli, że oddają głos na Jennifer.

Ruszyła za Margo do kuchni. Zastała tam Danę i Rachel, które siedziały przy blacie na środku pomieszczenia, racząc się ponczem nalany do plastikowych szampanówek. Paliły też na spółkę papierosa.

– Margo! – zawołały na widok gospodyni. – Kupiłaś przekąski?

– Jasne – uspokoiła je dziewczyna. Rozpakowała jedną torbę, a drugą włożyła do szafki, w której kiedyś, jak zapamiętała Jennifer, trzymała płatki śniadaniowe. – Schowamy je przed chłopakami. Te świnię najchętniej wszystko by same zżarły.

– Siemka, Jennifer – powiedziała Rachel. Zabrzmiało to tak, jakby zapomniała, że ma się ona w ogóle zjawić. – Fajnie, że przyszedł!

– Napijesz się czegoś? – zaproponowała Dana. Górną wargę miała zabarwioną na czerwono. – Wymyśliłyśmy nowy trunek, nazywa się poncz z ponczu. Jest dosyć słodki, ale i tak lepszy niż to paskudne tanie piwo, które przynieśli chłopcy. No i można się nim nawalić w mgnieniu oka. Margo, nalej trochę Jennifer.

Margo nalala ponczu najpierw dla siebie, potem dla Jennifer. Kiedy podawała jej szklanekę, ani na chwilę nie nawiązała z nią kontaktu wzrokowego.

– Byłbym zapomniała, przyniosłam coś takiego – powiedziała Jennifer, wyciągając z torebki butelkę. Po chwili dodała nieśmiało: – Nie wiem, czy to dobre.

Dana sięgnęła po butelkę i zaczęła studiować etykietę.

– Super alkohol – pochwaliła. – Dzięki, Jennifer.

Margo zaczęła mówić coś o przeprowadzonej w ostatniej chwili zmianie w układzie choreograficznym cheerleaderek. Rachel i Dana błyskawicznie zaangażowały się w rozmowę. Co prawda nie wyglądało to tak, jakby celowo próbowały wykluczyć z niej Jennifer, jednak było jasne, że nie jest ona w stanie uczestniczyć w ich pogawędce. Jennifer domyśliła się, że to fortel Margo, który ma zmusić ją, by jak najszybciej poszła sobie z jej imprezy. Cóż, niedoczekanie. Powiesiła kurteczkę na oparciu krzesła i stała niewzruszona, uśmiechając się i popijając poncz. W pewnym momencie poprosiła nawet Margo o dolewkę. Postanowiła, że nie da się jej zastraszyć, mimo że była w jej domu tylko gościem.

Kiedyś bywała tu przecież bez przerwy, znała każdy kąt.

– Toaleta jest na górze, prawda? – spytała, odstawiając pusty kieliszek.

– Tak – odparła Margo takim tonem, jakby chciała powiedzieć: *a gdzie ma być?*

Jennifer niespiesznie ruszyła po schodach. Na ścianach wisiały zdjęcia Margo i Maureen. Wiedziała od dawna, że Maureen za nią nie przepada. Z jej powodu podczas wizyt u Margo czuła się nieswojo, zwłaszcza pod koniec ich znajomości. Tym bardziej że przyjaciółka była zapatrzona w swoją siostrę. Zawsze ją podziwiała, mimo że Maureen również do młodszej siostry odnosiła się raczej niechętnie.

Po pokonaniu schodów Jennifer spojrzała w głąb korytarza. Po obu stronach ciągnął się rząd zamkniętych drzwi. Nie mogła sobie przypomnieć, które prowadzą do łazienki. Zbliżyła się do pierwszych i nacisnęła klamkę. Ku jej zdumieniu w środku ujrzała pana i panią Gable. Rodzice Margo leżeli na zasłanym łóżku i oglądali telewizję. Pani Gable trzymała w dłoni wysoki kieliszek z czerwonym winem. Na widok Jennifer wydała zduszony jęk. Mało brakowało, a z wrażenia wylałaby wino na białą kołdrę.

– Ojej, bardzo przepraszam – wybąkała speszona Jennifer, szybko się wycofując. – Nie wiedziałam, że są państwo w domu.

– Siedzimy tu sobie sami – oświadczył śmiertelnie poważnym tonem pan Gable.

– Zostaliśmy na wszelki wypadek, gdyby impreza przybrała nieoczekiwany obrót – wyjaśniła pani Gable. Odstawiła kieliszek na nocny stolik i gestem zachęciła Jennifer, by weszła do pokoju. – Jak się masz, kochanie? Minęło strasznie dużo czasu, odkąd ostatnio się widziałyśmy. Stęskniliśmy się za tobą. Jak sobie radzisz? Jak się mają twoi rodzice?

– Wszystko u nich w porządku. A co z Maureen? Podoba jej się na studiach?

– A kto ją tam wie. Prawie nigdy do nas nie dzwoni – odparła pani Gable, rozglądając się szybko po pokoju. Jej spojrzenie padło w końcu na szezlong, na którym piętrzyły się sterty prania. Przygryzła wargę i spytała: – Zawsze dopytuję Margo, co u ciebie słychać i w ogóle.

Jennifer poczuła, jak ze wzruszenia ściska ją w gardle. Rodzice Margo zawsze byli dla niej tacy mili. Tęskniła za nimi. A teraz ucieszyła się na wieść, że oni też tęsknili za nią. Szkoda, że wszystko się tak popsuło.

W pewnym momencie Jennifer zauważyła, jak pan Gable dyskretnie ściska żonę za udo, jakby chciał jej dać coś do zrozumienia.

– Jennifer pewnie wolałaby wrócić już do znajomych na dół.

– Racja – przytaknęła pani Gable.

– W sumie to szukałam łazienki. Zapomniałam już, które to drzwi.

Odniosła wrażenie, że pani Gable ze smutkiem przyjęła tę wiadomość.

– Trzecie drzwi na lewo – odpowiedziała. – Naprzeciw pokoju Margo. Miło było cię zobaczyć, Jennifer. Czuj się u nas jak u siebie.

Dziewczyna zapewniła, że tak właśnie robi, po czym zamknęła drzwi. Spocone ze zdenerwowania dłoń wytarła o spódnicę. Ruszyła w głąb korytarza i po chwili stanęła przed drzwiami do łazienki. Położyła już rękę na klamce, jednak w ostatniej chwili się rozmyśliła. Odwróciła się i utkwiała spojrzenie w zamkniętych drzwiach do pokoju Margo.

Nagle poczuła przemożną chęć, by zajrzeć do środka.

Przez chwilę nasłuchiwała, czy nikt nie nadchodzi, z dołu dobiegała jednak tylko zwyczajna imprezowa wrzawa.

Zrobiła krok naprzód, potem następny. Uchyliła drzwi i wsunęła się do środka.

Zawsze uwielbiała ten pokój. Nic się nie zmienił przez cały ten czas. Wystrój przywodził na myśl komnatę księżniczki: stało tu łóżko z baldachimem, wielka szafa na ubrania, a pod oknem nieduża kanapa, na której przegadała z Margo milion godzin. Na łóżku prócz poduszek leżały wypchane maskotki.

Mimo że przebywała teraz w miejscu, w którym teoretycznie nie powinna się znajdować, i mimo że przecież od dawna już się nie przyjaźniła z Margo, czuła się dobrze w tym pokoju. Ósma klasa wydawała się teraz co prawda zamierzchłą przeszłością, a Margo pewnie już zawsze będzie udawała, że nic ich nigdy nie łączyło, jednak Jennifer знаła prawdę – one naprawdę były przed laty przyjaciółkami.

Na jednym ze słupków podtrzymujących baldachim nad łóżkiem wisiał strój cheerleaderki. Został najwyraźniej przyniesiony niedawno z pralni, bo tkwił jeszcze w foliowym pokrowcu, w oczekiwaniu na jutrzejszy mecz. Kiedy Jennifer zerknęła w głąb uchylonej szafy, miała wrażenie, że wśród ubrań dostrzega balową sukienkę

gospodyni.

Na palcach weszła na grubą kremową wykładzinę i ruszyła ku szafie.

Przez długą chwilę tylko przypatrywała się uważnie sukience, po czym ujęła delikatnie jej rąbek i potarła w palcach szwy. Spodziewała się, że Margo na jesienny bal w ostatniej klasie liceum wybierze sukienkę w zupełnie innym stylu. Sądziła, że będzie to coś bardziej dziewczęcego i zalotnego, coś, z czego emanowałaby beztroska. Oczami wyobraźni widziała sukienkę, która unosiłaby się, odsłaniając uda, gdy Margo będzie wirować na parkiecie. Tymczasem kreacja wisząca w szafie była obcisła, ciemna i bardzo szykowna. Zdaniem Jennifer kompletnie nie pasowała do szkolnej potańcówki. Inna sprawa, że kolor zielony będzie świetnie pasował do karnacji Margo.

Już sam krój kiecki sugerował, że Margo chciała udowodnić, iż zdobycie tytułu królowej balu zupełnie jej nie interesuje. Że wyrosła ze wszystkich tych durnych licealnych zabaw. Że jest ponad to.

Tyle że Jennifer wiedziała, przynajmniej przed laty, jak jest naprawdę: w rzeczywistości Margo liczyła się z tym, co ludzie sądzą na jej temat.

Niewiele myśląc, otworzyła na oścież drzwi szafy. Od strony wewnętrznej pełno było na nich częściowo odłóżających naklejek przedstawiających tęcze, konie i fluorescencyjne gwiazdy. Część ciuchów wisiała na drążku, a część poukładana była na dnie szafy, gdzie tworzyła chwiejne sterty. Jennifer nie mogła dojrzeć, co znajduje się w głębi szafy, w tajnej kryjówce Margo.

Wyciągnęła rękę i zanurzyła ją głębiej we wnętrzu szafy, macając na oślep. W pewnym momencie zza jej pleców dobiegł głos:

– O Boże.

Jennifer błyskawicznie się odwróciła i zobaczyła stojącą na progu Margo.

– Co ty tu, do cholery, robisz?

Nagle Jennifer poczuła, że nie ma czym oddychać.

– Nic, ja tylko... – wydukała.

– O Boże – powtórzyła Margo. Jej głos wyrażał teraz nie tyle szok, co narastającą wściekłość. Ruszyła przed siebie i zdecydowanym ruchem zatrzasnęła drzwi szafy. Zrobiła to tak gwałtownie, że mało brakowało, a przytrzasnęłaby palce Jennifer. Cała się trzęsła. Strzepnęła kilka razy dłońmi, jakby chciała w ten sposób pozbyć się nadmiaru energii. – Masz szczęście, wiesz o tym? Gdyby nie było tu teraz tych wszystkich ludzi... – Zamilkła na chwilę, zaciskając dłonie w pięści. Kiedy się odezwała, z jej gardła dobył się warkot: – Lepiej wracaj na dół. Jeśli jeszcze raz zastanę cię w moim pokoju, słowo honoru, nie będę się przejmowała tym, co ludzie sobie o mnie pomyślą: wywlokę cię za włosy na ulicę.

Jennifer puściła się biegiem, wyminęła ją i zbiegła po schodach. Dana i Rachel nadal siedziały w kuchni. Jennifer była pewna, że za chwilę przyjdzie tu Margo, żeby opowiedzieć, co właśnie się wydarzyło. Nie bardzo wiedziała, co ze

sobą zrobić.

– Hej, potrzebujemy jeszcze jednej osoby do gry w dupka!

Jennifer podążyła za głosem, aż znalazła się w pokoju jadalnym, gdzie przy stole zasiadali chłopcy z czwartej klasy. Wszędzie wkoło walały się puszki po piwie.

– Ja zagram – powiedziała, szybko zajmując miejsce przy stole.

Serce jej waliło, a kiedy rozdawano karty, zerkła niepewnie w stronę kuchni w obawie, że lada chwila do pokoju wpadnie Margo i spełni swoją groźbę.

Jennifer obrzuciła spojrzeniem karty, jakie dostała, udając, że zna zasady gry. Justin zajął się tasowaniem pozostałych kart, po czym rozdał dodatkowe, przypominając graczom reguły. Jennifer niewiele z nich zrozumiała prócz tego, że musi jak najszybciej pozbyć się swoich kart.

– Dupek musi zająć miejsce po lewej ręce prezydenta.

Jennifer posłusznie wstała i na uginających się nogach zamieniła się miejscami z chłopakiem siedzącym obok Matthew Gouldinga. Matthew, któremu przypadła rola prezydenta, zachowywał się jak wytrawny pokerzysta – nasunął czapkę z daszkiem głęboko na czoło i ze stoickim spokojem studiował swoje karty.

Margo kochała się w Matthew od zawsze. A w każdym razie było tak, dopóki Jennifer w ogóle wiedziała, co dzieje się w życiu przyjaciółki. Przeleciała teraz myślą ostatnie lata, próbując przypomnieć sobie ewentualne plotki na ich temat. Nie miała pojęcia, czy tych dwoje w ogóle się ze sobą zeszło.

Chyba jednak nie.

Gracze przy stole rozegrali kilka rund. Po każdym rozdaniu Jennifer musiała oddać swoje najlepsze dwie karty Prezydentowi, on natomiast oddawał jej swoje dwie najgorsze. Gra została tak pomyślana, by osoba z najsłabszymi kartami nie miała praktycznie żadnych szans na poprawę swojej sytuacji.

Jennifer miała parę niezłych rozdań, jednak grała tak, jakby jej nie zależało na wygranej. Zdążyła się zorientować, że warto mieć asy i dwójki. Zamiast je zachować, nachyliła się do Matthew, tak by mógł obejrzeć wszystkie jej karty i wybrać te, na których mu zależy.

Przez cały czas z sąsiednich pomieszczeń dobiegała wrzawa. Chłopcy grali na konsoli, dziewczyny spierały się o coś, próbując przekrzyczeć głośną muzykę; co chwilę otwierały się, to znów zamykały przesuwne drzwi prowadzące na taras. Jennifer była jednak zadowolona, że może zostać tu, gdzie jest.

W ciągu godziny przegrała wszystkie rundy. Uzbierała najwięcej kart spośród wszystkich graczy. Ale w sumie wcale jej to nie przeszkadzało. Kiedy ostatni raz wygrał Matthew, oddał jej dwójkę, a więc najsilniejszą kartę w grze. Szumiało jej w głowie, co było w sumie całkiem fajne.

Inny czwartoklasista grający z nimi, Ted, był już wyraźnie pijany. Zdążył

dwa razy rozlać piwo, a podczas ostatniego rozdania odchylił się za bardzo na krzesło, które wyskoczyło spod niego, tak że rąbnął głową o drewniany kredens. Nie zrobiło to na nim większego wrażenia, przez cały czas zanosił się śmiechem.

Po kolejnej wygranej Matthew stwierdził poufałym tonem:

– Ale nuda.

Oddał Jennifer swoje dwie pozostałe karty i do końca rundy podpowiadał jej, jak powinna grać. Stali się małą dwuosobową drużyną. Pokazała mu swoje karty, a Matthew wskazywał jej palcem albo skinieniem głowy tę, którą powinna w danym momencie wyłożyć na stół. Jennifer przez cały ten czas wypatrywała Margo. Miała nadzieję, że dziewczyna nadejdzie w końcu i ujrzy ich razem. Również tym razem wygrał kto inny, lecz przynajmniej Jennifer nie zajęła ostatniego miejsca.

– Nie przegrałam!

– Moje gratulacje – powiedział Matthew, wstając z krzesła. – Zostałaś zastępcą dupka.

Niepocieszona Jennifer odprowadziła go wzrokiem.

– Potrzebujemy więcej piwa – odezwał się Justin, spoglądając wymownie na Jennifer. Po chwili wskazał na drzwi w kuchni i powiedział: – Wicedupek skocz po piwo. Lodówka jest w piwnicy.

– Wiem – mruknęła Jennifer.

Wstała od stolika, przycisnęła się obok pozostałych graczy i ruszyła do kuchni. Przechodząc, zauważyła za oknem Matthew, który w międzyczasie wyszedł na taras. Siedział uśmiechnięty na brzeżku stołu, pochłonięty rozmową z Margo.

Gdy Jennifer schodziła w głąb mrocznej piwnicy, każdy jej krok dźwięczał głucho w ciemności. Na dole stały maszyny do prania, były tam też narzędzia pana Gable i stara żółta lodówka, którą rodzice Margo wstawili tu po renowacji kuchni. Kiedyś dziewczynki bawiły się w piwnicy w szkołę, jednak dziś nie pozostał już żaden ślad po tabelach ocen i testach, jakie wypisywały na ścianach.

Jennifer otworzyła lodówkę, zastanawiając się, w jaki sposób przenieść na górę możliwie jak najwięcej puszek. W pewnym momencie skrzypnęły otwierane drzwi do piwnicy.

– Siemanko – wybełkotał Ted. Uchwycił się kurczowo balustrady i powoli, krok za krokiem, ruszył po schodach na dół.

– Cześć.

Stał za nią i oparł się ramieniem o otwarte drzwi lodówki.

– Przyszłaś po piwo?

– Takie mam zadanie – odparła beztrąsko i momentalnie pożałowała tego radosnego tonu. Funkcja wicedupka to raczej nie powód do dumy.

– Pomogę ci – odezwał się Ted. Zamiast jednak sięgnąć po puszkę,

poprowadził Jennifer w kierunku pralki. Po chwili drzwi lodówki zamknęły się, pogrążając piwnicę w ciemnościach.

Ted zamknął oczy, nachylił się i po chwili poszukiwań jego usta odnalazły wargi dziewczyny. W dotyku usta chłopaka były wilgotne i ciepłe. Miały delikatnie kwaśny posmak. Objął ją w talii i przyciągnął do siebie.

Jennifer zamknęła oczy. To był jej pierwszy w życiu pocałunek z chłopakiem. Wiedziała, że Ted jest totalnie nawalony, ale nie miała nic przeciwko. To on w zeszłym roku rzucił w nią hot dogiem. A teraz się z nim całowała.

Kto wie, może jeśli pozwoli się pocałować Tedowi, reszta chłopaków też się nią zainteresuje.

Jej pocałunki stały się bardziej namiętne. Przez głowę przelatywały jej wspomnienia romantycznych scen z filmów. Przypomniła sobie, jak całujące się aktorki zanurzały dłonie w czuprynach swych partnerów. Kiedy przeczesala palcami włosy Teda, odniosła wrażenie, że bardzo mu się to spodobało. Całował ją z coraz większym zapamiętaniem, oddychając szybko przez nos i prężąc mięśnie całego ciała.

Drzwi prowadzące do kuchni otworzyły się i zamknęły. Uplęnęło kilka sekund i otworzyły się znowu. Za każdym razem z góry padał na nich snop kuchennego światła.

Jennifer domyślała się, że dla osoby stojącej u szczytu schodów ona i Ted są doskonale widoczni. Zarzuciła mu ręce na szyję i rozsunęła nogi tak szeroko, jak pozwalała na to jej ołówkowa spódnica, a Ted przylgnął do niej całym ciałem.

Rozległ się śmiech jakiegoś chłopaka. To był chyba Justin.

– O rany, Ted musiał się ostro nawalić – odezwał się na tyle głośno, by usłyszeli go ludzie w kuchni. – Całuje się z Jennifer Briggis!

Ted oderwał wargi od jej ust.

– Zamknij się, dupku! – zawołał. W jego głosie Jennifer nie wyczuła jednak złości. Zabrzmiało to raczej tak, jakby uważał docinki kolegi za zabawne.

Drzwi się zamknęły, a piwnica pogrążyła się na powrót w ciemności.

– Nie przejmuj się nim – powiedział Ted, odgarniając jej włosy z twarzy.
– Wcale nie jestem taki pijany, serio.

Jennifer uniosła spojrzenie, szukając w jego szklistych oczach potwierdzenia, że mówi prawdę. A gdy go nie znalazła, zamknęła oczy i skupiła się na całowaniu.

ROZDZIAŁ 37

Margo i jej koleżanki paliły tylko wtedy, gdy piły alkohol. Nigdy nie kupowały papierosów, częstowali je nimi pałacy koledzy. Margo wiedziała, że nie powinna tego robić, że mały krok dzieli ją od popadnięcia w prawdziwy nałóg.

Po awanturze z Jennifer poczuła jednak przemożną potrzebę zapalenia. Poszła na taras i wypaliła sama cztery papierosy pod rząd. No dobrze... zapalała papierosa i przez większość czasu trzymała go po prostu w palcach, zaciągając się naprawdę rzadko.

Była tak zdenerwowana, że czuła ucisk w klatce piersiowej i praktycznie nie miała jak się zaciągać.

W pamięci odtwarzała raz za razem scenę konfrontacji z Jennifer – moment, gdy zajrzała do swojego pokoju i zastała w nim Jennifer szperającą w jej szafie. Czuła, jak popada w paranoję. Ręce jej się trzęsły, a dym z papierosa zygzakami unosił się w niebo. Ile czasu Jennifer mogła spędzić w jej pokoju? Czego tam szukała?

Aż nagle zrozumiała. Ta myśl spadła na nią niczym grom z jasnego nieba.

Jennifer szukała starej pieczęci Mount Washington.

Pewnie obmyśliła sobie, że w ten sposób ostatecznie zrehabilituje się przed ludźmi ze szkoły. Planowała zanieść stempel na dół i zaprezentować go niczym trofeum wszystkim znajomym Margo. W ten sposób zwycięstwo w wyborach królowej balu miałyby już w kieszeni. A w ramach bonusu sprawiłaby, że Margo zostanie bez koleżanek do końca czwartej klasy. Powtórzyłby się scenariusz, który Jennifer na własnej skórze przerobiła w pierwszej klasie. Karmiczne przeznaczenie zatoczyłoby pełny krąg.

Czy jednak Margo faktycznie zasłużyła na takie traktowanie?

Naturalnie Jennifer musiała uważać ją za złego człowieka. Mimo to jednak Margo nie mogła uwierzyć, że była przyjaciółka mogłaby naprawdę posądzić ją stworzenie listy. Może to dziwne, biorąc pod uwagę wszystko, co między nimi zaszło, jednak Margo była przekonana, że Jennifer nie mogłaby dojść do tak strasznego wniosku.

W pewnym momencie rozsunęły się przeszkłone drzwi i pojawił się w nich Matthew.

Przystanął na progu.

– Cześć, chyba muszę zaczerpnąć świeżego powietrza. Ale coś mi się wydaje, że wolisz pobyć tu sama.

– Chodź, nie przeszkadzasz mi – zachęciła go, odwracając się znów w stronę podwórza. Przez chwilę rozważała zgaszenie papierosa. Wiedziała, że Matthew nie jest zwolennikiem palenia. Doszła jednak do wniosku, że to i tak bez znaczenia.

Wszyscy mieli już na jej temat jak najgorsze zdanie.

Była wdzięczna, że Matthew do niej wyszedł. Miała już dość zdręczania się myślami o Jennifer. Okazało się jednak, że chłopak właśnie o niej chce porozmawiać.

– Jennifer Briggis jest taka dołująca – stwierdził, sadowiac się na stole.
– Nigdy w życiu nie widziałem, by ktoś tak desperacko zabiegał o sympatię.

Ja też taka jestem, pomyślała Margo, wpatrując się w ciemność.

– Pewnie co najmniej połowa z zaproszonych dziś gości sądzi, że to ja umieściłam Jennifer na liście. Oni naprawdę wierzą, że to moja sprawka.

– Wiem – odparł Matthew, machając nogami.

Jego reakcja sprawiła, że ugięły się pod nią nogi. Musiała przytrzymać się barierki, żeby nie upaść.

– Jennifer jest pewna, że to ja za tym stoję. I chyba nawet nie mam prawa jej winić. – Do oczu napłynęły jej łzy, zamazując świat. Po chwili odwróciła się i spojrzała na Matthew. – Ma prawo mnie nienawidzić. Postąpiłam wobec niej strasznie.

Po raz pierwszy wypowiedziała to na głos. Bez żadnych zastrzeżeń, wymówek ani obwiniania kogo innego. W tym samym momencie jej ciałem wstrząsnął szloch.

Matthew zeskoczył ze stolika i stanął obok niej.

– Hej, nie przejmuj się.

Margo wytarła łzy rękawem swetra.

– Pewnie wydaje ci się, że zachowuję się jak idiotka, ponieważ płaczę z takiego dziwnego powodu.

Z ulgą zobaczyła, że Matthew potrząsa przecząco głową.

– Nieprawda. Jestem z ciebie dumny, że postawiłaś się Danie i Rachel, kiedy wyskoczyły z tym pomysłem GŁOSUJ NA JENNIFER – KRÓLOWĄ BALU – powiedział Matthew, głaszcząc Margo po ramieniu. – Tak między nami, ja też uważam, że to fatalna inicjatywa.

– Dana i Rachel po prostu zachowują się po ludzku – odparła. Nie mogła niestety tego samego powiedzieć o sobie.

– Może i tak. Ale nie mieści mi się w głowie, że Jennifer dała się w to wciągnąć.

– Ależ nie ma w tym nic dziwnego. Pragnie poczuć się piękna. Każda dziewczyna, która dzisiaj przyszła na imprezę, w głębi duszy tego pragnie. To dlatego tak strasznie emocjonujemy się listą i balem.

Zabrzmiało to pewnie tak, jakby Margo wstawiała się za Jennifer. Ale w rzeczywistości po prostu broniła sama siebie. Tłumaczyła Matthew, dlaczego tak wielką wagę przywiązuje do listy i dlaczego perspektywa niezdobycia tytułu królowej balu napawa ją takim smutkiem.

– Nie wiem, czy tylko o to chodzi – stwierdził ostrożnie chłopak. – Moim zdaniem przede wszystkim chciałybyście, by inni uważali was za piękne.

– Możliwe – przyznała dziewczyna, choć wiedziała, że Matthew trafił w dziesiątkę. Po prostu brzmiało to strasznie żałośnie.

– Margo, nie wierzę, że to ty sporządziłaś listę. Może cię to pocieszy.

– Dziękuję – odparła, a po policzkach znowu popłynęły jej łzy. Poczowała też, że się rumieni. Zgasiła papierosa, przykładając go do drewnianej bariery, po czym odwróciła się do chłopaka. – Powinnam wrócić do środka. Widać po mnie, że płakałam?

Matthew wyciągnął rękę i delikatnie pogłaskał ją po policzku. Na palcu zatrzymała mu się ostatnia jej łza.

– Nie – odparł.

– Dziękuję za to, co powiedziałaś. I za to, że chciało ci się mnie wysłuchać – powiedziała Margo, po czym z bijącym mocno sercem skierowała się ku drzwiom.

Zanim zniknęła we wnętrzu domu, Matthew zawołał:

– Jutro wieczorem zatańczę z tobą, nawet jeśli nie zdobędziesz tytułu królowej.

A więc jednak zatańczy z chłopakiem, którego kocha całe życie. Jak cudownie, że może ucześć się tej nadziei i choć na chwilę zapomnieć o liście i wyborach; skupić się na czymś, co nie jest obciążone poczuciem winy i nie wywołuje smutku.

Życie czymś, co jest po prostu dobre.

* * *

Przed północą towarzystwo zaczęło się wykruszać. Za każdym razem, gdy Margo robiła rundkę po domu, żeby uprzątnąć śmieci, wypatrywała wszędzie Jennifer. Nie chodziło o to, że chciała ją przeprosić. Przecież Jennifer nie miała prawa zaglądać do jej pokoju. Postanowiła jednak, że gdy ją zobaczy, uśmiechnie się do niej albo wykona jakiś inny sympatyczny gest, żeby jakoś zatrzeć złe wrażenie. Tyle tylko że upłynęło już wiele godzin, a Jennifer jakby zapadła się pod ziemię.

Dana i Rachel pomogły Margo w zmywaniu naczyń. Płukały właśnie w kuchni puszki po piwie i wrzucały je do pojemnika na metal, gdy nagle drzwi do piwnicy otworzyły się. Z ciemności wynurzyli się Jennifer i Ted.

Z fryzury Jennifer niewiele już zostało, jej włosy były potargane i zmierzwiłone. Ted, czerwony na twarzy, zmrużył oczy oślepiiony światłem.

– O cholera – jęknął i pospiesznie, zataczając się, wyszedł z kuchni.

Dana, Rachel i Margo nie potrafiły spojrzeć na siebie.

– Która godzina? – spytała Jennifer, po czym z jej gardła dobył się jakiś

dziwny dźwięk, jakby przełykała coś z trudem.

– Już po północy – poinformowała Dana. – Jak długo tam siedzieliście?

– Muszę już lecieć – wybąkała Jennifer i próbowała zrobić krok, jednak wyglądał to tak, jakby nie mogła się zdecydować, którą nogę pierwszą wysunąć do przodu. Chwiała się tylko w butach na wysokim obcasie i nadal nie ruszała się z miejsca.

Margo poczuła nagle, jak wypełnia ją jakaś emocja słodka i gęsta niczym poncz z ponczu.

– Nie możesz w takim stanie usiąść za kółkiem – zaprotestowała Dana. – Gdzie się podział Ted?

– Chyba już się zmył – powiedziała Rachel, wyglądając przez okno.

– Co za dupek – westchnęła Dana, wycierając szybko dłonie w ścierkę. – Jennifer, odwiozę cię do domu. Zostawisz tu swój samochód i zabierzesz go jutro. Rachel, gotowa do wyjścia?

– Jasne. Do zobaczenia jutro rano, Margo. Dzięki za wszystko.

Jennifer chwiejnym krokiem wyminęła Margo, unikając kontaktu wzrokowego.

– Tak. Dzięki... za wszystko.

SOBOTA

ROZDZIAŁ 38

Kiedy masz złamane serce, nie zmrudzysz w nocy oka.

Danielle bez końca przewracała się i wierciła w łóżku, a przy każdym ruchu odłamki jej serca kłuły ją i wbijały się boleśnie w jej wnętrzności, pozostawiając kolejną świeżą ranę.

O wpół do siódmej poddała się i wstała z łóżka. Ściągnęła pidżamę, założyła kostium kąpielowy, a na niego dres reprezentacji szkoły.

Pani DeMarco, odwożąc córkę do szkoły, zarzuciła tylko płaszcz na swój puszysty niebieski szlafrok.

Kiedy dojechały na miejsce, okazało się, że parking pod szkołą jest jeszcze całkiem pusty.

– Może pomyliły ci się godziny? – zastanowiła się pani DeMarco.

– Możliwe – skłamała Danielle, odpinając pas bezpieczeństwa. – Ale nic się nie martw, mamó. Zaraz wszyscy się zjawią. Wracaj do łóżka.

Stała przy krawężniku na podjeździe pod szkołą i zacierała dłonie, próbując się rozgrzać. Kiedy w końcu nadjechał jeep trenerki Tracy, Danielle biegiem ruszyła za nim. Zanim trenerka zgasła silnik, dziewczyna zdążyła już dopaść okna od strony kierowcy.

– Dzień dobry, pani trener – przywitała się, a jej oddech pozostawił na szybie obłoczek pary. Danielle starła ją szybko rękawem bluzy, po czym otworzyła drzwi niczym hotelowy portier.

Nie umiała stwierdzić jednoznacznie, czy trenerka zdziwiła się na jej widok.

– A co ty tu robisz? – spytała tylko.

– Obudziłam się dzisiaj i odkryłam, że ramię już mi nie dokucza – oznajmiła Danielle, po czym na potwierdzenie tych słów wychyliła się do przodu, wykonując zamaszyste ruchy ramionami, jakby płynęła stylem motylkowym. – Pomyślałam, że może jednak mogłabym dzisiaj wystąpić na zawodach, jeśli oczywiście będzie mnie pani potrzebować.

– No proszę, niesamowicie szybko wyleczyłaś tę kontuzję – odparła trenerka śmiertelnie poważnym tonem. – Cóż, twoje miejsce jest już zajęte. Dobrze o tym wiesz.

– Oczywiście – przyznała Danielle, biorąc głęboki oddech. – Ale uznałam, że i tak przyjdę, żeby pokazać pani, jak wiele to dla mnie znaczy. I chciałabym obiecać, że już nie opuszczę w tym sezonie ani jednego treningu. No i chciałabym... przeprosić panią za to, jak się zachowałam wczoraj.

Liczyła, że jeśli przyzna się trenerce do tego, czego ta i tak się chyba domyślała, pani Tracy da jej jeszcze jedną szansę. Czekala teraz, aż twarz kobiety się rozpozgodzi, zamiast tego stała się jednak jeszcze bardziej spięta.

– Danielle, naprawdę staram się nie brać do siebie tego, co wczoraj odstawiłaś. Musisz jednak wiedzieć, że symulowanie kontuzji uważam za rzecz wysoce obraźliwą. Sama nigdy już nie będę taka sprawna jak kiedyś. Gdyby nie moja kontuzja ramion, mogłabym wystąpić na olimpiadzie. Ale wraz z nią stało się coś jeszcze gorszego: utraciłam część własnej osobowości, zatraciłam to, co czyniło mnie wyjątkową. Możesz sobie wyobrazić, jakie to uczucie?

Danielle zwiesiła w milczeniu głowę. Najchętniej opowiedziałaby trenerce o wszystkim, niczego nie zatajając – o liście, o tym, ile zniewag musiała wycierpieć w tym tygodniu, o zerwaniu z Andrew. Spróbowała coś powiedzieć, ale głos jej się łamał. Poza tym trenerka najwyraźniej miała jeszcze coś do powiedzenia. Przerwała Danielle w pół słowa.

– Jest dla mnie oczywiste, że nie jesteś gotowa unieść odpowiedzialności i zaszczytu, jakie wiążą się w występem w pływackiej reprezentacji szkoły. Ale skoro już przyszedłeś, możesz mi pomóc: weź ręczniki z mojego samochodu i zanieś je do busa. Aha, zabierz też butelki z wodą. I dopilnuj, żeby w trakcie zawodów wszyscy zawodnicy mieli je pod ręką.

W pierwszej chwili Danielle nie była pewna, jak powinna zareagować – czuć się zadowolona czy zdołowana. Wykonała jednak polecenie trenerki, po czym zajęła miejsce w busie, który miał zawieźć reprezentację na zawody. Wkrótce dołączyli do niej pozostali członkowie drużyny. Większość przychodziła z kapturami nasuniętymi na głowę i słuchawkami na uszach. Nikt nie dopytywał o jej kontuzję ramienia. A Danielle nikomu nie zdradziła, że została zdegradowana z członka reprezentacji do roli specjalisty do spraw zaopatrzenia drużyny.

Hope sprawiała wrażenie przyjemnie zaskoczonych widokiem Danielle. A Danielle próbowała nie zazdrościć najlepszej przyjaciółce, że to ona zajęła jej miejsce w reprezentacji. Przecież w gruncie rzeczy sama była winna, że sprawy potoczyły się tak, a nie inaczej.

– Mogę usiąść obok ciebie? – spytała Hope.

Danielle przesunęła się na fotelu, robiąc miejsce przyjaciółce. Nadal czuła się strasznie upokorzona po wczorajszej konfrontacji z Andrew.

– Jak się czujesz?

– Średnio – odparła Danielle.

– Trenerka pozwoliła ci dzisiaj pływać? – spytała szeptem Hope.

– Nie.

– Przykro mi.

– No cóż, mi też – przyznała Danielle, naciągając na głowę kaptur.

* * *

Zawody były zażarte. Co chwilę to jedna, to druga drużyna wysuwała się na prowadzenie. Poszczególne reprezentacje prowadziły na jednej długości basenu

tylko po to, by spaść na drugie miejsce, gdy rozpoczynano następną rundę. Danielle śledziła wyścigi z trybun, podając ręczniki i wodę pozostałym członkom zespołu. Mając w pamięci, jak zachowywał się Andrew przed wybiegnięciem na boisko, co jakiś czas przypominała Hope, żeby dla rozgrzewki robiła pajacyki i przysiady.

Gdy tylko w jej umyśle pojawiło się wspomnienie Andrew, spróbowała natychmiast odepchnąć tę myśl. To przykre, że będzie musiała odtąd przed nią uciekać. Mimo że chłopak wyraził pewną skruchę, wiedziała, że i tak nigdy nie zdoła mu przebaczyć. Upokorzenie, na jakie ją naraził, było znacznie gorsze niż to związane z listą czy jakimś idiotycznym przezwiskiem. Danielle wiedziała, że jest silna fizycznie, ale nie była pewna, jak emocjonalnie poradzi sobie z rozstaniem.

Kiedy nadeszła pora na sztafetę pływacką na czterysta metrów stylem wolnym, dzięki chłopcom występującym wcześniej w wyścigach indywidualnych stylem wolnym, w których zajęli pierwszą, drugą i czwartą lokatę, reprezentacja Mount Washington, zdążyła wysunąć się na niewielkie prowadzenie. Istniała szansa, że jeśli teraz dziewczyny spiszą się równie dobrze, zdołają przypieczętować zespołową wygraną. W pewnym momencie do zawodniczek podeszła trenerka Tracy.

– Hope, nie wystąpisz w tym wyścigu, a za to popłyniesz dwieście metrów stylem wolnym w następnej kolejce – oświadczyła, po czym zwróciła się do Danielle: – Chodźmy, wystawiam cię na ostatniej zmianie w sztafecie. Udowodnij, że słusznie robię, dając ci szansę.

Dziewczyna nagle poczuła gigantyczny zastrzyk energii. Najchętniej wybuchłaby ze wzruszenia płaczem i rzuciła się trenerce na szyję. Wiedziała jednak, że na to czas przyjdzie potem. Najpierw musiała pokazać, ile jest warta.

Szybko zdjęła dres. Nigdy wcześniej nie czuła zdenerwowania przed wejściem do wody, jednak teraz jej ciało reagowało na stres skurczami mięśni. Hope uścisnęła ją i życząc jej powodzenia, wsunęła pod krawędź czepka parę niesfornych kosmyków włosów przyjaciółki.

Następnie Danielle z trzema innymi dziewczynami ruszyła na stanowisko startowe. Razem z nią płynąć miały dwie czwartoklasistki (Jane, która asekurowała ją podczas wyciskania sztangi na siłowni, oraz Andrea) i jedna trzecioklasistka (Charice). Danielle zdawała sobie sprawę, w jak doborowym towarzystwie ma wystąpić – te trzy dziewczyny były najlepszymi pływaczkami w całej szkole. Przez cały czas zastanawiała się, czy w ogóle zdoła dotrzymać im kroku w wodzie.

Dziewczyny ustawiły się w ciasnym kręgu, a Jane starała się je zmotywować, jednak Danielle niezbyt uważnie jej się przysłuchiwała. Przypatrywała się dziewczynom w strojach kąpielowych. Wszystkie miały równie szerokie bary i rozwinięte mięśnie jak ona. Nagle poczuła, że wreszcie znalazła się wśród ludzi, do których pasuje.

Kiedy trzecia z dziewczyn wskoczyła do wody, Danielle założyła gogle,

weszła na słupek startowy i przygotowała się do ostatniej zmiany. Reprezentacja Mount Washington na tym etapie straciła już prowadzenie z czasem gorszym o sekundę lub dwie od rywala.

Gdy w końcu wskoczyła do wody, miała zupełnie czysty umysł. Cały nagromadzony w sobie ból i cierpienie z powodu miłosnego zawodu przekuwała w fizyczny wysiłek, wkładając w wymachy ramion i nóg maksimum energii.

* * *

Po zakończonych zawodach Danielle i Hope wsiadły razem do busa i zajęły wspólnie miejsce na przedzie. Wewnątrz panował nastrój zupełnie odmienny od tego, w jakim podróżowali rano. Wszyscy mieli doskonałe humory, tupali rytmicznie i klaskali, świętując zwycięstwo. Drużyna odśpiewała na całe gardło pieśń bojową reprezentacji, a dwóch chłopaków zatańczyło nawet w przejściu między fotelami.

Zespół Danielle na ostatnim etapie sztafety zajął pierwsze miejsce, zaś ona sama wyrównała rekord szkoły, jeśli chodzi o czas zmiany. Teraz, gdy było już po wszystkim, w głębi duszy była szczęśliwa z powodu swego osiągnięcia, jednak to uczucie nie docierało do niej. Była za to totalnie wyczerpana. Dała z siebie naprawdę wszystko podczas tych zawodów. A teraz miała wrażenie, jakby została całkowicie ogołocona z energii; w każdym razie nie miała siły, by świętować wygraną. Marzyła tylko o tym, by znaleźć się w łóżku i spać do poniedziałku.

W pewnym momencie Jane wychyliła się ze swojego fotela i zawołała:

– Danielle, nasza najwartościowsza zawodniczka! – Po czym wskazała na tył busa i dodała: – Znacie Willa Hardy’ego, prawda? Mieszka w tym budynku z czerwonej cegły, niedaleko parkingu szkolnego. Wszyscy ludzie z reprezentacji przed potańcówką zbierają się u niego. Urządzimy sobie przedbalową imprezę, porobimy zdjęcia, a potem pójdziemy całą grupą na salę gimnastyczną. Wpadnijcie też.

– O rany, dzięki! – odparła Hope, szczerząc do Jane zęby w uśmiechu, po czym spojrzała porozumiewawczo na przyjaciółkę. – Przyjdziemy na sto procent.

Danielle wsunęła dłonie do wnętrza rękawów.

– Nie wiem, czy będę. Ale dzięki za zaproszenie – powiedziała.

– Jak to? Nie wybierasz się na bal? – spytała Jane, z wrażenia rozchylając szeroko usta.

– Padam na twarz – wyjaśniła Danielle. – Zeszłej nocy przespałam w sumie jakieś pięć minut.

– Jak jesteś zmęczona, to się zdrzemnij – poradziła wesoło Jane. – Do balu pozostało jeszcze osiem godzin.

– Nie wiem, czy będę się czuła na siłach.

Widać było, że reakcja Danielle zbiła ją z tropu. Ewidentnie oczekiwała paru

słów wyjaśnienia, jednak dziewczyna nie była jeszcze gotowa, by opowiadać ludziom o tym, co zaszło ostatniego wieczora. Ta rana była zbyt świeża i bolesna.

Wyręczyła ją Hope.

– Danielle zerwała wczoraj ze swoim facetem – oświadczyła, wzdychając ciężko. – Zachowywał się wobec niej jak dupek z powodu listy. Wczoraj zaprosił ją do pizzerii i pozwolił, by jego kumple się z niej nabijali. A na koniec dowiedziała się, że chłopak organizuje imprezę, na którą jej nie zaprosił.

– Hope! – odezwała się z wyrzutem Danielle.

– Jak się nazywa ten gnojek? – spytała Jane, zaciskając usta.

– Andrew Reynolds – podpowiedziała Danielle, jednak dziewczyna wzruszyła ramionami, jakby to nazwisko nic jej nie mówiło. – Chodzi do drugiej klasy.

– Cóż, w takim razie Andrew może mówić o sporym szczęściu, bo zasłużył na to, żeby mu ostro nakopać do tyłka – stwierdziła dobitnie Jane, po czym odwróciła się do koleżanek siedzących na tyłach busa. – Andrea! Charice! Chodźcie tu i pomóżcie mi przekonać Danielle, żeby wybrała się z nami na bal.

Po chwili obie dziewczyny zajęły miejsce na fotelach po drugiej stronie przejścia.

– Co takiego? Dlaczego Danielle nie chce przyjść na tańce? – zainteresowała się Charice.

– Chodzi o jej byłego faceta, Andrew Reynoldsa – wyjaśniła Jane.

– A który to? – spytała Andrea.

– Chodzi do naszego liceum? – chciała wiedzieć Charice.

– Tak – odparła Danielle zdziwiona, że dziewczyny go nie kojarzą. Choć właściwie skąd miałyby go znać. Andrew to przecież dopiero drugoklasista. – Należy do reprezentacji futbolowej.

– Ale tak naprawdę wcale w niej nie gra – wtrąciła Hope. – Jest raczej z metra cięty. I ma takie dziwne, blisko siebie osadzone oczy. Jego twarz wygląda, jakby ktoś włożył mu głowę w imadło i mocno ścisnął.

– Aha, to ten chłopaczek z kiepską cerą – domyśliła się Andrea.

– Jego cera wcale nie jest taka kiepska – zaprotestowała stanowczo Danielle. – Wypryski robią mu się, kiedy dużo czasu spędza w kasku futbolowym.

Równocześnie jednak przyszło jej do głowy, że przecież plecy Andrew też są pokryte pryszczami. Zobaczyła je, kiedy pierwszy raz pływali razem w jeziorze Clover, ale nigdy nie zwracała na to większej uwagi. Jego trądzik nie miał dla niej żadnego znaczenia. Andrew podobał jej się taki, jaki był.

Schlebiało jej wprawdzie, że dziewczyny próbują ją namówić na wyjście, jednak istniał jeden zasadniczy powód, dla którego nie wchodziło to w grę. Zacerpnęła głęboko powietrza i powiedziała:

– Obawiam się, że nie zniosę widoku Andrew tańczącego z inną dziewczyną.

* * *

Sześć tygodni temu zatańczyli razem przy okazji potańcówki na zakończenie obozu. Wzdłuż pomostu nad wodą rozwieszono sznury lampek, które wprowadziły nie świeciły tak jasno jak gwiazdy, ale i tak tworzyły wyjątkową atmosferę.

Kierownik obozu wcielił się w rolę DJ-a. Do dyspozycji miał wypożyczone kolumny oraz wieżę stereo przyniesioną ze swojego gabinetu. Bawiącym się obozowiczom puszczał stare szlagiery, trochę popowych piosenek i jakieś dziwaczne kawałki w stylu *The Hokey Pokey* czy *The Electric Slide*. Tańczyły wyłącznie dziewczynki, tworząc niewielkie kręgi. Od czasu do czasu któryś z chłopców zbierał się na odwagę i dla żartów popisывał się jakimś dziwnym tańcem w stylu hip-hop, jednak wszyscy pozostali przypatrywali się temu z bezpiecznej odległości.

Andrew nie był zapalonym tancerzem. Prawdę mówiąc, Danielle też nie przepadała za tańcem. Poza tym impreza miała być rozrywką dla obozowiczów, a nie opiekunów. Dlatego ona i Andrew tkwili przy barze, popijając poncz i pilnując, by dzieciaki nie rzuciły w siebie preclami, a dziewczynki nie kręciły się zbyt szybko wokół własnej osi. Pozostali opiekunowie, starzy wyjadacze, stali nieopodal oparci o balustradę. Mieli nietęgą miny. Najwyraźniej dobijała ich świadomość, że jeszcze kilka puszczonech przez kierownika piosenek i najlepsza część tegorocznego lata przejdzie do historii.

Danielle nie była pewna, jakie właściwie znaczenie ta noc ma dla niej i Andrew. Kiedy już stali się parą, błyskawicznie zadurzyła się w nim po uszy. Chociaż z drugiej strony może wcale nie przebiegło to tak szybko, biorąc pod uwagę, jak wiele czasu spędzali razem. Spotykali się trzy razy dziennie przy posiłkach, a oprócz tego razem brali udział w zaplanowanych zajęciach obozowych. Obejrzelili też wszystkie filmy z obozowej kolekcji kaset wideo, docierając do tytułów zaczynających się w katalogu na W. Andrew wpadł nawet na pomysł, by zrobić zdjęcie pozostałym, nieprzejrzanym kasetom. Po powrocie do domu mieli dokończyć oglądanie. Fakt, że snuli takie plany, był oczywiście dobrą wróżbą na przyszłość. Danielle domyślała się jednak, że powrót do normalnego życia wiele zmieni w ich relacji. O ich uwagę będą teraz rywalizować znajomi, sport i szkoła.

Gdy turnus nad jeziorem zbliżał się do końca, powtarzała sobie raz za razem, że wszystko jakoś się ułoży, w nadziei, że w końcu sama w to uwierzy.

Tamtego wieczoru, na dzień przed wyjazdem, Andrew nachylił się do niej i szepnął:

- Ciesz się, że nie będziemy musieli się jutro rozstać.
- Ja też – odparła szeptem.

I nagle ten wieczór wydał jej się zupełnie inny niż dotychczas. Wszystkim

dzieciakom i opiekunom z wieloletnim doświadczeniem przynieść miał kres pięknej przygody, tymczasem dla Danielle i Andrew oznaczał coś zgoła innego. Nazajutrz nie czekało ich zajęcie miejsc w dwu różnych autokarach, które odjadą w przeciwnych kierunkach. Danielle wiedziała, że wrócą do Mount Washington razem.

Ten wieczór nie był końcem, lecz początkiem wszystkiego.

W pewnym momencie kierownik obozu wziął do ręki mikrofon i ogłosił, że piosenka, którą zaraz puści, będzie ostatnią. Zanim Danielle zdążyła się zorientować, Andrew chwycił ją za rękę i pociągnął na parkiet. Kilkoro dzieciaków na ich widok zrobiło głupie miny, ale Andrew wcale się tym nie przejął. Ujął Danielle w tali, a jego palce zahaczyły się o szlufki paska w jej szortach. Dziewczyna zarzuciła mu rękę na szyję.

– Jesteś piękna – powiedział.

* * *

Teraz tamte słowa Andrew sprzed sześciu tygodni wydawały się Danielle, w miarę jak smutna rzeczywistość kładła się cieniem na wszystkim, co było jasne i dobre, coraz bardziej pozbawione znaczenia. Czyż naprawdę wydawała mu się piękna tamtego wieczoru?

Sama rzeczywiście tak się wtedy czuła, mimo zaczerwienionych miejsc po ukąszeniach owadów, ukruszonego fioletowego lakieru na paznokciach u stóp i tych strasznych nieopalonych miejsc na ciele – pamiątek po godzinach spędzonych w kamizelce ratownika. W gruncie rzeczy przez całe to lato czuła się piękna. Ale teraz miała wrażenie, jakby tamten czas należał do jakiejś odległej epoki.

Gdy piosenka dobiegała końca, Andrew przypadkiem nadepnął jej na palce. Na nogach miał tamtego wieczoru tenisówki na gumowej podeszwie. Oczywiście zabolą ją, jednak tamten ból był niczym w porównaniu z tym, którego doznałaby, widząc, jak w tańcu depcze po palcach innej dziewczynie.

– Halo, Danielle! – Jane pstryknęła palcami, wrywając ją z zadumy. – To Andrew będzie zazdrosny, gdy zobaczy, że tańczysz z chłopakami z czwartej klasy.

– Ależ ja nie znam żadnych starszaków – roześmiała się Danielle.

– Jak to nie? – Jane odwróciła się i zawołała tańczącego w przejściu między fotelami Willa. – Will, zatańczysz dziś z Danielle?

– Jasne! – odparł ochoczo Will, szczerząc do niej w szerokim uśmiechu swoje bardzo białe i bardzo równe zęby. Zanim oddalił się w głąb busa tanecznym krokiem, rzucił: – Jestem mistrzem parkietu!

– A tak między nami, Will nie mógł oderwać od ciebie oczu podczas sztafety – wyznała szeptem Andrea.

– Jasne – parsknęła śmiechem Danielle.

– Dziewczyno, jesteś super laską – powiedziała Charice, nachylając się i szczypiąc ją w policzek. – Czym ty się w ogóle zajmujesz?

– Postanowione – zawyrokowała Jane, krzyżując ręce na piersi.

– O dziewiętnastej zajedziemy po was oboje. Kropka.

– Ale ja nie mam kiecki na bal – broniła się ze śmiechem Danielle.

Hope szturchnęła ją lekko w bok.

– Przecież masz tę różową sukienkę, którą kupiłaś niedawno.

Danielle przymierzyła ją wczoraj wieczorem bo awanturze z Andrew, żeby się jeszcze bardziej zdołować. Odniosła wtedy wrażenie, że sukienka zupełnie do niej nie pasuje. Nie chodziło tylko o materiał, ale o sam krój. Czula, że to coś kompletnie nie w jej stylu.

– Nie ma mowy, nie założę jej.

Jane wskazała Andreę i oświadczyła:

– Ta panna ma tyle kiecek, że mogłaby otworzyć butik.

– To prawda – odparła Andrea, odrzucając włosy na plecy. – Jestem odzieżową maniaczką. Mogę podrzucić ci parę sukienek. Chyba nosimy podobny rozmiar.

– Dzięki – powiedziała Danielle. Z wolna zaczynała się zapalać do tego pomysłu. Już dawno zwróciła uwagę na ciuchy Andrei. Ta dziewczyna zawsze miała na sobie coś ładnego.

– No to co, jesteśmy umówione?

– Tak – skinęła głową z uśmiechem.

ROZDZIAŁ 39

Margo zalała mlekiem płatki śniadaniowe i stanęła z miską przy zlewie. Do meczu futbolowego pozostało zaledwie kilka godzin. Dziewczyna wystroiła się już w kostium cheerleaderki, zaciesała włosy do góry i przewiązała je białą wstążką. Kuchnia była znów nieskazitelnie czysta, niczym po wizycie sprzątaczk. Po nocnej imprezie nie pozostał żaden ślad z wyjątkiem aromatu piwa wylanego do zlewu, trzech wielkich worków śmieci wystawionych na taras i ledwo wyczuwalnego smrodu tytoniu.

Lada chwila powinny zjawić się Rachel i Dana.

Margo podeszła do frontowego okna i rozsunęła zasłony. Samochód Jennifer nadal stał zaparkowany na podjeździe pod domem. Margo modliła się w myśli, żeby była przyjaciółka przyszła go odebrać, kiedy jej już tu nie będzie.

W pewnym momencie rozdzwonił się telefon. Margo liczyła, że to dziewczyny chcą ją uprzedzić, że chwilę się spóźnią. Okazało się jednak, że dzwoni Maureen.

– No cześć – przywitała się siostra, po czym umilkła na dłuższą chwilę, jakby dla potwierdzenia, że przez ostatni miesiąc nie zamieniły ani słowa. – Jest mama? Dzwonię do niej, ale nie odbiera komórki.

– Wyszła z tatą na zakupy. Potem wybierają się na mecz.

– Racja – powiedziała Maureen beznamiętnym tonem. – Jak przygotowania do balu?

Margo nie miała wcale ochoty dzielić się z Maureen szczegółami, jednak w gruncie rzeczy siostra była w tej chwili jedyną osobą, z którą mogła o tym porozmawiać.

– Prawdę mówiąc, kiepsko. W szkole zorganizowano kampanię na rzecz wyboru Jennifer Briggis na królową balu.

Po drugiej stronie słuchawki rozległo się wyrażające irytację westchnienie Maureen.

– Nie sądzisz, że to lekka przesada? Przecież to okrutne. Ta dziewczyna już dość wycierpiała.

– Nie mam z tym nic wspólnego – zapewniła Margo. Nie podobał jej się ton, jakim siostra zwracała się do niej. Zwłaszcza że to Maureen kiedyś nakłaniała ją do zakończenia znajomości z Jennifer. – Tak naprawdę jestem jedną z niewielu osób, które nie zaangażowały się w tę akcję. Mimo że wszyscy w szkole sądzą, że to ja w tym roku przygotowałam listę.

– Zaraz, zaraz. Jaką listę?

– Od niecałych czterech miesięcy nie chodzisz do liceum, a już zapomniałaś, czym jest lista? – szydziła Margo, zerkając na zegarek. Za pięć minut cheerleaderki

powinny stawić się w szkole, tak by zdążyły wsiąść do autokaru z zawodnikami i ruszyć na czele Karawany Entuzjastów. Wyglądało na to, że zjawią się na ostatnią chwilę.

– Wcale nie zapomniałam – warknęła w odpowiedzi Maureen. – Tylko że zeszłoroczna edycja listy miała być ostatnia.

Margo mimo woli ścisnęła kurczowo słuchawkę.

– Skąd o tym wiesz?

Nim Maureen udzieliła jej odpowiedzi, upłynęła dłuższa chwila. W oczekiwaniu dziewczyna aż przysiadła na podłokietniku sofy. Nagle ogarnęło ją dziwne przeczucie. Wreszcie Maureen zaczerpnęła głęboko powietrza i oświadczyła:

– Ponieważ to ja ją przygotowałam.

W tej samej chwili zza okna dobiegł klakson – znak, że Dana i Rachel czekają już w samochodzie.

– Jak to „ty ją przygotowałaś”? – spytała szybko Margo, świadoma, że musi już lecieć. – Przecież w zeszłym roku na niej figurowałaś.

– Wiem o tym. – Margo usłyszała, jak siostra przekłada telefon do drugiej ręki. – Sama się na niej umieściłam.

– Ale przecież... – zaczęła dziewczyna, jednak w tej samej chwili znów rozległ się dźwięk klaksonu. Mruknęła pod nosem przekleństwo, po czym rzuciła do słuchawki: – Zaczekaj chwilę, nie rozłączaj się.

Odłożyła słuchawkę na sofę, po czym podbiegła do drzwi.

– Spotkamy się w szkole – zawołała do Dany i Rachel. – Jedźcie beze mnie!

– Co takiego? Dlaczego? – krzyknęła w odpowiedzi Dana.

– Przecież spóźnisz się na Karawanę Entuzjastów! – zauważyła Rachel.

– Najwyżej spotkamy się na boisku – obiecała. Dana i Rachel wyglądały na zupełnie zbite z tropu. Nie rozumiały, co takiego mogło zatrzymać przyjaciółkę. Margo nie miała jednak czasu wszystkiego im tłumaczyć. Pomachała im i zanim zamknęła drzwi, zawołała: – Wyjaśnię potem.

Następnie pędem pognęła do pokoju i podniosła słuchawkę.

– Maureen, jesteś tam jeszcze?

– Tak – odparła siostra znużonym głosem.

Margo wyrzała przez okno – po dziewczynach nie było ani śladu.

– No dobra, opowiadaj – poprosiła, siadając po turecku na podłodze na środku pokoju. Nie wypowiedziała już ani jednego słowa. Słuchała z zapiętym tchem tego, co siostra miała do powiedzenia.

– To było pod koniec trzeciej klasy. Robiłam akurat porządek w swojej szafce na książki, gdy na dnie odnalazłam jakąś plastikową torbę. Była dziwnie ciężka. W środku zobaczyłam coś zawiniętego w szary papier do pakowania. Kiedy go odwinęłam, okazało się, że to stara pieczęć liceum Mount Washington. W torbie

nie było żadnego liściku, żadnych wskazówek ani informacji, kto ją podrzucił. Nie wiedząc, co o tym myśleć, zaczęłam nawet przetrząsać kosz na śmieci. Sądziłam, że przez nieuwagę wyrzuciłam liścik razem z innymi papierami, których się wtedy pozbywałam. Nie mam pojęcia, od jak dawna ta torba tam leżała. Od razu jednak zrozumiałam, że stanęłam przed wielką szansą. No i potem przez całe lato rozmyślałam, jakie nazwiska powinny znaleźć się na liście. Nagle poczułam, że mam wielką władzę. Z obsesyjną wręcz uwagą zaczęłam oceniać wszystkich ludzi, których napotykałam. Obserwowałam moje koleżanki, ale też twoje znajome i wszystkie dziewczynki z pierwszych klas. Z dnia na dzień zostałam jedynym jurorem wielkiego tajnego konkursu piękności. Skupiałam się wyłącznie na atrakcyjnych dziewczynach. Te brzydkie... no cóż, nimi zajęłam się dopiero na koniec. Z wyjątkiem Jennifer, bo w jej przypadku już na samym początku zdecydowałam, że znajdzie się na liście.

– Dlaczego?

– Gdybym umieściła na niej kogokolwiek innego, ludzie poczuliby się zawiedzeni – wyjaśniła Maureen, po czym umilkła, pozwalając wybrzmieć tym słowom. – Przez chwilę chciałam wskazać ciebie jako najładniejszą trzecioklasistkę, uznałam jednak, że mogłoby to wzbudzić niepotrzebne podejrzenia, dlatego ostatecznie zdecydowałam się na Rachel. Sama rozumiesz, nie mogłam pozwolić, byśmy obie w tym samym roku znalazły się na liście.

– Przecież mogłaś umieścić na niej mnie zamiast siebie – zauważyła Margo.

– Niby tak. Ale uważałam, że zasługuję, żeby się na niej znaleźć.

Zabawne, bo Margo była takiego samego zdania. Nigdy nie podważała prawa siostry do znalezienia się na liście i zdobycia tytułu królowej balu. Teraz jednak, gdy dowiedziała się, że to Maureen była jej autorką, wszystko uległo zmianie.

– Cała frajda z bycia wybraną najładniejszą czwartoklasistką trwała tyle co nic – ciągnęła siostra. – Koleżanki mi zazdrościły, zaczęły się do mnie dziwnie odnosić. Uważały, że im ten tytuł należy się bardziej niż mnie. I może miały rację, ja jednak zaczęłam podejrzewać, że wcale nie są moimi prawdziwymi przyjaciółkami. I za każdym razem, gdy widziałam na korytarzu Jennifer, która próbowała dalej być dla wszystkich dobrą kumpelą, miałam wyrzuty sumienia. Czytałaś kiedyś opowiadanie Edgara Allana Poe o sercu, które bije pod podłogą? Tak właśnie wyglądało wtedy moje życie. I to właśnie to opowiadanie było dla mnie inspiracją, by wszystko wyznać. Po maturze odwiedziłam Jennifer i wszystko jej opowiedziałam. Obiecałam, że dopilnuję, by w przyszłym roku nie znalazła się znów na liście. Zapewniłam, że w ogóle żadna lista już nie powstanie. I że nie dopuszczę, by czwarty rok z rzędu pojawiło się na niej jej nazwisko. A potem na jej oczach wyrzuciłam pieczęć do kosza. Przeprosiłam Jennifer i powiedziałam, że jeśli na mnie doniesie, wcale nie będę miała do niej żalu.

– O rany... A wcześniej komu zamierzałaś przekazać stempel?

– Pewnie oddałabym go tobie. Ale nigdy bym się nie przyznała, że dostałaś go ode mnie.

Przez głowę Margo przelatywało teraz sto różnych myśli. Kogo ona umieściłaby na liście, gdyby miała taką możliwość? Z całego serca pragnęła zdobyć tytuł królowej, ale czy to skłoniłoby ją do wpisania na nią swojego imienia?

Rozważania takie były oczywiście pociągające, ale w gruncie rzeczy nie miały już żadnego znaczenia. Liczyło się tylko to, że Margo jest niewinna oraz że dostała dowód na to, że winę ponosi Jennifer.

– A zatem Jennifer wyciągnęła pieczęć z kosza na śmieci, sporządziła tegoroczną listę i co? Sama nadała sobie tytuł najbrzydszej czwartoklasistki?

– zastanowiła się Margo. Nie mogła pojąć, po co dziewczyna miałaby to zrobić.

– Dokładnie – przyznała Maureen. – A ciebie uznała za najładniejszą.

* * *

Karawana Entuzjastów pewnie kierowała się już w dół wzgórza, ku stadionowi, jednak Margo nie zamierzała jej gonić. Pojechała prosto do domu Jennifer. Czuła, że to sprawa niecierpiąca zwłoki.

Niesamowite, a więc przez cały ten czas Jennifer wiedziała, że Margo nie ma z listą nic wspólnego. Musiała przecież zdawać sobie sprawę, że ludzie podejrzewają właśnie jej byłą przyjaciółkę, a mimo to nie wyprowadzała ich z błędu i nie próbowała stanąć w jej obronie. Przeciwnie, stała z boku i z przyjemnością obserwowała, jak plotka niszczy reputację Margo, sprawia, że zarówno jej znajomi, jak i kompletnie obcy ludzie myślą o niej najgorsze rzeczy.

Dziewczyna żałowała teraz, że kiedykolwiek współczuła Jennifer. Najchętniej cofnęłaby czas i wymazała całą rozmowę z Matthew na tarasie. No dobrze, może nie całą – zostawiłaby samą jej końcówkę, ale usunęłaby dotyczące Jennifer fragmenty, które mogły postawić Margo w oczach chłopaka w niekorzystnym świetle. Nie mogła się doczekać, aż postawi byłą przyjaciółkę pod ścianą i zmusi, by przyznała się do swoich niecznych sprawek. I wreszcie będzie się mogła zaśmiać w twarz tym wszystkim, którzy sądzili, że skrzywdziła Jennifer.

Kiedy jednak zatrzymała samochód przed jej domem, nagle ze zdziwieniem stwierdziła, że się denerwuje. Za chwilę miały sobie wszystko wygarnąć prosto w twarz. Będzie to rozmowa, którą zapewne powinny były odbyć w ósmej klasie. Teraz jednak będzie ona jeszcze trudniejsza i bardziej bolesna.

Drzwi otworzyła jej pani Briggis. Ostatni raz Margo widziała się z nią w dniu, w którym zerwała znajomość z Jennifer. Obawiała się, że czeka ją chłodne powitanie ze strony gospodyni, jednak jak się okazało, bez powodu.

– Margo! Cóż za niespodzianka! – ucieszyła się pani Briggis, po czym

zerknęła przez ramię w głąb domu i dodała: – Jennifer jeszcze śpi, chyba marnie się dzisiaj czuje.

– Mogłabym wstąpić na chwilę i z nią porozmawiać? To nie potrwa długo. Chodzi o zeszły wieczór.

– Ależ naturalnie. Jennifer nie może się już doczekać balu. To bardzo miłe z waszej strony, dziewczynki, że zabrałyście ją na zakupy i nakłoniłyście, żeby wybrała się na potańcówkę. Jestem pewna, że jeśli choć raz nie wybierze się na licealną imprezę, będzie tego żałować do końca życia.

– No tak – wybąkała Margo, utkwivszy spojrzenie w podłozde.

W końcu ruszyła na piętro, gdzie znajdował się pokój Jennifer. Pokonywała w podskokach po dwa stopnie schodów na raz i po chwili, bez pukania, weszła do pokoju byłej przyjaciółki. Jennifer spała w łozku. Na podłozde leżała sterta ubrań, w których była na imprezie.

Ściany pomalowane były na ciepły, radosny odcień żółci. Margo pomyślała, że to chyba nowy kolor, choć w rzeczywistości nie pamiętała już, jak wyglądały kiedyś. Z pokoju znikło piętrowe łozko, a zamiast niego wstawiono pojedyncze, o metalowej konstrukcji, z kulami z różowego szkła umieszczonymi na słupkach w rogach. Z miejsca, gdzie stała Margo, nie mogła dostrzec Jennifer. O tym, że dziewczyna faktycznie śpi, świadczyło wybrzuszenie na kołdrze, którą uszyła jej babcia w prezencie na jedenaste urodziny. Margo zawsze uwielbiała tę kołdrę, a najbardziej podobały jej się różowe kwadraty z naszytymi truskawkami. Jennifer wolała te z koniczyną.

Odkąd przestały się przyjaźnić, Margo nie myślała w ogóle o babci Jennifer. Uświadomiła sobie teraz, że starsza kobieta już pewnie nie żyje. Kiedy dziewczynki chodziły do ósmej klasy, była już ciężko chora; jej stan szybko się pogarszał. Jennifer dzwoniła czasem do domu starców, gdzie ją przeniesiono, i śpiewała babci przez telefon.

– Jennifer – szepnęła, podchodząc ostrożnie do łozka. – Jennifer, obudź się.

Po chwili Jennifer wystawiła głowę spod kołdry i wpatrzyła się w gościa, mrużąc oczy.

– A co ty tu robisz?

– Jennifer, wiem, że to ty stworzyłaś w tym roku listę. Siostra opowiedziała mi o wszystkim – oświadczyła Margo, po czym skrzyżowała ręce na piersi i czekała, aż rewelacja odbije się jakoś na twarzy byłej przyjaciółki.

Jennifer przewróciła się na bok. Margo widziała, że jest strasznie obolała. Pewnie miała kaca po wypitym wczoraj alkoholu. Sięgnęła po szklankę z wodą stojącą na stoliku nocnym, pociągnęła solidny łyk.

– Auć – jęknęła.

Auć? Tylko tyle? – zastanowiła się Margo.

Omiotła spojrzeniem cały pokój w nadziei, że zauważy gdzieś starą pieczęć

Mount Washington – dowód, który mogłaby zabrać i wszystkim pokazać. W pokoju panował jednak bałagan. Jennifer zapewne ukryła gdzieś swój skarb.

– Dlaczego w rubryce „najbrzydsza czwartoklasistka” umieściłaś siebie? – spytała Margo. – Żeby mnie zrobić, co? Czy po prostu chciałaś, żeby ludzie ci współczuli?

– A dlaczego nie mieliby mi współczuć? – zastanowiła się Jennifer. Pytanie nie było zadane sarkastycznym tonem. Pobrzmiwała w nim autentyczna ciekawość.

– No bo... to twoja wina, że jesteś na liście! Sama to sobie zrobiłaś!

Jennifer potrząsnęła głową z taką miną, jakby Margo słabo kojarzyła fakty.

– No tak, w tym roku faktycznie. Ale co z pozostałymi trzema latami liceum? Maureen wyjaśniła mi, że umieściła mnie na swojej, bo gdyby znalazł się na niej kto inny, byłby to dla wszystkich wielki zawód. I wiesz co? Miała rację. Gdybym potem, kiedy miałam już taką możliwość, nie wciągnęła siebie na listę, ludzie uznaliby: *Ten tytuł powinien należeć do Jennifer*. – Po tych słowach zamknęła oczy i skrzywiła się z bólu. Następnie usiadła na łóżku i powiedziała: – Słuchaj, nie miałam pojęcia, że w ogóle powstanie cała ta inicjatywa GŁOSUJ NA JENNIFER. Dla mnie było to równie wielkie zaskoczenie co dla ciebie.

– W takim razie po co umieściłaś się na liście?

– Ponieważ dzięki temu czułam, że jestem kimś. Lista sprawiła, że jestem rozpoznawalna. Nie rozumiem, o co właściwie masz do mnie pretensje. Przecież wybrałam cię najładniejszą czwartoklasistką, prawda?

Margo nie mogła już dłużej powstrzymać śmiechu. Jeszcze w poniedziałek wydawało jej się, że została obwołana najładniejszą uczennicą czwartych klas decyzją całej szkoły. Sądziła, że to niezbity fakt. Tymczasem okazało się, że nic podobnego – tytuł ten przyznała jej wyłącznie Jennifer.

– Margo, naprawdę jesteś najładniejsza – ciągnęła Jennifer. – A ja w żaden sposób nie chciałam ci zaszkodzić. Kiedy Dana i Rachel zaczęły się do mnie przyjaźnie odnosić, wpadła mi do głowy pewna myśl... Wyobraziłam sobie, że jeśli udowodnię, że pasuję do twojej paczki znajomych, może znów się zaprzyjaźnimy. Bardzo szybko jednak zrozumiałam, że nie masz na to ochoty.

To prawda, Margo wcale nie miała na to ochoty.

Dlaczego jednak Jennifer tak zależało na odświeżeniu tej znajomości? Czyżby nie ziała do Margo nienawiścią?

Margo przypomniała sobie, jak nakryła Jennifer myszkującą w jej pokoju.

– Co robiłaś wczoraj wieczorem w moim pokoju? Czego tam szukałaś? To ty sporządziłaś listę, więc na pewno nie rozglądałaś się za pieczęcią. Co miałaś nadzieję znaleźć w mojej szafie?

Dopiero wtedy na twarzy dziewczyny zaszła zmiana, którą Margo pragnęła zobaczyć. Kąciki jej ust opadły. Było jasne, że dziewczyna poczuła się zażenowana

i upokorzona. Ale Margo nadal nie wiedziała, co tak naprawdę stoi za tymi emocjami.

– Szukałam twojego pamiętnika.

Ta rewelacja wydarła z ust Margo głuche westchnienie. Z wrażenia cofnęła się parę kroków, aż poczuła, że plecami dotyka drzwi.

– Czytałaś mój pamiętnik? – spytała z niedowierzaniem.

– Ale nie ciągle. Zaglądałam do niego, kiedy zaczęłaś się do mnie dziwnie odnosić. Nie wyjaśniłaś mi, o co ci chodzi. Próbowałam po prostu zrozumieć, co się dzieje z naszą przyjaźnią.

Nagle wszystkie elementy układanki zaczęły do siebie pasować.

– No tak, zawsze wiedziałaś, jakich słów użyć, żeby sprawić mi przykrość. Teraz już wiem dlaczego.

Wiele razy wydawało jej się dziwne, że Jennifer porusza w rozmowie z nią sprawy, które Margo powierzała wyłącznie kartom pamiętnika. Opisywała w nim na przykład swoje lęki związane ze zbyt małym biustem. Albo zwierzała się ze wspólnych wypadów z Daną i Rachel, o których wiedziały tylko one. Albo pisała o swojej miłości do Matthew Gouldinga. Albo o tym, że czasami Maureen napawa ją strachem. Mnóstwo stron poświęciła swoim wewnętrznym rozterkom związanym z zerwaniem znajomości z Jennifer.

Zaczerpnęła głęboko powietrza, próbując zebrać myśli. Jennifer musiała wiedzieć, że ich znajomość czeka rychły koniec, na długo zanim Margo znalazła w sobie siłę, by faktycznie ją zerwać. W takim razie być może niepotrzebnie miała takie wyrzuty sumienia – najwyraźniej dla Jennifer koniec ich znajomości wcale nie był tak wielkim zaskoczeniem, jak dotychczas sądziła. Wiedziała, że w zerwaniu wcale nie chodziło o to, że atrakcyjna dziewczyna kończy znajomość z brzydką koleżanką. Była w pełni świadoma poczucia winy, z jakim zmagala się Margo, i niepokoju, jaki budziła w niej perspektywa zranienia uczuć przyjaciółki.

– Sądziłam, że z tą wiedzą zdołam cię przy sobie zatrzymać, że nie wybierzesz Rachel i Dany zamiast mnie. Myliłam się.

Margo uświadomiła sobie, że Jennifer posługuje się nadal tą samą chorą logiką, co w ósmej klasie. Poczula nagłą potrzebę wyjścia z pokoju. Chciała opuścić jak najszybciej ten dom, znaleźć się daleko od Jennifer, podobnie jak przed laty. Jedyne różnica polegała na tym, że tamta, młodsza o kilka lat Margo nie była do końca świadoma, co tak naprawdę nią kieruje. Teraz natomiast doskonale wiedziała, czego chce. I nie miała w związku z tym absolutnie żadnych skrupułów.

Wiedziała też, że zanim wyjdzie, musi załatwić jeszcze jedną sprawę.

– Daj mi tę pieczęć – powiedziała, przelękając nerwowo ślinę.

– Powiesz wszystkim, że to ja stworzyłam w tym roku listę? Twój plan polega na tym, żeby dopilnować, że nie zdobędę tytułu królowej?

– Jennifer, tu nie chodzi o jakiś durny tytuł królowej balu! I nie licz na to, że

będę świeciła za ciebie oczami. Przecież wszyscy sądzą, że lista to moja sprawka.

– O rany, biedactwo – odezwała się z przekąsem Jennifer, przewracając oczami. – Przecież wiesz, że tego nie zrobiłaś. Co cię obchodzi, co sądzą inni? No tak, ty też się wcale nie zmieniałaś. Nadal przejmujesz się opiniami innych ludzi.

– Oddaj tę pieczęć. Moja siostra powiedziała ci przecież, że nie życzy sobie listy w kolejnych latach.

Jennifer wydeła wargi i opadła z powrotem na łóżko.

– Wiesz co? Umówmy się tak: skoro tak bardzo zależy ci na pieczęci i zakończeniu tradycji listy, oddam ci ją wieczorem po balu. Zgoda?

– Nie.

– W takim razie zapomnij o niej.

Margo podparła się pod boki.

– Dobrze, wcale jej nie potrzebuję. I tak opowiem wszystkim, co zrobiłaś.

– Ale nie będziesz miała żadnego dowodu. A ja wszystkiego się wyprę. A potem przekażę pieczęć komuś, kto przygotowuje przyszłoroczną edycję. Już nawet wiem, kto to będzie. A ty nie będziesz mogła mi w żaden sposób przeszkodzić.

– Naprawdę jesteś gotowa zrobić coś takiego? – zdziwiła się Margo. – Pomyśl o innych dziewczynach, o tych brzydulach, które wciągnęłaś na listę. Co z nimi?

– Wybrałam je nie bez przyczyny. Słuchaj, wszystkie dziewczyny, które znalazły się na liście, są tam z konkretnego powodu. Poza tym nic im się nie stanie, w końcu to tylko jeden rok. Spójrz na mnie, ja przeżyłam cztery – stwierdziła Jennifer, po czym westchnęła i dodała: – Margo, podaruj mi ten jeden wieczór. Proszę, pozwól mi przez jeden wieczór nie czuć się tą brzydką. Jeśli się zgodzisz, oddam ci pieczęć po imprezie. Jeśli odrzucisz moją propozycję, no cóż... możesz spróbować wpędzić mnie w kłopoty. Ale pamiętaj, narazisz też Maureen.

Margo wiedziała, że nie jest już nic winna Jennifer. Jednak nie czuła potrzeby wyrywania jej pieczęci przemocą czy rozprowadzania na jej temat rewelacji, które w efekcie mogły zaszkodzić Maureen.

Chodziło o coś więcej niż jej przepychanki z Jennifer. W grę wchodziło dobro ogółu. Margo miała możliwość rozprawienia się raz na zawsze z tradycją listy. I nieoczekiwanie właśnie to stało się dla niej najważniejsze. Jesienny bal i szansa oczyszczenia swojego imienia przed rówieśnikami zeszły na dalszy plan. Teraz liczyło się dla niej tylko to, by nikt inny nie był już nigdy narażony na to piekło.

– Jeden wieczór – powiedziała do Jennifer. – Daję ci dzisiejszy wieczór. A potem z tym kończymy.

ROZDZIAŁ 40

To była najstraszniejsza sobota w całym życiu Abby.

Podczas meczu Lisa wysyłała jej SMS-y, w których na bieżąco relacjonowała przebieg spotkania i jego wynik. To było miłe z jej strony, jednak równocześnie nie ułatwiało zadania Abby, która musiała bez przerwy zapoznawać się z opisami wszystkich akcji, chociaż wolałaby przypatrywać się im na żywo.

Mecz nie układał się zbyt dobrze dla ich drużyny, zwłaszcza na początku. Po pewnym czasie desperacja kazała trenerowi wypuścić na boisko zawodników z ławki, a potem sięgać do jeszcze głębszych rezerw. Reprezentacja Mount Washington zdołała jednak odrobić straty i pod koniec spotkania traciła zaledwie jeden punkt. Gdy do końcowego gwizdka pozostało tylko kilka sekund, przegrywający zdecydowali się na ryzykowne długie podanie przez całe boisko. Piłka adresowana była do Andrew, który jednak nie zdołał jej złapać, grzebiąc szanse swojej drużyny na zwycięstwo. Po meczu Lisa widziała, że do chłopaka nie przyznają się nawet koledzy z drużyny.

Abby, wbrew sobie, cieszyła się, że reprezentacja jej szkoły poniosła porażkę.

Kto wie, może Andrew będzie tak rozżalony, że zrezygnuje z organizacji imprezy. Albo Jennifer i Margo zaczną się wyklócać o koronę królowej i dyrektorka Colby odwoła bal. A może odpowiednie służby uznają, że smród Sary stanowi zagrożenie dla środowiska naturalnego, i zamkną całą salę gimnastyczną.

Nadal istniała nadzieja.

Reszta popołudnia ciągnęła się Abby jak flaki z olejem. Nie wiedziała, co ze sobą począć. A kiedy w końcu nadeszła pora, w której teoretycznie powinna zacząć się szykować do wyjścia na tańce, z braku lepszego pomysłu zajęła się właśnie tym.

Najpierw wzięła długi prysznic i ogoliła nogi. Następnie wysuszyła włosy i podkręciła na lokówce same końcówki, za wzór biorąc fryzurę, którą latem robiła sobie i Lisie na plaży Bridget.

Potem otworzyła kosmetyczkę i zaczęła malować oczy. Podmalowała tuszem rzęsy, w załamaniu powiek nałożyła nieco cienia. Policzki pokryła różem w odcieniu płatków róży. Wiedziała, że najlepiej pasowałby do jej sukienki – tej, której nie kupiła. Usta pomalowała najpierw konturówką, a potem nałożyła warstwę szminki.

W paru SMS-ach poprosiła też Lisę, by podesłała jej zdjęcie w balowej kreacji. Przyjaciółka nie odpowiadała jednak na wiadomości. Może była zbyt podekscytowana zbliżającą się zabawą, a może Bridget robiła jej akurat fryzurę. Czując, że zaraz się poryczy, Abby znalazła w sobie siłę, by wysłać przyjaciółce

ostatniego SMS-a:

BAW SIĘ DOBRZE!

I wyłączyła komórkę. Zastanawiała się, czy powinna zażyć coś na sen. W przeciwnym razie groziło jej, że przez całą noc nie zmruży oka, tylko będzie wpatrywać się w zegarek i wyobrażać sobie, jak cudownie wszyscy się bawią.

W końcu Abby wyszła z łazienki i ruszyła do pokoju. Fern siedziała przy swoim biurku, na którym rozłożyła tom *The Blix Effect* oraz zeszyt.

– No to co, gotowa? – spytała niecierpliwie starsza siostra.

– Czytałaś tę książkę dziesięć razy, wczoraj widziałas w kinie ekranizację, niedługo idziesz na następny seans. Naprawdę musisz znowu ją czytać?

– Po prostu próbuję zabić czymś czas, kiedy robisz się na bóstwo w łazience – wyjaśniła Fern, po czym zanotowała coś w zeszycie. Kiedy podniosła wzrok na Abby, wydawała się zaskoczona. – Ejże, pamiętasz, że nie wolno ci pójść na bal, prawda?

– Zamknij się – warknęła Abby, czując narastający gniew.

Wskoczyła do łóżka, przykryła się i schowała głowę pod kołdrę.

– Pięknie – parsknęła Fern.

Przez szparę spod kołdry Abby widziała, że siostra spogląda ku jej części pokoju, w której królował bałagan. Po ustach Fern błędnął złośliwy uśmiezek. W końcu siostra westchnęła ciężko niczym matka w obliczu nieposłuszeństwa dziecka. W jej ustach zabrzmiało to niezbyt naturalnie, jak u dziewczynki próbującej udawać dorosłego. Po chwili przeniosła książki z biurka na swoje nienagannie pościelone łóżko.

– Chodź tutaj – zwróciła się do Abby. – Może wykorzystasz fakt, że dostałaś szlaban, i posprzątasz. Twoja część pokoju to istny chlew.

Abby skopała z siebie kołdrę, wstała i ruszyła z mozołem ku fotelowi przy biurku Fern. Siostra uklękła obok niej na podłodze. Abby otworzyła swoje podręczniki i wyjęła z plecaka arkusz z nadal nieodrobionymi ćwiczeniami z poniedziałku. Kartka była wygnieciona, co najwyraźniej poirytowało Fern. Reakcja siostry sprawiła Abby satysfakcję. Nie miała najmniejszej ochoty odrabiać teraz tych zadań. Wolałyby już po prostu nie dostać zaliczenia.

Fern pożerała wzrokiem arkusz. Abby liczyła skrycie, że siostra nie będzie już pamiętała tego materiału. Po chwili jednak Fern oznajmiła:

– No dobrze, w tym zadaniu masz obliczyć tempo ekspansji dna oceanicznego.

Abby utkwiała spojrzenie w mapie zamieszczonej w podręczniku. W miejscu, gdzie znajdowała się Ameryka Północna, umieszczono gwiazdkę. Drugą gwiazdkę oznaczono Afrykę. Pomiędzy dwoma kontynentami rozpościerał się błękit Oceanu Atlantyckiego.

– Osiemdziesiąt cztery miliony lat temu dno oceanu między Ameryką

Północną a Afryką rozciągało się na długości około dwóch tysięcy dwustu kilometrów. Obecnie oba kontynenty dzieli cztery i pół tysiąca kilometrów – tłumaczyła Fern. W pewnym momencie Abby zaczęła notować informacje podawane przez siostrę, jednak ta jej przerwała. – Nie musisz tego notować. Te dane masz już podane na karcie ćwiczeń.

– Dobrze – odparła Abby, wyciągając przed siebie nogi i krzyżując je w kostkach.

Fern odczekała kilka sekund, które Abby wydawały się wiecznością, po czym spytała:

– Jaki krok powinnaś teraz wykonać?

Abby zapatrzyła się w błękit oceanu na karcie ćwiczeń. Błękit stawał się tym ciemniejszy, im bliżej było miejsca zszycia kartek.

– Odejmovanie?

– No tak... Ale zauważ, że dane masz wyrażone w kilometrach, a w odpowiedzi masz użyć cali.

– A dlaczego?

– Ponieważ dno oceaniczne rozrasta się powoli i gdybyś wyraziła jego tempo w kilometrach, wówczas uzyskałabyś bardzo niskie, niewiele znaczące wartości. Innym powodem jest fakt, że w USA nie stosujemy do określania odległości kilometrów.

Fern mówiła mentorskim tonem. Z jej głosu emanowała pewność siebie. Wszystkie słowa były precyzyjne i sprawiały wrażenie ostrych niczym koniuszek świeżo zatemperowanego ołówka.

– Skoro odpowiedź jest tak *nieznacząca* – spytała Abby, z trudem wypowiadając nieznane słowo – po co się nią zajmować?

Fern utkwiała w siostrze spojrzenie wyrażające krańcowe zdumienie.

– Ponieważ ruchy płyt tektonicznych wywołują wybuchy wulkanów oraz tsunami. Mount Everest każdego roku staje się wyższy o dwa i pół centymetra. To są procesy, które wymagają śledzenia.

– Dwa i pół centymetra? No to faktycznie są rewolucyjne zmiany.

Fern puściła jej ironiczną uwagę mimo uszu.

– Jeden kilometr równa się sześćdziesięciu dwóm setnym mili. Jedna mila to pięć tysięcy dwieście osiemdziesiąt stóp, natomiast jedna stopa to dwanaście cali.

– Znasz te wartości na pamięć? – spytała Abby, wybuchając serdecznym śmiechem. W gruncie rzeczy wcale nie było to takie śmieszne, ale uwielbiała sytuacje, w których mogła dopiec swojej zarozumiałej siostrze.

– To proste przeliczniki – wyjaśniła lakonicznie Fern. – Żeby rozwiązać to zadanie, musisz przeprowadzić mnożenie na krzyż.

Po tych słowach wstała z podłogi, podeszła do łóżka i rzuciła się na nie, jakby była już krańcowo wyczerpana.

Abby chwyciła długopis i zapisała w zeszycie słowa „mnożenie na krzyż” w nadziei, że niczym magiczne zaklęcie odblokują jej pamięć.

Nic takiego jednak się nie stało.

Fern otworzyła powieść, jakby była gotowa zatopić się na nowo w lekturze. Abby czuła jednak na sobie spojrzenie siostry.

– Abby, najpierw musisz obliczyć proporcję, a potem przeprowadzić mnożenie.

– Nie wiem, jak to zrobić – powiedziała Abby, odkładając długopis.

– Przecież takie rzeczy przerabia się w ósmej klasie – zauważyła Fern, robiąc kwaśną minę.

– Nie pamiętasz już, że w zeszłym roku też byłam głupia? – spytała Abby, wstając gwałtownie od biurka.

– Wcale nie jesteś głupia.

– Nieważne. – Dziewczyna położyła się na swoim łóżku. – Wiem, że tak naprawdę wcale nie chcesz mi pomóc. Dajmy sobie z tym spokój.

Fern stanęła nad nią, podparłszy się pod boki.

– Ależ z ciebie wredna smarkuła – westchnęła. – Sama mam całą stertę własnych prac domowych. Angażuję swój czas, próbując ci pomóc, a ty w ogóle tego nie doceniasz.

– To i tak nie ma żadnego znaczenia. Ominie mnie bal.

– Chyba żartujesz! Abby, jeśli z innych przedmiotów masz takie zaległości jak z nauk o ziemi, czeka cię powtarzanie roku. Naprawdę chcesz zostać w pierwszej klasie na przyszły rok? Jak myślisz, jak to odbije się na twojej pozycji towarzyskiej, na której tak bardzo ci zależy? A może chodzi ci o to, żeby za rok *znowu* zdobyć tytuł najładniejszej pierwszoklasistki? To byłoby naprawdę super, co nie?

Abby odwróciła się na plecy i wpatrzyła w sufit. Powtarzanie klasy było jedną z tych rzeczy, które napawały ją największym strachem. Fern zresztą dobrze o tym wiedziała. A teraz najwyraźniej postanowiła tę wiedzę wykorzystać jako argument przetargowy. Abby zaczerpnęła głęboko powietrza i krzyknęła na całe gardło:

– Jesteś straszną siostrą!

Spłoszona Fern odsunęła się od łóżka.

– Jak to? Przecież właśnie próbuję ci pomóc...

Abby szybko uklękła na łóżku i w oskarżycielskim geście wyciągnęła palec w kierunku siostry, dźgając nim powietrze. Gest był tak gwałtowny, że aż podskoczyła na sprężynowym materacu.

– Nie masz w ogóle wyrzutów sumienia, że doniosłaś na mnie rodzicom?

– I dlatego przy stole wspomniałaś o panie Timmecie, tak? Żeby się na mnie zemścić? – domyśliła się Fern. Po chwili potrząsnęła głową i dodała: – Przykro mi,

Abby, ale sama sobie jesteś winna. Przestań się nad sobą użalać. I przestań mnie obwiniać.

– Chodziło ci tylko o to, żeby ukarać mnie za listę. Jesteś po prostu zazdrosna.

– Nie ośmieszaj się – warknęła Fern, a jej twarz przybrała nagle zacięty wyraz.

Abby miała wrażenie, jakby wspięła się na sam szczyt stromej pagórki. Teraz mogła już tylko bezwładnie stoczyć się na dół.

– Ależ tak, zazdrościsz mi, ponieważ ja jestem ładna, a ty brzydka. I WSZYSCY O TYM WIEDZĄ.

W pierwszej chwili poczuła nawet pewną ulgę. Nareszcie ubrała w słowa uczucia, które od dawna w niej wzbierały. I wreszcie powiedziała Fern coś takiego, co musiało ją zboleć. Ale już w następnej sekundzie z wrażenia oddech uwiązł jej w piersi.

Na twarzy Fern odbiła się cała gama uczuć. Dziewczyna zbladła jak ściana, a chwilę później z jej oczu trysnęły łzy. Strumienie łez, które tak jakby zbierały się tam od dawna i tylko czekały na właściwy moment, by popłynąć.

– Przecież dobrze wiem, że jestem brzydka. Ja też znalazłam się na liście!

Abby przestraszyła się, gdy wreszcie usłyszała te słowa wypowiedziane przez siostrę – po raz pierwszy Fern wprost przyznała, że jest nieładna.

– Nieprawda, twojego imienia nie było na liście – próbowała ją pocieszać. – Poza tym sama przecież mówiłaś, że nikt i tak nie podejrzewa, że jesteśmy siostrami.

Fern próbowała otrzeć dłonią łzy, ale na niewiele się to zdało.

– Nie chodzi mi o tegoroczną listę – powiedziała zawstydzona, uciekając wzrokiem w bok. – W zeszłym roku też na niej byłam. Zostałam wybrana najbrzydszą drugoklasistką.

– Co ty mówisz? – jęknęła Abby.

I nagle powróciło do niej wspomnienie pewnego wieczoru, gdy podsłuchiwała rozmowę Fern z rodzicami. Rozmowa toczyła się w kuchni, a siostra żaliła się mamie i tacie, że ktoś nazwał ją brzydka.

Teraz stało się jasne, że ów „ktoś” był w istocie całą szkołą. A w każdym razie osobą, która wypowiadała się w imieniu całej szkoły.

Rodzice błyskawicznie stanęli w obronie córki. Tłumaczyli, że uroda nie ma tak naprawdę znaczenia. Przekonywali, że Fern jest bystrzejsza niż większość jej koleżanek z klasy i że tak naprawdę liczy się tylko intelekt. Zasypali ją milionem innych komplementów, których zawsze szczędzili Abby. Chcieli nawet zadzwonić do szkoły, żeby wnieść skargę, ale Fern kategorycznie się temu sprzeciwiła.

Nic dziwnego, że siostra przez cały ten tydzień była dla niej taka wredna. Abby czuła teraz skruchę, lecz mimo to uważała, że Fern powinna była wcześniej

jej o tym powiedzieć.

– Niby skąd miałam wiedzieć? Twierdziłaś przecież, że dla ciebie lista jest bez znaczenia.

– No bo jest – przyznała Fern dziwnie beznamiętnym głosem, mimo że z oczu nadal ciekły jej łzy. – Nie potrzebuję jej, żeby wiedzieć, jaka jest prawda.

Młodsza siostra uchyliła usta, jednak nie popłynęły z nich żadne słowa. Nie miała pojęcia, co powiedzieć.

– Abby, naprawdę nie żałuję, że doniosłam na ciebie rodzicom. To jakiś absurd, że widzisz w tej liście jedyną dobrą rzecz w swoim życiu. Naprawdę nie mogę pojąć, dlaczego ktoś taki jak ty może mieć tak niską samoocenę.

Były to pierwsze miłe słowa, jakie Fern skierowała do siostry, odkąd Abby sięgnęła pamięcią.

– Fern, a ty wcale nie jesteś brzydka – zapewniła Abby. Gdyby wiedziała to, co wie teraz, nigdy nie wypowiedziałyby tamtych słów.

– Jestem brzydka, wiem o tym – upierała się siostra.

Teraz również do oczu Abby napłynęły łzy. Kiedy usłyszała, jak Fern z przekonaniem oskarża się o brzydotę, poczuła się fatalnie, że sama mogła tak pomyśleć. Bo naprawdę wcale nie uważała siostry za brzydką.

– Nie jesteś.

– A ty nie jesteś tępa.

Abby potrząsnęła z powątpiewaniem głową.

– Obawiam się, że jednak jestem – upierała się.

– A ja wiem, że jestem brzydka.

No to znalazły się w impasie. Abby uświadomiła sobie nagle, że i ona, i siostra święcie wierzą, że są takie, a nie inne. Równocześnie zaświtała jej też inna myśl: że nareszcie zaczęły się wspierać niczym prawdziwe siostry.

– Wiesz co – odezwała się Fern, siadając na podłodze. – Zostanę w domu i pomogę ci się uczyć. Tak naprawdę wcale nie muszę kolejny raz oglądać *The Blix Effect*.

– No coś ty – zaprotestowała Abby. – Lepiej idź do kina. Ja pomęcę się sama z tym zadaniem, a ty sprawdzisz, jak mi poszło, kiedy wrócisz. Chcesz, żebym pomogła ci się umalować przed wyjściem?

– Nie ma sensu – odparła Fern i więcej o tym nie mówiły.

ROZDZIAŁ 41

Lauren wysiadła z pickupa koleżanki. Dziewczyny stłoczone na pace samochodu drogę pokonały w dość ponurych nastrojach po kolejnej przegranej reprezentacji futbolowej. Lauren natomiast tryskała humorem i uśmiechała się od ucha do ucha. Wybawiła się na meczu jak jeszcze nigdy w życiu. Gardło miała zdarte od dopingowania chłopaków na boisku, a podczas jazdy nadstawiała twarz pod wiatr. Piekły ją teraz policzki, a na głowie miała chaos.

– To spotykamy się za kilka godzin u Candace?

– Tak, do zobaczenia.

– Mam po ciebie podjechać przed imprezą, żeby cię podrzucić? – spytała dziewczyna za kierownicą.

– Nie, dam sobie radę.

– Wcale nie chce mi się iść do Candace – jęknęła inna z dziewczyn.

– Przyjdźmy tak późno, jak tylko się da. Nie mam ochoty siedzieć tam przez cały wieczór.

Lauren przyszło do głowy, że nadarza się doskonała okazja, by poruszyć temat Candace.

– Nie marudźcie, to fajny sposób na rozpoczęcie wieczoru – odezwała się, a widząc, że koleżanki nadal nie są przekonane, dodała: – Wczoraj Candace była dla mnie bardzo miła. I to wcale nie dlatego, że mnie lubi. Była miła, ponieważ za wami tęskni.

– Lauren, nie powinnaś stawać w jej obronie.

– Wcale nie próbuję jej bronić – wyjaśniła dziewczyna. – Po prostu próbuję wam zasugerować, że Candace mogła się zmienić.

– Wykorzystuje cię, żeby dobrze wypaść przed nami.

Lauren chciała zaprzeczyć, gdyż naprawdę nie sądziła, by było to prawdą. Nic jednak nie powiedziała. Nie zdołała zmienić nastawienia koleżanek do Candace i teraz ogarnęło ją współczucie dla tej dziewczyny. Ale przynajmniej spróbowała. A Candace będzie miała okazję wkupić się w ich łaski na imprezie.

Pożegnała się w koleżankami i weszła do domu. Matkę zastała w ciemnym kącie kuchni. Pani Finn siedziała pochylona nad jakimiś papierami.

– Przegraliśmy – oznajmiła radośnie już od progu kuchni Lauren, po czym skierowała się do zlewu, nalała sobie wody i wypła całą szklankę jednym haustem. – Ale chyba jeszcze nigdy się tak dobrze nie bawiłam. Mecz był bardzo zacięty. Wszystko rozstrzygnęło się dopiero w ostatniej minucie, gdy jeden z naszych zawodników upuścił piłkę po podaniu. Ależ to były emocje. Taki mecz na żywo jest znacznie bardziej podniecający niż te transmitowane w telewizji. A nasza szkolna orkiestra jest niesamowita. Przez cały mecz grali utwory, do których

wszyscy znali słowa. A wszystkie dziewczyny siedziały na trybunach przykryte kocykami. Wszystko było... doskonałe.

Opadła wreszcie na krzesło obok pani Finn i zerknęła na papiery. Jej uwagę momentalnie zwróciła jedna z kartek – była to kopia listy, którą przez cały tydzień nosiła w plecaku.

– Musimy poważnie porozmawiać – oznajmiła pani Finn.

– Szperałaś w moim plecaku – jęknęła dziewczyna, wstając gwałtownie z krzesła. Cofała się powoli, aż oparła się plecami o kuchenny kontuar. – Nie wierzę, że to zrobiłaś.

– Lauren, co to za dziewczyny, z którymi się przyjaźnisz? – spytała pani Finn, stukając palcem w kartkę.

– One nie mają z tym nic wspólnego.

– Kto w takim razie sporządził te listy?

– Nie wiem, mamusiu!

– Widzę, że ludzie, którzy to zrobili, nie mają zbyt dobrego zdania na temat Candace. Prawdę mówiąc, to tylko potwierdzenie wrażenia, jakie zrobiła na mnie ta dziewczyna.

Lauren potrząsnęła z niedowierzaniem głową. Przecież Candace podczas swojej wizyty zachowywała się niesamowicie uprzejmie i taktownie. W przeciwieństwie do matki Lauren.

– Mamusiu...

– Dlaczego od razu mi tego nie pokazałaś?

– Nie chciałam, żebyś niepotrzebnie się zamartwiała. Poznałam ostatnio mnóstwo naprawdę miłych dziewczyn. Mam dobre oceny. Wszystko gra. W sumie ostatnio życie zaczęło się do mnie uśmiechać.

– Sądzisz, że tym dziewczynom naprawdę na tobie zależy? – spytała pani Finn, dotykając drżącą dłonią włosów. – Zmieniłaś się, Lauren. Nie podoba mi się, z kim spędzasz czas. I nigdy w życiu bym nie pomyślała, że kiedykolwiek dasz się wciągnąć w coś takiego.

Wypowiadając ostatnie słowa, matka zmięła w dłoni kartkę z listą.

– Mamusiu... ja się wcale nie zmieniłam.

– Rzucam pracę.

– Co takiego?

– Moja praca źle się odbija na nas obydwu. Zamierzam też tak szybko, jak się da, wypisać cię z Mount Washington. Sprzedam ten dom, bo i tak jest zbyt wielki dla nas dwóch. A pieniędzy ze sprzedaży akurat wystarczy na dwa ostatnie lata nauki w domu na poziomie licealnym.

Lauren poczuła, jak ściany kuchenne zaciskają się wokół niej niczym mury więziennego lochu.

– Ale ja chcę chodzić do szkoły.

– Zawsze obawiałam się, że ludzie będą cię źle traktować. Ale do głowy mi nie przyszło, że zostaniesz jedną z tych wrednych popularnych dziewczyn. Nawet nie wiesz, jak wielki zawód mi sprawiłaś, dokonując takich, a nie innych wyborów.

– Nie jesteś w stanie dłużej mnie kontrolować i dlatego nic ci się nie podoba. Nie możesz znieść myśli, że nie boję się już szkoły i innych ludzi – wyrzuciła z siebie Lauren, drżącą ręką chwytając o oparcie krzesła. – Muszę się przygotować do wyjścia.

– Nie myśl sobie, że pójdziesz na te tańce!

Lauren z wrażenia usiadła z powrotem na krześle. Reakcja matki była dla niej szokiem, jednak dziewczyna nadal starała się być posłuszna.

– Nie masz prawa mi tego zrobić! – zawołała, wstając po chwili. – Nie zrobiłam nic złego!

– Jako matka mam prawo interweniować w sytuacji, gdy moja córka zbacza na złą ścieżkę.

– Mamusiu, proszę. To jesienny bal. Wszyscy tam będą.

– Nie będę się powtarzać.

Lauren jak burza runęła do swojego pokoju. Zatrzasnęła za sobą drzwi i rzuciła się z płaczem na łóżko. To niesprawiedliwe. Wiedziała, że lista unieszczęśliwiła wiele dziewczyn, jednak w jej przypadku było inaczej. Dzięki niej zyskała pewność siebie, a innych ludzi ośmieliła do zapoznania się z nią. Gdyby nie ta lista, ludzie pewnie nadal postrzegaliby Lauren jako dziwną dziewczynę, która przez całe lata uczyła się w domu. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Ona się zmieniła.

Nieco później pani Finn przyniosła córce obiad. Nie zamieniły ze sobą ani słowa. Lauren zjadła niewiele, a gdy matka zjawiała się w pokoju, żeby zabrać tacę z talerzami, przywitała ją ciemność. Córka zasunęła już zasłony w oknach i pogasiła wszystkie światła. Również tym razem nie odezwała się do matki ani słowem.

Gdy tylko za panią Finn zamknęły się drzwi, Lauren wyskoczyła z łóżka wystrojona w sukienkę, którą założyła na pogrzeb dziadka. Suknia była długa, uszyta z czarnego materiału i raczej słabo nadawała się na szkolną imprezę. Dziewczyna wrzuciła do plecaka eleganckie buciki, a także aparat fotograficzny. Następnie otworzyła okno, wyskoczyła przez nie i boso ruszyła biegiem przez trawnik.

ROZDZIAŁ 42

W końcu nadeszła chwila, by przymierzyć sukienkę i sprawdzić, jak leży.

Bridget ruszyła powoli korytarzem. Ciasno owinięta szlafrokiem, w ręce niosła szklankę lodowatej wody. Pociągnęła jeden łyk, przełykając z najwyższym trudem. Ze strachu czuła, jakby w gardle utkwilo jej coś na kształt guli zepsutego jedzenia: spleśniałego chleba, skwaśniałego mleka, zgniłego mięsa.

Idąc do swojego pokoju, rozpamiętywała wszystko, co wzięła do ust w ciągu ostatniego tygodnia: bajgla, miksturę oczyszczającą, kilka precli, odrobinę sałaty podczas wizyty w galerii handlowej. W jej umyśle, który płatał jej już figle, wszystko to składało się na jakieś gigantyczne obżarstwo.

Zachodziła w głowę, co zrobi, jeśli okaże się, że nie mieści się w czerwonej sukienkę. W szafie nie miała żadnej rezerwowej kreacji. A nawet gdyby coś znalazła, i tak przez całą imprezę dręczyłaby ją myśl, że sprawiła sobie zawód. Okazałoby się, że całe jej poświęcenie i bóle pustego żołądka, które wycierpiała, poszły na marne.

Gdy mijała łazienkę, zza uchylonych drzwi dobiegł ją głos Lisy. Siostra szorowała zęby, podśpiewując puszczań w radiu piosenkę. Śpiewała z uczuciem, jednak jej głos tłumili dźwięki szorowania i spieniona pasta w jej ustach. W rezultacie brzmiało to dość komicznie. Przysłuchując się popisom Lisy, Bridget poczuła, jak głos siostry przedziera się przez zasłonę mroku i pustki, które spowijały jej umysł. Przystanęła, odwołując ostateczny wyrok, jaki czekał ją przed lustrem w pokoju. Po cichu uchyliła nieco szerzej drzwi do łazienki.

Ze środka buchnęła para, a po chwili ujrzała siostrę przy umywalce. Lisa ubrana była w koszulkę bez rękawów, szorty i klapki. Czarne włosy, mokre i lśniące niczym olej, zaczesana do tyłu. Skapująca z nich woda moczyła jej koszulkę, tak że materiał na plecach stał się przezroczyty. W kącikach ust Lisy bieleły się bąbelki pasty. Dziewczyna przekrzywiła głowę na boki, udając, że śpiewa do szczoteczki niczym do mikrofonu, a puszysty dywanik łazienkowy jest jej sceną.

Bridget nie miała zbyt wielu okazji, by przyjrzeć się dziś siostrze. Stwierdziła, że daruje sobie Karawanę Entuzjastów i mecz. Padła na twarz, a resztkę energii chciała zachować na bal. Poza tym wiedziała, że jeśli pójdzie na mecz, trudno jej będzie wymigać się od jedzenia. Dziewczyny uwielbiały budkę z przekąskami. Kupowały małe tortille, precelki z puszystego ciasta, hot dogi albo popcorn. Następnie zasiadały na trybunach, kartony z jedzeniem kładły sobie na kolanach i przez cały mecz podjadały jedna drugiej smakołyki.

Lisa wparowała dziś rano do pokoju Bridget, bo musiała coś znaleźć. Nie przeszkadzało jej, że starsza siostra jeszcze śpi. Zaświeciła lampę i narobiła

mnóstwo hałasu. W pewnym momencie jej wzrok padł na miszkę z lodami, którą wczoraj tu przyniosła. Jej zawartość zamieniła się w breję przykrytą kożuchem ściętego mleka.

– Ale świństwo – prychnęła.

Bridget wiedziała już, dlaczego siostra jest wobec niej taka opryskliwa. Szydło z worka wyszło wczoraj wieczorem, kiedy okazało się, że Lisa po prostu się o nią martwi. Co gorsza, Bridget musiała przyznać, że ma ona ku temu powody.

Dlatego zamiast wściec się, że siostra niepotrzebnie ją budzi, Bridget odwróciła się na bok i zaproponowała, żeby zabrała się zamiast niej samochodem z jej koleżankami. Lisa wzięłaby udział w Karawanie Entuzjastów razem z trzecioklasistkami. Bridget nie musiała nawet sprawdzać, czy inne dziewczyny nie mają nic przeciwko – wszystkie uwielbiały jej młodszą siostrę i zawsze chętnie się nią opiekowały. Na pewno zgodzą się, by dotrzymała im towarzystwa.

Reakcja Lisy zupełnie zbiła ją z tropu.

– Dzięki, ale nie skorzystam – mruknęła siostra, po czym zdecydowanym krokiem opuściła pokój i poprosiła rodziców, żeby podzucili ją na mecz.

A gdy kilka godzin później wróciła do domu, skierowała się prosto do swojego pokoju.

Bridget nadal nie zdołała wyciągnąć z niej informacji, kto wygrał.

Lisa nachyliła się nad umywalkę, żeby wypluć pianę po paście. Kiedy się wyprostowała, w lustrze dostrzegła odbicie siostry. W mgnieniu oka zmienił się wyraz jej twarzy – jeszcze przed sekundą sprawiała wrażenie szczęśliwej, teraz natomiast z jej twarzy biła wściekłość.

– Zajęte – stwierdziła, po czym kopnięciem zamknęła drzwi.

Bridget zacisnęła dłoń na klamce i napała ciałem na drzwi, które z drugiej strony blokowała nogą Lisa. Osiągnęła tyle, że nadal widziała siostrę przez szparę między drzwiami a framugą.

– Może pomogę ci się uczesać?

– Nie, dzięki – odparła Lisa, mrużąc podejrzliwie oczy.

– Chcesz podkręcić włosy na lokówce czy zczesać do góry?

– Nie wiem, Bridget – powiedziała Lisa, napierając silniej.

Bridget zdołała wsunąć w szczelinę stopę, dzięki czemu mogła zablokować drzwi.

– A co z makijażem? Może chcesz pożyczyć moją szminkę? Mam też konturówkę, która świetnie do niej pasuje. Powinnaś użyć konturówki, bo inaczej po kilku minutach zmażesz całą pomadkę.

– Chryste, chcę mieć trochę prywatności – zawołała Lisa, napierając na drzwi obydwoma ramionami.

Bridget w końcu cofnęła stopę i drzwi momentalnie się zatrzasnęły.

Miała już krzyknąć, że przecież Lisa mogła zrobić jej przypadkiem krzywdę,

z łazienki jednak niemal natychmiast dobiegł szum włączonej suszarki. Bridget odwróciła się i oparła plecami o zamknięte drzwi. Pracująca na wysokich obrotach suszarka wprawiała drewno w wibracje, które rozchodziły się ciarkami po jej plecach.

Nienawidzi cię.

Uważa, że jest z ciebie okropna siostra.

Bridget powlokła się do swojego pokoju. Czy gdyby Lisa naprawdę sądziła, że starsza siostra znalazła się w poważnych tarapatkach, byłaby w stosunku do niej taka wredna? Dlaczego nie próbuje pocieszyć Bridget, zamiast ją dołować?

Na szczęście cała ta męczarnia miała już wkrótce dobiec końca. Zostało tylko kilka godzin do balu. Bridget będzie musiała założyć sukienkę i spojrzeć prawdzie w oczy.

Czerwona kreacja czekała w szafie na wieszaku. Bridget zdjęła szlafrok i odłożyła go na łóżko. Następnie wykonała głęboki wydech, próbując pozbyć się całego powietrza z płuc, tak by stać się szczuplejszą. Założyła sukienkę przez głowę, zapięła zamek błyskawiczny.

Udało się.

Brawo, Bridget!

Po chwili jednak zaczęły jej drżeć usta, a zaraz potem z oczu popłynęły łzy. Wysunęła szybko głowę do przodu, żeby łzy nie kapały na materiał sukienki. A więc zrealizowała swój plan – była jeszcze szczuplejsza niż latem, kiedy w końcu udało jej zmieścić w wymarzone bikini. Jeszcze nigdy w życiu nie była taka szczupła jak teraz. Odtąd nie będzie już musiała się odchudzać.

To koniec.

Bridget wyrzuciła w górę ramiona w geście triumfu, a sukienka zsunęła się z nich i opadła na tyle nisko, że odsłoniła jej biustonosz bez ramiączek.

Bridget była zachwycona.

Zakradła się do pokoju matki i wśród przyborów do szycia odszukała zestaw agrafek. Następnie ściągnęła z siebie sukienkę, ułożyła ją na łóżku i zaczęła robić zakładki z materiału na plecach, mocując je agrafkami. W pamięci miała manekina z galerii handlowej, na którym sukienkę dopasowano właśnie w taki sposób.

Pochłonięta pracą w pewnym momencie kątem oka uchwyciła swoje odbicie w lustrze. W samym staniku i majtkach, pochylona nad łóżkiem, starała się sprawić, by sukienka w miniaturowym rozmiarze stała się jeszcze mniejsza. Wyglądała trochę jak robale, o których uczyli się na lekcjach biologii. Wystające spod skóry żebra i kości przywodziły na myśl szkielet zewnętrzny jakiegoś insekta. Bridget uśmiechnęła się do swojego odbicia.

W tym samym momencie zaburczało jej w brzuchu.

Jesteś obrzydliwa.

Naprawdę nie umiesz choćby na chwilę uwolnić się od myśli o jedzeniu?

Nie jesteś wcale taka szczupła.

Drżały jej ręce, ale zdołała wpiąć ostatnie agraiki, po czym znowu założyła sukienkę. Następnie zaczesła włosy do góry i podmalowała delikatnie usta, ani razu nie spoglądając do lustra.

Nie musiała się oglądać, ponieważ zyskała już pewność.

Nigdy nie będzie ładna.

ROZDZIAŁ 43

Candace z zamkniętymi oczami poddawała się upiększającym zabiegom swojej mamy w łazience. Siedziała na zamkniętej klapie sedesu, a matka kończyła robić jej makijaż. Z pokoju dziewczyny dobiegały głosy i śmiechy jej koleżanek, sprawiające, że czuła się podekscytowana. Co prawda zjawily się u niej później, niż sądziła, i żadna nie tknęła przekąsek, które przyrządziły z matką, jednak poza tym wszystko rozwijało się zgodnie z planem.

Martwiła się tylko, żeby nie wypily całego rumu, zanim zdąży zamoczyć w nim usta.

– Kończysz już? – spytała zniecierpliwiona. – Siedzę tutaj całą wieczność.

– Prawie gotowe. Jesteś taka śliczna! – usłyszała głos mamy, a po chwili delikatne dotknięcie pędzelka na ustach. – No dobrze, teraz możesz już patrzeć.

Candace otworzyła oczy i wpatrzyła się w dziewczynę widoczną w lustrze.

Prawie nie mogła rozpoznać w niej siebie.

Jej oczy, podkreślone kreską i cieniami, nabrały niesamowitej głębi, a ich błękit wydawał się teraz jeszcze bardziej lodowaty. Dzięki doczepieniu do powiek sztucznych rzęs te naturalne wydawały się grubsze i dłuższe. Przy tej ilości pudru, który nałożyła jej na twarz mama, skóra Candace sprawiałaby wrażenie bledszej niż w rzeczywistości, jednak w sukurs przyszły bronzer i róż do policzków. Pociągnięte konturówką usta miały głęboki kolor wina. Całą twarz i dekolt dziewczyny pokrywał lśniący pył.

W gruncie rzeczy jej twarz skryła się za maską.

– Na sali gimnastycznej, przy słabym oświetleniu, efekt będzie zupełnie inny. Malując cię, miałam to na uwadze. – Po tych słowach pani Kincaid zgasila lampę w łazience, po czym otworzyła drzwi, żeby wpuścić nieco światła z przedpokoju. – Podoba ci się?

Candace nie była pewna. Jednak jej mama była profesjonalistką. Zawodowo upiększała ludzi i ukrywała ich wady. A przecież właśnie tego potrzebowała dziś jej córka.

Dziewczyna ruszyła do swojego pokoju, żeby zaprezentować się koleżankom.

– O rany, Candace, prawie cię nie poznałam – zawołała któraś z dziewczyn.

– Nie sądzicie, że makijaż jest trochę za ostry? – spytała cichym głosem.

– Ależ skąd! Wyglądasz olśniewająco!

– Jak modelka!

Dziewczyny zasypywały ją komplementami. Do chóru nie przyłączyła się tylko Lauren. Siedziała na łóżku Candace, wystrojona w tę dziwną kieckę, w której wyglądała jak wiedźma, i majtała w powietrzu nogami. W pewnym

momencie zbliżyła do ust trzymaną w rękach szklankę i wypila całą jej zawartość. Po ostatnim łyku wydała z siebie zadowolone westchnienie niczym aktorka grająca w reklamie napoju gazowanego.

– Lauren, naprawdę nigdy wcześniej nie piłaś rumu z colą?

– Nigdy w życiu! – zawołała Lauren, po czym wyciągnęła rękę ze szklanką, domagając się dolewki. – Ależ to pyszne!

Candace stanęła przed nią i spróbowała przechwycić krążącą między dziewczynami butelkę.

– Może powinnaś trochę zwolnić?

– Candace, nie bądź taka! – zaprotestowała jedna z dziewczyn, przywołując na twarz diaboliczny uśmieszek. – Niech się dziewczyna napije!

– Tak, Lauren miała ciężki dzień. Musi się wyluzować – wtrąciła inna.

– Spójrzcie tylko na jej sukienkę. Lauren jest w żałobie.

Wkoło rozległy się złośliwe śmiechy.

– To prawda – przyznała Lauren z kwaśną miną, podczas gdy ktoś dolewał jej kolejnego drinka. – Mama postanowiła, że wypisze mnie z Mount Washington.

– Co takiego? Dlaczego? – spytała zaintrygowana gospodyni.

– Znalazła w moich rzeczach listę. A potem powiedziała, że nie mogę pójść na bal. No to zwiąlam.

O Boże. No to grubo. Mama Lauren wyjdzie ze skóry, gdy się dowie.

– Lauren... – odezwała się niepewnie Candace.

Dziewczyna tymczasem wyrzała zza niej i posłała promienny uśmiech koleżankom.

– Tak się cieszę, że jestem tu razem z wami – powiedziała drżącym z przejęcia głosem. Kilka dziewczyn parsknęło śmiechem w odpowiedzi. Oczy Lauren zaszkliły się od łez. – Naprawdę, zawsze o tym marzyłam.

Dziewczyny chichotały między sobą.

Lauren spróbowała wstać, jednak przydepnęła rąbek sukni. Straciła równowagę i runęła do przodu prosto w ramiona jednej z dziewczyn.

– O rany – mruknęła dziewczyna, usuwając się na bok. – Spokojnie.

Lauren upadła na wykładzinę, po czym szybko uklękła, jakby chcąc udowodnić, że panuje nad sytuacją. Zbliżyła się do innej dziewczyny, siedzącej na podłodze, i dała jej buziaka w policzek. Zrobiła to jednak na tyle niezdarnie, że przy okazji szturchnęła rękę koleżanki, w której ta trzymała szklankę z rumem i colą. Alkohol chlusnął na sukienkę siedzącej.

– Co ty wyprawiasz, do cholery?

Lauren opadła na plecy i znieruchomiała pośrodku pokoju Candace. Z boku mogło to wyglądać, jakby przymierzała się do zrobienia orła na wykładzinie. Uśmiechała się od ucha do ucha, utkwivszy spojrzenie w wiatraku sufitowym. Pozostałe dziewczyny przyglądały jej się, z dezaprobatą wydymając usta.

– Ona ma już dość – oceniła Candace, wyciągając opróżnioną szklanę z dłoni Lauren.

* * *

Gdy nadeszła pora na pozowanie do zdjęć i ostatnie zabiegi przed lustrem, Lauren była już zalana w trupa. Dwie dziewczyny, które miały prawo jazdy, zapakowały wszystkich gości do samochodów i zawiozły do szkoły. Zdecydowano, że najlepiej będzie, gdy Lauren drogę do szkoły pokona pieszo. W ten sposób może zdąży choć trochę wytrzeźwieć.

Te dziewczyny, które nie zmieściły się do samochodów, szły jednak tak szybko, że Lauren nie mogła dotrzymać im kroku. Towarzystwa dotrzymywała jej Candace, pilnując, by pijana koleżanka nie zatoczyła się z chodnika na jezdnię.

– Candace, twoja mama to taka ładna kobieta – wybełkotała Lauren.

– Może.

Lauren stanęła nagle jak wryta.

– Moja mama mnie nienawidzi.

– Nieprawda – zaprotestowała Candace, chwytając ją za rękę i delikatnie pociągając za sobą. – Po prostu wydaje jej się, że w ten sposób cię chroni.

– Nie wrócę już do szkoły – poskarżyła się Lauren.

– Porozmawiaj z nią. Możesz...

Lauren nie pozwoliła jej dokończyć.

– Wiem, że nie wrócę – powiedziała z naciskiem, potrząsając głową. – Ona nie zmieni zdania.

Niestety Candace domyślała się, że dziewczyna może mieć rację.

– Przykro mi.

A chwilę potem uświadomiła sobie, że jeśli Lauren faktycznie opuści Mount Washington, będzie to miało poważne konsekwencje. Widziała przecież, że dziewczyny zaczynają na powrót się do niej przekonywać. A gdy zabraknie Końskiej Grzywy, niemal na pewno dopuszczą ją z powrotem do swojej grupy.

Kiedy spojrzała znów na Lauren, okazało się, że ta płacze.

– Dziewczyny już mnie chyba nie lubią. A ja nie wiem, jaki popełniłam błąd.

– Lubią cię, lubią. Nic się nie martw – pocieszała ją Candace. Lauren popłakała jeszcze przez chwilę, aż nagle zatrzymała się w pół kroku. – Zbiera ci się na wymioty? Jeśli możesz, to puść pawia. Poczujesz się potem lepiej.

Lauren spojrzała na nią załzawionymi oczami. Zamrugła kilka razy, po czym powiedziała:

– Nie podoba mi się ten twój makijaż. Uważam, że jest brzydki. Nie potrzebujesz go. Jesteś przecież taka śliczna.

– Nieważne – rzuciła Candace, siląc się na lekki ton.

Kiedy w końcu dotarły pod szkołę, dziewczyny od dawna były już na

miejscu i czekały niecierpliwie. Z okien sali gimnastycznej dobiegał łomot muzyki.

– Candace, no chodź już! Pośpiesz się! – ponaglały ją koleżanki przy drzwiach.

Poszukała spojrzeniem Lauren, która właśnie wymiotowała zgięta wpół nad kratką kanałową.

– Nie możemy wprowadzić jej na salę. Jest kompletnie pijana – stwierdziła Candace.

– No to zostaw ją w samochodzie – zaproponowała jedna z dziewczyn, po czym otworzyła tylne drzwi. Candace pomogła Lauren wsiąść.

– Tylko żadnego rzygania w aucie – ostrzegła dziewczyna. – Jak ci się zbierze na wymioty, wysiądź, dobrze?

Lauren położyła się na plecach.

– Dobrze – szepnęła.

Candace odprowadziła wzrokiem koleżanki, które szybkim krokiem kierowały się ku szkole. Gdy spojrziała znów na Lauren – twarz dziewczyny była blada niczym ściana. Było jasne, że za chwilę nadejdzie kolejna fala nudności. Wywlokła ją z powrotem na zewnątrz, podprowadziła do krawężnika i przytrzymała pijaną koleżankę, odgarniając jej blond włosy z twarzy.

Gdy odruchy wymiotne ustały, Candace stwierdziła:

– Zaczekamy tu, aż wszystko z ciebie wyleci. A potem odprowadzę cię do domu.

– Nie – wydusiła z siebie Lauren. – Idź na tańce, Candace. Baw się ze swoimi koleżankami.

Jednak dziewczyna już jej nie słyszała. Siedziała na przednim fotelu samochodu i szukała chusteczek higienicznych. Wzięła dwie – jedną, żeby wytrzeć Lauren usta, a drugą dla siebie, żeby zetrzeć makijaż.

ROZDZIAŁ 44

Sara stała zupełnie naga przed lustrem, obejmującym całą jej sylwetkę. Po jego bokach znajdowało się mnóstwo naklejek i zdjęć jej ulubionych zespołów muzycznych, jednak w środku mogła się przejrzeć od stóp do głów. Jej skóra była kredowobiała, pokrywały ją setki ranek, pamiątek po nieustannym drapaniu się. Wyglądała, jakby padła ofiarą ataku bandy dzikich kotów. Kiedy ujęła w palce naszyjniki i lekko je uniosła, na skórze ujrzała zielonkawe odciski po zaśniedziałym metalu. Na głowie miała chaos, tłuste włosy ciężkimi kosmykami opadały jej na twarz. Odgarnęła niektóre z nich, tak żeby napis na czole stał się widoczny. Niewiele już z niego zostało. Teoretycznie mogłaby go poprawić markerem, uznała jednak, że da sobie spokój.

W górnym rogu lustra, wsunięte pod ramię, czekały dwa bilety na bal. Jeden z nich należał do Milo, dziesięć dolców wyrzuconych w błoto. Całe szczęście, że to on płacił, a nie ona.

Sara przysiadła na brzegu łóżka i przyjrzała się ubraniom rozwieszonym na oparciu fotela. Był to jej mundur, w którym paradowała przez cały tydzień. Teraz natomiast miał jej posłużyć jako kreacja na bal.

Potańcówka miała rozpocząć się lada chwila. Sara była już spóźniona.

Pospiesz się, poganiała się w myśli. Ruchy! Ubieraj się, do cholery!

Dotarła do ostatniego etapu swojej anarchistycznej rebelii, a jednak nie potrafiła się zmusić, żeby założyć znów te same ciuchy. Gdy tylko wróciła z Karawany Entuzjastów, zrzuciła je z siebie i od tamtej chwili ich nie dotykała.

Podczas parady jechała na rowerze między dwoma wystrzałowo udekorowanymi samochodami. Ten za nią ozdobiony był powiewającymi na wietrze długimi wstążkami, a jego okna pokrywały białe napisy, których autorzy ślubowali lojalność swojej klasie i drużynie sportowej. Na pace pickupa toczącego się przed nią jechały dziewczyny przebrane za alpinistki. Sara przyglądała się im, kiedy tańczyły, wznosiły dopingujące okrzyki i zanosily się śmiechem. Wśród nich wypatrzyła tę dziewczynę, która do niedawna uczyła się w domu – Lauren, a teraz została ulubienicą wszystkich drugoklasistek. Gdy tak stała na pace samochodu dostawczego, promieniowała szczęściem. Bez przerwy rzucała się na szyję otaczającym ją koleżankom. Powtarzało się to po każdej piosence. Zachowywała się jak dwunastolatka. Zarzucała głową w rytm muzyki, zamiatając w powietrzu swymi jasnymi lśniąco włosami. Sara zauważyła też, że inne dziewczyny jadące pickupem spoglądają po sobie z politowaniem. Najwyraźniej entuzjazm, z jakim Lauren podchodziła do reprezentowania swojej szkoły, trochę je przerastał.

Mieszkańcy Mount Washington witali paradę, wychodząc na trawniki przed domami. W dłoniach trzymali kubki z kawą i wesoło pozdrawiali uczniów.

Sprawiali wrażenie, jakby w ogóle nie docierało do nich, że Sara nie pasuje do całej tej zgrai. Pewnie dlatego, że stali zbyt daleko, by poczuć bijący od niej smród. Dziewczyna nikomu nie machała ani nie odwzajemniała uśmiechów. Pedalowała zawzięcie wpatrzona w zderzak sunącego przed nią samochodu. Kiedy kawalkada dotarła wreszcie w okolice boiska i kierowcy szukali miejsca do zaparkowania, Sara zawróciła rower i ruszyła do domu.

Radosny ryk klaksonów, wiwaty i piosenki zagrzewające zawodników do boju sprawiły, że rozboleła ją głowa. Resztę popołudnia przeleżała w łóżku.

Rozmyślała teraz o tym, jak bardzo będzie się różnić od wszystkich tych panienek, które na balu zjawią się wystrojone, wypachnione i natarte balsamami. Żeby się zmotywować, puściła jakąś ciężką muzykę. Oczami wyobraźni widziała wszystkich tych ludzi, w których będzie budziła wstręt. Wyobrażenie sobie ich przerażonych min dodawało jej siły.

Wreszcie z trudem wbiła się w swoje zeszywniałe z brudu ciuchy. Poczowała się, jakby założyła czyjaś skórę. Albo jakąś przeraźliwie cuchnącą pelerynę.

Rozległo się pukanie do drzwi. Kiedy je otworzyła, w pierwszym momencie nikogo nie zobaczyła na progu. Dopiero gdy wyjrzała do przedpokoju, dostrzegła Milo. Stał na schodach, parę stopni niżej, i przyglądał się wiszącemu na ścianie zdjęciu w ramach. Była to stara fotografia Sary, zrobiona w siódmej klasie. Wyglądała na niej strasznie. Próbowwała wtedy podkręcać sobie grzywkę, tak jak inne dziewczyny z klasy, ale oczywiście efekt był opłakany. No i ta obrzydliwa bluzka, którą sprawiła sobie w galerii handlowej tylko dlatego, że wszystkie dziewczyny wtedy takie nosiły.

– Cześć – powiedział Milo, nie odrywając oczu od zdjęcia.

– Właśnie wychodzę – stwierdziła Sara, przeciskając się obok niego.

Milo chwycił ją za ramię. Próbowwała się wyrwać, jednak nie puszczał. Zwolnił uścisk dopiero, gdy założył coś na jej nadgarstek.

Był to bukiet z białych stokrotek.

Nigdy żaden inny chłopak nie kupił jej kwiatów.

– Tłumaczyłam ci już, że nie chcę bukietu – oświadczyła, zrywając kwiaty z nadgarstka i z impetem przyciskając mu je do piersi. Kilka płatków upadło na podłogę. No pięknie, zaraz się porczy przez tego chłopaka.

– Nie wiem, co jeszcze muszę zrobić, żeby ci udowodnić, że dla mnie jesteś piękna. Nie mam już siły dłużej patrzeć, jak się zadręczasz. Rozmawiałem z Annie i...

– Na litość Boską, Milo! – wrzasnęła Sara, po czym pędem wróciła do pokoju i zatrzęsnęła za sobą drzwi.

Chciała, żeby się wyniósł z jej domu. Naprawdę marzyła, żeby zniknął. Użeranie się z tym chłopakiem przerastało ją w tej chwili.

Po chwili zza drzwi dosłyszała jednak jego głos:

– Annie twierdzi, że tak naprawdę nie ma znaczenia, co zrobię. Nie mogę w żaden sposób sprawić, byś mi uwierzyła. Musisz sama to poczuć.

– Boże, ta twoja Annie jest chyba wszechwiedząca, co? Powinna poprowadzić swój talk show w telewizji – zawołała Sara, po czym rzuciła się na łóżko i zapatrzyła w sufit. Do oczu napłynęły jej łzy. Swędzenie doprowadzało ją do obłędu.

W pewnym momencie drzwi się uchyliły i Milo zajrzał do pokoju. Sara ukryła twarz pod prześcieradłem.

– No chodź. – Wyciągnął do niej rękę.

– Niby dokąd mamy iść?

– Do łazienki.

– Nie. Słuchaj, to z mojej strony świadomy akt buntu. Musisz to uszanować.

– Szanowałem to. Biernie się przyglądałem, gdy zaczęłaś przejmować się listą i uczyniłaś z niej jakąś samospelniającą się przepowiednię. Ale teraz nadszedł już moment, żebyś ty sama zaczęła się znów szanować. I właśnie dlatego najpierw musisz wejść pod prysznic. Saro, poczujesz się lepiej. Proszę.

Dała mu się poprowadzić korytarzem. Z początku trochę się opierała, jednak po chwili pozwoliła, by nią pokierował. Po drodze Milo otwierał na próbę różne drzwi, aż w końcu znalazł garderobę i wyciągnął z niej puszysty błękitny ręcznik. Wręczył go Sarze, po czym wepchnął ją do łazienki i zamknął za nią drzwi.

Sara utkwiała spojrzenie w zamkniętych drzwiach. Milo miał rację. Uczniowie Mount Washington zawsze będą postrzegać ją tak, jak im wygodniej. W ich oczach zawsze będzie brzydka. A to, co robi, nie ma dla nich żadnego znaczenia. Obojętne, czy nie będzie się myła przez tydzień, czy też sprawi sobie najmodniejszą kieckę na bal. Prawda była taka, że nie mogła zmienić ich zdania na swój temat. Nie zdoła przekazać im lekcji, na którą nie ma w nich przyzwolenia.

Milo usiadł na podłodze pod łazienką. A kiedy usłyszał, że Sara puszcza wodę w kabinie, uchylił nieco drzwi i zaczął mówić. Opowiadał o jakichś przypadkowych sprawach. Mówił o wszystkim i o niczym. Tak naprawdę nie miało znaczenia, co mówił. Sarze wystarczyło, że pośród szumu wody słyszy jego głos. Cieszyła się też, że woda zagłusza jej łkanie.

Nim zmyła z siebie warstwy starego potu i brudu, musiała trzykrotnie namydlać się, szorować i spłukiwać. Kiedy wreszcie wynurzyła się z kabiny, musiała niechętnie przyznać przed sobą, że faktycznie czysta czuje się znacznie lepiej.

Owinęła się w ręcznik kąpielowy i wyszła z łazienki. Całe jej ciało parowało.

– I co teraz? – spytała.

– Idziemy na bal – odparł krótko Milo, wzruszając ramionami.

– Nigdy w życiu nie założę już tych ciuchów.

Milo dotknął sterty brudnych ubrań czubkiem adidasa.

- Ja też nie. Spalmy je.
 - Dobry pomysł.
 - A masz jakąś sukienkę, którą mogłabyś założyć?
 - Wykluczone, NIE założę żadnej sukienki!
 - Dobra. Po prostu ubierz się w coś, w czym będziesz się czuła piękna.
- Ostatnią radę puściła mimo uszu. Zdecydowała się na czysty T-shirt, bluzę z kapturem i świeżą parę dżinsów.

No i bukietek.

* * *

Kiedy znaleźli się pod drzwiami sali gimnastycznej, Sara zawahała się. Z wnętrza dobiegały dźwięki muzyki.

- Czuję się, jakbym dała plamę. Wszyscy oczekują, że wywinę jakiś numer.
- Co cię obchodzi, czego oczekują inni?

– Nigdy nie chciałam iść na bal. Gdyby nie ta durna lista, moja noga by tu nie powstała.

Po tych słowach odwróciła się i ruszyła w przeciwnym kierunku. Obeszła budynek szkoły i po chwili stanęła przy ich ławce. Usiadła, a Milo zajął miejsce obok niej. Sara otworzyła nową paczkę papierosów i zapaliła jednego. Ostatni raz paliła tydzień temu. Kiedy się zaciągnęła, dym zapiekł ją w płucach. Ta fajka wydawała się strasznie mocna. Rozkaszała się i cisnęła papierosa na ziemię.

Kiedy w końcu jej oddech uspokoił się, spytała:

– Mogę ci coś powiedzieć? – To mówiąc, przygryzła wargę, która zaczęła jej drzeć. – Chyba nigdy nie czułam się piękna.

– Saro...

– Mówię zupełnie poważnie.

Milo objął ją i mocno przytulił. A ona poddała się jego uściskowi. Pozwoliła sobie na krótką chwilę poczuć się zupełnie bezbronną. Pokazała mu, kim jest naprawdę – odsłoniła przed nim swoje prawdziwe, brzydkie „ja”. To była cudowna chwila, a Sara całkowicie dała się jej pochłoniąć. Wiedziała, że robi krok we właściwym kierunku.

ROZDZIAŁ 45

Na sali panował półmrok, całe pomieszczenie spowijały cienie. Jedynymi jasnymi punktami były girlandy z białej krepiny rozwieszane między koszami do koszykówki, opalizujące balony, którymi udekorowano trybuny, oraz światła dyskotekowe przy stoliku DJ-a. Z korytarza wpadała na salę nikła poświata. W powietrzu unosiły się zmieszane zapachy pizzy, ponczu i kwiatów z bukietów na nadgarstkach dziewczyn, obok których tańczyła Jennifer.

Margo, Dana i Rachel miały jednakowe bukietki z miniaturowych pąków różyczek z przybraniem z gipsówki, paru idealnie podłużnych listków cytrynowych i skręconych wierzbowych witek.

Nadgarstek Jennifer był pusty i błyskał bielą, gdy unosiła ramię w rytm muzyki. Jej druga ręka, w której ścisnęła kopertówkę, zwisła bezwładnie u jej boku.

W torebce ukryta była stara pieczęć Mount Washington. Zajmował tyle miejsca, że dziewczyna nie zmieściła już grzebienia ani plastrów na wypadek, gdyby nowe pantofelki ją obtarły.

Jennifer dotrzymała słowa.

Inna sprawa, że Margo nie chciało się nawet tego sprawdzać.

Jennifer przesunęła się za Danę, tak że tańczyła teraz na wprost Margo. Wykonywała ten manewr kilka razy w nadziei, że koleżanka w końcu zaszczydzi ją dłuższym spojrzeniem. Chciała wtedy unieść wypchaną torebkę i zademonstrować, że wywiązała się z umowy. Jednak gdy tylko znalazła się na wprost Margo, ta wykonała obrót i odwróciła się do niej plecami.

Sukienka Margo zapinana była na plecach na dwadzieścia małych zielonych guziczków. Jennifer miała aż nadto czasu, by dokładnie je policzyć.

Chłodne traktowanie ze strony byłej przyjaciółki było wkurzające, ale w gruncie rzeczy nie różniło się zbyt wiele od tego, jak zachowywała się wobec Jennifer przez cały tydzień. Dlatego dziewczyna nadal tańczyła jak gdyby nigdy nic, licząc po cichu, że Margo też wywiązała się z umowy.

Rachel i Dana zachowywały się wobec niej tak samo jak wcześniej. Nic nie wskazywało na to, by Margo podzieliła się z nimi swoim odkryciem. Obie dziewczyny odnosiły się do Jennifer przyjacielsko i uprzejmie. Kiedy zobaczyły, jak wchodzi na salę, przesunęły się tak, żeby mogła zatańczyć razem z nimi. Kiedy z głośników popłynęła spokojna piosenka, podzieliły się z nią coca colą. A nawet zgodziły się na wspólne zdjęcie, które Jennifer zrobiła trzymanym w wyciągniętej ręce aparatem.

Tylko w jednym momencie poczuła się naprawdę nieswojo. Dziewczyny zjawiły się na imprezie trzydzieści minut po czasie, natomiast Jennifer przybyła pół

godziny przed jej rozpoczęciem. Kiedy weszła na salę, uczniowie z samorządu kończyli jeszcze wieszanie dekoracji. zaproponowała, że chętnie pomoże – mogłaby na przykład usiąść przy stoliku niedaleko drzwi i sprawdzać bilety napływających gości, a przy okazji pilnować, by wszystkie głosy trafiały do zaplombowanej urny.

Usłyszała wtedy, że nie będzie to konieczne. Ponoć do tej roli wyznaczono już dwie pierwszoklasistki. Poradzono jej, żeby skupiła się na zabawie.

Jennifer postanowiła jednak, że stanie przy drzwiach i będzie namawiała uczniów do głosowania na siebie. „Głosuj na Jennifer – królową balu”, powtarzała raz za razem, równocześnie wskazując na naklejkę na swojej piersi. Tamta podarowana jej przez Rachel i Danę już się zużyła, klej przestał trzymać. Dlatego sama zrobiła sobie nową, i to większą niż poprzednia.

Było oczywiste, którzy uczniowie zaznaczyli jej nazwisko na karcie do głosowania. Kiedy wsuwali karty do urny, uśmiechali się do Jennifer i życzyli jej powodzenia. Natomiast ci, którzy unikali kontaktu wzrokowego i nic nie mówili, zapewne głosowali na Margo albo jeszcze kogoś innego.

Kiedy w końcu przyszły Margo, Rachel i Dana, Jennifer powitała je tak samo jak wszystkich innych gości, to znaczy zachęcając, by oddały na nią głos.

Dziewczyny spojrzały wtedy na nią, jakby urwała się z choinki.

W przypadku Margo było to zrozumiała reakcja. Z drugiej strony, dlaczego Jennifer miałyby rezygnować z prowadzenia kampanii? Przysługiwało jej takie same prawo do wygranej jak Margo. Lista nie miała tu żadnego znaczenia.

Zupełnie inaczej sprawa wyglądała w przypadku Rachel i Dany. Jennifer sądziła, że może liczyć na ich poparcie. W końcu przez cały tydzień dawały jej do zrozumienia, że stoją za nią murem. Tylko że teraz sprawiały wrażenie, jakby jej pewność siebie bardzo je zaskoczyła. Dla Jennifer taka reakcja była kompletnie niezrozumiała. Przecież to właśnie Rachel i Dana zainicjowały akcję GŁOSUJ NA JENNIFER. Jeśli Margo im się nie wygadała, co innego mogło się stać?

Kolejny kawałek puszczonego przez DJ-a był równie skoczny jak poprzedni. Jennifer, nie chcąc wypaść z rytmu, zmieniła tylko nieznacznie swe ruchy na parkiecie.

Kilka następnych numerów przetańczyła, wkładając w to maksimum energii. Chciała w ten sposób ukryć strach i zdenerwowanie. Tego wieczoru miała rozstrzygnąć się jej przyszłość. Jennifer wiedziała, że jeśli przestanie tańczyć, jej myśli samowolnie skierują się ku starej pieczęci w torebce. Albo przypomną się jej agresywne słowa Margo, po których nie umiała się otrząsnąć.

Potrzebowała tego zwycięstwa. Dzięki niemu nareszcie udowodniłaby sobie, że jest piękna. I że dokonała właściwego wyboru.

Dopiero gdy z głośników popłynął jakiś spokojniejszy utwór, odetchnęła.

– Muszę się przewietrzyć – oznajmiła Rachel.

Dana i Margo poszły w jej ślady.

A Jennifer ruszyła za nimi, trzymając się z tyłu.

I to właśnie Jennifer pierwsza zobaczyła, jak od tyłu zbliża się do nich Matthew Goulding. Wyminął ją i chwycił Margo za rękę. Dziewczyna odwróciła się błyskawicznie w jego stronę, zapewne sądząc, że to Jennifer ją zaczepia. Gdy zorientowała się, że to on, jej twarz momentalnie się rozpromieniła.

– Masz ochotę...?

Słowa były zbędne. Ależ oczywiście, że Margo miała ochotę zatańczyć.

Jennifer domyśliła się już, że Ted raczej nie poprosi jej do tańca. Ilekroć się mijali, próbowała spojrzeć mu w oczy, on jednak na wszelkie sposoby unikał kontaktu wzrokowego – odwracał się do niej plecami albo wpatrywał się w swoje buty.

Dziewczyny we trójkę przeszły w kąt sali, niedaleko otwartych drzwi, za którymi było widać parking. Wszystkie przyglądały się tańczącej Margo.

Jennifer była świadkiem, jak właśnie spełnia się marzenie jej byłej przyjaciółki. Trwał bal, a ona tańczyła z Matthew. Nawet w panującym na sali półmroku było widać, że dziewczyna promieniuje szczęściem. Jennifer czuła, jak ten blask ją oślepia, uwypuklając zarazem wszystkie jej wady.

Dopiero teraz, gdy wreszcie miała okazję postać bez ruchu, poczuła, jak bardzo jej stopy są obolałe po płużach w nowych czerwonych pantofelkach. Dlatego zsunęła je, odstawiła na bok i stanęła boso na parkiecie.

– Ona zawsze kochała tego chłopaka – westchnęła Rachel.

– Cieszę się, że zatańczyli ze sobą. Przynajmniej tyle dobrego spotka ją tego wieczoru – zauważyła Dana.

Jennifer momentalnie wyłapała podtekst jej słów. Koleżanka sugerowała, że Margo nie zdobędzie dziś tytułu królowej, mimo że się jej należy.

Zabrzmiało to niczym wyrzut, że Jennifer chce odebrać Margo zaszczyt, którym przecież same do niedawna chciały obdarzyć brzydszą koleżankę.

– Obie wyglądacie dziś ślicznie – powiedziała Jennifer.

Powtórzyła to dzisiaj już ze sto razy. Czuła się tak skrępowana, że słowa same cisnęły jej się na usta.

– No tak, ty też – padła ta sama co wcześniej odpowiedź. Dziewczyny sprawiały wrażenie znużonych.

Jennifer utkwiała spojrzenie w swoich stopach, potem przeniosła je na czerwone pantofelki. Kupiła je, kierując się sugestiami Dany. Kiedy podniosła wzrok, okazało się, że dziewczyny zdążyły już znaleźć sobie jakiś inny temat rozmowy.

– A widziałyście, że kupiłam sobie te czerwone pantofelki, które mi doradzałyście? – spytała, zakładając z powrotem buty.

Rachel i Dana udawały, że jej nie słyszą.

Jennifer zastanowiła się, czy Margo coś im powiedziała. Obiecała co prawda, że będzie trzymać język za zębami, ale Jennifer podejrzewała, że i tak się wygada. Może jeszcze nie teraz, ale w końcu opowie ludziom o tym, co jej była przyjaciółka zrobiła. Jednak najpierw zdobędzie pieczęć. Jennifer miała przeczucie, że tak się stanie.

Przeprosiła koleżanki i usiadła sama na trybunach. Po chwili DJ puścił następną szybką piosenkę, ale nie miała ochoty wracać na parkiet.

Danielle DeMarco bawiła się z dużą grupą jakichś dzieciaków. Naprzeciwko niej tańczył wysoki, przystojny chłopak, wykonując śmieszne breakdance'owe ruchy.

Ale nie był to chłopak Danielle.

Andrew stał pod ścianą razem ze swoimi kumplami. Próbował nie zwracać uwagi na tańczącą Danielle, ale jego wzrok mimo woli i tak wędrował w stronę parkietu.

Jennifer odrzuciła włosy do tyłu, odsłaniając ramię. No tak, z kwiatka na kwiatek. Typowe zachowanie puszczałskiej. Między innymi właśnie dlatego umieściła Danielle na liście. Miała serdecznie dość widoku tej dziewczyny całującej się namiętnie z Andrew na korytarzu. Scena ta powtarzała się każdego ranka. Było jasne, że panna po prostu szpanuje przed wszystkimi, że znalazła sobie faceta.

Za wszystkimi jej typami, które znalazły się na liście, stały tego rodzaju motywacje.

Abby wybrała, ponieważ podsłuchiwała, jak Fern w rozmowie ze znajomymi nabija się z głupoty siostry. W głębi duszy Jennifer podejrzewała, że Fern – mimo że sama znalazła się na liście w zeszłym roku – uważa się za lepszą od innych.

Candace wciągnęła na listę, ponieważ wiedziała, że będzie to po myśli setki innych uczennic, które od lat uważały ją za brzydką. Kto wie, może Candace zmieni się, gdy wreszcie dotrze do niej przykra prawda. Jennifer miała jednak co do tego wątpliwości. Zresztą nie taki był jej cel. Nie umieściła Candace na liście, żeby dać jej nauczkę. I nie zrobiła tego, by zaskarbić sobie czyjaś wdzięczność. Zrobiła to, ponieważ chciała.

Lauren wybrała, ponieważ była inna niż wszystkie atrakcyjne dziewczyny, jakie w swoim życiu poznała. Nie próbowała niczego udawać. A poza tym Jennifer była pewna, że jej wybór doprowadzi Candace do białej gorączki.

Zdecydowała się na Sarę, ponieważ chciała ją sprowokować. Ta panna zawsze wydawała jej się do bólu fałszywa. Twarda laska, buntowniczką. I pomyśleć, że to wszystko było tylko pozą. Nie zjawiała się na balu, co stanowiło najlepsze potwierdzenie, ile warte są jej przechwałki. Tyle gadała, groziła, że zepsuje wszystkim zabawę, i co? Na myśl o tym, że przez chwilę dała się nabrać tej cwaniaczce, Jennifer ogarnęła wesołość.

Bridget wybrała, bo...

W chwili gdy o tym pomyślała, Bridget podeszła do trybun i usiadła kilka rzędów przed Jennifer.

– Cześć, Bridget! – zawołała do niej.

Dziewczyna odwróciła się przez ramię.

– No cześć.

Jennifer dosiadła się do niej i powiedziała:

– Chciałabym, żebyś wiedziała, jak bardzo się cieszę, że w tym roku znalazłaś się na liście. Uważam, że na to zasługujesz.

Bridget przypatrywała się jakiejś dziewczynie, która przechodziła właśnie przez parkiet. Jennifer zorientowała się po chwili, że to jej młodsza siostra, Lisa. Spojrzenia sióstr spotkały się, ale trwało to tylko chwilę.

– Wolalabym w ogóle się na niej nie znaleźć – stwierdziła Bridget. – Ta lista przyniosła mi tylko mnóstwo kłopotów.

– Co ty mówisz? – spytała Jennifer, robiąc nieszczęśliwą minę.

Bridget uniosła do ust kubeczek z gazowanym napojem i pociągnęła maleńki łyk.

– Nieważne, tak tylko gadam – powiedziała, po czym posłała rozmówczyni błady uśmiech. – Nie chcę zepsuć twojego święta. Podobno masz zaklepany tytuł królowej. Moje gratulacje.

– Dzięki – odparła Jennifer, po czym Bridget podniosła się z ławki i odeszła.

Być może w oczach Margo nigdy już nie zasłuży na opinię porządnego człowieka. Być może Margo nigdy nie zrozumie, co tak naprawdę popchnęło Jennifer do sporządzenia listy i przeczytania jej pamiętnika. Przyznanie się jej to tego wcale nie było łatwe, a mimo to Jennifer była wobec niej szczerą. A przecież równie dobrze mogła zataić prawdę. Nigdy nikomu nie zdradziła sekretów, które odkryła dzięki lekturze zapisków z pamiętnika Margo. Zachowała je dla siebie, a więc zachowała się jak najlepsza przyjaciółka.

Nie była złym człowiekiem.

Naprawdę.

W pewnym momencie u jej boku stanęła dyrektorka Colby.

– Jak się bawisz, Jennifer?

– Dziękuję, dobrze – odparła, zabierając torebkę z ławki i kładąc ją sobie na kolanach.

– Świetnie – ucieszyła się pani dyrektor, omiatając spojrzeniem parkiet. – Mam do siebie pretensje, że nie zdołałam odkryć, kto w tym roku przygotował listę. Naprawdę mi na tym zależy. Ale nie zamierzam się poddać i do końca roku nadal będę prowadzić śledztwo. Jeśli niczego się nie dowiem, trudno. Ale w przyszłym roku poświęcę temu jeszcze więcej czasu i energii.

No to pięknie. Super.

– Dziękuję – odezwała się cicho Jennifer.

– Ale przede wszystkim przynoszę ci ważną dla ciebie informację – ciągnęła dyrektorka, a jej twarz stała się nagle śmiertelnie poważna. – Niestety nie zostałam wybrana królową balu.

Jennifer poczuła, jak cała krew odpływa jej z twarzy.

– Czy to... pewne?

– Wolalam cię uprzedzić. Zaraz ogłoszę zwycięzców głosowania. Wszystkie spojrzenia będą skierowane na ciebie. Ludzie będą ciekawi, jak zareagujesz. Dlatego chciałam cię ostrzec.

– Dzięki – wydusiła z siebie Jennifer.

A więc znowu powtarzała się sytuacja z pierwszej klasy. Tyle że tym razem Jennifer nie będzie zaskoczona – teraz już wie, że jest najbrzydszą dziewczyną na sali.

– Domyślam się, że to musi być dla ciebie spore rozczarowanie. Jednak tym razem, w przeciwieństwie do tego, co stało się poniedziałek, a także przez ostatnie trzy lata, masz szansę zdecydować, jaką twarz pokażesz ludziom.

Jennifer zerknęła w stronę parkietu i odnalazła wzrokiem Margo. Dziewczyna tańczyła przytulona do Matthew Gouldinga. Głowę oparła mu na piersi, przymknęła oczy.

– Jennifer, tak naprawdę to wszystko nie ma żadnego znaczenia – ciągnęła dyrektorka. – Za parę lat nikt nie będzie pamiętał tego balu ani tego, kto został jego królową. Wszyscy zapomną też o liście. W pamięci pozostaną natomiast przyjaciele, znajomości, jakie zawarliście w szkole. Tak naprawdę tylko to się liczy i tylko to warto zachować.

Oczy Jennifer zaszkliły się od łez. Cały świat wokół niej stał się rozmyty.

– Kto jest zwyciężczynią? Margo?

Pani Colby nie zaspokoila jej ciekawości.

– Wszystko będzie dobrze, Jennifer – obiecała. – Tylko weź się w garść.

Dziewczyna wsunęła dłonie pod uda.

Może dyrektorka mimo wszystko się myliła. Właśnie pozbawiła Jennifer ostatniej nadziei, której mogła się ucześcić. Pozostawało jej jedynie walczyć o zachowanie resztki godności.

Ale wcale nie była pewna, czy jeszcze zasługuje choćby na nią.

ROZDZIAŁ 46

Kiedy dyrektorka Colby zbliżyła usta do mikrofonu i wypowiedziała imię Margo, na sali zapadła cisza, jak makiem zasiał. Wszyscy zebrani uczniowie jak jeden mąż wzięli głęboki oddech, wysysając całe powietrze z sali.

Wszyscy zaczęli rozglądać się wkoło w poszukiwaniu Jennifer.

Również nowo wybrana królowa Margo przebiegła spojrzeniem po trybunach, wokół stołu z przekąskami, po parkiecie.

Jennifer znikła jednak bez śladu.

W końcu spojrzenia uczniów skierowały się z powrotem na Margo. Rozległy się pojedyncze, nieśmiałe oklaski. Po chwili dołączyły do nich kolejne. Wreszcie zapanowała ogólna radość, wszyscy wiwatowali na cześć nowej królowej. Rachel i Dana rzuciły się na szyję koleżanki. Mimo kampanii na rzecz Jennifer, cieszyły się teraz z triumfu Margo. W końcu były jej najlepszymi przyjaciółkami.

Uczniowie rozstąpili się na boki, przepuszczając Margo do stanowiska DJ-a. Czekał już tam na nią Matthew. Na głowie miał koronę króla balu. Uśmiechnięty wyciągał ku niej rękę.

Pod Margo z przejścia ugiwały się nogi. Jednak z każdym krokiem odzyskiwała pewność siebie. Nadszedł moment, o którym zawsze marzyła.

Oto ziszczało się jej największe marzenie.

Dyrektorka Colby umieściła mikrofon z powrotem na stojaku, a do rąk wzięła diadem. Dziewczyna niepewnie zbliżyła się do niej.

– Gratuluję, Margo – powiedziała pani dyrektor, poklepując zwyciężczynię po plecach.

Nowo wybrana królowa balu obejrzała się jeszcze raz przez ramię, wypatrując w tłumie twarzy Jennifer.

– Jennifer już poszła – szepnęła jej do ucha pani Colby.

Na to właśnie liczyła Margo.

Teoretycznie powinna czuć ulgę, jednak tak się nie działo. Przecież Jennifer nadal miała pieczęć. A ponieważ Margo zwyciężyła w konkursie, nie mogła być pewna, czy Jennifer wywiąże się z umowy.

Powinna jej poszukać, i to zaraz.

Ale z drugiej strony przecież to mogło poczekać. Będzie mogła się zająć Jennifer po balu. Gdy wszystko wróci do normy, odzyska pieczęć i raz na zawsze położy kres tradycji listy.

Teraz nareszcie mogła się napawać swoim szczęściem. Powtarzała sobie w myśli, że powinna cieszyć się tą chwilą. Chwilą swojego triumfu.

Dyrektorka Colby udekorowała jej skronie diademem.

Margo zdziwiło, że jest taki lekki. Oczywiście nie liczyła na to, że zdobiące

go kryształki będą prawdziwymi diamentami, sądziła jednak, że wykonany będzie z jakiegoś metalu.

Myliła się.

Diadem był plastikowy.

PODZIĘKOWANIA

W pierwszym rzędzie pragnę wyrazić wdzięczność Davidowi Levithanowi, który na niezliczone sposoby wspierał mnie podczas pracy, doglądał procesu twórczego i zabiegał o wydanie książki. Davidzie, powieść ta nie powstałaby bez twojej pomocy.

Słowa podziękowania kieruję też do Emily van Beck z agencji literackiej Folio Library za jej mądre rady, niezłomne wysiłki promocyjne i niezachwianą wiarę w moje pisarskie zdolności.

W pracach nad książką wspomagali mnie także niezmordowani pracownicy wydawnictwa Scholastic. Dziękuję im wszystkim, szczególnie zaś Erin Black, Sheili Marie Everett, Adrienne Vrettos, Elizabeth Parisi, Sue Flynn oraz Charliemu Youngowi.

Dziękuję Nickowi i całej rodzinie Caruso, Barbarze Vivian, mojemu Tacie, Brianowi Carrowi, Jenny Han, Lisie Greenwald, Caroline Hickey, Lynn Weingarten, Emmy Widener, Tarze Altebrando, Farrin Jacobs, Brennie Heaps, Morgan Matson, Rosemary Stimola i Tracy Runde.

I tobie, Bren, za to, że jesteś najpiękniejszym, co przydarzyło mi się w życiu.

